



Harlequin® na życzenie

3 POWIEŚCI
TYLKO 15⁹⁹

Przyjaciółki

DIXIE BROWNING

ISBN 978-83-275-1800-0

Przyjaciółki

DIXIE BROWNING





Dixie Browning
Jak zdobyć
męża

Tytuł oryginalny: Her Passionate Plan B



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Daisy zawsze szczyliła się swoją punktualnością. Dlatego teraz, kiedy spóźniła się na pogrzeb, była na siebie naprawdę zła. Najpierw rozdzwonił się telefon, a potem, kiedy już się ubierała, ktoś zastukał do drzwi wejściowych. Wybiegając z pokoju, potknęła się o pantofel ze swojej najlepszej pary, który wpadł głęboko pod łóżko. Na szczęście na dole była Faylene i zajęła się gośćmi - to byli ludzie z elektrowni, chcieli wiedzieć, kiedy mają wyłączyć prąd.

Pognała z powrotem na górę. Żeby odzyskać pantofel, musiała wpełznąć pod łóżko. Zgubę znalazła, ale za to w ostatniej parze czarnych matowych pończoch, które miała na sobie, poszło oczko. Na domiar wszystkiego, jak zawsze w deszczowy dzień, samochód nie chciał zapalić. W efekcie spóźniła się ponad dziesięć minut.

Stała sztywno, z dala od pozostałych, nad grobem swojego pacjenta. Padał zimny, nieprzyjemny deszcz. Jej płaszcz przeciwdeszczowy zaczął przemakać. Przewidywała, że tak to się skończy, ale uważała, że lepszy stary, lecz czarny płaszcz niż nowa żółta kurtka.

Oczywiście Egbert już tam był. Jak zawsze punktualny. Zza ciemnych, dużych okularów badawczo przyglądała się mężczyźnie, którego postanowiła poślubić. Była już wystarczająco dojrzała, aby wiedzieć, co jest istotne, a co zupełnie nie ma znaczenia. I nie zamierzała po raz drugi popełnić błędu.

Egbert nie miał o tym na szczęście najmniejszego pojęcia. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że jakaś kobieta może celowo zastawić na niego sidła. W końcu skromność była jedną z jego zalet. Daisy straciła już serce do mężczyzny z nadmiarem testosteronu czy też samochwałów, jak ich nazywała.

Zebrani nad grobem trochę się rozsunęli i Daisy zauważyła, że obok Egberta stoi jakiś mężczyzna. No proszę, pomyślała, to dopiero musi być niezły model. Zdziwiła się, gdyby w jego smukłym, wysportowanym ciele znajdował się choć gram skromności. Szeroko rozstawił nogi, ręce założył na piersiach. Nawet jego postawę można sprowadzić do jednego słowa: arogancja.

Przybyłem, zobaczyłem, więc do diabła - zwyciężyłem. Miała wrażenie, że może mu niemal czytać w myślach. Że je wręcz czuje.

Egbert miał na sobie jak zwykle ciemny garnitur, a także dobrze skrojony czarny płaszcz przeciwdeszczowy. I, jak przystało na rozsądnego mężczyznę, miał ze sobą parasol. Obiektywnie rzecz biorąc, był napraw-

dę przystojny. Może nie miał hollywoodzkiej urody, ale z pewnością był atrakcyjny.

Daisy głęboko wierzyła w umiar. W przeciwieństwie do swoich dwu szalonych najlepszych przyjaciółek, nie miała za sobą pasma nieudanych małżeństw. Tylko raz była bliska tej decyzji. Ale też ten związek miał fatalny wpływ na jej psychikę. A zatem Egbert będzie jej pierwszym mężem. Oczywiście jak tylko uświadomi sobie, że Daisy jest idealną kandydatką na żonę. Będzie to związek dwojga dojrzałych, pracujących ludzi, a nie jedno z tych młodych, zaczynających od zera małżeństw, które ostatnio stały się bardzo powszechne.

Nad głowami zebranych przeleciało stado dzikich kaczek. Daisy odprowadziła je wzrokiem aż nad brzeg rzeki, po czym znów przyjrzała się nieznajomemu.

Nie miał praktycznego płaszcza przeciwdeszczowego, ani tym bardziej parasola. Stał w deszczu z odkrytą głową. Mokre pasemka włosów przykleiły się do jego opalonych skroni. Z jakiegoś zupełnie niezrozumiałego dla niej samej powodu poczuła, że ten mężczyzna ją pociąga. Życie dało jej wiele lekcji, ale jedna szczególnie zapadła Daisy w pamięć: kiedy do głosu dochodzą hormony, zdrowy rozsądek ląduje za drzwiami.

Pastor, między jednym kichnięciem a drugim, zdołał powiedzieć parę ciepłych słów o człowieku, którego żegnali. Daisy niewiele z tego słyszała, bo jej uwagę całko-

cie zaprzętał nieznajomy. Była pewna, że nigdy wcześniej go nie widziała.

Musiała przyznać, że w niebieskich džinsach i skórzanej lotniczej kurtce prezentuje się całkiem nieźle. Na pewno dużo lepiej niż ona w swojej starej, czarnej sukience i przemakającym płaszczu przeciwdeszczowym, nie wspominając już o zabłoconych czółenkach.

Nieznajomy z pewnością nie był z Muddy Landing.

Znała tu już wszystkich przynajmniej z widzenia. Zresztą, gdyby tu mieszkał, Sasha i Marta z pewnością zwróciłyby na niego uwagę i wpisały go na swoją listę kawalerów do wzięcia. O ile oczywiście był do wzięcia.

Próbowała dojrzeć, czy ma na palcu obrączkę. Nie miał, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło.

W taką pogodę mógł przynajmniej włożyć kapelusz.

Wyobraziła go sobie w stetsonie - koniecznie czarnym, nie białym, z rondem uniesionym z jednej strony i okazałym pękiem piór za tasiemką. Taki kapelusz zresztą pasowałby do jego kowbojskich butów.

Nieznajomy, jakby wyczuwając na sobie wzrok Daisy, spojrzał nagle prosto na nią. Wstrzymała oddech. W załadzie niebieskie oczy nie mają w sobie nic niezwykłego, lecz osadzone pod kruczoczarnymi brwiami w opalonej na złoty brąz twarzy robiły - musiała to uczciwie przyznać - piorunujące wrażenie.

Od strony North Landing River nadciągnęła kolejna chmura i rozpadało się jeszcze bardziej. W tej sytuacji

uroczystość siłą rzeczy została skrócona. Pastor znów zaczął kichać, a ponieważ zmarły nie miał krewnych, powiedział kilka przepaszających słów, nie kierując ich do nikogo konkretnego, po czym pośpieszył do czarnego minivanu. Niewielka grupa żałobników szybko się rozeszła. Oprócz dwóch.

Och, Boże! Zmierzali w jej kierunku. Nie teraz - błagam! Daisy udała, że nie słyszy, jak Egbert ją woła, i niemal biegiem dopadła do swojego samochodu. Nie miała ochoty, aby ktokolwiek - na przykład nieznajomy ani tym bardziej Egbert - oglądał ją z mokrymi włosami oblepiającymi kark, w starej sukience sprzed sześciu lat i jeszcze starszym przemoczonym płaszczu. Nie była wyrachowana. Zdawała sobie jednak sprawę, że najprawdopodobniej opóźniłoby to realizację jej planów o co najmniej sześć miesięcy.

Zaś jej plany nie uwzględniały takiej możliwości. W końcu była coraz starsza. Za trzy miesiące upłynie rok, odkąd Egbert owdowiał. Wybranie właściwego momentu to klucz do sukcesu. Nie chciała go pospieszać, ale nie zamierzała również czekać, aż jakaś inna kobieta wykona ruch i uzna go za swój łup.

Wyjechała na autostradę, deszcz wściekle walił o przednią szybę. Wycieraczki pracowały jak oszalałe: rozbiegane niczym jej myśli.

Wkrótce upora się z porządkowaniem domu zmarłego

pacjenta, a wtedy spokojnie usiadł i po raz trzeci wysłucha wyjaśnień Egberta, dlaczego nie mógł po prostu przeczytać ostatniej woli Harreya oraz jego testamentu i przekazać wszystkiego spadkobiercom. Czyli gospodyni, którą Harvey dzielił z jej dwiema najlepszymi przyjaciółkami, oraz słabo zorganizowanemu, niezbyt prężnemu lokalnemu towarzystwu historycznemu.

Rzut oka we wsteczne lustro uświadomił jej, że samochód Egberta jedzie za nią, poniżej górnej granicy dopuszczalnej prędkości. Wstąpił w nią chyba jakiś diabeł, bo docisnęła pedał gazu, aż o dobrych osiem kilometrów przekraczając dozwoloną prędkość.

Daisy zawsze jeździła zgodnie z przepisami. Ostrożność była jej drugą naturą.

-Musimy coś zrobić z Daisy. - Deszcz dzwonił o szyby. Sasha z namaszczeniem zaczęła malować paznokcie purpurowym lakierem. - Ma wszystkie objawy ciężkiej depresji.

Na wyraźną prośbę Daisy żadna z jej przyjaciółek nie uczestniczyła w tym pogrzebie. Zresztą zbytnio nie należały.

- Ależ ona nie jest w depresji. Cierpi, bo zmarł jej pacjent. Zawsze tak reaguje. Zwłaszcza jeśli opiekuje się kimś tak długo. A poza tym ten kolor zupełnie nie pasuje do twoich włosów.

Sasha badawczo przyjrzała się swoim paznokciom,

po czym powoli przeniosła wzrok na przyjaciółkę Martę Owens.

Purpurowy i pomarańczowy? Naprawdę uważasz, że nie pasują? Widzisz, cały kłopot w tym, że ona wszystkim się przejmuje. To, że tyle godzin poświęca drugiej osobie cierpiącej na przewlekłą chorobę, już samo w sobie jest deprymujące. Ale jak przeprowadza się do takiego pacjenta, tak jak zrobiła w przypadku biednego Harveya Snowa... - Sasha westchnęła i starła smugę lakieru.

To chyba było całkiem rozsądne. Przecież dostała nakaz opuszczenia swojego mieszkania. A on mieszkał sam w wielkim pustym domu.

Nie dostała nakazu. Wszyscy mieszkańcy tego domu musieli się wyprowadzić po pożarze. I gdzie miała się wtedy podziać? Najbliższy czynny motel jest w Elizabeth City. Dojazd do domu Harveya zająłby jej ze czterdzieści minut więcej niż zwykle. Ale na pewno tak by tego nie przeżywała, gdyby nie to, że oboje byli samotni. Marta skinęła głową i naląła sobie kolejny kieliszek wina. Wypiła już więcej niż powinna, ale przecież w weekend mogła sobie na to pozwolić. Problem był tylko w tym, że teraz, kiedy musiała zamknąć księgarnię, dzień powszedni niewiele różnił się od weekendu.

- O ile wiem, zawsze zwracała się do niego per „panie Snow”, ale wiesz, co myślę? Że on był dla niej kimś w rodzaju zastępczego dziadka. Jak myślisz, komu znajdzie-

my teraz drugą połówkę? Sadie Glover czy tej okularnicy z lodziarni?

Obie panie - a właściwie trzy, licząc Daisy - uwielbiały bawić się w kojarzenie par.

A może Faylene? - spytała Sasha. Marta spojrzała na nią ze zdziwieniem.

Naszej Faylene? Chybaby nas zabiła.

Daisy dobrze to zrobi. Powinna się oderwać. To dopiero wyzwanie: znaleźć kogoś dla Faylene.

O, to z pewnością jest wyzwanie. Ale i tak nie mamy żadnych kandydatów.

No cóż, ja chyba miałabym parę pomysłów - odparła Sasha po namyśle.

Kilka lat temu to Sasha i Daisy namówiły Martę na to, by skojarzyć nieśmiałego starszego sąsiada z owdowiałą kasjerką z miejscowej apteki. Akurat wtedy Martę porzucił jej drugi mąż, co gorsza - dla innej kobiety. Musiała się czymś zająć. Wyszło im całkiem niezłe: sąsiad wynajął swój dom, po czym zamieszkał z kasjerką i jej siedemnastoma kotami.

Przyjaciółki ucziły sukces lampką wina i zaczęły rozglądać się za kolejnymi ofiarami, którym jedynie zdecydowana interwencja z zewnątrz mogła pomóc w wyrwaniu się z rutyny samotności. Wkrótce kojarzenie par stało się ich ulubionym sposobem spędzania wolnego czasu. Nie chodziło o to, aby podsunąć ładną samotną dziewczynę jakiemuś kawalerowi do wzięcia. To by było za proste.

Zajmowały się tymi, którzy porzucili już wszelkie nadzieje - chorobliwie nieśmiały, porzuconymi, niezbyt atrakcyjnymi i niezaradnymi ludźmi. Taktownie wkraçały do akcji, gotowe doradzić odpowiedni strój, fryzurę, makijaż, a także taktykę w trakcie nawiązywania znajomości. Często okazywało się, że wystarczy tylko wzmocnić czyjeś poczucie własnej wartości. Lub, jak to określała Sasha, przypomnieć komuś dawne melodie, a wraz z nimi dobre wspomnienia. Następnie aranżowały spotkanie. Świetnym pretekstem były organizowane przez miejscowy kościół dwa razy w miesiącu aukcje charytatywne, na których licytowano przygotowane przez miejscowe gospodynie specjały.

- Daj spokój z Faylene - powiedziała Marta. -

Znajdźmy raczej kogoś dla Daisy. - Spośród nich trzech jedynie Daisy jeszcze nigdy nie wyszła za mąż. Marta, która pochowała pierwszego męża, a z drugim się rozwiodła, zdecydowała, że nie chce już żadnych mężczyzn w swoim życiu.

Sasha rozwiodła się z czterema i, choć była jak najgorszego zdania o mężczyznach, nie przeszkadzało jej to w wybieraniu kandydatów dla innych samotnych kobiet.

Beznadziejny przypadek - odparła. - Daisy zna mnóstwo mężczyzn. Pracuje z tyloma lekarzami, i co?

No wiesz! Po tym Jerry'm Jak-mu-tam? Tym, co nosił mokasyny od Gucciego bez skarpetek i garnitury od Armaniego? I zawsze był starannie uczesany i obficie

spryskany wodą kolońską? Drań rzucił ją, zanim cokolwiek się między nimi na dobre zaczęło.

- No dobrze. Może Daisy wybiera niewłaściwych mężczyzn. Wobec tego witamy w klubie - powiedziała Sasha.

No właśnie. Twój drugi mąż poszedł do więzienia za pranie brudnych pieniędzy, tak?

Ależ skąd - rudowłosa zaprzeczyła z oburzeniem. - To był mój pierwszy mąż. Miałam tylko osiemnaście lat. Co ja tam mogłam wtedy wiedzieć?

Obie zachichotały.

No dobrze. Skoro Daisy jest teraz zajęta opłakiwaniem pana Snowa, pakowaniem jego rzeczy i porządkowaniem domu, my możemy rozejrzeć się za jakimiś kawalerami do wzięcia, powiedzmy w wieku od dwudziestu pięciu do pięćdziesiątki, prawda? A tak przy okazji, to kto ci przyszedł do głowy dla Faylene?

Och, właściwie mam dwa pomysły, ale mogłybyśmy zacząć od Gusa, wiesz, z tego warsztatu, gdzie naprawiali mi ostatnio hamulce. Właśnie się dowiedziałam, że jest samotny.

Może jest gejem?

- Słyszałaś kiedyś o mechaniku, który by był gejem?

- Sasha zsunęła sandaalki i przyjrzała się swoim niepomalowanym paznokciom u nóg.

-Nadal uważam, że Faylene dostanie ataku furii, jak się dowie, co kombinujemy.

Sasha roześmiała się.

- Może się złościć, ile chce, tylko niech nie rzuca pracy u mnie. Wiesz, że w tych sprawach mam dwie lewe ręce. Kilka kilometrów dalej, pod miasteczkiem Muddy Landing, w pięknym starym domu, który z pewnością pamiętał lepsze czasy, Daisy Hunter pakowała kolejne pudełko ubrań swego zmarłego pacjenta. Wolałaby wyprowadzić się z domu w dzień po jego śmierci, ale jej mieszkanie nadal nie było gotowe. No i Egbert zaproponował, aby tu pozostała, dopóki nie znajdzie kolejnego pacjenta: „Do czasu, aż uporządkujesz i spakujesz jego rzeczy, urząd będzie wypłacać ci pensję. Zresztą domy, które przez dłuższy czas stoją puste, szybko podupadają”.

Egbert miał specyficzny sposób formułowania myśli. Wszystko, co mówił, nie brzmiało zbyt ekscytująco, ale dawało poczucie bezpieczeństwa. U boku takiego mężczyzny jak Egbert Blalock kobieta zawsze wiedziała, na czym stoi.

Póki żył Harvey, ich stosunki ograniczały się do wymiany paru zdawkowych zdań. Ale potem spotkali się kilka razy, żeby omówić sprawy związane ze śmiercią Harveya. Podczas drugiego, a może trzeciego z takich spotkań, Daisy spojrzała na niego z pewnym zainteresowaniem. Im więcej o nim myślała, tym bardziej by-

ła przekonana, że stanowi doskonały materiał na męża.

W końcu był już najwyższy czas, by wyjść za mąż.

Dlatego teraz, pakując garderobę Harreya, starała się ułożyć jakiś sensowny plan działania. Musiała przy tym przyznać, że dużo łatwiej było wydać za mąż kogoś obcego niż siebie samą.

Nie mogła powierzyć tej sprawy przyjaciółkom. Marta i Sasha za bardzo by się zaangażowały i wszystko by przez to popsuły. Sasha sprawdzała kolejnych mężów tak jak inne przymierzają pantofle. Marta nie była wiele lepsza. Choć zarzekała się, że po ostatnich doświadczeniach wiele się nauczyła.

Daisy kątem oka spojrzała na swoje odbicie w wielkim lustrze. Dotknęła potarganych włosów. Już dawno temu powinna zrobić pasemka. Wcześniej musiała jednak dowiedzieć się, jakie włosy lubi Egbert. Długie czy krótkie? Czy lubi blond? A jeśli tak to jaki? Platynowy czy raczej miodowy? Jej włosy miały nieokreślony kolor. Włosy Egberta miały natomiast ładny odcień brązu. Były, co prawda, trochę przerzedzone na czubku głowy. Ale w końcu nic w tym złego, od razu się zganiała. Ostatnio przecież łysiny są nawet całkiem modne i uważane za seksowne. Sasha nazwała kiedyś Egberta nudziarzem. Zdaniem Daisy, on nie był nudny, tylko zrównoważony i odpowiedzialny. Niektóre kobiety wolą bardziej atrakcyjnych mężczyzn. Jeszcze niedawno Daisy również się do nich zaliczała. Teraz już zmądrzała.

. Ale jakiego koloru były jego oczy? Piwne?

Nie, brązowe. To Harvey miał piwne oczy. Daisy jeszcze ani razu nie płakała po jego śmierci, ale wiedziała, że wcześniej czy później to nastąpi. Zbyt mocno się z nim związała. Tak, zdecydowanie powinna jakoś poprawić sobie nastrój.

Jak tylko skończy porządkowanie domu, pójdzie na zakupy i przy okazji poszuka czegoś kobiecego i zwiewnego na spotkanie z Egbertem. Od dawna nie tańczyła. Niegdyś to uwielbiała. Ciekawe, czy Egbert lubi tańczyć? Mogliby razem poćwiczyć kroki, to byłoby zabawne. Niestety, nawet takie rozmyślenia nie poprawiały jej nastroju.

Tak, zdecydowanie pójdzie do fryzjera. Lekko rozjaśni włosy i podetnie końce. Nic wielkiego - akurat tyle, żeby trochę lepiej wyglądać przy następnym spotkaniu z Egbertem. Właściwie mogłaby już zadzwonić i umówić się z fryzjerem.

Telefon zaczął dzwonić akurat w chwili, gdy do niego podeszła.

- Rezydencja pana Snow, słucham? - wyrecytowała jak zwykle.

Odebrała w ostatnich dniach tyle telefonów, że zaczęła już poważnie zastanawiać się nad zainstalowaniem automatycznej sekretarki, choćby na te kilka dni, które zamierzała tu jeszcze spędzić.

-Daisy, kochanie, masz taki zmęczony głos. Przydałby

ci się masaż albo dobry drink i pudełko wiśni w czekoladzie. Jak dziś poszło?

Lał deszcz, pastor cały czas kichał, a nad grobem zebrała się garstka ludzi. Coś jeszcze cię interesuje?

Przecież proponowałyśmy, że z tobą pójdziemy -przypomniała jej Sasha.

Wiem. Jestem w podłym nastroju. - W duchu musiała przyznać, że właściwie od kilku dni walczy z depresją. Posłuchaj, pomyślałyśmy z Martą, że już najwyższy czas zacząć kolejną sprawę. Odkąd zamknęła księgarnię, o wiele za dużo popija. - Daisy usłyszała w tle protest. - Wiem to stąd, że przytyła parę kilo. Wchodzisz w to? Tym razem nie. Najpierw muszę uporządkować rzeczy Harveya, a potem własne życie. Nie mam teraz głowy do zajmowania się innymi.

Och, kotku. Wiem, że to wszystko jest bardzo przygnębiające, ale rozczulanie się nad sobą donikąd nie prowadzi. - Sasha była w głębi serca bardzo ciepłą osobą, ale nauczyła się to ukrywać. Jej krzykliwy styl i bezceremonialny sposób bycia bardzo jej to ułatwiały.

Wcale się nie rozczulam. - Daisy wiedziała, że nie należy za bardzo wiązywać się z pacjentem. Ale nikim nie opiekowała się tak długo jak Harveyem.

A może najwyższy czas, żebyś przed sobą postawiła jakieś wyzwanie?

Daisy westchnęła. Niczym innym się ostatnio nie zajmowała. Lepiej jednak, żeby myślały, że się umartwia po śmierci pacjenta. Inaczej zaraz umówią ją z jakimś cymbałem z klubu samotnych serc.

O nie, bardzo dziękuję. Skoro już się nastawiła na działanie, poradzi sobie sama. Tak jak ze wszystkim, odkąd jej przybrani rodzice rozwiedli się, a potem okazało się, że żadne z nich jej nie chce. Daisy miała wtedy trzynaście lat. Dała sobie radę, i teraz też tak będzie. Za rok zamieszka u Egberta przy Park Drive.

Daisy. Obudź się, kochanie.

Przepraszam, zamyśliłam się. Niech ci będzie. Kim chcecie się teraz zająć?

Faylene.

Nie ma mowy! Zająć się nową sprawą to jeszcze rozumie, ale nie beznadziejnym przypadkiem! To akurat nie jest mi teraz potrzebne. - Przez ostatnie kilka lat Faylene Beasley pracowała u Harveya i jej obu przyjaciółek. Jako gospodyni domowa była fantastyczna, ale jako panna na wydaniu? - Chyba nie mówisz poważnie? Ależ jak najbardziej. Kochanie, nie zauważyłaś, jaka jest ostatnio nieznośna? Tej kobiecie potrzebny jest mężczyzna.

Posłuchaj, zadzwoń do mnie jutro. Dziś nie mam siły o tym myśleć. Zjem wczesną kolację i położę się spać. A tak na marginesie, zdaje się, że mamy nowe-

go kawalera do wzięcia, któremu mogłybyśmy kogoś znaleźć.

Z pewnością, pomyślała, nie mogła to być Faylene. O nie - kimkolwiek był ten mężczyzna, zasługiwał na jakąś wyjątkową kobietę.

RS

ROZDZIAŁ DRUGI

Kell miał nadał przemoczone buty, ale przynajmniej zdrapał już z nich większość błota. Był rozczarowany. Nie zdążył poznać swojego wuja. Za to widok tajemniczej kobiety na pogrzebie sprawił mu niekłamana przyjemność. Podskakiwała z gracją, żeby uchronić swoje śliczne kostki przed zamoczeniem. Miała bardzo ładne nogi. Była chyba blondynką - w każdym razie coś w tym rodzaju. Miała wysoko postawiony kołnierz płaszcza i ciemne okulary, więc zdołał tylko zobaczyć, że miała jasną cerę. Oprócz tego nic więcej - tylko te mokre kosmyki jasnych włosów i zabłocone nogi. Zdecydowanie śliczne.

Kell nawet nie spytał Blalocka, kim była kobieta, która poprzedniego wieczora odebrała telefon i skierowała go do urzędnika bankowego. Nadal był w lekkim szoku, wywołanym wiadomością o śmierci człowieka, którego przyjechał odwiedzić.

Nie powinien tak długo zwlekać, lecz przyjechać od razu, gdy tylko odkrył pokrewieństwo między Snowami z Karoliny Północnej, a rodziną Magee z Oklahomy.

Ale zatrzymało go kilka spraw. A co więcej, wymyślił sobie, że zjawi się niespodziewanie. Oczywiście wyobraźni widział, jak wuj Harvey staje w progu, przygląda mu się i rozpoznaje w jego twarzy rysy swego przyrodniego brata.

Co prawda, było to mało prawdopodobne. Kell w niczym nie przypominał swego ojca. Evander Magee miał rude włosy i był piegowaty. Jedyne, co Kell po nim odziedziczył, to kolor oczu i wyraźnie zarysowane kości policzkowe.

No cóż, jak zwykle optymistycznie założył, że wszystko pójdzie po jego myśli. Tak, w wieku trzydziestu dziewięciu lat Kell nadal był niepoprawnym optymistą.

Zresztą pewnie tylko dlatego chciało mu się szukać dalekich krewnych. Tak jak w czasach, kiedy jeszcze grał zawodowo w baseball, zawsze wierzył w zwycięstwo.

Tym razem wszystko poszło na opak. Przyjechał do Muddy Landing już po zmroku. Na miejscu dowiedział się, że jedyny motel w mieście jest zamknięty od czasu huraganu Isabel, który we wrześniu mocno dał się miastu we znaki. Musiał przejechać wiele kilometrów, żeby znaleźć nocleg w okropnym miejscu, gdzie dostał pokój z za krótkim łóżkiem, ścianami, przez które wszystko było słychać, i podłymi poduszkami.

Z samego rana pojechał do miasta, żeby zobaczyć się z człowiekiem o nazwisku Blalock. Czekał na niego go-

dzinę tylko po to, żeby usłyszeć, że pan Blalock jest zajęty i nie ma dziś dla niego czasu.

Ale Kell tak łatwo się nie poddawał. Niemal wdarł się do gabinetu, przedstawił się i wyjaśnił, że jego ojciec miał młodszego brata przyrodniego, który nazywał się Harvey Snow. On zaś przyjechał, aby dowiedzieć się, gdzie ten człowiek mieszka, bo w książce telefonicznej nie było adresu. Jakaś kobieta, która odebrała telefon, skierowała go właśnie tutaj.

I wtedy usłyszał złą wiadomość.

-Przykro mi, ale człowiek, którego pan poszukuje, zmarł kilka dni temu. Dziś odbywa się jego pogrzeb.

Właśnie jadę na cmentarz. Więc, jeśli pan pozwoli...

Kell potrzebował chwili, żeby ochłonąć. Nie ruszył się z miejsca.

-O ile mi wiadomo - dodał Blalock - nikt z krewnych pana Snowa nie żyje.

Kell miał ochotę zaprotestować. Przecież on właśnie był żyjącym krewnym!

Nic jednak na to nie odpowiedział, ale postanowił pojechać wraz z Blalockiem na pogrzeb. Kiedy po skończonej uroczystości wrócili do banku, Blalock sprawdził dane w swoim komputerze, przemaglował go na wszystkie strony i wreszcie raczył podać mu adres domu, w którym kiedyś mieszkał jego ojciec.

Najprawdopodobniej mieszkał, jak zastrzegł Blalock.

Kell uznał, że może tu spędzić jakieś pięć dni. Najwy-

żej tydzień. Chłopcy powinni poradzić sobie ze sklepem. A jeśli nie, to mieli do kogo zadzwonić.

Praca z młodzieżą z rodzin patologicznych zaczęła ostatnio pochłaniać go w dużo większym stopniu niż prowadzenie sklepu sportowego. Równocześnie przekształcał swoje ranczo w baseballowy obóz treningowy. Miał wszystko, czego potrzeba mężczyźnie do szczęścia. Satisfakcjonującą pracę, zabezpieczenie finansowe i wokół siebie wiele kobiet, które nie oczekiwały z jego strony zobowiązań, a gotowe były dotrzymywać mu towarzyswa.

Jedyne, co nie dawało mu spokoju, to odnalezienie krewnych ojca. Skoro zaczął już poszukiwania, nie zamierzał łatwo się poddać. Blalock mógł mieć wątpliwości. On jednak ufał swojemu instynktowi. Był pewny, że jego korzenie tkwią w Muddy Landing.

Jadąc wąską drogą pomiędzy polami a przybrzeżnymi bagnami, coraz bardziej utwierdzał się w tym przekonaniu. Powinien był jasno powiedzieć Blalockowi, że nie interesuje go spadek. Chciał tylko dowiedzieć się czegoś o dzieciństwie swojego taty i wyjaśnić, czy ma tu jakichś krewnych.

Obie rodziny straciły ze sobą kontakt ponad pięćdziesiąt lat temu, kiedy szesnastoletni Evander Magee opuścił dom. Rodzice Kella zginęli w pożarze, który pochłonął cały dom wraz ze wszystkimi pamiątkami i dokumentami rodzinnymi. Do niedawna Kell w ogóle nie

zastanawiał się nad korzeniami swojej rodziny. Ale fakt, że wkrótce miał obchodzić czterdzieste urodziny, a także to, że miał zostać ojcem chrzestnym bliźniąt swego najlepszego przyjaciela, sprawiło, że zaczął myśleć o własnej rodzinie.

Kell po raz pierwszy uświadomił sobie, że jest ostatnim z linii Magee. Był to spory ciężar jak na mężczyznę, który całe życie świadomie unikał poważnych związków.

Znów pomyślał o blondynce w czerni. Lubił blondynki. Lubił kobiety - w czerni i w każdym innym kolorze. Lubił je jeszcze bardziej, gdy w ogóle nic na sobie nie miały. Podejrzewał, że to ona jest tą pielęgniarką, o której wspominał Blalock i która odebrała jego telefon. Miała całkiem interesujący głos. Wyglądała również interesująco, choć była taka przemoknięta i blada.

Zastanawiał się, czy zdążyła już odtajać.

Daisy miała wrażenie, że ten dzień nigdy się nie skończy. Późnym popołudniem nareszcie przestało padać.

Siedziała teraz w bujanym fotelu, a jej przyjaciółki, które uznały, że powinny ją jednak odwiedzić, popijały mrożoną herbatę i przeglądały stare wydania „Southern Living”. Siedziały na werandzie, którą dwa miesiące temu uszkodził huragan Isabel. Weranda nadal nie była naprawiona. I nie tylko ona. Muddy Landing i okolice bardzo ucierpiały. Wszystkie firmy budowlane w okolicy nadal zajmowały się remontem uszkodzonych domów.

Właś-

ciciel domu, w którym mieszkała, nadal twierdził, że prace nie zostały jeszcze ukończone. Była wyrozumiała, ale naprawdę nie mogła dłużej pozostawać w domu Harveya. W końcu miała własne życie, którym powinna się zająć.

Daisy marzyła, żeby przyjaciółki już sobie poszły. Chciała jak najszybciej przejrzeć te wszystkie szafy, szuflady, półki i pomóc Faylene wysprzątać pozamykane od wielu lat pokoje. Może jutro poczuje się na tyle dobrze, aby wybrać się na zakupy i do fryzjera. Dziś z pewnością nie była w nastroju.

-No cóż, dla mnie zawsze był miły, nawet kiedy miał mnóstwo samochodów czekających w kolejce - powie działa Sasha. - W warsztacie ma porządek. I wiem, że jest uczciwy.

Daisy domyśliła się, że rozmawiają o potencjalnym zalotniku Faylene.

No dobrze. Dziś jest piątek. - Sasha spojrzała na swój zegarek, który po naciśnięciu odpowiedniego przycisku pokazywał wszystko, począwszy od fazy księżyca aż po wskaźniki giełdowe. - Wobec tego nastawmy się na aukcję charytatywną w środę. Piknik, jeśli będzie ładna pogoda, lub kolacja w ośrodku miejskim, jeżeli będzie padać.

To dopiero będzie romantyczne - powiedziała oschle Marta. - Słodkie pogaduszki w tej okropnej sali.

Przezań. Z pewnością dopisze pogoda. To jak? Przy-

gotujemy cztery pudła ze smakołykami zamiast trzech? Mam dużą purpurową kokardę, którą mogę ofiarować na ten cel. Trzeba będzie tylko napisać imię Faylene na jednym z pudeł i powiedzieć Gusowi, że właśnie w nim są jego ulubione potrawy.

Najpierw musimy się dowiedzieć, jakie są te jego ulubione dania - zauważyła jak zawsze praktyczna Daisy. Nie, najpierw trzeba coś zrobić z jej włosami. -W tym specjalizowała się Sasha. W ciągu ostatnich kilku lat jej włosy przechodziły od odcieni brzoskwini, przez obojętny, po tycjanowski brąz. Kiedy uparła się, że nie pamięta, jaki jest jej prawdziwy kolor, Marta przypomniała jej, że wystarczy poczekać na odrosty.

I nie może iść na kolację charytatywną organizowaną przez kościół w tych swoich szortach. Jej nogi wyglądają nieźle z daleka, ale jak się do niej zbliżyć... - Marta pokręciła głową.

Dobrze - przytaknęła Sasha. - Ja zajmę się włosami, a ty wymyśl dla niej jakiś przyzwoity strój. Pozostaje tylko sprawa zawartości naszych pudeł. Co ty na to, Daisy? Daisy siedziała ze wzrokiem utkwionym w dal.

-Daisy, jesteś z nami, kochanie? Co ty na to? Przygotujesz swojego słynnego kurczaka w maślanie, placuszki kukurydziane i może surówkę z białej kapusty i parę kawałków tego pysznego czekoladowego placaka z rumem?

-Słucham? Och, no dobrze. Ale może najpierw powinniśmy zastanowić się nad jakimiś innymi kandydatami dla Faylene? - Choć Daisy nie miała takiego doświadczenia w tych sprawach jak jej przyjaciółki, wie działa doskonale, że mężczyzna i kobieta muszą być do siebie bardzo dobrze dopasowani. Wzajemne przyciąganie z pewnością jest ważne, ale na długo nie wystarczy. Jeśli nie ma nic więcej, to po opadnięciu pierwszych emocji, kiedy fascynacja erotyczna już się wypali, nagle odkrywasz, że jesteś z zupełnie obcym ci człowiekiem. Z Egbertem problem wzajemnego przyciągania w ogóle nie istniał. To był fundament jej planu. Skoro od początku nie będzie między nimi przyciągania, to nie będzie im tego brakowało w późniejszej fazie, kiedy i tak w naturalny sposób przestałoby działać. Daisy z pewnością nie była naiwna. Ale w odróżnieniu od swoich przyjaciółek wiedziała, kto jest dobrym i solidnym materiałem na męża.

Jej rozmyślania przerwał dzwonek telefonu. Pobieгла na korytarz, pewna, że to kolejny telefon nie do niej.

Po chwili Daisy wróciła na werandę.

To był Egbert, to znaczy pan Blalock - powiedziała.

Mówił, że dziś rano zjawił się mężczyzna, który twierdzi, że jest krewnym pana Snowa.

Harveya? Myślałam, że on nie miał rodziny - odparła Marta.

Też tak sądziłam. Na pewno nie miał nikogo bli-

skiego. Ale Egbert, to znaczy pan Blalock, przejrzał po pogrzebie dokumenty i twierdzi, że nie można tego wykluczyć. Powiedział, że ten mężczyzna uparł się, żeby pojechać z nim na pogrzeb.

Nagle oczy Daisy rozszerzyły się z przerażenia. Proszę, nie, tylko nie ten kowboj! Jeśli to on jest tym człowiekiem, który podaje się za krewnego Harveya, to ona wynosi się stąd natychmiast. Znika.

Wiedziała, że nie jest teraz w stanie znieść obecności kogoś tak absorbującego jej uwagę. Nie, to nie może być on - przecież kowboj wcale nie przypomina Harveya.

Po bezsennej nocy i długim wyczerpującym dniu czuła się jak cień samej siebie.

Oczywiście to bez znaczenia, powtarzała sobie w duchu, biegnąc do łazienki, żeby trochę się ogarnąć.

ROZDZIAŁ TRZECI

Kell Magee zbliżał się do domu, w którym - był o tym przekonany - jego ojciec spędził pierwsze szesnaście lat życia. On sam w ciągu trzydziestu dziewięciu lat nauczył się, że należy być realistą. Starał się to przekazać swoim dzieciakom. Ale one zwykle wolały rozmawiać o jego krótkiej karierze miotacza. Większość z nich na początku pytała o to, ile zarobił pieniędzy. Miał na to gotową odpowiedź: „Nie tyle, co Greg Maddux czy Randy Johnson, ale dużo więcej, niż się kiedykolwiek spodziewałem.”

Kiedy Kell wjechał na otoczony olbrzymimi drzewami hikory podjazd, było późne popołudnie. Wreszcie wypatrzył miejsce do zaparkowania, z dala od zwieszających się nisko gałęzi.

Raz jeszcze sprawdził adres. Był zdumiony. Przed jego oczami roztaczał się widok na dom, który wyglądał jak porzucony w ulewnym deszczu tort weselny. Na wszelki wypadek wysiadł ze swojego porsche i podszedł do skrzynki na listy, żeby upewnić się, że trafił pod właściwy adres.

H. Snow. Małe literki zaczynały już odpadać.

To wtedy, gdy odwrócił się w stronę dwupiętrowego domu z dwuspadowym dachem, witrażowymi oknami i ledwo umocowaną rynną, zobaczył stojącą na progu kobietę. Choć słońce świeciło mu prosto w oczy, rozpoznał w niej tę samą osobę, którą widział tego ranka na cmentarzu. Jej sylwetka wyglądała znajomo, choć teraz nie była już przemoczona ani nie miała na sobie płaszcz przeciwdeszczowego.

-Dzień dobry - powiedział, gdy znalazł się już dostatecznie blisko. - Odjechała pani tak szybko, że Blalock nie zdążył nas sobie przedstawić. Ale pewnie już panią uprzedził, że się tu zjawię. - Sposób, w jaki go przyjęła, stojąc z założonymi na piersi rękami, nie był zbyt zachęcający. - Zapewne to pani jest panią Hunter. Pielęgniarką, prawda?

-Czy mogę zobaczyć pańskie dokumenty?

Kell stanął jak wryty u stóp schodów.

Oczywiście. - Dziś rano zostawił większość kopii dokumentów u Blalocka. Ale oryginały miał jak zwykle przy sobie. Dlaczego ten facet nie uprzedził jej, że przyjedzie obejrzyć dom?

Nazywam się Kelland Magee - odparł, sięgając do kieszeni. - Przypuszczam, że pan Blalock z banku powiedział pani, że obaj jesteśmy całkiem pewni, że Harvey Snow był moim wujem?

Kell nie miał już teraz co do tego żadnych wątpliwo-

ści, choć Blalock nalegał, żeby się jeszcze wstrzymać do czasu przeprowadzenia szczegółowych badań.

Postanowił w tej sytuacji przyjąć wobec nieznanym przyjacielką i uspokajającą postawę, niepozabawioną jednak nuty władczosci.

-Czy powiedzial pani, ze moja babcia ze strony taty po smierci pierwszego meza poslubila czlowieka o nazwisku Snow, ktory pochodził wlasnie z tych stron? Gdy znalazł się na werandzie, podał jej prawo jazdy i legitymację ubezpieczeniową. Ta kobieta przyprawiała go o zawrót głowy, choć jak dotąd nie kiwnęła nawet palcem, po prostu stała w miejscu nieruchoma jak posąg. Kiedy była zajęta sprawdzaniem jego dokumentów, udał, że przygląda się z zaciekawieniem trawnikowi. W istocie w jego szerokim polu widzenia znalazły się również pasemka jej jasnych włosów, a także para stalowoszarych oczu, z których emanowało tyle ciepła, co z maszynki do robienia lodów. Oceniał jej wiek na jakieś trzydzieści do trzydziestu pięciu lat. Ładne usta. Gdyby rozluźniła się na tyle, żeby pojawił się na nich uśmiech, zapewne byłby tej samej klasy, co jej nogi.

Czekał, aż zaprosi go do środka. Wreszcie spojrzęła na niego, przesywając go zimnym wzrokiem.

Co pan Blalock panu powiedzial?

O czym? - Próbował przypomnieć sobie wszystko, czego się dowiedział podczas dwu spotkań z urzędnikiem.

O panu Snow. Mnie poinformował, że być może jest pan jego krewnym. Skąd mam wiedzieć, że nie jest pan jakimś agentem od nieruchomości albo kimś w tym rodzaju?

Mam przyjść kiedy indziej?

Nadal stała czujnie przy drzwiach. Oddała mu dokumenty i znów skrzyżowała ręce na piersi. I nagle, bez żadnego widocznego powodu, poddała się.

-No dobrze. Może pan wejść. Ale ostrzegam, jeśli będzie pan próbował coś mi sprzedać albo coś ode mnie kupić, to wyleci pan za drzwi. Czy to jasne?

A niech to. Innymi słowy możesz sobie popatrzeć, ale niczego nie dotykaj.

-Tak, proszę pani.

Kell wszedł za nią do środka. Nie mógł powstrzymać zdziwienia. Wystarczył rzut oka, żeby dostrzec, że dom jest pełen przedmiotów, z których każdy mógłby stanowić ozdobę jakiegoś muzeum. W swojej gwiazdorskiej, choć cokolwiek krótkiej karierze starszego miotacza w ligowej drużynie baseballu, miał okazję mieszkać w luksusowych hotelach. Zadawał się z ludźmi, których stać było na przepuszczanie pieniędzy. Zresztą on sam przez pewien czas przepuszczał swoje dochody. Do czasu aż zmadrał i zaczął przeznaczać je na bardziej sensowne cele.

Ale to było coś zupełnie innego. Te przedmioty były autentyczne. Przekazywane z pokolenia na pokolenie,

a nie kupione przez dekoratorów wnętrz, którym zapłacono za to, by wypełnili czymś pustą przestrzeń. Kiedyś, jeszcze w Houston, gdy miał już dość apartamentu, który wyglądał tak, jakby nie został jeszcze do końca urządzony, wynajął coś specjalnego. Kosztowało go to trzy miesiące poszukiwań i mnóstwo pieniędzy. Ale w końcu otoczony był chromowanymi meblami, czarnym marmurem, taflami z grubego szkła i białą skórą.

Czy pan wchodzi, czy też zamierza tu stać przez cały dzień?

Tak, proszę pani. Już idę za panią. - Jeśli z tyłu wyglądała równie dobrze, jak z przodu, był gotów podążyć za nią tymi wielkimi schodami do najbliższej sypialni. Jedyne problemy w tym, że jej najwyraźniej nic takiego nie chodziło po głowie.

Zresztą, upomniał się surowo, on również nie miał takich zamiarów. Przynajmniej nie do chwili, gdy zobaczył ją z bliska. To zabawne, jakie reakcje wywołują niektóre kobiety.

Była teraz ubrana w szorty koloru khaki i niebieski sprany podkoszulek. Co prawda nie był to strój żałobny, ale również nie była to żadna wystrzałowa kreacja. A jeśli chodzi o jej oczy. .

Kell nigdy nie miał słabości do szarych oczu. Zresztą wiele spośród jego znajomych nosiło barwione szkła kontaktowe, więc rzadko miał okazję oglądać naturalny kolor oczu. Teraz jednak uznał, że szary jest właściwie

całkiem ładny. Uspokajający. Mógłby nawet określić go jako romantyczny.

Minęła kręcone schody i zaprowadziła go do wysokiej kuchni, w której starsza kobieta w obcisłych białych szortach pakowała do kartonu naczynia. Kobieta wycełowała w jego stronę imbryk do herbaty i oznajmiła:

Skądś pana znam! Jak się pan nazywa?

Twierdzi, że nazywa się Kelland Magee – wyjaśniła blondynka, jakby w ogóle nie wzięła wcześniej do ręki jego dokumentów. - I że pan Snow był jego wujem.

Powiedziałem, że prawdopodobnie nim był - sprostował Kell. - Jestem pewny, że mężczyzna o nazwisku Harvey Snow był przyrodnim młodszym bratem mojego ojca. Za późno dotarłem dziś do sądu. Żeby mieć całkowitą pewność, musimy jeszcze sprawdzić dokumenty. A dziś niestety jest piątek. Może w okolicy mieszka jeszcze jakiś inny Harvey Snow. Ale to raczej mało prawdopodobne. Daisy wzięła głęboki oddech. Ze wszystkich sił starała się zachowywać tak, jakby zamiast byle jakich ciuchów miała na sobie wyprasowany pielęgniarski uniform. Nie dość, że za pierwszym razem kiedy ją zobaczył, musiała wyglądać jak czarownica, to na dodatek teraz było jeszcze gorzej. Miała za mało czasu, żeby zrobić coś z włosami. Były niesforne, więc ich układanie zawsze wymagało czasu. Musiała je suszyć powoli i zakręcać na szczotkę. W przeciwnym razie przypominały porzucone gniazdo wiewiórek.

Nie miała pojęcia, dlaczego w ogóle tym się przejmuje. To miało jakiś związek z jego głosem i twarzą. Nie wspominając już o sylwetce.

Proszę pani?

Tak, nie ma sprawy. Proszę się rozejrzeć. - Nie mogła mu odmówić. Gdyby sama miała możliwość dowiedzieć się czegoś o własnych przodkach, natychmiast by to zrobiła. Musiała uwierzyć mu na słowo. - To jest Faylene Beasley - dodała, wskazując na gospodynię. - Jest późno, a my mamy sporo pracy, ale mogę poświęcić chwilę i pokazać panu dom. - Starła się, żeby zabrzmiało to uprzejmie, ale efekt był daleki od zamierzonego.

Pani Beasley spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

Magee? Brzmi znajomo. Założę się, że grałeś w koszykówkę. - Faylene mówiła z charakterystycznym południowym akcentem.

Nie. To musiał być jakiś inny Magee - odparł Kell, po czym ruszył za oddalającą się pielęgniarzką.

Miał wrażenie, że jej cierpliwość wkrótce się skończy. Wcześniej zamierzał wyciągnąć z niej jak najwięcej informacji lub, jeśli to się nie uda, przynajmniej napatrzeć się na nią do woli.

O co chodziło Faylene?

Faylene?

Gospodyni, którą przed chwilą poznałeś. Powiedziała, że cię zna.

Ładna mi gospodyni. W takim stroju raczej przypominała króliczka a la „Playboy” z piekła rodem.

-Nie wiem. Zdaje się, że mam taką pospolitą twarz. Nie masz pojęcia, ile osób uważa, że skądś mnie zna. Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

Kell zastanawiał się, czy powinien jej opowiedzieć o swoich piętnastu minutach sławy. Trwało to przez pięć sezonów, z czego przez trzy jeździł na decydujące mecze. Obawiał się, że zabrzmiał tak, jakby się przechwalał. Miał wrażenie, że na tej damie nie zrobi to żadnego wrażenia.

Mimochodem zaczął zastanawiać się, co zrobiłoby na niej wrażenie.

Daisy postanowiła, że pobieżnie pokaże mu dom i jak najszybciej się go pozbędzie. Otwierała kolejno wszystkie pokoje na drugim piętrze. Dawała mu chwilę, żeby się rozejrzał, i biegła do następnych drzwi. Byłoby dużo lepiej, gdyby nieznajomy nie wyglądał tak atrakcyjnie z bliska. Uruchamiał alarm w tych częściach jej ciała, które od lat trwały w błogim uśpieniu.

-Wszystkie są mniej więcej tak samo umeblowane - oznajmiła, starając się, żeby jej głos brzmiał bezosobowo.

Otworzyła drzwi na końcu korytarza, zajrzała do środka i zamierzała już je zamknąć - jak na dziś miała już na prawdę dość - lecz mężczyzna wszedł do pokoju, nie miał się o nią ocierając. Owiał ją zapach jego skórzanej kurtki, wody po goleniu i zdrowej męskiej skóry. Żało-

wała, że nie wzięła prysznic i nie przebrała się w coś świeższego.

Mały pokój rozświetlało jedynie wpadające przez mansardowe okno światło.

-Nie ma tu nic ciekawego, więc jeśli pozwolisz...? - powiedziała.

Zamiast się cofnąć, wszedł do pokoju.

-Moja mama miała coś takiego w Oklahomie! - wykrzyknął.

Chodziło o starą maszynę do szycia. Daisy poddała się i weszła również do środka. Im szybciej zaspokoi swoją ciekawość, tym szybciej sobie pójdzie.

Zapewne mama pana Snow urządziła tu szwalnię. Zdaje się, że od tamtej pory pokój nie był używany. Najwyżej przechowywano tu jakieś rzeczy. - Czy maszyny do szycia to rzeczy osobiste czy meble? Będzie musiała o to spytać Egberta. - Możemy już iść?

A co jest w tych pudłach?

Pewnie jakieś tkaniny. Może dawno zapomniane ubrania czy pościel do cerowania. - A niech to. Ona też zapomniała o tych pudłach. Nagle, zapewne z powodu wy-czerpania i stresu, ogarnęło ją wzruszenie. Wyobraziła sobie stosy ubrań: koszulek i małych ogrodniczek, przygotowane do cerowania i łatania.

Próbowała stłumić szloch, ale nic to nie dało. Kiedy rozplakała się na dobre, on już był przy niej.

-Daisy?

O Boże, co za wstyd!

-Proszę zejść na dół. Ja... ja zaraz...

Położył dłonie na jej plecach i wziął ją w ramiona. Pokręciła głową. Nie chciała tego, wcale tego nie chciała. A jednak było jej to potrzebne. Jak długo można powstrzymywać łzy?

-To alergia - wyszeptwała, on zaś pomrukiwał uspokajająco.

Choć miała zapchany nos, czuła ten zapach - skórzany, leśny, niezwykle męski. Wmawiała sobie, że wszystko przez alergię. Miała alergię, owszem, na swojego byłego narzeczonego. Jerry, typowy egocentryk, każdego dnia spędzał więcej czasu na zabiegach pielęgnacyjnych niż ona w ciągu całego życia, i obficie spryskiwał się wodą kolońską.

Magee w niczym go nie przypominał.

Kell pomrukiwał uspokajającym, ciepłym głosem, głaszcząc ją po plecach. Niewiele to jednak pomagało. Wzięła głęboki oddech, żeby się uspokoić, ale nie odsunęła się od niego. Jeszcze tylko kilka sekund, obiecała sobie.

Byłoby lepiej, gdyby wcześniej zamknął oczy. Od samego rana wyglądała fatalnie, a teraz doszły do tego zaczerwienione oczy i mokry nos. Jej włosy musiały już zapewne wyglądać tak, jakby właśnie przegrała walkę z wentylatorem.

-Już lepiej? - spytał miękko. Trzymał ją w ramionach

w taki sposób, że nie mogła nie czuć wszystkich jakże interesujących kształtów jego ciała. - Tu jest chłodno, a ty jesteś lekko ubrana. Zejdźmy na dół. Może ta gospodyni zaparzy nam kawy, co ty na to? Daisy z ulgą przyjęła propozycję.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy zeszli na dół, usłyszeli nagle jakiś dziwny odgłos, jakby coś uderzyło o ścianę domu.

-Och, nie. To pewnie ptak. Zobaczę, czy nic mu się nie stało. Czasem w oknach odbijają się promienie słoneczne i...

Kiedy wybiegła na ganek, znów rozległ się ten sam dźwięk.

Na górze - powiedział Kell.

Na zewnątrz - odparła.

To może być gałąź - powiedział cicho. - Wiatr się wzmógł.

Świetnie. To znaczy, że znów trzeba będzie grabić ogród.

W milczącym porozumieniu wybiegli na zewnątrz i zaczęli szukać wśród orzechów hikory, szyszek sosnowych i połamanych gałęzi zaścielających zaniedbany trawnik, ogłuszonego ptaka.

-A może to była rynna? - Kell przypomniał sobie, że kiedy wjechał na teren posiadłości, zauważył niebezpiecznie kołyszącą się rynnę.

Rynny - powtórzyła. - Bingo. Mówiłam Egbertowi, że wymagają naprawy, ale twierdził, że można z tym poczekać, aż dom znajdzie się w innych rękach.

A kiedy to nastąpi?

Za jakieś sześć miesięcy. Nie jestem pewna. Egbert musi poczekać, czy nie zjawią się jacyś wierzyciele albo ktoś inny...

...nie wystąpi z roszczeniem. Nie martw się. Ja nie mam takiego zamiaru. - Spojrzała na niego ze sceptycyzmem.

- To miejsce wymaga sporych inwestycji, prawda?

Obdarzyła go przelotnym uśmiechem. Miała nadal czerwony nos, ale nie miało to znaczenia. To zabawne, pomyślał, zwykle podobały mu się kobiety, które w każdej sytuacji dbały o to, żeby wyglądać atrakcyjnie. Ona była ich całkowitym przeciwieństwem.

-Jeśli oberwał się kawałek rynny, mogę spróbować to naprawić. - Doskonale zdawał sobie sprawę, że ona go tutaj nie chce. Problem był w tym, że im bardziej ona chciała żeby wyjechał, tym bardziej miał ochotę zostać.

- Pozwolisz, żebym się tym zajął?

Uniósł wzrok na kołyszącą się rynnę. Da sobie radę. W końcu to męska robota. Nieświadomie naprężył mięśnie. Gdzie jest drabina? - spytał. - Przyniosę ją.

Z tyłu domu w szopie. Zawieszona na zewnętrznej ścianie. Przynajmniej tam ją ostatnio widziałam, ale to

było przed huraganem. Mogło ją wywiać nawet do sąsiedniego stanu.

-Nie ma sprawy. Po drodze widziałem magazyn z narzędziami.

Nie będziesz kupować drabiny - oznajmiła stanowczo, jakby podejrzewała go o jakieś nieczne zamiary. Ostra dziewczyna. - No proszę, jest. Weź ją z jednej strony, a ja z drugiej.

Będzie łatwiej, jeśli zarzucę ją na plecy. - Podejrzał, że zacznie się spierać, ale Daisy odmaszerowała w stronę domu. W uniformie pielęgniarki mogła wyglądać jak lwica, ale w szortach, podkoszulku i sportowych butach wyglądała...

No cóż, określenie „lwica” zupełnie tu nie pasowało.

Kiedy znaleźli się na miejscu, wyjął ze skrzynki odpowiednie narzędzia, wcisnął je za pasek, po czym wziął głęboki oddech i zaczął się wspinać.

Gdy znalazł się już prawie na samej górze, przypiął się klamrą i sprawdził, czy drabina stoi jak trzeba.

-Lepiej uważaj tam w górze - upomniała go.

Kell wiedział, że najważniejsze to nie patrzeć w dół.

Prawdę mówiąc, nie czuł się najlepiej na dużych wysokościach. Wzgórek na boisku do baseballa, z którego rzucał piłką jako miotacz, znajdował się akurat na takiej wysokości, jaką tolerował. Chyba że leciał samolotem, najlepiej przestronną pierwszą klasą ze szklaneczką słodowej whisky w dłoni, żeby uspokoić nerwy.

Kiedy wyciągnął rękę, żeby sięgnąć śrubokrętem do jedynej śruby utrzymującej obluzowany fragment rynny, Daisy na wszelki wypadek złapała obydwoma rękoma drabinę. Zawołał, żeby ją ostrzec, ale było już za późno. Śruba puściła i cały odcinek miedzianej rynny spadł na ziemię.

-Aj!

Odwrócił się, żeby zobaczyć, co się stało. Drabina się zachwiała, Kell krzyknął i poleciał w bok. Spadł tuż obok niej na grząską ziemię. Daisy posepnie przyglądała się swojej otartej przez spadający kawałek rynny nodze. Zadrapanie miało długość dwudziestu pięciu centymetrów. Kell rozmasował plecy i odsunął stertę hikorowych orzechów, na której wylądował upadając. Cały trawnik był nimi usłany.

Nic ci nie jest? - spytał.

Co ty wyprawiasz? Chciałeś mi amputować nogę, czy co?

Ostrzegalem, żebyś się odsunęła.

-Krzyknąłeś, jak ta cholerna rynna już leciała w dół.

Podniósł się i rozprostował nogi, upewniając się, że żadna z nich nie jest złamana, po czym podał jej rękę.

-Przepraszam, źle to wyliczyłem. Naprawa rynien to niezupełnie moja specjalność.

Nie przyjęła podanej dłoni. Wstała i jeszcze raz przyrzekała się skaleczonej nodze.

-Lepiej czymś to przemyję. Czy nic sobie nie złamałeś spadając?

Nie spadłem, tylko zeskoczyłem. - Poszedł za nią do domu.

Zeskoczyłeś? A to dopiero! To niezłe miałeś lądowanie.

Mam nadzieję, że nie stłukłeś sobie niczego cennego?

A skąd możesz wiedzieć? Musiał przyznać, że dziewczyna miała jednak poczucie humoru. Bardzo to cenił. I słusznie uważał, że ma ładne usta. Bez odrobiny szminki jej uśmiech był w stanie stopić najtwardszy lód.

Kell zapytał, czy jest szczepiona przeciw tężcowi. Skarciła go wzrokiem.

Przecież jestem pielęgniarką. A ty kim jesteś?

Teraz zgłodniałym i zmęczonym człowiekiem. To był długi dzień. - Wolał nie opowiadać jej historii swojego życia. To mogło tylko wszystko skomplikować. Albo wyszłoby na to, że jest nieudacznikiem, albo fanfaronem, a w rzeczywistości nie był ani jednym, ani drugim.

Gdzie się zatrzymałeś? - Daisy dezynfekowała właśnie ranę.

Ostatnią noc spędziłem w motelu przy autostradzie.

Właściciel jest chyba sadystą. Może ty mogłabyś polecić mi coś lepszego, najlepiej z przyzwoitą restauracją w sąsiedztwie?

W mieście był jeden motel, ale od czasu huraganu jest zamknięty. Mają jakiś problem z grzybem.

A restauracje? Większość też jest zamknięta. Czy wy tutaj nie jadacie?

Większość ludzi po prostu tu mieszka, niepotrzebne

im restauracje. Jest kilka dobrych w Elizabeth City. Są tam również motele. To tylko trzydzieści, może trzydzieści parę kilometrów od Muddy Landing.

Tak wiem. Zapoznałem się z mapą okolic.

Aha. - Spojrzała na niego, ale zaraz odwróciła wzrok, jakby się zawstydzila, że jest głodny i bezdomny, gdy za oknem zapada już mrok.

Kell ze wszystkich sił starał się wyglądać na głodnego i bezdomnego, aż wreszcie się złamała.

-Och, na litość boską, jeśli masz ochotę, możesz tu chyba przenocować. Miejsca jest dość.

Kiedy weszła Faylene, ledwo zdołał ukryć radość z odniesionego zwycięstwa.

Tak, na górze jest mnóstwo pustych pokoi. Żaden nie jest przygotowany, ale znajdę chyba jakąś pościel. Daisy, idę na bingo na siódmą, a wcześniej muszę wpaść do domu, żeby się przebrać. Więc, jeśli pan zostaje, to przygotuję ten narożny pokój. - Obrzuciła go taksującym spojrzeniem. - Tam stoi to wielkie łóżko. Chyba będzie pasować. Dziękuję. Naprawdę bardzo to doceniam - szybko odparł Kell w obawie, że propozycja zostanie zaraz wycofana. - Zamierzałem już kupić namiot i materac, żeby móc się przyzwycieć wyspać.

Daisy wiedziała, że postąpiła impulsywnie. Niesamowite, jak reagowała na niego. Zupełnie traciła głowę.

-Choć przypuszczam, że powinnam wcześniej spytać Egberta - powiedziała cicho.

-Blalocka? Świetny pomysł. Może już sprawdził moje dokumenty? Czy pozwolisz, że naleję sobie szklanę wody?

Najdziwniejsze było to, że doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że jest manipulowana. Nie miała tylko pojęcia, w jaki sposób on to robi. Jak taki mężczyzna może wzbudzić współczucie, pytając o motele?

Słucham? - uświadomiła sobie, że coś do niej mówił.

Czy pozwolisz, że zaproszę cię na kolację? To znaczy w zamian za miejsce do spania. Jeśli jesteś zbyt zmęczona, żeby wyjść, możemy zamówić coś do domu. Jeśli to możliwe. Albo pojedę i wezmę coś na wynos.

Daisy opadła na krzesło, sycząc z bólu. Skaleczenie zaczęło dawać się we znaki?

Mówiłam ci już, że od czasu huraganu wszystko jest tu pozamykane. Włącznie z barami, w których można kupić coś na wynos.

Nic nie szkodzi. Nie jestem aż tak głodny. Wystarczy łóżko, z którego nie będę spadać. To naprawdę był długi dzień.

A niech go. Skoro potrafi być aż tak miły...

-Jeśli lubisz kurczaki, to jeden właśnie marynuje się w maślanec. Trzeba go dziś zjeść. Robisz dobre sałatki?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kell był niezrównany w robieniu sałatek, zwłaszcza jeśli miał do dyspozycji jarzyny z torebki, a pozostałe składniki stały przygotowane w równym rzędku. Sumiennie zabrał się do krojenia słodkich cebulek i papryczek.

Faylene zajrzała do kuchni, żeby poinformować, że pokój jest już gotów, a także żeby się pożegnać.

Naprawdę gdzieś już pana widziałam. Jeżeli Daisy zamierza smażyć kurczaka, to proszę dopilnować, żeby użyła smalcu z bekonu. Inaczej weźmie ten mdły olej. To świństwo wcale nie ma smaku.

To olej rzepakowy. A ty lepiej się pospiesz, bo spóźnisz się na bingo - powiedziała Daisy z uśmiechem. Obie panie mogły mieć różne poglądy na temat kuchni, ale widać było, że się lubią.

Kiedy Daisy nachyliła się, żeby wyjąć coś z dolnej szafki, zerknął na jej uda, które widział teraz w całej okazałości. Były opalone równo do połowy: Większość znanych mu kobiet miała jednolitą opaleniznę.

Upomniał się w duchu, że sprawa opalenizny Daisy naprawdę go nie dotyczy. Przynajmniej nie nosiła raj-

stop do szortów, jak ta druga. Gospodyni naprawdę była dziwną postacią.

Daisy zorientowała się, że Kell gapi się na jej nogi. Zakłopotany zaczął rozpaczliwie ratować się z opresji:

-Nogi, to znaczy konary. Tyle tu konarów. To znaczy drzew. Pewnie wuj Harvey w dzieciństwie lubił się na nie wspinać?

Daisy nie odpowiedziała. Wrzuciła kolejne udko na rozgrzaną patelnię, odskakując natychmiast, żeby się nie poparzyć.,

Uważaj - ostrzegł. - To niebezpieczne. Znam gościa, któremu kropla rozgrzanego oleju wpadła do oka.

Rety! Zapomniałam nałożyć gogle - powiedziała z sarkazmem.

Blalock mówił, że jesteś tu od ponad roku. Czy wuj Harvey opowiadał ci o swoim dzieciństwie? Starsi ludzie lubią o tym mówić.

Do licha, nie miał najmniejszego pojęcia, o czym lubią rozmawiać staruszkowie. Jego koledzy z drużyny lubili rozmawiać o samochodach, golfie i kobietach. A dzieciaki, z którymi teraz pracował, z reguły paplały o tym, kim chciałyby zostać. Rozpiętość ich pomysłów była ogromna, począwszy od zaciągnięcia się do piechoty morskiej po skonstruowanie największego w historii samolotu.

To mu przypomniało, po co tu przyjechał. Jakoś nie potrafił sobie wyobrazić swojego ojca w tym domu. Ale jego wspomnienia o rodzicach były dość mgliste. Wszystko

splonęło w pożarze: trofea jego mamy, a także wystrugane przez tatę ptaki o długich nogach i dziobach, które stały w serwantce obok malowanych w kwiaty talerzy i filiżanek.

Twój wuj, to znaczy pan Snow, był raczej fizycznie niezdolny do wspinania się na drzewa. Urodził się z reumatoidalnym zapaleniem stawów. Skończyłeś sałatkę? Chcesz powiedzieć, że był... - Kell odezwał się dopiero po chwili.

Był wspaniałym człowiekiem, który nie mógł się wspinać na drzewa. A sądząc po tym, jak sobie radziłeś dzisiaj z drabiną, ty chyba również nie jesteś w tym najlepszy. To co? Zrobiłeś tę sałatkę?

Jest już na stole. - Jeśli chciał spędzić tu więcej czasu, powinien staranniej dobierać tematy rozmowy. Niektóre lepiej na przyszłość omijać. - Mój tata często opowiadał o polowaniu na niedźwiedzie na bagnach Dismal Swamp. Wtedy nie wiedziałem nawet, gdzie to jest. Czy wuj Harvey kiedyś wspominał o polowaniu? Tego raczej nie robi się w pojedynkę.

Nie miał pojęcia, czy można samemu polować na niedźwiedzie. Może tak, jeśli mężczyzna musi nakarmić rodzinę.

Ale ci, którzy mieszkali w tak okazałym domu, z pewnością nie musieli martwić się o to, co włożyć do garnka. - Ostrożnie! - zawołał, widząc, że Daisy odskakuje znów od patelni i łapie się za rękę.

-A nie mówiłem? - powiedział, odsuwając ją od strefy zagrożenia. - No, pokaż, coś ty sobie zrobiła.

-Nic mi nie jest - odparła, wywijając mu się z ramion.

Zajrzał jej przez ramię, żeby zobaczyć oparzenie.

Ojej. Będzie bąbel. - Zaprowadził ją do zlewu i wsunął oparzoną rękę pod strumień wody.

Masz jakiś środek na oparzenia?

Jej karcący wzrok natychmiast sprowadził go na właściwe miejsce: gościa, korzystającego z wyjątkowej uprzejmości Daisy. Kosmyki jej włosów muskały jego policzek. Gwałtownie wciągnął powietrze i zaraz zaczął się zastanawiać, jak to możliwe, żeby mieszanka zapachu róż i bekonu nasunęła mu na myśl gorące noce i spletaną pościel.

-Popilnuj kurczaka, dobrze? Zaraz wrócę. - Wyślizgnęła się z jego ramion, wręczyła mu widelec i ruszyła do drzwi.

Kell wpatrywał się w nią jak zaczarowany. Poruszała się z wdziękiem. Naprawdę miło było na nią patrzeć, a jeszcze milej trzymać ją w ramionach. Jeśli tak reaguje zaledwie po kilku godzinach spędzonych w jej towarzystwie, to co będzie później! Rozsądny mężczyzna zwałby natychmiast gdzie pieprz rośnie.

Poszukał w szufladach specjalnego widelca na długiej ręczce. Skoro o rozsądku mowa, to każda kobieta, która miała go wystarczająco dużo, by zostać pielęgniarką, powinna wiedzieć, że do każdej pracy należy użyć właściwego narzędzia.

Kiedy wróciła, kurczak był już upieczony. Odsunęła Kella na bok i osuszyła każdy kawałek na papierze. Kell oparł się o lodówkę i uważnie ją obserwował. Zaplotła włosy w warkocz, z którego już wystawały pojedyncze kosmyki. Co za nieposłuszne włosy. Ciekawe, co jeszcze w tej dziewczynie nie daje się ujarzmić?

Miała wilgotną twarz. Najwyraźniej spryskała ją wodą, ale nie zadała sobie trudu, żeby zrobić cokolwiek ponad to. Może nie należała do najpiękniejszych kobiet świata, ale było w niej coś, co wywierało niezwykle wrażenie. Jak jasne światło na końcu ciemnego tunelu.

Rozsądny mężczyzna powinien wiedzieć jeszcze jedną rzecz: w takiej sytuacji należy zniknąć albo przygotować się na stawienie czoła konsekwencjom.

-Przypuszczam, że musisz zabrać swoje rzeczy z tego motelu, w którym spędziłeś ostatnią noc? – spytała Daisy, gdy zasiedli do stołu.

Kell ugryzł kawałek kurczaka. O rany! Na dodatek ta kobieta świetnie gotuje.

-Już to zrobiłem. Zamierzałem znaleźć jakieś miejsce z większym łóżkiem i wygodniejszymi poduszkami. -

I może jeszcze blondynkę o szarych oczach, z którą mógł bym je dzielić, dodał w duchu.

Spojrzała na niego tak, jakby czytała w jego myślach.

Poczuł, że się czerwieni.

-To ile tu jest pokoi? - spytał raptownie. - W końcu nie oprowadziłaś mnie po całym domu.

Tyle, co zazwyczaj - odparła, skrapiając sałatę sosem winegret.

Ach, aż tyle? - Trudno. Spróbuj jeszcze raz. I tak odkrył, że bardziej interesuje go jej reakcja na pytania niż same odpowiedzi. W końcu dom to dom. Każdy wie, jak wygląda.

Ta kobieta natomiast była pełna zagadek.

Czy werandy liczą się jako pokoje? - spytał, zastanawiając się czy sięgnąć po kolejne udko.

Można je tak traktować. Na dole jest pięć pokoi, nie licząc werand, kuchnia i pokoje dla służby. I jedna mała sypialnia z niewielką łazienką.

Dlaczego werandy liczysz oddzielnie? - Czy pod tą nic nie znaczącą wymianą zdań kryła się jakaś inna rozmowa, czy tylko wyobraźnia podpowiadała mu takie nedorzeczności?

Możesz je policzyć jako pokoje, to bez znaczenia.

-Nałożyła sobie kolejną porcję kurczaka. On również. Podobały mu się kobiety z apetytem. To skłaniało do rozważań, czy w innych dziedzinach były równie łakome.

Ledwo skończyli, Daisy wstała i zaczęła zbierać naczynia.

-Pozwól, że ja to zrobię. Nie powinnaś moczyć tej ręki. - Bez zastanowienia przyjął ten ciepły, słodki tembr głosu, który zawsze działał na atrakcyjne, wolne kobiety. Używał go do czasu, gdy stał się na tyle sławny, że nie musiał stosować żadnych specjalnych taktyk.

Ze zdziwieniem stwierdził, że dawne dobre czasy nie wydają mu się już tak wspaniałe jak niegdyś.

Pytałeś o polowania. Zdaje się, że kilka lat temu wisiała w bibliotece wielka wypchana głowa niedźwiedzia.

I co się z nią stało? - Wylał trochę płynu do mycia naczyń na talerz, przetarł go gąbką, po czym wsunął pod strumień gorącej wody, ochlapując sobie koszulkę.

Skrzywiła usta, powstrzymując śmiech.

Z głową niedźwiedzia? Nigdy jej nie widziałam, ale na północnej ścianie na pewno wisiało coś dużego. Jest tam taka jaśniejsza plama. Faylene, która pracuje tu od wielu lat, chyba kiedyś wspominała, że trzeba było zdjąć głowę niedźwiedzia, bo załęgły się w niej parchy. Pewnie to były pchły.

Jeśli wuj Harvey nie polował, to może ustrzelił go mój tata. Zdaje się, że wyjechał stąd w wieku szesnastu lat. Mógł już polować. - Kell wycierał ostatni ciężki srebrny widelec z wygrawerowaną literą „S”. - Byłoby milej, gdyby to było „M”, ale pewnie nie można mieć zbyt wygórowanych oczekiwań.

Daisy znów zrobiło się go żal. Skoro Kell chciał dowiedzieć się czegoś o swojej rodzinie, to nie miała prawa mu tego zabraniać. W końcu to bardzo rozsądne wie-dzieć, jakie się ma geny. Ona, co prawda, nie paliła się za bardzo, żeby poznać kobietę, która trzydzieści sześć lat temu wydała ją na świat. Kobietę, która opiekowała się nią przez pierwsze trzy lata jej życia, po czym porzu-ciła

w damskiej toalecie w centrum handlowym z karteczką przyczepioną do zimowego kombinezonu, na której napisała: „Ma na imię Daisy. Nie mogę jej zatrzymać.” Wkrótce została adoptowana, ale tym razem również nie miała szczęścia.

Jak się teraz czujesz? Czy ręka bardzo boli? A noga? Jest spuchnięta? - Kell znów przyjął ten aksamitny, słodki jak miód tembr głosu, którym już wcześniej ją czarował. Czuję się świetnie - odparła z udawanym ożywieniem. - Dziękuję. - Jak to możliwe, że w ciągu jednego dnia przydarzyło jej się tyle drobnych katastrof? Chyba naprawdę jest przemęczona.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem. Kończył już wycierać naczynia. Miał ładne dłonie. Długie palce, zadbane paznokcie.

Ale Egbert pod tym względem również był bez zarzutu: miał jasne, delikatne dłonie i nienaganny manicure.

-Nie znam przepisów dotyczących polowań w tym stanie, ale jestem pewny, że mój tata, nawet jeśli był zbyt młody, żeby mieć zezwolenie, nie złamał żadnego przepisu. Był porządnym człowiekiem.

Podobnie jak ty, przyznała w duchu Daisy, zaskoczona, że nachodzą ją takie myśli.

Ile razy w życiu zmywałaś naczynia?

Dlaczego? Nie jesteś pod wrażeniem moich metod? - posłał jej uwodzicielski uśmiech, ona zaś wpatrywała się oczarowana w jego usta.

Nazywasz to metodą? Nalewanie płynu na każdy talerz z osobna, a potem splukiwanie ich pod strumieniem wody? Jeżeli robiłem coś nie tak, powinnaś mi powiedzieć. Nie powiedziałam, że robiłeś to nie tak jak trzeba, tylko inaczej.

Nie podoba ci się mój styl. To boli.

Wątpię - odparła cierpko.

Kłopot w tym, że podobał jej się za bardzo, zważywszy, że знаła go zaledwie od paru godzin. Popełniła błąd, zapraszając go tutaj. Ewidentnie zmęczenie psychiczne i fizyczne negatywnie wpływało na jej zdolność oceny sytuacji.

Trudno. Jutro coś wymyśli, żeby się go pozbyć.

Równocześnie sięgnęli do kontaktu, żeby zgasić światło.

Ich palce otarły się o siebie. Daisy cofnęła rękę.

Kell delikatnie oparł dłoń na jej ramieniu i wprowadził ją ze staroświeckiej kuchni.

Czy wuj Harvey łowił ryby? To chyba mógł robić, prawda?

Nie przypominam sobie. Uwielbiał książki. I zawsze marzył o nurkowaniu. Miał kilka książek na ten temat. Zresztą miał książki z różnych dziedzin. Jest ich mnóstwo. I wszystkie trzeba odkurzyć. - Znów paplała bez ładu i składu.

Ten pokój można chyba nazwać werandą, prawda? - Kell otworzył najbliższe drzwi. Daisy bezwiednie wbi-

ła wzrok w jego pośladki. Musiał się nieźle potłuc przy upadku. Może powinna zaproponować, że wmasuje mu maść w obolałe części? Oczywiście w ramach czysto zawodowych umiejętności.

-To jeden z dwu saloników. - Daisy zapaliła światło. Im szybciej obejrzy wszystko, co go interesuje, tym lepiej. Kell pokręcił głową na widok wnętrza salonu: sofy wyściełanej końskim włosiem, podobnych foteli, prostych krzeseł, bujaka, który wyglądał na bardzo niewygodny, i stolika na kółkach. Pokryty kurzem blat zajmowała wypchana sowa, fotoplastykon i wazon z wyblakłymi, osnutymi pajęczyną, suszonymi kwiatami.

Nie znam się na antykach, ale muszę powiedzieć, że te meble, nawet jeśli to rodzinne pamiątki, są straszne.

Spróbuj je przesunąć, żeby pod nimi odkurzyć - powiedziała Daisy cierpko. - Niestety jak dotąd nie wymyślono lepszego sposobu na sprzątanie pod czymś takim. Przez kilka minut krążyli po pustych pokojach. Kell starał się użyć umiejętności, jakie rozwinął w trakcie pracy z wrażliwą młodzieżą z rodzin patologicznych. Delikatnie wypytywał ją o to, jakiego rodzaju człowiekiem był jego wuj.

Czy twój tata nigdy nie mówił ci o specyficznej sytuacji Harveya?

O jego sytuacji? Mój tata nigdy nie wspominał nawet o swojej rodzinie. A jeśli nawet, to byłem za młody

i za głupi, żeby go wysłuchać. A potem było już za późno. Nie wiem, dlaczego wyjechał z domu. Może nie chciał być ciężarem. W końcu lekarstwa i opieka musiały sporo kosztować.

A może był zazdrosny o młodszego brata. Kto wie? Jaka szkoda, że przyjechał tak późno. Przejechał taką drogę i co zastał? Pogrzeb i dom pełen relikwii przeszłości.

- Chciałabym ci pomóc, ale jestem tu zaledwie od sierpnia zeszłego roku.

Daisy wzięła głęboki oddech. Zaczął się zastanawiać, czy chciała tym zwrócić uwagę na krągłe piersi rysujące się pod wyblakłym podkoszulkiem.

-Jeśli pozwolisz, położę się już spać. Poradzisz sobie, prawda? Twój pokój jest po lewej stronie tuż przy schodach. A łazienka na końcu korytarza.

Kell z trudem ukrył rozczarowanie. Miał tyle pytań. Nie ma mowy o tym, żeby wyjechał bez odpowiedzi.

Tylko nie próbuj przesuwać tych ciężkich mebli beze mnie - ostrzegł.

A jak twoje plecy? Nie bolą cię po upadku? - spytała Daisy.

Uniosła dłoń do ust, żeby ukryć ziewanie. Wtedy jej koszulka również się uniosła, ukazując oczom Kella fragment nagiego ciała.

-Chciałaś powiedzieć: po skoku. Nic mnie nie boli.

- Przelknął ślinę i odwrócił wzrok.

Jego ciało było w stanie najwyższego pogotowia. Lubił widok nagiego kobiecego ciała. Im bardziej nagie, tym lepiej.

I kto by pomyślał, że w odpowiednich warunkach umiar robi większe wrażenie niż całkowita nagość?

-Świetnie. Wobec tego, jeśli jutro znajdziesz czas, to nim stad wyjedziesz, możesz nam pomóc poprzesuwać cięższe meble. Większość nie była ruszana od tak dawna, że pewnie przykleiły się do parkietu.

Czy on mówił, że jutro wyjeżdża?

-Z przyjemnością - odparł.

To na pewno będzie przyjemność, nawet jeśli dostanie przepukliny, podnosząc tę monstrualną sofę. Może nie jest już zawodowym atletą, ale nigdy nie wyszedł całkiem z formy jak kilku jego kolegów, którzy zaraz po skończeniu kariery przestali trenować.

To niesłychane, pomyślał. Przecież nawet pewna seksowna pani meteorolog, której twarzy nie mógł sobie akurat przypomnieć, nie doprowadziła go do takiego stanu w takim tempie, pozwalając mu jedynie rzucić okiem na niewielki fragment swojego ciała.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

-Baseball! - wykrzyknęła Faylene następnego ranka, celując w niego wskazującym palcem. Tym razem miała na sobie szalik w kwiaty, różowy sweter, białe szorty i rajstopy. - Widziałam cię w telewizji! Kilka lat temu grałeś w drużynie z Houston - a może z Seattle? Mówiłam, mam pamięć do twarzy.

Daisy wychyliła się zza szafki, w której szukała kolejnej puszki z pastą do mebli.

Naprawdę? - spytała.

Przez kilka lat rzucałem piłką. - Kell wyglądał na zakłopotanego. - Co mam najpierw poprzesuwać? Meble w środkowym pokoju?

Faylene obwiązała szalikiem głowę.

Przepraszam za ten smród. Ale wczoraj pani Sasha zadzwoniła i powiedziała, żebyśmy do niej wpadła, bo ma coś na te moje zniszczone końcówki włosów. Świństwo strasznie śmierdzi, ale jeśli coś pomoże, to warto się przemęczyć. Czy ja już panu mówiłam, że syn mojej siostry też gra w baseball? Chłopak jest w tym niezły.

Ile ma lat?

-Czternaście. Jest mały, jak na swój wiek, ale szybko biega i naprawdę potrafi zamachnąć się kijem na piłkę. Gra po szkole na tym pustym terenie przy skrzyżowaniu obok supermarketu, gdyby chciał pan przyjść i popatrzeć.

To brzmiało obiecująco, ale krewni zwykle nie są zbyt obiektywni. Mimo to Kell obiecał, że wpadnie zobaczyć. I tak będzie musiał jeszcze raz zajrzeć do Blalocka.

Daisy znalazła wreszcie puszkę z pastą. Ruszyła przodem. Kell zastanawiał się, jak właściwie by sobie poradziły, gdyby się nie zjawił.

-Mam poprzesuwać meble na środek, czy tylko odsunąć je od ścian? - Jeśli wszystkie meble w domu należało poprzesuwać, to mógłby na tym zyskać kilka dni. A to, jak by wykorzystał ten czas, nadal pozostawało kwestią otwartą.

Choć właściwie wiedział, jak chciałby go wykorzystać. W którymkolwiek z łóżek tego domu, nie spiesząc się, powoli zgłębiać wszelkie sposoby, jakimi mężczyzna i kobieta mogą wzajemnie sprawić sobie przyjemność.

-Wystarczy jak je uniesiesz i postawisz na chodnikach. W holu rozległ się dzwonek telefonu.

A niech to - szepnęła Daisy. - To pewnie Egbert. Lepiej odbiorę.

Ten stolik może na to nie wygląda, ale waży chyba z tonę. Znasz kogoś, kto chciałby suszone kwiaty? Mogę prysnąć na nie farbą w sprayu, żeby je odświeżyć. Myślisz, że warto? - spytała Faylene.

Nie zaszkodzi. - Co mógł, do diabła, wiedzieć o suszonych kwiatach? Uniósł jeden z krańców sofa, odsunął od ściany, potem zrobił to samo z drugiej strony i tak kawałek po kawałku przesunął ją coraz dalej.

Mogłabym kupić różową i niebieską farbę. W poniedziałek wybieram się z panią Martą na zakupy. To ma być tajemnica, ale słyszałam ich rozmowę. Szykują coś specjalnego i nie chcą, żebym miała na sobie szorty.

Ach... tak. Zanim ruszę ten stolik, może lepiej wszystko z niego zdjąć?

Do pokoju wkroczyła Daisy i, podając mu słuchawkę bezprzewodowego telefonu, powiedziała:

To do ciebie.

Kto to? Blalock?

Jakaś kobieta. Nie przedstawiła się.

Tak, mówi Kell Magee - powiedział, zerkając na Daisy.

Podobały mu się te niesforne kosmyki okalające jej twarz. Były równie niezależne jak ona. To było urocze.

-Kell, mówi Clarice. Moxie został aresztowany. Musisz porozmawiać z komendantem Taylorem. Mnie nie posłucha.

Odsunął słuchawkę, żeby ochronić bębenek.

-Dobrze, uspokój się, kochanie. Czy to bardzo poważna sprawa? - Kilkoro spośród dzieciaków, z którymi pracował, miało skłonność do wracania na złą drogę.

Szczególnie Moxie.

Trzymając słuchawkę kilka centymetrów od ucha, wysłuchał wszystkiego, co miała mu do powiedzenia Clarice. Od czasu do czasu potakiwał.

-Tak... tak... rozumiem. Nie, nawet o tym nie myśl.

Daisy wyprowadziła Faylene z pokoju, ale Kell podejrzewał, że pomimo to słyszały każde wypowiedziane przez niego słowo, a może nawet to, co mówiła Clarice. Clarice była jedną z jego podopiecznych. Teraz otwierała już własną małą firmę. Zawsze, kiedy była czymś przejęta, podnosiła głos.

-Posłuchaj, zaraz zadzwonię do komendanta i wszystko mu wytłumaczę. Może się jednak zdarzyć, że go nie przekonam. W takiej sytuacji Moxie będzie musiał tam zostać do czasu aż... - Przymknął oczy, znów wsłuchując się w potok jej słów. - Przestań się tym martwić, słyszysz? Skup się na dniu otwarcia. Jak przyjadę, chcę zobaczyć zapalony neon, dobrze? - Ciężko wdychając, odczekał, aż Clarice skończy mówić. - Oczywiście, przyjadę na otwarcie. Przecież ci to obiecałem, prawda? Kiedy skończył rozmowę, wziął głęboki oddech, po czym ruszył stawić czoło Daisy i gospodyni. Obie ze wszystkich sił udawały, że nie słyszały ani słowa. Kell na wszelki wypadek postanowił uprzedzić pytania. Wygląda na to, że mój przyjaciel wpadł w tarapaty. Czy mogę wykonać zamiejscową rozmowę? Zadzwonię na własny rachunek.

Skąd miała numer telefonu? - Daisy nie zmroziła go

lodowatym wzrokiem, ale z pewnością nie spoglądała na niego przyjaźnie.

-Moja komórka nie ma tutaj dobrego zasięgu. Wczoraj wieczorem podałem jej ten numer na wszelki wypadek. Nie spodziewałem się, że tak szybko okaże się potrzebny.

Daisy znów patrzyła na niego z rezerwą. A tyle się nad nią napracował. Wszystko na marne. Trudno, najpierw musi zająć się chłopcem.

No, myślę, że to był wypadek, skoro musisz rozmawiać z jakimś komendantem. Jeśli można wiedzieć, co to za komendant? Straży pożarnej, policji?

Policji.

Nic więcej nie powiedziała. Nie musiała. Jej oczy mówiły wszystko. Kell natychmiast to zrozumiał, ale najpierw musiał zrobić, co do niego należało.

-Wszystko później wyjaśnię, ale teraz muszę porozmawiać z komendantem Taylorem, więc jeśli pozwolisz...

- Odwrócił się i wymaszerował ze słuchawką w rękę.

Obie panie weszły do saloniku.

Myślałam, że trafił ci się porządny facet, ale teraz zaczynam się zastanawiać. Mówił ci, że był wielką gwiazdą baseballu? Tak, a potem nagle zniknął. Nie wiadomo dlaczego.

Ty i ten twój baseball... - powiedziała Daisy z roz-targnieniem. Nie powinna go zapraszać. Egbert na pewno nie będzie z tego zadowolony. Ale wczoraj wydawało jej się to słuszne.

-Możesz sobie czytać te swoje romanse - powiedziała Faylene - ale dla mnie nie ma nic lepszego, niż uwalić się na kanapę z puszka browaru pod ręką i obejrzeć so bie, jak przystojne chłopaki w obcisłych gatkach biegają po boisku.

Marta, szczęśliwa, że poprzedniego dnia przestało padać, wyniosła z małego wolno stojącego budynku ostatnie pudło książek. Przez siedem lat prowadziła tu księgarnię. Musiała jednak w końcu się poddać.

Następnym razem, kiedy będę się przeprowadzać, przypomnij mi, żebym wybrała miasteczko, w którym przynajmniej połowa mieszkańców umie czytać.

Wymyśliłaś już jakiś strój dla Faylene? - Sasha przyjrzała się swoim paznokciom w obawie, czy przypadkiem nie zdarł jej się lakier przy odkurzaniu półek na książki.

Nadal nad tym pracuję. Mogłabyś zamknąć bagażnik?

Nie wiem, kiedy będę mieć dość miejsca, żeby to wszystko rozpakować.

Sasha jeszcze raz spojrzała krytycznie na swoje paznokcie.

To chyba wszystko. Definitywnie zamknęłam ten interes.

Wiesz co? Chyba się rozplącę - powiedziała Marta.

Lepiej nie. Rozmażesz tusz.

Nie mam żadnego tuszu na rzęsach.

To minus bycia rudą. - Sasha westchnęła teatralnie. - Jak chcesz zwrócić na coś uwagę, musisz to pomalować,

wszystko oprócz piegów oczywiście. Co zrobisz z tymi setkami książek w miękkich okładkach? - Nie czekając na odpowiedź dodała: - Dziś rano zabrałam się do włosów Faylene. Ma zmyć odżywkę, jak wróci do domu. Ale nie należy spodziewać się cudów. - Lata stosowania silnie działających farb i utleniaczy zniszczyły włosy gospodyni tak bardzo, że cudem było już to, że w ogóle miała jeszcze jakieś włosy na głowie. - Umówiłam się z Paulem na pasemka i może jakąś płukankę koloryzującą. - Świetnie. Cokolwiek silniejszego od płukanek może sprawić, że kompletnie wyłysieje. - Marta odrzuciła włosy do tyłu. Ich orzechowy kolor nie był może zbyt intensywny, za to były silne i zdrowe. - Rozmawiałaś dziś z Daisy?

Otworzyła drzwi samochodu, żeby go trochę przewietrzyć. Nie było bardzo gorąco, ale jej wóz stał w pełnym słońcu.

Nie. Ale całe miasteczko już wie o tym Zabójczym Samcu, który zatrzymał się w posiadłości Snowa. Zdaje się, że z pomocą Blalocka szuka potwierdzenia, że jest krewnym Harveya.

Zabójczy, prawda? Po tym, jak go widziałam, muszę powiedzieć, że zaszło chyba nieporozumienie. Jeśli Daisy na niego nie reflektuje, to ja składam zamówienie.

A mówiłaś, że jesteś uodporniona na mężczyzn - prowokowała Sasha. - Ja to co innego. Nigdy nie twierdziłam, że jestem nieczuła na takie wdzięki. Zresztą mój pokój gościnny nie jest zawalony pudłami książek.

A te foldery z próbkami i bele materiałów, które czekają, aż coś z nich uszyjesz? A tamte...

No dobrze, dobrze. Przynajmniej nie musimy się teraz zastanawiać, jak poprawić Daisy humor. Jeśli wie, co dla niej dobre, na pewno zaraz rzuci się na niego.

Jasne - powiedziała cierpko Marta. - A ty wstąpisz do klasztoru, ja zaś napiszę bestseller i zostanę zaproszona na występy w telewizji.

A ci wszyscy lekarze, z którymi pracuje?

Pewnie są żonaci. Wiesz, jak to jest: pierwsza żona przeprowadza go przez studia, a druga pojawia się tuż po końcowych egzaminach i zbiera samą śmietankę. A poza tym jest jeszcze kochanka, która czeka z nadzieją na trzeci akt tej sztuki.

Boże, mówisz, jakbyś była kompletnie zblazowana.

Nie jestem zblazowana. Jestem realistką. W każdym razie związek, w którym oboje partnerzy pracują w tej samej branży, prawie nigdy się nie udaje. Mój pierwszy mąż był z branży wydawniczej. Przez pierwsze trzy tygodnie strasznie go kochałam, a potem okazało się, że na każdy temat mamy inne zdanie. On uważał, że czytam śmieci, ja zaś jego lektury miałam za pretensjonalne bzdety.

A w jakim wydawnictwie pracował?

To były poradniki obsługi komputerów dla tumanów.

Och. Wobec tego nie był naprawdę człowiekiem czytany, tylko maniakiem komputerowym, który potrafi zaledwie przeliterować słowo.

-No tak. Przynajmniej był w tym dobry. Zanim za chorował, zarobił dużo pieniędzy, ucząc innych, jak zostać porządnym maniakiem komputerowym.

Przyjaciółki zamilkły, pogrążone w myślach o swoich nieudanych związkach.

-Wysiądę na rogu, chyba że potrzebujesz pomocy przy wyciąganiu tych pudeł z bagażnika?

Mieszkały półtorej przecznicy od siebie, w małym osiedlu wybudowanym w latach osiemdziesiątych, kiedy Muddy Landing po raz pierwszy w historii zaczęło się powiększać. Dom Marty zbudowano kilka lat wcześniej niż pozostałe, więc w zasadzie nie stanowił części osiedla, które wokół niego wyrosło.

Na razie zostawię wszystko w samochodzie - odparła Marta.

Jak chcesz. Zatrzymaj najciekawsze książki dla mnie, dobrze? Wiesz, jakich autorów lubię. W przyszłym tygodniu zaczynam nowy kompleks biurowy w Kitty Hawk, to oznacza, że będę musiała często jeździć do Norfolk, ale i tak zostanie mi sporo czasu na czytanie. - Sasha była dekoratorem wnętrz. Otworzyła drzwi i wysunęła długą nogę w jedwabnej pończoszcze.

Mówiąc o widokach na przyszłość... - zaczęła.

A mówiłyśmy o tym?

Jeśli Daisy nie chce tego Zabójczego Samca, może powinniśmy wpisać go na naszą listę kandydatów. - Na liście znajdowali się przeróżni kawalerowie, począwszy

od ledwo akceptowalnych aż po prawdziwe okazy, lecz nie wszyscy zawsze byli do wzięcia.

Dla Faylene? Mowy nie ma!

Przecież dla Faylene mamy Gusa.

No dobrze. Ale oddamy Daisy pierwszeństwo. Myślisz, że wystarczy nosić buty z westernu i pochodzić z Oklahomy, żeby być prawdziwym kowbojem?

Jak dla mnie wystarczy.

Yee - łó, naprzód kowboju! - wykrzyknęła śpiewnie

Sasha, kręcąc biodrami.

Marta roześmiała się.

Dobrze by było, gdybyś nie zniszczyła resztek jej włosów tym cuchnącym paskudztwem, które nazywasz odżywką.

No wiesz! To paskudztwo opracowała moja znajoma.

Teraz stara się to opatentować.

Jako co? Środek odstrasżający owady?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wpadające przez otwarte okno powietrze pachniało raczej pobliskimi bagnami niż dojrzewającą soją czy sosnowym lasem. Daisy ziewnęła i przeciągnęła się. Wiatr się wzmógł. Jeśli zbierało się na deszcz, miała nadzieję, że do środy zdąży się wypogodzić. Miała pewne wątpliwości co do pomysłu skojarzenia Faylene z Gusem, ale Marta po zamknięciu księgarni potrzebowała jakiegoś zajęcia.

Przewróciła się na drugi bok. Poranki były jej ulubioną porą dnia. Miała czas spokojnie wszystko zaplanować, zanim codzienne sprawy zbytnio ją pochłoną.

Na przykład jedna, szczególnie absorbująca: Kell Magee. Jak na to, że znała go tak krótko, zajmował w jej myślach zdecydowanie zbyt dużo miejsca. Jak długo zamierzał zostać? Jeśli ta kobieta, która do niego dzwoniła, była jego pracownicą, to powinien wyjechać jak najszybciej. Najwyraźniej sytuacja ją przerastała, skoro musiał w jej imieniu dzwonić na policję.

Ale to nie moja sprawa, upomniała się Daisy.

Kłopot w tym, że im dłużej tu jest, pomaga, wygląda

pociągająco i zarazem wzbudza jej współczucie, a także zadaje pytania, na które Daisy nie potrafi odpowiedzieć, tym trudniej jest jej zachować dystans.

Przeciągnęła stopą po prześcieradle. Zaczęła się zastanawiać, jak by się czuła, gdyby natrafiła na ciepłą, owłosioną łydkę? Gwałtownie usiadła na łóżku i zmierzwiła sobie włosy, starając się przywrócić prawidłowe krążenie krwi. Tak, jej mózg najwyraźniej był niedotleniony.

Trzeba ustalić porządek dnia: wstać, zrobić to, co zostało do zrobienia, wynieść się stąd i zacząć własne życie. A przy tym wszystkim, wymamrotała do siebie, zapomnieć, że kiedykolwiek spotkałaś tego mężczyznę.

Wykonując poranne ćwiczenia, musiała przyznać, że łatwiej coś takiego powiedzieć niż wykonać. Przynajmniej teraz miała jasno ustalone zadania. Została tylko biblioteka i odkurzenie kilku pokoi. Pod koniec tygodnia, może nawet wcześniej, wszystko będzie zrobione.

W tym czasie Kell pozałatwia swoje sprawy i będzie już w drodze do Oklahomy.

Świetnie. Szczęściarz, nigdy się nie dowie, jak mało brakowało, by pewna wygłodniała samica, której mózg chwilowo odmówił posłuszeństwa, schrupała go wraz z kosteczkami.

Nim wzięła prysznic i włożyła swoje codzienne ciuszki, Kell już wyszedł. Ekspres do kawy był zimny i pusty, a w zlewie nie było żadnych naczyń. Najwyraźniej wyszedł bez śniadania. A może wyjechał z miasta?

Wszystko jedno. Najważniejsze, że nie będzie się tu kręcił, oferując pomoc przy pracy. Nie będzie jej kusić pełnym urokiem uśmiechem i grą słów.

Choć właściwie nie było żadnej gry słów. To ten jego aksamitny, słodki jak miód tembr głosu sprawiał, że niewinne pytanie o miejscową szkołę brzmiało jak gra wstępna. „Panno Daisy, jest pani naprawdę żalosna”, wymamrotała do siebie. Była tym wszystkim zaskoczona i zaniepokojona. Przynajmniej dowiedziała się, że jest jeszcze zdolna do odczuwania takich stanów.

W domu panował niezwykle spokój. Zjadła śniadanie, umyła naczynia i ruszyła do biblioteki. Musiała podjąć decyzję, co wyrzucić, a co zachować. Nie była tym zachwycona, ale przecież właśnie o to prosił ją Egbert. Tylko ona znała Harveya tak dobrze w ostatnim okresie jego życia.

Późnym popołudniem Daisy była już całkowicie wyczerpana. Jeśli Egbert chciał również oprócz książek skatalogować stare gazety i magazyny, to będzie musiał wezwać bibliotekarza. Albumy ze zdjęciami zamierzała, o ile Egbert nie będzie miał nic przeciwko temu, oddać Kellowi. Niech sobie wskrzesza historię rodziny, prawdziwej czy też wymyślonej.

Nie było jej go żal. Nie, ani troszeczkę. Przynajmniej wiedział, kim byli jego rodzice. I miał jakieś związane z nimi wspomnienia.

Wyjęła z lodówki bidon z zimną wodą. Wypiła pierwszy łyk, kiedy usłyszała nadjeżdżający samochód Kella.

Z bólem musiała przyznać, że po głowie zaczął się jej snuć zupełnie inny plan: po uporządkowaniu biblioteki i odkurzeniu saloników mogłaby przebrać się w coś zwyczajnego, w czym jednak byłoby jej do twarzy, i usiąść na tarasie. Gdyby zbliżył się do niej, mógłby poczuć zapach jej różanego balsamu do ciała.

Tymczasem na tarasie zaciął lekki deszczyk, ona zaś wyglądała jak Kopciuszek z niesfornymi włosami, pachniała kurzem, pastą do mebli i mydłem oliwkowym. Tyle z jej planów.

Tutaj jesteś. - Kell zjrzał do kuchni. Na jego włosach i opalonej twarzy połyskiwały krople deszczu. Wyglądał wypisz, wymaluj jak z reklam sportowych samochodów. Przystojny mężczyzna za kierownicą pędzi krętą drogą z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Brakowało mu tylko pary lotniczych okularów.

Wygląda na to, że miałeś udany dzień. - Nieszpodziewanie nawet dla niej samej ta uwaga zabrzmiała złośliwie.

Jasne, bardzo udany.

Jeszcze raz mrugnie tak okiem, a sama kupi mu ten cholerny sportowy samochód i wskaże odpowiednią drogę, na której może go sobie przetestować.

-Świetnie. Ja też. - Wstawiła bidon do zlewu i naląła do niego kilka kropli płynu.

-Jadłaś już kolację? Odkryłem bar, niedaleko stąd, przy autostradzie.

Kolacja? Nie jadła nawet lunchu, ale nie zamierzała się do tego przyznać. Nie zamierzała pozwolić, by ją dokarmiał, zwłaszcza kiedy była w tak kiepskiej formie.

-Późny lunch - skłamała. - Jeżeli jesteś głodny, to w spiżarni powinno być jeszcze kilka puszek zupy.

Wpatrywał się w pudła, które ustawiła w korytarzu. Zamierzała przenieść je do samochodu, jak tylko przestanie padać.

-Co to jest? - spytał, wskazując na nie czubkiem lewego buta.

Pomyślała, że takie buty u kogoś, kto nie jeździ konno, wyglądają pretensjonalnie, tym bardziej jeśli w okolicy nie ma ani śladu konia.

Muszę to wywieźć. Część wylądowała na wysypisku, a reszta pójdzie na cele dobroczynne.

Nie ma tu nic, co mogłoby mnie zainteresować?

Wątpię. Na stoliku w bibliotece zostawiłam albumy ze zdjęciami. Będę wdzięczna, jeśli szybko je przejrysz i wybierzesz to, co chcesz zatrzymać, bo jutro z samego rana wyrzucam resztę rzeczy.

Zdaje się, że boli nas głowa, prawda? - spytał po chwili.

Nie, nie mamy żadnego bólu głowy. - Nie było to prawdą. Ból dopadł ją akurat w chwili, gdy Kell wsunął

głowę do kuchni i przyłapał ją na tym, jak piła wodę prosto z bidonu niczym jakiś nieszczęsny uchodźca.
Usiądź i pozwól, że rozmasuję te napięte mięśnie.
Nie, dziękuję. Nie jestem spięta, tylko zmęczona
-odparła.

Daisy - przemówił do niej jak do małego dziecka - robiono mi masaż nieskończoną ilość razy. Uwierz, to pomaga.

Wiem. Przez lata wykonywałam lecznicze masaże.
Ale sama przecież siebie nie wymasujesz, prawda?
Nim zdążyła umknąć, położył dłonie na jej ramionach i delikatnie zmusił ją, by usiadła na krześle. Powoli zaczął wykonywać okrężne ruchy kciukami. Syknęła z bólu.

-Jesteś za bardzo spięta.

Opuściła głowę. W duchu musiała przyznać mu rację.

-Poznałem dziś interesujących ludzi.

-Tak?

-Kilku panów z Elizabeth City. Jeden z nich należy do Towarzystwa Historycznego. Fascynujący człowiek. Aż trudno uwierzyć, ile wie. Jest jak chodząca encyklopedia. Znów syknęła, kiedy dotknął wyjątkowo bolesnego miejsca.

Tutaj boli, prawda? - powiedział, zmniejszając nacisk.

Troszeczkę. Czuję się już lepiej, naprawdę. - Niestety, teraz całe napięcie powędrowało w inne okolice jej ciała.

Teraz dobrze ci zrobi porządny, gorący prysznic. Ustaw na mocny, ale rozproszony strumień, to dobrze zrobi na plecy. Będiesz jak nowo narodzona.

Jeśli w ogóle zdołam się ruszyć - odparła z lekkim uśmiechem.

W istocie miała ochotę rzucić mu się w ramiona i błagać, by skierował swoje terapeutyczne zapędy w inne regiony.

Dziesięć minut później przyznała mu rację. Prysznic działał cuda. Z kuchni dobiegały odgłosy, więc z ciekawości postanowiła tam zajrzeć. Wreszcie była odświeżona i pachnąca. A zamiast ciuchów do sprzątanania miała na sobie czystą koszulkę i luźne, długie spodnie.

-Zupa gotowa - oznajmił Kell. Przepasał się kuchenną ściereczką.

Wpatrywała się w niego, czując, że oblewa ją fala ciepła. Spróbujesz? Myślisz, że jest w niej zbyt dużo chrzanu? - powiedział, podając jej łyżkę o długiej rączce, której używał do mieszania zawartości garnka.

Pomidorowa? - Sięgnęła po łyżkę. Ich palce spotkały się ze sobą i mogła przysiąc, że przeskoczyła między nimi iskra.

Dodałem coś do smaku. Nie jestem zupełnie bezradny w kuchni.

Och! Ojej! - W oczach zakręciły jej się łzy. Próbowwała złapać oddech.

Za dużo chrzanu?

Czy za dużo?! Aż dziwne, że nie przyjechała tu jeszcze straż pożarna!

Przepraszam. Na dnie słoika była taka zbita grudka. Cała wpadła do garnka.

Wachlując otwarte usta dłonią, sięgnęła drugą ręką po mleko.

-Wlej jeszcze jedną puszkę zupy - wykrztusiła. - Mo że jak to rozcieńczysz...

Na kolację degustowali przysmak piromana, tak Daisy ochrzczyła mieszankę, którą udało się Kellowi uzyskać z niewinnej puszkowej zupy pomidorowej i kilku ognistych dodatków.

-I co powiedział ten twój znajomy z Towarzystwa Historycznego? - spytała, kiedy odzyskała już pełnię władzy nad swoim językiem.

Znał mojego tatę, przynajmniej tak mu się zdaje. Twierdzi również, że pomógł braciom Wright znaleźć miejsce do zaparkowania rowerów, kiedy testowali swój samolot. To stawia go w podejrzanym świetle. Przecież nie może być aż tak stary. Chcesz jeszcze zupy?

Nie, dziękuję.

A jak twoja szyja?

Dużo lepiej. Czuję się świetnie. - Nie potrwa to długo, jeśli dalej będziesz się we mnie wpatrywać takim wzrokiem, pomyślała.

Myślisz, że dziś dasz radę pokazać mi te albumy? Wstawię to wszystko do zlewu i pozmywam później.

W bibliotece Kell sięgnął ostrożnie, jakby bał się tego, co tam zobaczy, po pierwszy z albumów.

-Zajmę się tymi szufladami - powiedziała Daisy.

Egbert jako wykonawca testamentu zabrał już wszystko, co mogło stanowić przedmiot spadku. Resztą nie zawracał sobie głowy. Schlebiało jej, że darzył ją takim zaufaniem, by przekazać jej część swoich obowiązków.

Chodź tu na chwilkę. Muszę ci coś pokazać. - Kell był roześmiany.,

A co w tym takiego śmiesznego? - spytała, podnosząc się.

Kell przeglądał album z czarno-białymi zdjęciami. Zdjęcie, które wskazywał, przedstawiało młodego mężczyznę na drabinie, zajętego dekorowaniem bożonarodzeniowej choinki. Nad głową trzymał niczym aureolę wieniec, a całą jego postać spowijała tkanina, która zapewne miała być udrapowana u podstawy drzewka.

Daisy miała kłopot z rozpoznaniem roześmianej postaci.

-To Harvey - powiedziała wreszcie. - Aniołek na czubku drzewa. A nie mówiłam, że miał poczucie humoru?

Przeniosła wzrok na sąsiednie zdjęcie. Chudy boso-nogi chłopak starał się wypchnąć drugiego z wózka do zabawy. Obaj byli roześmiani. Miała ochotę się rozplakać: jeden z nich miał charakterystyczną sylwetkę, która nie pozostawiała wątpliwości co do jego tożsamości.

Ale to drugi chłopiec przykuł uwagę Kella.

-Założę się, że to mój tata - powiedział cicho.

Daisy bezradnie opuściła ramiona i wróciła do przeglądania zawartości szuflady. Zbyt wiele emocji naraz może być groźne dla zdrowia kobiety, przypomniała sobie.

W kolejnej szufladzie nie było nic oprócz papeterii z inicjałami. Miała już ją zamknąć, gdy dojrzała na samym dnie białą kwadratową kopertę. Nic na niej nie było oprócz znaczka za dwadzieścia trzy centy.

Dwadzieścia trzy centy? Kiedy to mogło być? Koperta była zaklejona. Po sekundzie wahania Daisy ją otworzyła.

-Och, nie - szepnęła, wpatrując się w kartkę walentynkową z dużym czerwonym sercem.

Odręczny napis głosił: „Czerwone róże, niebieskie fiołki, ktoś - kogo nie znasz - bardzo cię kocha.”

Pod tymi słowami widniał podpis: „Z poważaniem, Harvey Snow”.

Kiedy Kell dotknął jej ramienia, uświadomiła sobie, że przeczytała te słowa na głos. Starł łzy, które spływały jej po policzkach.

Wystarczyło jedno dotknięcie. Kiedy z jej oczu trysnęły strumienie łez, obróciła się i wtuliła twarz w jego koszulę. Stał przy fotelu, gładząc ją po plecach. Drugą zaś rękę położył na jej głowie.

Tak mi wstyd - wykrztusiła. - Ja nigdy nie płaczę, naprawdę.

Wiem o tym, no już, cichutko. - Podniósł ją z fotela i zaprowadził na sofę.

Choć wreszcie zdołała opanować potok łez, nie wykonała żadnego ruchu, żeby się odsunąć. On również nie wypuszczał jej z ramion.

Daisy, spójrz na mnie.

Jeśli pozwolisz, wolałabym nie. - Wyobrażała sobie, jak musi teraz wyglądać.

Kell oparł się wygodnie i przyciągnął Daisy do siebie, głaszcząc ją delikatnie po plecach. Cały czas lekko pomrukiwał, co miało zapewne działać uspokajająco. Może powinna mu powiedzieć, że efekt jest wręcz odwrotny od zamierzonego.

Pociągnęła nosem i wzięła głęboki oddech. Uświadomiła sobie, że jest w niego wczepiona niczym mała małpka w futro matki. Co więcej, było jej zbyt dobrze, by to przerwać.

Już lepiej? - wyszeptał.

To po prostu jest takie smutne - westchnęła.

Taaak. - Jego kciuk wolno przesunął się po jej szyi. Jeśli znów próbował rozluźnić jej mięśnie, to wybrał złą metodę. Kubeł zimnej wody byłby dużo bardziej skuteczny.

Znów pociągnęła nosem, wdychając czysty, świeży zapach mężczyzny. Gdyby można to zamknąć w butelce i sprzedawać, ktoś zarobiłby fortunę.

Ciekawe, kim była ta kobieta? - powiedział cicho Kell.

Biedny Harvey. - Daisy z ociąganiem zaczęła się

zbierać w sobie. Doszła nawet do tego, że zsunęła rękę z jego szyi. I wtedy kątem oka dostrzegła jego twarz. Jego oczy jeszcze chwilę wcześniej niebieskie, teraz pociemniały.

-Daisy, muszę cię pocałować - wyszeptał.

Nie stawiała oporu. Niektóre rzeczy są po prostu nieuniknione.

Została wycalowana tak dokładnie, że osiągnęła stan całkowitego rozanielenia. Kiedy dotknął jej piersi, oboje westchnęli. Pieścił ją, całował, aż była gotowa zerwać z siebie i z niego ubranie i zrobić wszystko, by zaspokoić pożądanie.

Przecież nie jestem zmysłową kobietą, pomyślała.

Problem w tym, że najwyraźniej było jednak inaczej.

-Sypialnia? - spytał niecierpliwie, ciężko oddychając.

Pokręciła głową, ale zaraz uświadomiła sobie, że Kell nie jest w stanie dostrzec tego gestu, więc szepnęła:

-Tu... teraz. Dobrze? - Gdyby się stąd ruszyła, mogłaby odzyskać rozsądek, a na to nie miała najmniejszej ochoty.

Jego dłonie zręcznie rozwiązały tasiemki jej spodni, usłyszała odgłos rozpinanego suwaka i poczuła, jak chłodne powietrze owiewa jej rozgrzane ciało.

Dlaczego to się dzieje? Dlaczego wydaje się to takie naturalne? Dłonie Kella działały cuda. Kiedy zastąpił je wargami, z jej ust dobieły się dźwięki, które z pewnością wprawiłyby ją w zakłopotanie, gdyby w ogóle była

ich świadoma. Doprowadzał ją do granic rozkoszy, a potem, gdy już była gotowa całkowicie się zatracić, wycofywał się.

Pospiesz się - wyszeptała. -Czy...?

Tak! - wykrzyknęła.

Czy bierzesz tabletki?

Nie. Ale chyba ty masz... ?

Czuła, jak jego siła i rozpalona namiętność nagle zastygły.

-W domu, w sypialni, zawsze, ale tutaj nie mam - powiedział z westchnieniem.

Była tak rozczarowana, że mogłaby krzyczeć.

To idiotyczne - powiedziała.

Taaak... - Powoli przymknął oczy i zacisnął zęby.

Pozwól, że ja to zrobię - powiedział.

Pokręciła głową. Była tak rozczarowana, że mogłaby się rozplakać.

-Raczej ty pozwól mi wstać.

Najdelikatniej jak mógł, odsunął się od niej i opuścił jej koszulkę, zakrywając nagie piersi. Opuszczone do kolan dżinsy krępowaly mu ruchy. Miał prawo wyglądać śmiesznie. Tymczasem wyglądał na skruszonego, sfrustrowanego i tak bardzo godnego pożądania, że miała silną pokusę, aby z powrotem rzucić się na niego i skończyć to, co zaczęli, z zabezpieczeniem lub bez.

Lecz skoro w takiej chwili stać go było na zachowanie

rozsądku, to ją tym bardziej. Dokonała ogromnego wysiłku woli, żeby się podnieść. Wygładziła na sobie ubranie, on zaś podciągnął spodnie. Miał na sobie granatowe slipy. Bardzo obcisłe. I niewątpliwie miał na nią ogromną ochotę.

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

Następnego ranka Daisy zwlekała z wyjściem ze swojego pokoju. Poprzedniego wieczoru wzięła do łóżka książkę, bo obawiała się, że będzie mieć kłopot z zaśnięciem. Po jakiejś godzinie musiała się poddać. Nie pamiętała ani słowa z tego, co przeczytała. Długo leżała w ciemnościach, aż wreszcie zasnęła. Nad ranem obudził ją hałas. Było po czwartej.

To nie mógł być włamywacz. W Muddy Landing od lat wskaźnik przestępstw był zerowy. To musiał być Kell. Jeśli ma takie kłopoty z zaśnięciem jak ona, to dobrze mu tak. Jako pielęgniarka napatrzyła się na wiele nieszczęść wynikających z tego, że czyjaś głową zawładnęło libido: nieudane małżeństwa, niechciane ciążę, napady i pobicia, a przede wszystkim wiele złamanych serc. Dlatego Egbert był doskonałym wyborem. Z pewnością w sypialni pasowaliby do siebie. Cieszyła się, że jest pielęgniarką wyspecjalizowaną w opiece domowej. Mogła z łatwością zmienić miejsce zamieszkania. Wiedziała już, że Egbert oczekuje awansu, a to z pewnością będzie oznaczało przeprowadzkę. Kiedy przeniesie się do wiek-

szego miasta, bez problemów będzie mogła mu towarzyszyć. Przynajmniej tak wyobrażała sobie własną przyszłość, nim zjawił się Kell.

Teraz zaś zastanawiała się, jak by to było poślubić mężczyznę, który samym tylko spojrzeniem sprawiał, że miękło jej serce. Lub samym tylko dotknięciem jej włosów. Lub kilku słowami o niczym, wypowiedzianymi tym jego ciepłym głosem. Świetnie wiedziała, że fale dźwiękowe to nic więcej jak wibracje powietrza. Pewne wibracje były co prawda w stanie spowodować lawinę. Nigdy jednak nie wyobrażała sobie, do jakiego stanu mogą doprowadzić ciało kobiety.

Musiała znów przysnąć, bo na dźwięk budzika podskoczyła przerażona. Obudziła się wilgotna, gorąca i wyczerpana.

Kiedy starała się sobie przypomnieć, o czym śniła, usłyszała brzęk naczyń w zlewie. A chwilę potem trzaśnięcie drzwi wejściowych i odgłos silnika. Odczuła ulgę i zarazem rozczarowanie.

Problem w tym, że naprawdę go polubiła. Musiała to uczciwie przyznać. Mogliby zostać świetnymi przyjaciółmi, gdyby tylko tak na niego nie reagowała.

Fakt, że nie zamierzał ubiegać się o prawo do spadku, dobrze o nim świadczył. To dużo mówiło o jego charakterze, a może o zdrowym rozsądku? Dom, choć sprawiał romantyczne wrażenie i był na swój sposób czarujący, wymagał gruntownego remontu. Sama naprawa dachu

pochłonie fortunę, nie mówiąc o regularnie zalewanych wodą piwnicach. Była pewna, że podłogi zjadają termity. Prędzej czy później dom się zawali, chyba że ktoś zainwestuje w niego ogromne pieniądze.

Patrząc na stopniowo rozjaśniające się niebo, Daisy zastanawiała się, jak doszło do tego, że choć zaplanowała dla siebie bezpieczną i jasną przyszłość, dała się uwikłać w termity, smutne kartki walentynkowe i seksownego mężczyznę.

Kell tryskał radością. Już znalazł to, po co przyjechał! Zabrało mu to, co prawda, cały dzień, ale warto było. Najpierw okazało się, że w starych kartotekach sądowych panuje nieopisany bałagan, a urzędniczka, która od lat się nimi opiekowała, przeszła na emeryturę. Osoba, która ją zastępowała, nie otrzymała najwyraźniej żadnego przeszkolenia i sama bezskutecznie starała się w tym wszystkim połapać. Wreszcie w miejscowym gimnazjum znalazł prawdziwy skarb: szkolna bibliotekarka nie uporządkowała jeszcze wszystkich książek zabezpieczonych na czas huraganu. Stare szkolne albumy były jej najmniejszym zmartwieniem, ale pomimo to przejrzała je w poszukiwaniu istotnych dla niego informacji.

Wymknął się z domu, nim Daisy wstała. Nie wiedział, jak ma się zachować po tym, co się wydarzyło poprzedniej nocy. Właściwie nic się takiego nie stało. Przerwali na etapie gry wstępnej, bo zapomniał o podstawowej rzeczy.

Może to zrządenie opatrności, bo odnosił wrażenie, że z Daisy nie ma żartów. Nie mógł rozniecać w niej jakichś oczekiwań, skoro za kilka dni miał stąd wyjechać. Jej samochód stał przed domem, ale w korytarzu nie było już żadnego pudła. To znaczy, że dziś również miała dużo pracy. Może to nie był odpowiedni moment, ale musiał się z kimś podzielić swoim odkryciem. Miał wrażenie, że Daisy doceni je bardziej niż ktokolwiek inny. Z pewnością bardziej niż Blalock, choć nie mógł już się doczekać, kiedy powiadomi o tym tego chłystka.

Daisy?! - zawołał, otwierając drzwi. - Jesteś w domu? W kuchni. Wytrzyj buty. Faylene wypastowała rano cały hol.

-Znów robisz kurczaka? Wspaniale pachnie.

Świetnie mu idzie z tym nierozniecaniem oczekiwań. Gotowała tak dobrze, że mogła trzymać go w garści, bazując wyłącznie na swoich talentach kulinarnych. A dodatkowo była najbardziej seksowną kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał. Jej urok wywierał na nim takie wrażenie, bo był niezwykle subtelny.

-Chciałam wykorzystać to, co było w zamrażalniku.

Niedługo odetną prąd - wyjaśniła. - Było sporo chleba, kurczaki i ryby. Wyrzuciłam ryby. Lepiej nie mówić, ile czasu tam przeleżały. - Odwróciła się na moment, lekko się uśmiechając.

Skinął ze zrozumieniem głową. Wyglądała tak, że palce liźać. Pewnie nie doceniłaby tego komplementu.

-Używasz widelca na długiej rączce?

W odpowiedzi uniosła w górę narzędzie kuchenne.

-Czego się dziś dowiedziałeś?

Kell starał się skupić na swoim sukcesie, ale rozpraszał go ledwo widoczny pod obcisłą koszulką Daisy stanik. Dlaczego nie nosi zwykłej bluzy, jak ta druga - Faylene? Albo tych szerokich spodni jak od piżamy, które miała na sobie wczoraj?

-Mam odbitki. Całe szczęście, że wynaleziono ksero

- powiedział, wskazując na papiery, które ze sobą przy niósł.

Daisy spojrzała na niego przez ramię, unosząc brwi ze zdziwieniem. Były o ton lub dwa ciemniejsze od włosów. Nadawały jej twarzy niewinny, tajemniczy i zarazem pociągający wygląd - nie miał pojęcia, jak to możliwe. Większość kobiet malowała się, żeby osiągnąć taki efekt.

Czy mógłbyś otworzyć tę puszkę? Odbitki czego? Masz jakieś dobre wiadomości, tak? Czy Egbert już o tym wie?

Jeszcze nie. Spójrz na to.

Podeszła, jakby z ociąganiem, do stołu. Kell wyjął odbitkę strony z albumu miejscowej szkoły średniej. Zdjęcia przedstawiały uczniów z rocznika 1969.

-To zdjęcia klasowe. Przyjrzyj się im dobrze.

Daisy pochyliła się nad stołem. Kell patrzył jej przez ramię.

-A nie mówiłem? - Po tylu latach, no, może miesiącach, od kiedy rozpoczął poszukiwania korzeni swojej rodziny, miał ochotę otworzyć z hukiem butelkę szampana.

Wskazał na chłopca stojącego w górnym rzędzie i przeczytał na głos podpis pod zdjęciem.

Evander Lee Magee. Widzisz te zapadnięte policzki? To mój tata wypisz, wymaluj, tylko dużo młodszy i chudszy, niż go pamiętam. Szkoda, że to czarno-białe zdjęcie, ale mimo to niemal widać, że jest rudowłosy i ma piegi.

Naprawdę? To znaczy... on był rudy?

Oczywiście. Odziedziczyłem po nim tylko kolor oczu i te kości policzkowe., - Kell pogładził się po policzku, co przypomniało mu, że najwyższy czas się ogolić. Nie była to próżność. Po prostu zawsze golił się dwa razy dziennie.

Widzisz tych uczniów? - Kell przerzucił kilka stron i pokazał dwu chłopców. - Byli z nim w tej samej klasie. Znalazłem ich telefony w książce telefonicznej Elizabeth City. - Nachylił się bardziej, dotykając lekko torsem jej pleców, czym uruchomił reakcję łańcuchową. Wstrzymał oddech, bo równocześnie poczuł zapach róż i bekonu. Znow dodałaś trochę bekonu do tego oleju rzepakowego? - spytał, drocząc się z nią.

Uniosła głowę i ich twarze niemal się zetknęły. Zalała go fala pożądania. To było niczym łyk tequili. Miała rozchylone usta i szeroko otwarte ze zdziwienia oczy.

Daisy... - wymruczał pieszczotliwym głosem.

Och, nie. Nie. - Nagle znalazła się w jego ramionach.

Miałem nadzieję, że to wszystko gra mojej wyobraźni.

Nim zdążyła odpowiedzieć, a tym bardziej wyslizgnąć się z jego objęć, zaczął ją całować. Najpierw delikatnie, zaledwie muskając jej usta ciepłymi, wilgotnymi wargami, potem wywierając nacisk, cofając się i znów powracając. Delikatność wkrótce ustąpiła miejsca czemuś dużo bardziej intensywnemu, bardziej zachłannemu. Jego szorstkie policzki ocierały się rozkosznie o jej twarz.

Jak to możliwe, że jego pocałunki smakują tak znajomo?

Przecież ledwo go zna. Przypomniały jej się ciepłe letnie wieczory, zapach świeżo skoszonej trawy, kapry-folium i robaczki świętojańskie. Kiedy zsunął dłonie na jej biodra, w głowie Daisy rozdzwoniły się ostrzegawcze dzwonki. Wycofaj się, nim jeszcze możesz. Inaczej będzie za późno i nigdy na dobre się nie ustatkujesz. Tym razem nie starała się już wmówić sobie, że z Egbertem byłaby równie szczęśliwa.

-Daisy, po drodze zatrzymałem się w aptece. Kupiłem...

-Ja też - szepnęła, starając się pozbyć uczucia zakłopotania. Była dumna z tego, że jest kobietą rozsądną, a rozsądne kobiety zawsze są przygotowane na nieoczekiwany rozwój wydarzeń.

Nieoczekiwany?

Ledwo. Po tym, co się wydarzyło ostatniej nocy, nie mogła na niczym się skupić. Kell mógłby prowadzić

szkolenia ze sztuki całowania. Dawno uśpione części jej ciała powróciły do życia.

Odwróciła głowę i niepewnym głosem wyszeptała:

To nie jest zbyt rozsądne.

Dlaczego nie? - Kell oddychał ciężko, jakby pokonał biegiem wielokilometrową trasę.

Daisy odczekała chwilę, aż świat wokół przestał wirować. W końcu oparła się o krzesło. Wiedziała, że ma rozpalone policzki. Choć już nie trzymał jej w ramionach, pragnęła go nadal tak bardzo.

-Bo... bo muszę skończyć to, co robiłam.

Brzmiało to żałośnie, ale w tej chwili nie potrafiła wymyślić lepszej wymówki. Nie mogła mu przecież powiedzieć, ile minęło czasu, od kiedy ostatni raz, nie licząc wczorajszego wieczoru, całowała się z mężczyzną. Ani tym bardziej, kiedy po raz ostatni była z kimś w łóżku, albo przynajmniej miała na to ochotę.

-Daisy, możesz mi wierzyć lub nie, ale ja naprawdę tego nie planowałem. - Jego głos brzmiał szczerze. Kell miał rozszerzone źrenice i nierówny oddech. Wystarczyłby jeden rzut oka, by stwierdzić, że nie były to jedynne oznaki jego podniecenia.

Oczywiście, niczego takiego nie planowałaś, pomyślała.

Ja też nie. Dlatego oboje kupiliśmy prezerwatywy.

Kell przełknął z trudem ślinę i spojrzał na rozrzucone na stole zdjęcia:

-Pewnie dałem się ponieść emocjom przez te wszyst-

kie zdjęcia mojego taty. To większa frajda niż wygrana na loterii. W takich chwilach człowiek ma ochotę jakoś to uczcić. Rozumiesz, co mam na myśli?

Jeśli ten pocałunek miał cokolwiek wspólnego z jego ojcem, Daisy nie chciała o tym wiedzieć. Naprawdę nie. Wzięła głęboki oddech i rozejrzała się za czymś orzeźwiający do picia. Równocześnie rozpaczliwie starała się wymyślić coś, co zabrzmiałoby w miarę inteligentnie i ustawiłoby sprawy we właściwym świetle, pozwalając jej tym samym nabrać do nich pewnego dystansu.

-Mam już dość smażonego drobiu, ale w zamrażarce było mnóstwo kurczaków. Wszystko to trzeba zużyć. Harvey uwielbiał kurczaki. Jeśli jesteś głodny, poczęstuj się. Ostatniego przygotuję na kolację charytatywną, a potem wyłączę zamrażarkę.

No, to powinno ostudzić jego zapał, pomyślała zachwycona, choć sama nadal czuła podniecenie.

-Czy mogę ci jakoś pomóc? - Kell wyglądał na zmieszanego, co tylko dodawało mu uroku. Zastanawiała się, czy należy to do jego techniki uwodzenia.

W tej chwili nie wiedziała, czego właściwie chce. Wiedziała natomiast, że konsekwencje przelotnych przyjemności - choćby najbardziej kuszących i nie do odparcia - trwają zwykle bardzo długo. Wie o tym każda kobieta, która kiedyś musiała się odchudzać.

-Przypuszczam, że teraz, gdy już znalazłeś to, czego szukałeś, wyjedziesz - powiedziała, odwracając się, że-

by zapakować porcję kurczaka, którą zamierzała zanieść byłemu pacjentowi.

-Zostanę jeszcze przez kilka dni, ale jeśli ci przeszkadzam, mogę się przenieść do motelu.

Miała ochotę przytaknąć, ale przecież oznaczałoby to przyznanie się do porażki: czyżby nie była w stanie się przy nim kontrolować? Nie była w stanie, to fakt. Ale on nie musiał o tym wiedzieć. Poza tym, przebywanie w domu, w którym mieszkał kiedyś jego ojciec, na pewno wiele dla niego znaczyło. Miała wrażenie, że Harvey by to zaaprobował.

Zostań, jeśli chcesz. Chcemy z Faylene uwinąć się z tym wszystkim do końca tygodnia, więc obie będziemy zajęte.

Świetnie. Mam jutro kilka spotkań, a potem rozejrzę się po okolicy. Poszukam miejsc, o których opowiadał mój tata. Wiele się pewnie pozmieniało, ale niektóre z nich na pewno pozostały takie same. Znalazłem na mapie bagna Dismal Swamp i Outer Banks.

Kiedy wyszedł, odczuła ulgę, ale zarazem coś na kształt niepokoju. Tłumaczyła sobie, że przynajmniej Kell nie będzie się kręcić po domu i jej rozpraszać. Ale w istocie miała ochotę rzucić wszystkie swoje plany i dać się ponieść fantazji.

W poniedziałek wieczorem Daisy znów przejrzała książki Harveya w poszukiwaniu lektury, która ułatwiłaby jej zaśnięcie. Nic jej szczególnie nie zaciekało. Tego

dnia uporała się z bielizniarką. Spakowała poźółkle prześcieradła i poszewki z monogramem. Zostawiła po jednej, najlepszej zmianie pościeli na każde łóżko.

Przez cały dzień nie widziała Kella. W końcu zmęczona i zniechęcona pojechała do miasta. Postrzelone przyjaciółki zawsze potrafiły poprawić jej humor.

Jak się miewa Zabójczy Samiec? - spytała Marta, kiedy Daisy przejrzała już z tuzin powieści, nie wybierając ani jednej.

Kto taki?

Tak go tu nazywają ludzie. Plotki szybko się rozchodzą. Szkoda, że nie słyszałaś Gracie. Wiesz, tej, która przyniosła się tutaj w sierpniu z Edenton i przejęła posadę panny Hattie w sądzie. Jej zdaniem, wygląda jak ten facet z Norfolk, gwiazda reality show, Evan Marriott. Tyle że Kell jest od niego wyższy, szerszy w ramionach i węższy w biodrach, nie mówiąc już o...

Marta - Daisy zamachała ręką - przestań! Nie wiem, co chciałaś powiedzieć, ale już dość. Zgadzam się, że jest w miarę przystojny, ale...

W miarę przystojny? Niech ci będzie. A Bill Gates jest w miarę wyplacamy.

Za dzień lub dwa i tak już go tu nie będzie.

Szkoda. Myślałam, że można by go zaprosić na kolację charytatywną. Nie jestem oczywiście zainteresowana niczym poważnym, ale nie miałabym nic przeciw przelotnej rozrywce.

Będziesz zbyt zajęta pierwszym spotkaniem Faylene z Gusem. Ta rozrywka powinna ci wystarczyć. Ona podejrzewa, że coś knujecie. Zresztą po tym wszystkim, co jej zrobiłyście, trudno, żeby się nie połapała.

Chciałaś powiedzieć: co dla niej zrobiłyśmy.

Jeśli tak wolisz to nazwać. Na waszym miejscu wcale bym się nie zdziwiła, gdyby zaczęła gonić was z tłuczkiem do mięsa po tym, jak się dowie, kogo dla niej wybrałyście.

Ojej. Przecież nie musi od razu wychodzić za niego za mąż. Ma tylko przyjść i zjeść z nim kolację. A co myśli o nim... Egbert?

O kim? O Gusie?

Nie, niemądra jesteś. O kowboju.

Jakie ma to znaczenie? Kell nie jest zainteresowany posiadłością. Chce tylko dowiedzieć się czegoś o swoim ojcu. Już mu się to udało, więc zapewne jutro wróci na Zachód. O ile już nie wyjechał.

Założę się, że Egbert nie był zachwycony, kiedy zjawił się Kell i zaczął tu myszkować. Biedactwo. Znam go od szkoły średniej. Już wtedy był podejrzliwy - przerwała jej rozmyślania Marta.

Egbert? Nie powiedziałabym - zaprotestowała Daisy. - Choć w jego zawodzie to pewnie zaleta.

Powiedz mi o nim coś więcej.

-Znasz go dłużej niż ja. - Daisy chodziła do szkoły średniej w Elizabeth City, które należało do sąsiedniego hrabstwa.

Nie o nim, słonko. O Kellu! Wiemy już, że jeździ por-sche, ma czarne włosy, niebieskie oczy i jest świetnie zbudowany. Sasha chciała założyć się ze mną, że do dzisiejszego wieczoru będziesz już go mieć w łóżku. I co? Jestem jej winna półmisek owoców morza?

Och, przestań! Jeśli tylko takie rzeczy was interesują, to zabieram książki i jadę do domu.

Nie miej sobie tego za złe, kochanie. Gdyby w domu czekało na mnie coś takiego, też bym się spieszyła.

Daisy musiała się roześmiać.

I ty zarzekałaś się, że nie chcesz mieć już do czynienia z mężczyznami?

Zaraz, zaraz. Zawsze mogę jeszcze raz złożyć taką przysięgę, prawda? Czy Faylene wspominała coś o środzie?

O kolacji? Nie. Ale jestem pewna, że coś podejrzewa.

Będzie miała swój wielki dzień. Zobaczysz. Zostaniesz jeszcze i pomożesz mi z tymi książkami?

Nie, dziękuję. Lepiej już pojedę. Daruj sobie ten uśmiezek. Zrobię kanapkę z masłem orzechowym, naleję szklankę mleka i wskoczę do łóżka. Żeby czytać -dodała za naciskiem.

Dobrze, dobrze. Kiedy będzie gotowe twoje mieszkanie?

Kto to wie? Teraz jest problem z grzybem.

-Słyszałam, że właściciel ma kupca na ten dom.

Te stare mieszkania wymagają kosztownego remontu, a ceny nieruchomości podskoczyły. Przypuszczam, że

podatki i koszty utrzymania pochłaniają cały dochód z wynajmu.

Nie było to całkiem od rzeczy.

To świetna wiadomość. Znów wiatr-w oczy.

Nie jesteś w tym osamotniona. Ja znów mam kłopoty z instalacją elektryczną. I nikt nie chce tu przyjść, żeby to naprawić albo chociaż podać szacunkowy koszt naprawy. Ostatni elektryk, który się zjawił, nawiasem mówiąc samotny i w miarę przystojny, więc już go wpisałam na naszą listę, otóż ten elektryk powiedział, że za żadne skarby świata nie dotknie się tej instalacji nawet w kombinie z izolacją.

Czy już ustaliłyście, kto wskaże Gusowi pudło, które powinien kupić na licytacji?

Sasha powiedziała, że to załatwi. Pokaż mi mężczyznę, który czegoś jej odmówi. To zalety bycia rudowłosa.

Lub posiadania nienagannej figury.

W kółko jej powtarzam, że jak nie porzuci kilku złych nawyków, to po czterdziestce nic z tego nie zostanie.

Daisy roześmiała się. Miała już zdecydowanie lepszy humor. Przyjaciele są bezcenni. A ona miała najlepsze przyjaciółki pod słońcem.

Dzięki za książki. Jak tylko przeczytam, to ci je oddam.

Nie przejmuj się. W końcu są używane. Tylko mi na nie nie rozlej tego swojego mleka, gdy koło drzwi będzie przechodził sama wiesz kto.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W domu Daisy wypła szklanę mleka i zjadła kilka krakersów. Do czasu powrotu Kella zdążyła przeczytać tę samą stronę trzy razy. Nim zgasła światło, za drzwiami rozległ się jego głos.

Daisy? - spytał miękko. - Już wróciłem. Zamknąłem drzwi frontowe i sprawdziłem wyjście na taras. Wszystko jest w porządku.

Myślałam, że już wyjechałeś.

Nie wyjechałbym bez pożegnania. Byłem na Outer Banks, tam gdzie tata łowił ryby.

Pewnie od tamtych czasów zmieniło się nie do poznania.

Pewnie tak. W lodówce jest kurczak. Czy mam coś z nim zrobić?

To już ostatni. Rozmraża się na aukcję charytatywną.

Aha. - Choć oddzielały ich solidne mahoniowe drzwi, jego głos poruszał każdy nerw jej ciała.

Kiedy wreszcie udało jej się zasnąć, śniła o Kellu. Miał na sobie wyłącznie kowbojskie buty i kapelusz. W jednej

sekundzie stał w kuchni z widelcem w rękę, a w drugiej galopował na białym rumaku z nią samą przerzuconą przez siodło.

Kiedy następnego ranka się obudziła, nie było go już w domu.

Dom, dzięki pomocy Faylene, był już niemal całkowicie wysprzątnięty. Zamrażarka wreszcie opustoszała i można było ją wyłączyć. Daisy wzięła prysznic i zabrała się do suszenia włosów. Przerwało jej pukanie do drzwi.

Daisy, jesteś tam? - usłyszała znajomy baryton.

O co chodzi? - Nie widziała go od poniedziałku, kiedy wrócił do domu rozentuzjasmowany znalezieniem szkolnych albumów.

Jadę do restauracji, w której sprzedają dania z grilla.

Przywieźć ci coś?

Nie, dziękuję. Dziś w pobliżu kościoła przy Water Street odbędzie się aukcja smakołyków przygotowanych przez miejscowe panie. Teren jest ogrodzony białym parkanem, z przodu jest parking, a z tyłu część przeznaczona na licytację i piknik. Możesz tam spróbować szczęścia.

Zaoszczędzisz sobie długiej drogi do restauracji Barco.

Aukcja smakołyków? Coś takiego widziałem jak dotąd wyłącznie na Broadwayu, w musicalu „Oklahoma”! Nie jestem zbyt dobrym tancerzem i nie mam głosu. Czy mimo to się nadaję?

Oczywiście. - Zapadła cisza. Ale Daisy czuła, że Kell nadal stoi za drzwiami. - Nie wiedziałam, że lubisz musicale z Broadwayu.

Ten musiałem zobaczyć z patriotycznego obowiązku. Przecież jestem z Oklahomy. A ty widziałaś coś na Broadwayu?

Nie zamierzała mu opowiadać, że była zbyt zajęta pilnowaniem dzieci, wyprowadzaniem psów, zmywaniem naczyń i uczęszczaniem na zajęcia, żeby poświęcać czas na coś bardziej rozrywkowego i oczywiście dużo bardziej kosztownego niż seans w kinie.

Wobec tego, mam nadzieję, że zobaczymy się później. Chyba że chcesz, żebym się już stąd wyniósł?

Wystarczy, jeśli wyjedziesz jutro - zawołała przez drzwi. Chciała, żeby zabrzmiało to rzeczowo, ale wypadło tak sobie.

Dobrze. Dziękuję. - Nadal stał pod drzwiami. - No to, do zobaczenia później. Baw się dobrze na pikniku - powiedział po dłuższej chwili.

Daisy opuściła ramiona. Miała kilka o wiele ciekawszych pomysłów na jego ostatnią noc w Muddy Landing. To, że jedno z nich ma spędzić ten wieczór na aukcji charytatywnej i pikniku, nie wydawało jej się najlepszym rozwiązaniem.

Trzymając w ręku lusterko, Faylene przejrzała się w dużym lustrze zawieszonym na drzwiach swojej ła-

zienki. Prawdę mówiąc, była rozczarowana włosami. Dużo bardziej podobała jej się fryzura w stylu Dolly Parton. Do takiego ideału dążyła od dawna, tyle że te rozjaśnienia zniszczyły jej końcówki włosów, więc jak już osiągnęła wymarzony kolor, nie miała dość włosów, żeby tak się uczesać.

Ale w końcu włosy odrosną, a pani Sasha zapewniała, że ta płukanka koloryzująca z łatwością się zmyje. Przynajmniej teraz nie będzie tak widać odrostów.

Spodnie, które wybrała jej pani Marta, leżały jak ulał, choć nie włożyła elastycznych rajstop przeciwzylakowych. Ale przecież nie potrzebowała rajstop, żeby zjeść kolację z nowym eleganckim znajomym. Domyślała się, co knują te przyjaciółeczki. Nie protestowała, bo jej to w zupełności odpowiadało.

Bob Ed na pewno się dowie o dzisiejszym wieczorze. Wreszcie dotrze do niego, że jak chce ruszyć w konkury, powinien się pospieszyć i stanąć w kolejce.

Zapinając brązowe skórzane buty, zastanawiała się nad listą potencjalnych kandydatów. Te dziewczyny były w tym tak zręczne, że jak już skojarzyły jakąś parę, wydawało się, że w ogóle nie maczały w tym palców. Całe szczęście, że nie wciągnęły jeszcze na listę Boba Eda.

Może jeszcze o tym nie wiedział, ale został już wybrany. Kiedy Faylene dojechała na miejsce, parking był już prawie pełny. Samochód pani Daisy stał na rogu. Zauwa-

żyła też obok minivanu pastora czerwony kabriolet pani Sashy

Bob Ed przyjechał ciężarówką, którą właściwie sam sklecił ze złomu. Ten mężczyzna potrafił zrobić wszystko, co tylko przyszło mu do głowy. Gdyby tak jeszcze przyszło mu do głowy się ożenić...

Przywitała się z kilkoma osobami. Uśmiechając się szeroko, starała się nie sprawiać wrażenia zbyt pewnej siebie, w nowym stroju i z tą fryzurą prosto z magazynu mody.

Wreszcie zauważyła panią Martę i zamachała do niej. Pozostałe dwie przyjaciółki stały przy wielkim stole zastawionym ładnie przybranymi koszami oraz pudłami i rozmawiały z licytатorem. Dostrzegła pudło z purpurową kokardą, które niby ona miała przygotować. Usiadła przy wolnym stoliku i rozejrzała się wokół. Muzyka ucichła. Zebrani przestali rozmawiać i zwrócili się w stronę prowadzącego licytację. Wziął do ręki pierwszy z koszy i zaczął trajkotać jak najęty. Obok jej stolika przeszedł nowy trener. Czyżby to jego umówiły dla niej dziewczyny?

Udawał, że jej nie zauważa. Ale przecież musiały mu powiedzieć, do kogo należy pudło z purpurową kokardą. Był nowy w mieście - nie znał wszystkich i kiedy Sara z banku pomachała do niego, przysiadł się do niej. Przykro mi, koleżanko, spóźniłaś się, pomyślała z zadowoleniem Faylene.

To właśnie wtedy pani Marta wstała i pospiesznym krokiem przeszła między stolikami. Faylene uniosła się z miejsca, żeby zobaczyć, do kogo tak się spieszyła. Uniosła brwi ze zdziwienia i szeroko otworzyła umalowane pomadką w odcieniu zmrożonej wiśni usta.

Gus Mathias?

Czy pani Marta mówiła coś ostatnio o problemach z samochodem? Kiedy mechanik samochodowy wskazał palcem na stół z koszami i pudłami, miała wrażenie, że pokazuje akurat na pudło z purpurową kokardą.

Spojrzał na stół, a potem wprost na stolik, przy którym siedziała Faylene. Pokręcił głową. Pani Marta zmarszczyła brwi i zamachała do swoich przyjaciółek. Ruszyły na odsiecz jak lwice, spoglądając to na Gusa, to na Faylene.

On zaś nadal potrząsał głową. A potem sobie poszedł, kurdupel z oponkami tłuszczu i obwisłym od piwa brzuchem. Przechodząc obok Faylene, pozdrowił ją skinieniem głowy i niezbyt wyraźnym: „Jak się masz”. Faylene odwróciła wzrok w stronę trzech kobiet, które dotąd uważała za swoje przyjaciółki. Trajkocząc, ruszyły niczym stado perliczek w jej stronę.

Wstała z całą godnością niezależnej samodzielnej kobiety, odwróciła się dumnie i odmaszerowała na parking tak szybko, jak tylko była w stanie. Gnały za nią, wołając, żeby się zatrzymała. Ale Faylene dopadła swojego samochodu, zatrzasnęła drzwi i ruszyła z piskiem opon.

Na światłach zrównała się z Gusem. „Dobrze ci to zrobi”, wymamrotała do siebie i, kiedy zerknął na nią, otworzyła okno i krzyknęła:

- Dobrze się przyjrzyj, draniu. Bo już nigdy nie będziesz mieć okazji znaleźć się tak blisko mnie!

Nie mogła uwierzyć, że uznały, iż nie stać jej na nic lepszego niż Gus Mathias! Niezłe przyjaciółki.

Kiedy Kell zajechał na przykościelny parking, dobrze mu znany samochód odjeżdżał właśnie z piskiem opon. Minął dziwną półciężarówkę, która nie była tak szybka jak samochód Faylene. Zamierzał wpaść do restauracji, a potem wykonać kilka telefonów do szkolnych kolegów taty. Ale nie mógł się na niczym skupić. Stale myślał o Daisy, o tym jak tuliła się do niego, a potem udawała, że nic się nie stało. On również starał się tak postępować. W końcu jednak musiał się poddać.

Zawsze spotykał się z wyrafinowanymi kobietami, które chciały dobrze się zabawić i nie interesowało ich nic poza przelotnym romanssem.

Daisy, bez makijażu, w przypadkowych domowych strojach, uśpiła jego czujność. Powinien cieszyć się z tego, czego się dowiedział o swojej rodzinie, i wyjechać już poprzedniego dnia.

Zbyt długo zwlekał. Zrobił rezerwację na jutrzejszy lot.

Zostawi samochód i przyleci po niego później, po załatwieniu spraw z Moxiem, Clarice i komendantem Taylorem.

W domu zastanowi się spokojnie nad tym, czy to, co zaszło między nim a Daisy, było jedynie krótkotrwałym iskrzeniem, czy też kryło się za tym coś poważnego.

O ile na samą myśl o „czymś poważnym” Kella przechodziły ciarki, to nigdy nie uciekał przed wyzwaniem. A Daisy, celowo lub nieświadomie, tym się właśnie dla niego stała.

Po południu, kiedy jeszcze mżył deszcz, widział, jak Daisy wynosi z kuchni kilka białych pudeł. Na wierzchu stało pudło z purpurową kokardą. Skoro został zaproszony, po co miał jechać tyle kilometrów do restauracji Barco, żeby coś zjeść, jeżeli w Muddy Landing nie brakowało tego wieczoru jedzenia?

Kiedy dojechał do kościoła, nie miał już wątpliwości. Był gotów wydać wszystkie pieniądze, byleby wykupić pudło z purpurową kokardą i spędzić ostatni wieczór w towarzystwie blondynki o szarych oczach, która pachniała różami i bekonem. To, co się później wydarzy, zależy już tylko od niej.

Od razu zauważył ją w tłumie. Stała obok rudowłosej i tej drugiej kobiety przypominającej Julię Roberts. Tyle że miała od niej większe oczy i mniejsze usta. Ruszył w ich stronę, ale wkrótce zmienił zamiar. Powinien poczekać, aż jego prawa do towarzyszenia jej podczas pik-

niku będą w pełni uzasadnione. Tymczasem postanowił nie spuszczać z oka purpurowej kokardy.

Licytator podnosił kolejne pudła i kosze, zachwalając znajdujące się w nich specjalne.

-No, dalej, George, wiesz, że ciasteczka krabowe panny Tilly są warte więcej niż pięć dolarów. Zdaje się, że w pudle jest też konfitura domowej roboty.

Po jakichś dziesięciu minutach licytator uniósł pudło z purpurową kokardą. Kell podniósł rękę w chwili, gdy znajomy głos zaproponował pięć dolarów.

Po drugiej stronie placu Daisy się złościła.

Tyle się napracowałam i wszystko na nic. A nie mówiłam, że to zwariowany pomysł?

Przestań. Wcześniej nam się udawało - przypomniała jej Marta.

Przynajmniej masz już czystą zamrażarkę, prawda? A to oznacza, że już niedługo będziesz mogła opuścić to mauzoleum.

To by się stało jeszcze szybciej, gdybym teraz pracowała. Ten wieczór to czysta strata czasu. Faylene nie marzy o mężczyźnie, tylko o tym, żeby mieć parę zdrowych nóg.

Nie zapominaj o fryzurze a la Dolly Parton - dodała Sasha.

I co z tego?

Pięć dolarów, czy słyszałem dziesięć? - dobiegł ledwo słyszalny głos licytatora.

Ktoś podał cenę siedmiu, ale poprzez krzyki bawiących się między stolikami dzieci trudno było coś usłyszeć. Skoro nie ma Gusa, pewnie nikt nie będzie chciał licytować - powiedziała Marta. - Lepiej podnieś rękę, Sasha. Dziesięć! - wykrzyknął jakiś inny głos, nim Sasha zdążyła zareagować.

Piętnaście - szybko nadeszła odpowiedź.

Ten głos brzmi... - zaczęła z wahaniem Daisy.

To bardzo wspaniałomyślnie z pana strony. Czy słyszę dwadzieścia?

Usłyszał dwadzieścia pięć, a zaraz potem trzydzieści pięć. Nie trzydzieści, ale trzydzieści pięć. Daisy starała się coś dojrzeć ponad głowami ludzi. Marta, najwyższa z nich trzech, wspięła się na palcach. Z trudem łapiąc oddech wyszeptała:

No cóż, nigdy nie wiadomo, może cała ta szopka nie jest jednak stratą czasu.

Słuchajcie, wiem, że wymyśliłyście to wszystko tylko po to, żeby mnie rozweselić. - Daisy wreszcie na to wpadła.

- To nie wasza wina, że się nie udało, ale skóro nie ma Faylene, to ten, kto kupi jej pudło, będzie musiał obyć się bez towarzystwa. Ja jadę do domu.

No dobrze, dałyśmy plamę. I co z tego? To nie pierwszy raz i pewnie nie ostatni. Jak inaczej trzy niegłupie kobiety mogą się zabawić w takim miejscu jak Muddy

Landing? To jeszcze nie znaczy, że mamy skreślić Gusa. Prędzej czy później nam się przyda. Trzeba tylko będzie znaleźć dla niego kogoś młodszego.

Jeśli zdaniem Gusa Faylene była za stara, to nie minie wiele czasu, a ktoś powie tak o mnie, pomyślała Daisy. Co on właściwie sobie myślał? Że niby z kim go umawiamy? Z Madonną? - powiedziała z goryczą.

Za stara. Raczej z Britney Spears.

Słuchajcie, nie gniewajcie się, ale ja jadę do domu. Zjem miskę płatków, wypiję resztę wina i się położę. Możecie usiąść do kolacji w towarzystwie tego kogoś, kto w końcu kupi pudło Faylene. Wytłumaczycie, że z jakichś powodów nie mogła tu zostać.

Daisy wzięła do ręki sweter i torebkę i już zbierała się do wyjścia, gdy rozległ się triumfalny głos licytatora:

Sprzedane! Pudło kupił dżentelmen w czarnej koszulce za kwotę stu dolarów! Wszyscy święci!

Sto dolarów? Kto taki, u licha...? - Sasha otworzyła usta ze zdziwienia. Wspięła się na parkan, oparła ręce o ramiona Marty i rozejrzała się nad głowami zebranych.

Daisy zakryła usta dłonią, kiedy nagle dotarło do niej, kto to był. Choć bardzo się przed tym broniła, jednak rozpoznała ten głos. Teraz kątem oka dostrzegła swojego kowboja. Stał tak jak w dniu, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Szeroko rozstawił nogi, ręce założył na pier-

siach. Miał spojrzenie człowieka, który świetnie wie, czego chce, i nie zamierza odejść z pustymi rękami. Przybyłem, zobaczyłem, więc do diabła - zwyciężyłem. Tym razem zamiast kropel deszczu na jego policzkach tańczyły promienie słońca.

-Boże, miej mnie w swojej opiece, toż to twój kowboj! - Sasha zeszła z ogrodzenia. - Czy mamy go zaprosić do stołu?

Daisy odwróciła wzrok od Kella, który przebijał się właśnie przez tłum, zmierzając w stronę licytatora. Zauważyła wtedy inną znajomą postać, oddalającą się w kierunku parkingu.

Egbert? - powiedziała cicho do samej siebie. - Och, tylko nie to! Na litość boską, czy dziś wszystko musi iść na opak?

Jak sądzisz, kto się z nim licytował? Już czas wciągnąć Egberta na listę. Wyraźnie okres żałoby ma za sobą - zauważyła Marta.

To już prawie rok - powiedziała Sasha. - Zresztą słyszałam, że jego żona tuż przed tym, jak zachorowała, chciała od niego odejść. Sara z banku mówiła, że...

Och, przestań wreszcie! - Nagle ta ich zabawa przestała się Daisy podobać.

Za późno. Już kogoś dla niego mam - powiedziała Marta.

- Znasz Carrie Stovall? Mieszkała z takim jednym facetem, ale okazało się, że on ma żonę w Suffolk,

z którą nie jest nawet rozwiedziony. Carrie dobrze zrobi ktoś mocno stabilny.

No, tego Egbertowi nie można odmówić - odparła Sasha, unosząc cienką podmalowaną brew. - Niewiele brakuje, a wypuści korzenie i jego północna strona po-rośnie mchem.

A może Daisy ma jakieś lekarstwo na śmiertelną powagę Egberta? Co ty na to, kochanie? Masz ochotę wypróbować na nim swoje umiejętności?

Przyjaciółki trajkotały w dobrej wierze, ale Daisy miała ochotę albo się rozplakać, albo coś kopnąć. I pomyśleć, że mogła zjeść z nim kolację. To byłby pierwszy krok na drodze do realizacji jej planów.

Witamy - zaszczębiotała Sasha na widok Kella. Kiedy Daisy spojrzała na niego, dodała: - Nie przejmuj się nią. Dziś wstała lewą nogą.

Wiesz co, Sasha? Jesteś jedyną kobietą pod słońcem, która mogła tak się wystroić na kościelną aukcję charytatywną. - Daisy miała już naprawdę dość tego wszystkiego.

Kochanie, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, jestem jedyną kobietą w tym mieście, która ma jakieś rozeznanie w sprawach mody.

Z którą z uroczych dam mam przyjemność zjeść dziś kolację? - spytał Kell. Patrzył przy tym wprost na Daisy, która celowo unikała jego wzroku.

Och, mój Boże. Marta, czy ty to słyszysz? Nie dość,

że ma zabójczy głos, to jeszcze jakie maniery - wyszeptała Sasha. - Wpada na Daisy, ale jeśli ona cię nie doceni, to pamiętaj, siedzimy przy tamtym stoliku, na rogu, obok magnolii. Prawda, Marto? - Szturchnęła lekko przyjaciółkę. - Ach tak? Och, oczywiście.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Otacza mnie tyle przyzwoitek, pocieszała się Daisy, że w tych warunkach nie popełnię niczego niestosownego. Muszę tylko zachować się rozsądnie przez jakąś godzinę, nie dłużej. Potem on sobie odjedzie, a ja będę mogła zająć się wyprowadzaniem sytuacji na prostą. Przynajmniej teraz wiem, że Egbert się mną interesuje.

Daisy? - Kell przyglądał się jej badawczo. W kąciку jego ust błąkał się zagadkowy uśmiech.

Proszę bardzo - odparła.

Za kilka tygodni zapomni o Kellu Magee i będzie na dobrej drodze do zdobycia Egberta, to znaczy jego serca, a jeśli nie, to przynajmniej głębokiej przyjaźni, która stanowi najlepszą podstawę udanego małżeństwa.

Jeśli popełniłem błąd i pokrzyżowałem ci plany, to przepraszam. Mogę sobie pójść, a ty dołączysz do przyjaciółek.

Przepraszam. Chodzi o to, że sama nie wiem... Chyba jestem zmęczona tym porządkowaniem. Chcę jak najszybciej zamknąć dom, a na dodatek wygląda na to, że moje mieszkanie zostanie cichaczem sprzedane. Dlaczego ja ci to wszystko mówię?

-Może dlatego, że musisz się rozładować, a tak się składa, że ja jestem większy niż obie twoje przyjaciółki razem wzięte?

Uspokoila się.

Znajdźmy jakieś spokojne miejsce z dala od bawiących się dzieci.

Proszę, prowadź. - Kell podał jej ramię i ruszyli w stronę stolika z widokiem na rzekę.

Ależ on się poruszał! Jakby każda część jego ciała była świetnie naoliwiona.

Sto dolarów! Za zwykły kawałek smażonego kurczaka przewiązany purpurową kokardą? Żałowała teraz, że nie śledziła z większą uwagą licytacji. Ciekawe, jak bardzo Egbert się starał podbić cenę? Miał opinię szanowanego obywatela. Zawsze kupował ciasteczka od skautek, a potem je rozdawał, bo sam miał alergię na mąkę. A niech to: przecież mąka jest w placuszki kukurydzianych, a także w panierce kurczaka. I oczywiście zawiera ją spód placka czekoladowego i domowe bułeczki w kształcie koniczynek. Właściwie dobrze się stało. Gdyby Egbert wygrał licytację, nie mógłby niczego zjeść z jej pudła. To dopiero byłaby kłopotliwa sytuacja.

Już nie mogę doczekać się kolacji. Ostatni twój kurczak był wyśmienity - powiedział Kell. - Czy ten stolik ci odpowiada?

Tak, jest świetny, o ile oczywiście nie przeszkadza ci sąsiedztwo nagrobków. - Miała ochotę powiedzieć mu,

żeby przestał zachowywać się aż tak przyzwoicie. Jak mężczyzna robiący wrażenie niewinnego chłopca może być równocześnie zabójczo pociągający?

Nie wierzę w duchy. A ty?

Ja w ogóle już nie wiem, w co mam wierzyć - powiedziała cicho.

Przed ich oczami roztaczał się widok jak z pocztówki. W rzecze odbijały się ostatnie promienie słońca. Nieregularna linia mrocznych bagien wyznaczała brzeg rzeki, a na tle nieba rysowały się strzeliste kontury cyprysów. Daisy spojrzała na jego profil. Miał zgrabny, proporcjonalny nos, z wyraźnie zarysowanym garbkiem, który pasował do jego charakteru, i ładny wykrój ust. Odwróciła wzrok.

Kiedy Kell wyjął z kieszeni chustkę i oczyścił ławkę z liści i ciemnoczerwonych jagód, które spadły z drzewa, stwierdziła, że jest zbyt idealny, aby być prawdziwym. Wiesz chyba, że to miało być pudło Faylene i Gu-sa? - Wskazała na ładny karton po torcie z miejscowej cukierni. - Jest na nim imię Faylene. Gus Mathias miał je wykupić.

Tak sądziłem. Kiedy podjechałem na parking, odjeżdżała z piskiem opon. Nie wyglądała na zadowoloną.

Pewnie myślisz, że wściubiamy nos w nie swoje sprawy. - Tak rzeczywiście było, ale przecież przyświecały im jak najlepsze intencje. - Chodzi o to, że jeśli wydaje nam się, że możemy uszczęśliwić kogoś, kogo lubimy,

to staramy się to zrobić. To prawda, że dobrze się bawimy kojarzeniem par. Ale w takich miejscach jak Muddy Landing nie ma zbyt wielu możliwości spędzania wolnego czasu. Chyba że ktoś lubi polować, łowić ryby albo grać w bingo.

A ty, jak rozumiem, tego nie lubisz. A mężczyźni? Są tacy, jak myślę? Tak? - Wziął do ręki bułeczkę i powąchał ją, przytykając oczy.

To zwykle drożdżowe bułeczki.

Ejże. Moim zdaniem bułeczki domowej roboty nigdy nie są zwyczajne. - W jego ustach powszedni chleb stawał się czymś gorącym i godnym pożądania.

Bułki ze sklepu są równie dobre. Po prostu staram się zużyć wszystkie zapasy. Nie lubię wyrzucać drożdży i mąki.

Kell odgryzł kawałek bułki i zajrzał do pudła.

O rany! To chyba ciasto czekoladowe? A więc to takie specjały przygotowałaś dla Faylene i tego... jak mu tam, który uciekł. Wszystko wskazuje na to, że jego strata jest moją wygraną.

To tylko placek, a nie ciasto. Kell, naprawdę jestem bardzo zakłopotana tym, że dałeś tyle za kawałek starego kurczaka, takiego jak te, które jadłeś już wcześniej.

Ugryzł kawałek placuszka.

O rany! Ależ to dobre. Przecież nie musiałem. I tak planowałem coś zjeść, więc zamiast jechać tak daleko...

No dobrze, ale za sto dolarów?

-Blalock podbił stawkę do pięćdziesięciu pięciu. Nie chciało mi się przeciągać tej gry.

Nie miała wątpliwości, że Kell jest świetnym graczem. Lecz Egbert? Nigdy nie podejrzewała, że byłby skłonny rywalizować o nią. Ale w końcu był mężczyzną. Dla niektórych to sposób na przeżycie, pozostałość z epoki kamienia, kiedy wygrywał ten, który miał większą maczugę.

Gdzie nauczyłaś się tak świetnie gotować? - Kell spróbował placka czekoladowego i rozmarzony przymknął oczy. - Nie mów, że uczą piec takie ciasta w szkole pielęgniarstwa.

Miałam zajęcia z zasad żywienia, ale wcześniej pomagałam w kawiarni. Kobiety, które tam pracowały, piekły pyszne rzeczy. A jak było z tobą?

Chcesz wiedzieć, gdzie nauczyłem się gotować? -Kell posłał jej przekorny uśmiech. Nagle uświadomiła sobie, że w ogóle nie czuje zmęczenia.

Faylene powiedziała, że grałeś w baseball. W jakiej grasz drużynie? Mogłam o nich słyszeć?

Grałem. To już przeszłość. W drużynie z Houston. Dlaczego pytasz? Jesteś kibicem?

Nie. Nigdy nie zajmowałam się sportem. Nie miałam na to czasu. Ale jak to się zaczęło? Czy nie odszedłeś za wcześniej? Teraz masz pewnie sklep z artykułami sportowymi? - Daisy uznała, że dopóki będą rozmawiać, łatwiej jej przyjdzie zachować dystans.

Mówili o sporcie, dorastaniu w małym miasteczku,

a potem o dokonywaniu życiowych wyborów, między innymi o tym, czy lepiej samemu wybrać sobie zawód, czy raczej pozwolić, aby ktoś podjął decyzję za nas. Kiedy doszli do deseru i Daisy podała mu porcję czekoladowo-rumowego placka z wiórkami kokosowymi i włoskimi orzechami, czuła się tak wspaniale, że zupełnie już zapomniała o swoim wcześniejszym rozgoryczeniu.

Opowiadała mu właśnie o jednej ze swych pacjentek, która w czasie drugiej wojny światowej służyła w Straży Przybrzeżnej, kiedy zauważyła, że Kell wypatruje czegoś na brzegu rzeki. Słońce już zaszło, wieczorna zorza kładła lawendowe cienie na omszałych cmentarnych nagrobkach.

Daisy obejrzała się, ale niczego nie dostrzegła. Kell nagle wstał i ruszył w stronę rzeki.

Kell? O co chodzi? - po chwili wahania Daisy pobiegła za nim. Ojej, żeby to tylko nie było dziecko! Ale przecież usłyszeliby plusk wody. - Kell?

Mam cię! - Schylił się i zaraz zawrócił, trzymając w obu dłoniach coś okrągłego i ciemnego.

-Żółw?

-Obserwowałem go już od dłuższego czasu. Nie wiem zbyt wiele o tych stworzeniach, ale ten sprawiał wrażenie zagubionego. Bez przerwy na coś wpadał.

Później Daisy uświadomiła sobie, że to właśnie wtedy się w nim zakochała. Wszystko przez małego żółtorzu-chego żółwia. Kell dobrowolnie poświęcił cały wieczór,

żeby pomóc temu biedactwu. Zastanawiała się, czy Eg-berk też by tak postąpił. Czy w ogóle zauważyłby tę maleńką ślepą istotę?

Upłynęły niemal trzy godziny, nim ruszyli w drogę powrotną do Muddy Landing. Zółtobrzuchego zółtwa z infekcją oczu i poważnymi objawami niedożywienia zostawili w domu emerytowanego weterynarza z Elizabeth City.

-Miło jest robić takie rzeczy, prawda? - powiedział Kell, gdy skręcali na autostradę numer 34 przy Bellcross.

Daisy przytaknęła. Ogarniała ją przemożna senność.

-Całe szczęście, że znasz tego weterynarza. Mówił, że opiekowałaś się zwierzętami domowymi jego klientów.

Daisy znów przytaknęła.

-Jest ci zimno? - Kell włączył ogrzewanie.

Owiał ją strumień ciepłego powietrza. Po zachodzie słońca zawsze gwałtownie spadała temperatura.

Jechał szybko, zapewne powyżej dozwolonej prędkości, ale Daisy było tak dobrze, że nie miała ochoty składać zażaleń. Tym bardziej że Kell włączył muzykę, która teraz kołysała ją do snu. Podała się i przymknęła oczy.

Kiedy się ocknęła, Kell wynosił ją na rękach z samochodu. Natychmiast oprzytomniała i zaczęła protestować.

Przezań. Nie jesteś w stanie pokonać tych schodów.

Ale co się dzieje? Gdzie my jesteśmy? Kell, postaw mnie na ziemi.

-A dlaczego miałbym to zrobić?

Rozejrzała się wokół i zobaczyła znajome zarysy domu.

Pozwól chociaż, że wyjmę klucz - wymamrotała niewyraźnie.

Już go mam.

Jak to? Jest w mojej portmonetce.

A co z moim samochodem, pomyślała Daisy. Dobry

Boże, zostawiłam go na parkingu.

Daisy, uspokój się. Nie ruszałem twoich rzeczy, tylko wyjąłem klucz.

Ale mój samochód... Powinieneś mnie odwiedzić...

Twój samochód jest na pewno bezpieczny na parkingu.

Jutro go odbierzemy.

Najwyraźniej na trasie pomiędzy Elizabeth City a

Mud-dy Landing straciła wolną wolę, hart ducha i resztki zdrowego rozsądku.

Jesteś wykończona, prawda? Chcesz się od razu położyć, czy najpierw wypijesz filiżankę czegoś ciepłego?

Położę się - wymamrotała. - Albo nie... - Przed oczami stanął jej widok nagiej pary popijającej wino, a potem rzucającej się do łóżka.

Szybko zamknęła oczy, ale nic to nie dało, więc znów je otworzyła. W przyćmionym świetle jego twarz wyglądała jak wyciosana ze szlachetnego drewna i gładko wypolerowana.

-Może napiję się mleka - powiedziała w przypiływie desperacji.

Doskonale. Ciepłe czy zimne?

Ty zdecyduj. Ja nie jestem w stanie myśleć. - Była już teraz całkiem rozbudzona. Emocjonalnie zdezorientowana, fizycznie wyczerpana, ale rozbudzona.

A zatem kakao. Ja się tym zajmę, a ty przygotuj się do snu.

Stała jak słup soli. Miała ochotę powiedzieć: „Zostawmy kakao i chodźmy do łóżka”, ale zamiast tego odparła:

Kakao już się skończyło.

Coś wymyślę. A ty weź prysznic i się przebierz.

Kell odprowadził ją wzrokiem. Przez ostatnie dwadzieścia pięć minut w samochodzie spała słodkim snem.

Miał ochotę zatrzymać się przy drodze i pocałować ją, ale oparł się pokusie. Była taka wyczerpana. Znalazł resztkę kakao i, nie zastanawiając się zbyt długo, zago-tował mleko, dodał do niego cukier i wsypał kakao. Cały czas nasłuchiwał odgłosów. Jeśli wyjdzie z łazienki i zaśnie, nim zdąży przygotować kakao, będzie musiał ją obudzić. Tak czy inaczej, zamierzał spędzić z nią jeszcze chwilę, nim odjedzie. Nawet jeśli miałyby to ograniczyć się tylko do wspólnego wypicia kakao.

Usłyszał lekkie trzaśnięcie drzwi.

Daisy? Zaraz będzie gotowe.

Będę w bibliotece.

No proszę! Nie miała do niego tyle zaufania, aby za-prosić go do sypialni. Sprytna dziewczyna.

Daisy sypiała w nylonowej koszuli nie z kokieterii,

lecz z powodów praktycznych. Często miała niespokojny sen, a wówczas bawełniane piżamy określały się wokół niej w nieprzyjemny sposób. Owinęła się szczelnie wyblakłym różowym szlafrokiem. Dwukrotnie przewiązała go w talii i ruszyła do biblioteki.

-Wygląda na to, że wuj Harvey miał różnorodne zainteresowania. - Kell stał przy półkach z książkami. Na stoliku stały kubki z kakao, które wypełniło całe pomieszczenie intensywnym zapachem.

Potrzebowała dobrej chwili, żeby zareagować na jego słowa. Choć stał tyłem, przypominał jej wielkiego senego kocura, który zastanawia się, czy ruszyć do ataku.

-Przynajmniej tak się wydaje, sądząc po tytułach.

Po tytułach? Ach, chodzi o książki. Zaczynij myśleć, kobieto!, skarciła się.

To prawda. To najbardziej mi się w nim podobało. Był wszystkiego ciekaw. - W duchu modliła się, żeby przestał na nią patrzeć takim wzrokiem.

Astronomia, geologia, historia. A co to jest numizmatyka?

Chodzi o monety. Czy Egbert nie powiedział ci, że Harvey miał kolekcję monet, którą zostawił w spadku Faylene? Okazało się, że jej wartość nie była wysoka, ale i tak był to z jego strony ładny gest. Pracowała u niego przez czternaście lat, choć kiedy pozamykał większość pokoi, przychodziła już tylko dwa, trzy razy w tygodniu.

Daisy uświadomiła sobie, że plecie jak najęta. Powinna była pójść prosto do łóżka i nie ruszać się z niego do czasu nadejścia dającej się przewidzieć przyszłości, a przynajmniej do chwili wyjazdu Kella.

-To wspaniale. - Kell podał jej kubek z kakao. - Mam wrażenie, że ona jest świetnym pracownikiem. Dobrze, że wuj Harvey ją doceniał. Wypij, zanim wystygnie, wszystkie składniki wrzuciłem na oko.

-Mam nadzieję, że tym razem nie dodałeś chrzanu. Zaśmiał się. A Daisy mimo woli spojrzała na jego usta. Pełne, równo wykrojone wargi, kąciki lekko uniesione.

-Pomyślałam, że powinieneś o tym wiedzieć. To zna czy o monetach. Nie wiem, ile powiedział ci Egbert, ale głównym beneficjentem jest Towarzystwo Historyczne. Dostaną dom z termitami i całą resztą. Nie wiem co z meblami. Może będą mogli je sprzedać, żeby zdobyć fundusze na remont.

Kell nie spuszczał z oczu jej warg. Wypił łyk kakao, skrzywił się i odstawił kubek na tacę.

Nie jest za dobre. Nie musisz tego pić.

Mnie smakuje.

Wyjął kubek z jej dłoni, odstawił, a potem położył palec na jej wargach. Daisy z trudem przełknęła ślinę. Nie była w stanie odwrócić wzroku. Powiedział coś o czekoladzie i przysunął się bliżej. Przymknęła oczy.

Smak gorzkiej czekolady wzmocnił doznania. Pocałunek był uwodzicielski, miękki, ciepły i wilgotny. Dotknął

kącika jej ust, wodził językiem po wargach, a potem zaczął pracować nad tym, by pozbyła się resztek oporu. Kell starał się nie spieszyć. Nie chciał jej wystraszyć. Gdyby uciekła i zatrzasnęła za sobą drzwi sypialni, to oznaczałoby koniec. Cokolwiek miało się wydarzyć, musiał mieć na to jej przyzwolenie.

Pragnął jej tak bardzo, że drżały mu ręce. Pomimo tylu doświadczeń z kobietami nigdy nie spotkał kogoś takiego jak Daisy Hunter. Nigdy nie starała się go uwieść. Nie wkładała ponętnych strojów, nie malowała się. Ona nawet nie używała perfum, tylko tego balsamu, który wcierała w dłonie i ramiona. Była taka prawdziwa. I na dodatek przez całe życie poświęcała się opiece nad innymi.

Kiedy ostatnio ktoś się nią zaopiekował? Czy miała kogoś, kto podałby jej gorące kakao, kiedy była zmęczona? Dopilnował, żeby wypoczęła? Kogoś, kto opatrzyłby jej rany, wyręczał ją w ciężkich pracach i trzymał w ramionach podczas snu?

Fakt, że on sam miał ochotę robić to wszystko, a w szczególności to ostatnie, był doprawdy przerażający. Przez ostatnie dwadzieścia lat poznał wiele kobiet, ale nigdy nie czuł czegoś takiego jak teraz.

Miał ochotę dowiedzieć się o niej wszystkiego, począwszy od tego, jaka była jako dziewczynka, a skończywszy na tym, jaka będzie, gdy te mimiczne zmarszczki pogłębią się i pomnożą, a jej włosy staną się bardziej siwe niż jasne.

Jakby tego było jeszcze nie dość, przyłapał się na tym, że chciałby wiedzieć, co ona myśli o dzieciach.

I co czuje do niego.

Ale na to wszystko nadejdzie jeszcze właściwy czas.

Ponieważ teraz pragnął jednej tylko rzeczy. Miał nadzieję, że ona również.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Sofa była zbyt wąska jak na to, co chodziło mu po głowie, ale przecież na parterze znajdował się pokój ze świetnym łóżkiem. Daisy przeniosła się do niego, kiedy posprzątała już pierwsze piętro.

-Czy możemy przenieść się do ciebie? - spytał.

Pomyślał, że pokonanie dzielącej ich od sypialni drogi dobrze mu zrobi. Ochłonie i będzie mógł lepiej wywiązać się z zadania. Nigdy przedtem w tych sprawach nie przeszkadzał mu pośpiech, ale nigdy też nie kochał się z taką kobietą jak Daisy.

Tak - wyszeptła, z ociąganiem odsuwając się od niego. Dogonię cię. - Do diabła, nie był pewien, czy jest w stanie się czołgać, a co dopiero biegać. W drzwiach przystanęli i znów zaczęli się całować.

Miała na sobie puszysty szlafrok, a pod nim cienką nylonową koszulę. Jeśli sądziła, że zawiązany na solidny węzeł pasek przed czymś ją uchroni, grubo się myliła. Najwyraźniej jednak tak nie było, bo sama go rozwiązała. Szlafrok opadł na podłogę.

-Nie mogę uwierzyć, że tak się denerwuję - wyszeptwała, śmiejąc się nerwowo.

Niepewnymi dłońmi uniósł jej koszulę i ściągnął przez głowę. Została w samej bieliznie, a właściwie dolnej jej części. Nie były to żadne wymyślne wysoko wycięte majtki ani żadne biodrówki, ani tym bardziej stringi, tylko najzwyczajniejsze proste białe majteczki.

Kell próbował uspokoić oddech. Ściągnął z siebie koszulkę i rozpiął pasek.

-Nie mogę w to uwierzyć. To znaczy, nigdy bym nie przypuszczał, że... - wyrzucił z siebie, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Odwracając twarz, przysiadła na brzegu łóżka.

-W co nie możesz uwierzyć? Czego nie przypuszczałeś?

Próbował ściągnąć spodnie, ale zapomniał o butach i w efekcie zaczął podskakiwać na jednej nodze.

Nie pamiętam już, o czym mówiłem. - Kell Magee, mężczyzna, który przez dwa lata z rzędu był najbardziej wartościowym zawodnikiem, obleganym przez niezliczone rzesze fanek, denerwował się w obecności tej kobiety.

Podoba mi się twoja bielizna - powiedział, po czym uderzył się w czoło. - Rany! Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałem!

Daisy roześmiała się, wstała i zsunęła swoje zwykłe białe bawełniane majtki. Bez żadnych gier, póz i zerka-

nia, czy podoba mu się ten widok. Po prostu zsunęła je, a potem odrzuciła na wiklinowy kosz.

Miała ładnie zaokrąglone biodra, wąską talię i płaski brzuch. A także piegi na dekolcie, małe piersi i nierówną opaleniznę. Zapewne dlatego, że opalała się, pracując w ogrodzie.

A jednak Kell nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek, nawet w barach, w których taniec erotyczny był na porządku dziennym, widział coś równie pociągającego. Jeszcze parę dni temu, gdyby miał wymienić cechy kobiety idealnej, byłoby jasne, że Daisy w ogóle nie spełnia tych warunków. A mimo to wszystko w niej było doskonałe. Czuł się tak, jakby odnalazł istotną część samego siebie, o której istnieniu nawet nie wiedział.

Zamiast ułożyć się na poduszkach w ponętnej pozie, usiadła zwyczajnie na łóżku i zaczęła mu się przyglądać. Sprawiała, że poczuł dumę i zarazem zakłopotanie.

-Nie... nie zamierzasz chyba zmienić zdania? - spytał zaniepokojony i zaraz pożałował tych słów. Co się ze mną dzieje?

Nie spuszczać wzroku z jego nagiej umięśnionej klatki piersiowej, powiedziała:

-Nie. Są w szufladzie, przy łóżku.

Jego znajdowały się w portfelu na podłodze.

-Daisy, jesteś tego pewna? To znaczy... nie musimy tego robić. W tych wszystkich opowieściach o seksie nie ma wiele prawdy. To tylko...

- Wiem o tym, Kell. Wiem wszystko, co należy wiedzieć o seksie, ale od dawna tego nie robiłam. Proszę, nie spodziewaj się zbyt wiele. Nigdy nie byłam w tym za dobra. Zaklął w duchu. Jak to możliwe, żeby tak atrakcyjnej kobiecie przyszło coś takiego do głowy? I żeby jeszcze wypowiedziała to na głos? Jakiś osioł i zarazem impotent musiał celowo obwiniać ją za własne porażki.

Wsunął dłonie pod jej nogi i ramiona i przesunął ją delikatnie tak, żeby móc położyć się obok. Potem nachylił się nad nią i odgarnął jej włosy z twarzy.

Powtarzał sobie, że musi zachować spokój i nie ponaglać jej.

Ale, choć bardzo się starał, czuł, że w końcu to się stanie szybko i gwałtownie. Przynajmniej za pierwszym razem.

Stosując wszystkie posiadane w tej dziedzinie umiejętności z czułością, o jaką by siebie nie posądzał, rozpoczął poszukiwania wrażliwych punktów jej ciała. Zaczął od zaróżowionych płatków uszu, całował ją coraz niżej, aż dotarł do zagłębienia szyi, a później do jej ramion. Całował ich wewnętrzną stronę, miejsce pod łokciem, z błękitnymi żyłkami, którymi płynęła krew do jej dłoni. Delikatnie kęsając, smakował jej ciało, wspiał się znów wyżej do pleców, a potem zsunął się ku pachnącym różami wzgórzom jej piersi.

Były niezwykle wrażliwe na pieszczoty, podobnie

zresztą jak miejsce wokół jej pępka, a także ciemny wzgórek poniżej.

Kiedy ją tam całował, łapała gwałtownie oddech, aż wreszcie wyrzuciła z siebie:

-Teraz moja kolej.

Kell pomyślał, że to jest najlepszy pomysł. Czuł, że znajduje się na granicy, ale posłusznie usłuchał. Leżał nieruchomo, pozwalając jej na wszelkie pieścizoty. Jej zapach drażnił nozdrza. Najpierw dotknęła jego torsu, sutków, potem wolno przesuwała palcem wzdłuż ciemnej linii włosów, prowadzącej na południe aż do równika. Jej palce błądziły w tej okolicy, a koniuszek języka drażnił sutki. Miał wrażenie, że jeszcze chwila, a eksploduje. Im bardziej zbliżała się do bieguna południowego, tym bardziej się usztywniał. Miał krótki, urywany oddech i czuł, że dłużej tego nie zniesie.

Napięty niczym cięciwa łuku, uniósł ją w górę, położył na wznak i spojrzał wprost w jej oczy. Jej serce biło jak oszalałe. Już sam zapach jej ciała doprowadzał go do szaleństwa. Drżał cały. To musiało być doskonale, nawet jeśli miał w nieskończoność się powstrzymać.

Twarz Daisy zaróżowiła się, oczy pociemniały i roz błysły w mroku, gdy rozpoczęła najbardziej głębokie eksploracje nieznanymi obszarów.

-Proszę... - wyszeptwała.

Odwlekał w nieskończoność to, co i tak musiało się w końcu stać. Postanowił choć raz zachować się niesa-

molubnie i wykorzystać swoje doświadczenie, żeby doprowadzić ją do szaleństwa. Dopiero gdy uniosła biodra w górę i wbiła paznokcie w jego plecy, jego dobrowolnie zaciągnięte hamulce nie wytrzymały.

Kiedy już zaczął, wystarczyło zaledwie kilka ruchów. Wkrótce leżeli, drżąc i łapiąc powietrze, a ich ciała obmywała fala niezwyklej rozkoszy.

Całe lata świetlne później, kiedy Daisy znów mogła jasno myśleć, uświadomiła sobie, że to pierwsze zbliżenie było absolutnie cudowne. Jej własna wiedza, to, co przeczytała w prasie kobiecej oraz dowiedziała się ze szczyrych babskich rozmów, potwierdzały, że mężczyźni dążą najpierw do własnej przyjemności. Dopiero po jej zaspokojeniu, jeśli mają dość umiejętności oraz dobrej woli i o ile nie zapadli w sen, zajmują się partnerką.

Daisy dryfowała wśród łagodnych oparów pachnącego miłością mroku, stopniowo dochodząc do wniosku, że to co się przed chwilą stało, było zrzędzeniem losu. Nigdy nie była zabobonna. Z pewnością nie wierzyła w żadne idee New Age'u. A mimo to, kiedy o tym myślała, coś nie dawało jej spokoju.

Przyczyna czy skutek? Najpierw, mając do wyboru trzech pacjentów, wybrała Harveya. Potem dom, w którym znajdowało się jej mieszkanie, ucierpiał wskutek huraganu. Dlatego się tu przeprowadziła. Czyż to nie było zrzędzenie losu? A może jednak był to zwykły przypadek?

A potem zjawił się Kell.

Och, tak, na jej ustach pojawił się rozmarzony uśmiech, kiedy spojrzała na twarz leżącego obok niej mężczyzny. Nawet w mroku wyglądał tak, jakby znała go od dawna. Tylko przez te wszystkie lata nie wiedziała, gdzie go szukać.

Tymczasem on znalazł ją.

Czy mówiłem ci już, że jesteś piękna? - wyszeptał, nie otwierając oczu.

Nie przesadzaj, Magee. Mogę się zgodzić, że wyglądam całkiem nieźle, ale nic więcej. - Daisy chciała przyjąć zblazowany ton, ale chybiła o kilometr.

Niech będzie. Wobec tego jesteś najbardziej całkiem nieźle wyglądającą kobietą, jaką kiedykolwiek miałem przyjemność poznać, a były ich setki.

Pomimo wyczerpania Daisy nie mogła traktować tego inaczej niż delikatne, przyjacielskie przekomarzenie, które miało na celu rozwianie jej obaw. Zupełnie tak, jakby wiedział o bolesnych uwagach, na jakie pozwalał sobie Jerry, kiedy starał się z nią pośpiesznie kochać. Po prostu nie było w tym miłości, ale wtedy jeszcze Daisy nie zdawała sobie z tego sprawy.

Była tak bardzo zakochana. Od stóp do głów zakochana w mężczyźnie, który był tu dziś, a jutro zniknie. Mężczyźnie, którego tembr głosu sprawiał, że cała stawała w ogniu. Nic nie zostało z jej wspaniałych planów na przyszłość.

Kell przekręcił się na bok i wtulił twarz w jej szyję. Ułożył ją wygodnie, po czym znów zaczął się z nią kočać.

Kell otworzył oczy. Leżał w ciemnościach i zastanawiał się, dlaczego jest mu tak zimno w plecy. Dai-sy owinęła się szczelnie kołdrą, a on nie zamierzał jej budzić. Marzył, nogi zwisały mu z łóżka, a prawa ręka zdrętwiała.

Pomijając te drobne niewygody, obok leżała ciepła, słodka kobieta, obejmowała go ramieniem i pachniała miłością oraz różami. Miał na nią ogromną ochotę.

Naprawdę znów bardzo jej pragnął.

Ale cztery razy w ciągu kilku godzin, to za dużo nawet jak na niego. Nie to, żeby się starzał, tylko potrzebował odrobiny snu, nim będzie mógł zająć się czymś bardziej forsującym niż wylegiwanie się w łóżku i wymyślanie wymówek, które pozwoliłyby mu wywikłać się z kilku zobowiązań.

Miał swoje wady, więcej nawet, niżby sobie życzył, ale niechęć do powrotu do swojego świata do nich nie należała.

Jego zegarek jasno wskazywał na to, że był już czwartek. A on przed wyjazdem powinien jeszcze zajrzeć do Blacklocka. Zamierzał wrócić na tyle wcześnie, żeby mieć dość czasu na długą rozmowę z komendantem Taylorem. Chodziło o to, żeby Moxie wyszedł przed wielkim

otwarcie lokalu Clarice. Gdyby chłopak od początku się w to zaangażował, choćby obsługując te pięć stoli-
ków, które miały stanąć w lodziarni, to może miałby motywację, żeby coś sobie samemu udowodnić. Lub ludziom, którzy w niego uwierzyli.

O 11:10 miał lot z Norfolk Musiał jeszcze porozmawiać z Blalockiem o przekazaniu Towarzystwu Historycznemu środków na remont domu, a potem dostać się na lotnisko na tyle wcześnie, żeby mieć czas przejść przez kontrolę bezpieczeństwa.

Jak już upora się z Moxiem i dopilnuje Clarice w trakcie wielkiego otwarcia jej lodziarni, będzie musiał jeszcze sprawdzić, jak postępują prace na ranchu. Wystarczą dwa dni, najwyżej trzy. Jeśli dopisze mu szczęście, wróci, nim Daisy znów zakuje się w swoją zbroję.

Tej nocy wreszcie odkrył, dlaczego przyjmuje taką obronną postawę. Najpierw myślała, że próbuje położyć rękę na posiadłości Harveya. Przynajmniej pod tym względem udało mu się rozwiać jej obawy. Ale, jeśli słusznie przypuszczał, że jakiś drań kiedyś ją skrzywdził, to trzeba będzie traktować ją w szczególny sposób, nim nabierze całkowitego zaufania co do jego zamiarów.

Zamiary. To dopiero straszne słowo w słowniku każdego mężczyzny. Kell nie był pewny, jak to rozegra. Po pierwsze, Daisy w niczym nie przypominała kobiet, które zwykle lądowały w jego łóżku. Zero blichtru i pozorów, żadnych modnych ubrań i sugestii dostarczenia na-

macalnych dowodów jego uczuć. Jak dotąd nie zauważył, by nosiła jakąkolwiek biżuterię. Jedynie zwykły zegarek.

A przede wszystkim, żadnych gier. Na początku stanowiła dla niego wyzwanie - a to zawsze go pociągało. Ale po drodze uległo to zmianie. Teraz wszystko zależało od tego, czy uda mu się powstrzymać ją przed ponownym zamknięciem się w skorupę, nim on pozałatwia sprawy w Oklahomie.

Pocałował ją w czoło, wdychając zapach mydła, szamponu i ciepłej, pociągającej kobiety. Potem wyslizgnął się z łóżka. Oboje potrzebowali snu. Nigdy nie potrafił zasnąć na pokładzie samolotu, wiedział, że potrzebuje choć kilku godzin, żeby przez kolejną dobę móc funkcjonować. To łóżko było zdecydowanie za wąskie. Jeden ruch, a wyląduje na podłodze.

Miał szansę zbudować solidny związek, coś, co mogłoby trwać przez resztę życia. Niektórym ludziom to się udaje. Jego rodzicom się udało. Czasem się sprzecjali. Tata miał żywy temperament, a mama zawsze mu się sprzeciwiała, kiedy uważała, że nie ma racji. Jako dziecko nie cierpiał ich kłótni. Wstydził się, bo ich głosy słyhać było aż w parku. Ale kiedy teraz o tym myślał, pamiętał, jak na siebie później patrzyli. Wybuchali śmiechem i proponowali, żeby wyszedł na zewnątrz i pograł w piłkę. Nim doszedł do drzwi, oboje byli już w sypialni. Z Daisy też dużo się śmiał. Dzięki temu miłość stawała się jeszcze lepsza i bogatsza.

Wszystko stało się zbyt szybko. Może powinien wycofać się na dzień lub nawet tydzień i rozważyć, co do niej czuje.

Cicho pozbierał swoje rzeczy i przymknął za sobą drzwi. Za trzy, cztery dni wróci, a wtedy przekonają się, co ich łączy. Na razie wiedział tylko tyle, że nigdy dotąd czegoś takiego nie doświadczył.

Daisy po raz trzeci przeczytała list, który znalazła na stole w kuchni. Cholera! Niech go cholera! „Daisy, muszę pozłatwić kilka spraw w domu. Do zobaczenia za kilka dni. K. M.”

Akurat. Na pewno ma jakieś sprawy niecierpiące zwłoki. Jeśli rzeczywiście zfamierzał tu wrócić, toby ją obudził i powiedział, że wyjeżdża, a nie wykradał się po nocy jak złodziej. Był taki jak Jerry. Gotów wypróbować towar, a jeśli mu nie pasował, zwrócić go bez żadnych wyjaśnień. Ponownie przeczytała liścik. Nawet nie napisał „Kochana Daisy”, po prostu „Daisy, zobaczymy się za kilka dni.”

-Nie sędę - wymamrotała. Zmięła list w garści i wcisnęła go do kieszeni.

-A więc już się wyprowadził, tak? - Faylene podparła się triumfalnie pod boki. Był czwartek, dzień po aukcji charytatywnej. - Nie gryzie was sumienie po tym, co mi urządziłyście?

-Po tym, co... Och, chodzi ci o aukcję charytatywną.

-Zamruwała, starając się powstrzymać łzy.

-A o cóż by innego! Gdybym chciała zjeść kolację z mężczyzną, którego nie stać nawet na wyskubanie sobie

włosów z nosa, obyłabym się świetnie bez waszej pomocy.

-Wyciągnęła z piekarnika zapomnianą żeliwną patelnię i walnęła nią o blat, co groziło poważnym uszkodzeniem czterdziestoletniego laminatu. - Myślałam, że umawiacie mnie z tym nowym trenerem ze szkoły.

Faylene, bardzo mi przykro. Wiesz, jak to z nami jest. Nie chciałyśmy wyrządzić ci przykrości. Pomyślałyśmy, że będzie po prostu miło, jeśli...

Co? Nikt nigdy nie chce zrobić komuś krzywdy, ale to nie znaczy, że tak się nie stanie. Wiesz, ja też mam uczucia. Może nie jestem taka mądra jak ty czy pani Marta, ani tak ładna jak pani Sasha, ale to nie znaczy, że nie stać mnie na chłopaka. Jeśli nie wiesz, to mam kogoś takiego! - oznajmiła z dumą. - A nie pozwalam, żeby się do mnie wprowadził tylko z jednego powodu. Bo nie mam miejsca na te jego wędki i strzelby. - Podrapała się po głowie, rozdzielając polakierowaną fryzurę na dwie części. - Kiedy odcinają prąd? Dziś czy jutro?

Daisy w mgnieniu oka zapomniała o swoich kłopotach.

-Strzelby?

-Och, nie ma się czym martwić. Bob Ed nie napada na banki ani nic z tych rzeczy. Tylko akurat jest najlep-

szym tropicielem zwierzyny w okolicy. A co więcej, potrafi gotować, tak, więc nie jestem mu potrzebna do tego, żeby napełniać jego brzuch. - Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nagle zamknęła usta. Potem pokręciła głową.

- Zauważyłam, że wy, moje panie, nie macie żadnych kawalerów, kręcących się pod waszymi drzwiami. Jadąc tu, minęłam tego sportsmena. Jechał na złamanie karku. Nawet mi nie pomachał.

Mnie też nawet nie pomachał, pomyślała Daisy kilka godzin później, kiedy spakowała ostatnie pudło z rzeczami Harveya. Sasha i Marta przyprowadziły jej samochód, ale szybko odjechały, bo Daisy powiedziała im, że nie ma czasu na pogaduszki.

Ale kochanie, posłuchaj tylko, kogo wybrałyśmy dla Gusa. Czy wiesz, że on gra na skrzypcach?

Nie teraz, proszę.

No dobrze. Wobec tego do zobaczenia jutro wieczorem. Gdyby mnie nie było, klucz jest pod karmnikiem dla ptaków. - Marta zaproponowała Daisy pokój u siebie do czasu, dopóki nie znajdzie mieszkania.

Mówię ci, że kiedyś stracisz ten klucz - powiedziała Sasha, kiedy już wychodziły. - Pamiętasz ten karmnik, który stoi z tyłu mojego domu, ten, który miał być zabezpieczony przed wiewiórkami? No więc możesz mi wierzyć, że dla zdeterminowanej wiewiórki nawet motylkowe nakrętki nie stanowią najmniejszego problemu. Obie jesteście zakręcone i zwariowane jak te wie-

wiórki! - zawołała za nimi Daisy, śmiejąc się pomimo ogarniającej ją depresji.

Do południa wszystko było już zrobione.

Wyjadę, jak tylko odetną prąd - powiedziała Daisy do gospodyni. - Na razie zatrzymam się u Marty, więc pewnie tam się zobaczymy.

Pewnie słyszałaś, że ten dom, w którym wynajmowałaś mieszkanie, ma być zrównany z ziemią? Założę się, że postawią tam jakąś nową chałupę, z tych, co to wszystkie wyglądają tak samo. Możesz zatrzymać się u mnie, dopóki nie znajdziesz sobie mieszkania. Moje nie jest skromne, ale czyste.

Och, Faylene. Po wczorajszym nie mogę uwierzyć, że jeszcze chcesz mieć ze mną do czynienia.

Nie chcę, to znaczy nie na stałe. Ale kilka dni nie robi różnicy. Wkrótce Święto Dziękczynienia. Jeśli lubisz duszoną gęś z brukwią i kluseczkami, to zapraszam. Bob Ed przygotowuje to wszystko u mnie.

Oczy Daisy wypełniły się łzami.

Uwielbiam duszoną gęś. - Nigdy czegoś takiego co prawda nie jadła, ale doceniała wspaniałomyślny akt przebaczenia. - Zamierzamy z Martą i Sashą pojechać do Wirginii na wybrzeże. Święteczny obiad zjemy w restauracji, której wnętrze zaprojektowała Sasha. Powieździeli, że może zaprosić tyle osób, ile zechce. Ale zobaczę się z tobą w poniedziałek. Będziesz u Marty, prawda?

Jeśli przejdzie mi złość na nią. Wiem, że to nie był

twój pomysł, przynajmniej nie ty to zaczęłaś, tylko tamte dwie. - Gospodyni potrząsnęła głową z uśmiechem.

Da-isy otworzyła drzwi i przytrzymała je, żeby Faylene mogła wynieść karton z jedzeniem w puszkach, napojami, mąką i przyprawami.

Tylko ani mi się waź siedzieć tu dłużej, niż będzie trzeba. Jak tylko odetną prąd, masz się stąd wynieść, słyszałaś?

Obiecuję. Niedługo się zobaczymy.

Daisy wróciła do opustoszałego, nieprzytulnego już teraz domu.

-Co jeszcze zostało do zrobienia? - wyszeptła do siebie. Równocześnie boleśnie poczuła, że brak jej czyjejs obecności.

Brak jej Kella. Tego drania.

Pakując swoje rzeczy, pomyślała, że będzie jeszcze musiała zatrzymać się na poczcie i powiedzieć, że dopóki nie poda nowego adresu, będzie sama odbierać korespondencję.

Zmusiła się, żeby pomyśleć, czy o niczym nie zapomniała. Okna pozamykane, wewnętrzne drzwi pootwierane, żeby był przewiew. Nie zamierzała tu wracać. Zresztą będzie zbyt zajęta rozpatrywaniem tego, co się stało ostatniej nocy. A więc wspaniałomyślny kochanek diametralnie wszystko zmienia. Dowiedziała się o sobie rzeczy, o których podręcznik anatomii w ogóle nie wspominał.

Możesz sobie o tym wszystkim pomyśleć jutro, Scar-lett, powiedziała do siebie.

W drodze do Marty i tak będzie przejeżdżać koło banku, więc równie dobrze od razu może zostawić tam klucze.

RS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kell zaklął pod nosem, wyłączył telefon komórkowy i rzucił go na tylne siedzenie. Co tam się, u diabła, stało? Kolejny huragan? Przecież kiedy wyjeżdżał, telefon działał.

Czy poinformował ją, że wróci na początku tygodnia? Czy tylko napisał, że wkrótce się zobaczą? W zasadzie wychodziło na to samo, ale mimo to miał wrażenie, że wszystko schrzanił. Nigdy nie był dobry w pisaniu listów. Zużył pół bloczka kartek, na których Daisy robiła listę zakupów, nim wreszcie udało mu się napisać tak, żeby nie brzmiało to ani nazbyt ckliwie, bo to by nie było w jego stylu, ani też nazbyt chłodno. W końcu chłód uczuciowy był ostatnią rzeczą, którą teraz odczuwał. Wreszcie zdecydował, że poda suche fakty, a resztę powie później, kiedy już nabierze dystansu i zobaczy sprawę we właściwym świetle.

Ale nic by się nie stało, gdyby użył cieplejszych słów. Ludzie bez przerwy ich nadużywają - to nic takiego. Na przykład mówią „kocham baseball" albo „kocham muzykę country". Na zakończenie listu piszą „pozdrawiam i całuję" albo „mocno całuję" nawet do znajomych.

Ale „Całuję, Kell” albo „Kocham, Kell” - to już by było za wiele. Na samą myśl o tym przechodziły go ciarki. Co dopiero, gdyby miał to napisać.

A tym bardziej powiedzieć.

Marta stała w drzwiach i czekała, aż Daisy się rozpakuje. Mówisz, że tak po prostu wstał i wyjechał? Bez uprzedzenia? Jesteś pewna, że nie kręci się gdzieś po okolicy i nie szuka kolejnej gałęzi swojego drzewa genealogicznego?

Nie ma żadnych innych krewnych. Wszystko już pozakładał, więc nie miał po co dłużej tu zostawać.

Ale przecież wczoraj... To znaczy, co się między wami wydarzyło? Kiedy ostatnio cię z nim widziałam, odjeżdżałaś jego samochodem sprzed kościoła z błogim wyrazem twarzy.

Halo? Jest tam kto? - Sasha otworzyła wejściowe drzwi, wnosząc ze sobą powiew chłodnego powietrza i wszystkie wonie Arabii.

Jesteśmy w pokoju gościnnym - zawołała Marta. -Chodź tu do nas.

Próbowałam dodzwonić się do domu Harveya, ale telefon jest już chyba wyłączony. Daisy, myślałam, że dopiero jutro się wprowadzisz.

Nie sądziłam, że tak szybko wszystko odłączy. Zwykle trzeba poczekać, aż jakiś pracownik będzie w pobliżu.

-Myślałam, że oni to robią jakoś na odległość.

-Sasha nonszalancko rzuciła się na łóżko. - Jeśli to towarzystwo „histeryczne” chce coś sprzedać, to chcę mieć prawo pierwokupu. Mój klient właśnie kupił rezydencję na plaży i teraz chce, żeby wyglądała tak, jak by należała do jego rodziny od kilku pokoleń. A przy okazji, gdzie jest Kell?

Marta potrząsnęła głową i spojrzała ostrzegawczo na Sashę. Daisy uważała jednak, że nie ma sensu unikać tego tematu.

Wyjechał dziś rano, zanim się obudziłam.

Ale wraca, prawda? - spytała zaskoczona Sasha.

Kto wie? Nie ma go na liście spadkobierców. Harvey bardzo dokładnie rozporządził swoim majątkiem.

Tak, ale... - Sasha spojrzała na Martę, uniosła brwi i zadała pytanie, którego obie dotąd starały się unikać.

-Myślałam, że ty i Kell jesteście... no wiesz.

Daisy próbowała powstrzymać łzy.

-Muszę zabrać resztę rzeczy z mojego mieszkania.

Czy ktoś chciałby mi w tym pomóc?

Kell wpatrywał się w tablicę. Kolejne loty były odwoływane z powodu nawałnicy, która przetaczała się przez środkową część stanu Oklahoma. Jeszcze raz spojrzał na zegarek. W brzuchu poczuł znajome pieczenie. Zastanawiał się, czy to pierwsze objawy wrzodu żołądka. Spieszył się tak bardzo, że nawet nie zjadł śniadania. To pew-

nie z głodu, pocieszał się. Z drugiej strony w ostatnich dniach działo się tak wiele, że wcale by się nie zdziwił, gdyby nabawił się wrzodu żołądka.

Setki razy próbował dodzwonić się do Daisy. Dzwonił nawet do firmy telekomunikacyjnej, gdzie powiedziano mu, że linia została odłączona.

Daisy miała telefon komórkowy, ale głupi jak osioł w ogóle nie pomyślał o tym, żeby poprosić ją o numer. Próbował sobie przypomnieć nazwiska jej przyjaciółek. Owens, tak brzmiało jedno, ale nazwiska drugiej, rudowłosej, nie potrafił sobie przypomnieć. W książce były tuziny Owensów, przy żadnym nie było imienia Marta ani Sasha. Ale kobiety często używają inicjałów. Żeby tacy durnie jak on nie zorientowali się, że mieszkają same.

Poszedł kupić jakiś środek na nadkwasotę. Jeśli jeszcze nie ma dziury w żołądku, to na pewno do czasu, aż znajdzie się w Norfolk, zdąży się jej dorobić. Nigdy nie radził sobie dobrze z uczuciem frustracji, zwłaszcza spowodowanej własnym uporem. To między innymi z tego powodu tak szybko zakończył karierę sportową. Choć cierpiał z bólu, upierał się, że może zagrać jeszcze w kilku rundach, a potem, za każdym razem, kiedy wycofywano go z boiska, kłócił się i irytował. Niemal przez cały sezon po operacjach chirurgicznych ramienia i łokcia był na liście kontuzjowanych zawodników.

Dziesięć lat później nadal nie radził sobie najlepiej

z uczuciem frustracji. Czynił jednak pewne postępy. Praca z młodzieżą ze środowisk patologicznych wiele go nauczyła. A teraz dzięki spotkaniu Daisy wciąż się uczył nowych rzeczy o sobie.

Przynajmniej dostał bilet na bezpośredni lot. Brakowało tylko, żeby niebo się wypogodziło. Mamo, proszę, pomóż mi. Niech wreszcie przejdzie ta nawałnica.

Tabletki dostał w barze, w którym podawano potrawy z chili. Czy to nie zrządzenie losu? Kiedy zjadł miszkę ostrej potrawy z chili i połknął wreszcie swoje tabletki, zaczęło się wypogadzać.

Jeśli Daisy się wyprowadziła, to gdzie się zatrzymała? Oby tylko nie wyjechała z Muddy Landing. W miasteczku na pewno ją znajdzie, na\vet gdyby miał chodzić od drzwi do drzwi.

Jeśli wolno spytać, ile czasu zajmuje ci przeczytanie jednej strony? - Marta zerknęła zza gazety na Daisy, która od pięciu minut czytała tę samą stronę książki.

Przepraszam. Mówiłaś coś do mnie?

Kochanie, on wróci. Założę się, o co tylko zechcesz, że stara się nawiązać z tobą kontakt.

Daisy odłożyła książkę.

-Przez cały dzień nie ruszałam się z miejsca. Mój telefon nie dzwonił. Nie było do mnie żadnego listu. Czy mam wprowadzić się w trans i sprawdzić, czy nie nawiązuje ze mną łączności telepatycznej?

- Dzwoniłaś już do biura i pytałaś o nowe propozycje pracy?

Daisy przytaknęła z nieobecnyim wzrokiem. -I co? To tylko zależy ode mnie. Stwardnienie rozsiane w Elizabeth City, ciąża wysokiego ryzyka w Whitehall Estates i niedoszły samobójca w Point Harbor.

Weź ciążę - poradziła Marta.

Powiedziałam, że zadzwonię za kilka dni. - Daisy ziewnęła i wstała. Była dopiero ósma wieczorem, ale czuła, że jest nieprzytomna. Spała prawie do dziewiątej i nic tego dnia nie robiła.

Chcesz obejrzeć wiadomości, czy znów padniesz mi tu z wyczerpania?

W tej samej chwili zadzwonił telefon.

Marta odebrała, nie spuszczać oczu z przyjaciółki.

-Dom państwa Owensów, słucham - powiedziała rześko.

Jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Ach witaj, kowboju. Skąd dzwonisz?

Daisy nie zgodziła się spakować wszystkich swoich rzeczy, ale przynajmniej wrzuciła do torby te najpotrzebniejsze. Kell uznał to za dobry znak. Dzwonił z lotniska do wszystkich Owensów po kolei, z literą M przed nazwiskiem. Nim odebrał samochód z parkingu i dojechał do Muddy Landing, minęły dwie godziny.

Marta, robiąc miny niczym dynia wydrążona na Hal-oween, zaprosiła go do środka i zaproponowała nocleg na sofie, poduszkę i koc.

- Jest prawie jedenasta wieczorem. Nie ma sensu, że byś się stąd ruszał.

Wiedział, że Marta wcale nie spodziewała się, że przyjmie zaproszenie.

Bardzo dziękuję, ale wynająłem dom na plaży przy Southern Shores.

Cały dom?

Tak, no cóż, właściwie nie miałem wyboru. Wygląda na to, że po ostatnim huraganie nadal panuje tu niezgorszy bałagan.

Daisy co prawda zgodziła się go wysłuchać, ale sama jak dotąd nie powiedziała ani słowa. Stała z rękoma skrzyżowanymi na piersi i spoglądała to na Kella, to na Martę. Kell nie chciał nawet myśleć, że to on ponosi odpowiedzialność za te cienie pod oczami. Całe szczęście, że przynajmniej zgodziła się go wysłuchać.

Wreszcie udało mu się ją stamtąd zabrać. Wyszli w milczeniu. Ale nawet gdy wsiedli do samochodu i Kell ruszył, nie wiedział właściwie, co ma powiedzieć. Wiedział tylko, że jego powrót nie ma najmniejszego związku z jego krewnymi. Czuł, że ona również to wie.

A więc zamknęłaś już dom. - Odważył się wreszcie powiedzieć.

Tak, zdaje się, że Towarzystwo Historyczne już tam

kogoś wysłało. I wiesz co? Anonimowy darczyńca wpłacił tyle, że starczy na wykonanie prawie wszystkich robót. Czy to nie wspaniale?

Jakich robót? Oczyszczenia ogrodu i naprawienia tych rynien?

Och nie, starczy na dużo więcej. Egbert powiedział, że już szukają kogoś, kto naprawi dach z płytek łupkowych.

- Kiedy tak rozmawiali o domu, Daisy powiedziała sobie, że jakoś to wytrzyma. Nie chciała tu być, naprawdę nie chciała. Ale jej serce i głowa toczyły ze sobą walkę, odkąd Kell wyjechał. Najwyraźniej wygrało serce.

Jeśli będzie chciał pójść z nią do łóżka, pewnie się zgodzi. I tak nie miała już nic do stracenia.

Zastanawiałem się nad czymś. Ten dom wymaga dużo większych inwestycji. Czy to towarzystwo działa sprawnie?

Zdaniem Egberta, nie bardzo. Zdaje się, że członkowie nie mogą się zgodzić co do tego, czym zająć się w pierwszej kolejności. Jest jeszcze budynek szkoły i kilka kościołów starszych nawet niż dom Harveya. Ale pewnie są zbyt zniszczone, żeby je odrestaurować. Ale i tak ten tajemniczy donator zastrzegł, że fundusze są przeznaczone na dom Harveya. - Spojrzała na niego znaczącym wzrokiem.

Ignorując jej spojrzenie, zwolnił na światłach przy restauracji Barco.

Jesteś głodna? Mruknęła coś niezrozumiale.

To znaczy tak, czy nie?

W zasadzie tak. Nie jadłam kolacji. .

Ja też nie. Nim wyleciałem, zjadłem tylko jakieś ostre danie. Przypomnij mi, żebym przez jakiś czas nie jadł niczego z chili, dobrze?

Dlaczego wynająłeś cały dom? Spodziewasz się znajomych?

Szczerze mówiąc, musiałem poprosić kolegę o przysługę. Inaczej nigdy nie znalazłbym tu niczego w tak krótkim czasie. A jeśli chodzi o znajomych, to uważam ją raczej za kogoś z rodziny.

Daisy wstrzymała oddech. Chodzi o tę Charlene, czy jak jej tam? Przecież nie zrobiłby, nie mógłby zrobić czegoś takiego!

Kell zamówił dla siebie lody w rożku z polewą, a dla Daisy długą bagietkę z szynką i serem.

Tylko tyle zamierzasz zjeść? Mówiłeś, że nie jadłeś kolacji.

No tak, ale mówiłem też, że jadłem chili. Pomyślałem, że lody ugaszą ogień.

Och, Kell... - Pokręciła głową i spojrzała na niego wzrokiem, który mówił wszystko. - Ktoś musi o ciebie zadbać.

Kiedy dotarli do ogromnego domu na plaży, Daisy wiedziała już, że przegrała tę walkę. Przed wszystkim-

kim miała ochotę zatroszczyć się o jego odżywianie, nie wspominając o innych aspektach jego życia. Próbowwała sobie wytłumaczyć, że przemawia przez nią pielęgniarka, a nie kobieta, ale wszystko na nic.

W domu było pięć sypialni, pięć łazienek i wielka wanna. Kell oprowadzał ją po sypialniach, żeby wybrała najodpowiedniejszą. Jednak cały czas musiał zaciskać zęby, bo żołądek nie dawał mu spokoju.

Och, może być jakakolwiek, to nie ma znaczenia - powiedziała Daisy. - A teraz zabierzmy się do tego, co ci dolega. - Uniósł brew, starając się przybrać obojętną minę. Nie wyszło mu to najlepiej. - Od jak dawna masz wrzód?

Zaraz, zaraz. To jeszcze nie zasługuje na takie miano.

Lekarz powiedział, że powinienem unikać stresów i codziennie biegać po parę kilometrów.

A nie mówił nic o diecie? - Daisy otworzyła torbę i wyjęła z niej kosmetyczkę.

- Powiedział, że wszystko, co mi smakuje, jest dla mnie szkodliwe.

Jeśli widział, jak przyprawiasz jedzenie, to wcale mu się nie dziwię. Ale to pewnie przez stres. Wiesz, co go powoduje? Prowadzenie sklepu sportowego? Życie towarzyskie? A może...?

Spytaj o moje życie miłosne.

Nie, dziękuję. - Jej ręce nagle zeszytniały, kiedy próbowała odkręcić nakrętkę buteleczki z lekarstwem.

Daisy, przejdźmy do rzeczy. Może tego nie wiesz, ale taki taniec wokół tematu jest stresujący.

Czy ja tańczę?

-A masz ochotę?

-A ty?

-Z tobą? Mogę tańczyć, ile tylko zechcesz, ale teraz mam lepszy pomysł.

Wziął ją w ramiona, przytulił i pocałował. W sekundę zrzucili z siebie ubrania.

-Sprawdźmy, czy ta wanna jest wystarczająco duża dla nas dwojga. To był długi dzień.

Nie dotarli jednak do wanny. Pochłonął ich ogień namiętności.

Kilka godzin później głód zmusił ich do opuszczenia wielkiego łóżka, w którym w końcu wylądowali, i poszukiwań kuchni.

Ten mój znajomy najwyraźniej prosił w agencji, żeby włączyli ogrzewanie i uzupełnili zapasy w lodówce, ale nie pomyślał o posłaniu łóżek. Pewnie nie wiedział, ile osób zatrzyma się tu ze mną.

A więc to dom przyjaciela. Mieszka gdzieś tutaj, tak?

Nie. W Waszyngtonie, ale ma w tej okolicy kilka domów na plaży.

-Dobrze mieć takich przyjaciół.

-Tak.

Wcześniej posłali wspólnie wielkie łóżce i zaczęli ko-

chać się po raz trzeci. Potem wzięli razem prysznic. Kell uparł się, żeby pokryć całe jej ciało pianą, a potem wmasować ją w jej skórę.

Nie mogę pominąć żadnego miejsca - wyszeptał, klęcząc przed nią pod prysznicem. - Po skończonej grze zawsze trzeba wszystko rozmasować. Trener powiedział mi to, kiedy grałem jeszcze w drugiej lidze.

Ale chyba nie w ten sposób. - Daisy ledwo łapała oddech - Och, Kell!

Wyszli spod prysznica, gdy zaczęła lecieć na nich letnia woda. Najwyraźniej nawet najbardziej luksusowe domy nie miały nieskończonych zapasów gorącej wody.

Teraz Daisy napełniała ekspres kawą.

Czy w końcu uda nam się ze sobą porozmawiać? - spytała z uśmiechem.

Jeszcze wielu rzeczy ze sobą nie robiliśmy. Ale będziemy. Ten dom jest do naszej dyspozycji na dwa tygodnie. A potem możemy się przenieść gdzie indziej. W każdym razie nie wyjadę, zanim obiecasz...

- Zanim co obiecuję? - Serce zabiło jej mocniej.

„Nie bądź głupia”, powtarzała sobie w duchu. „Nie rób sobie nadziei. To, że przyjechał po samochód, nie oznacza jeszcze, że...”

-Że wyjdiesz za mnie. Że zaczniesz mnie kochać tak bardzo, żeby się spakować, zostawić przyjaciółki i dom, i wszystko, co tu masz. Że...

Daisy położyła palec na jego ustach, ale nie mogła powstrzymać go od patrzenia na nią błagalnym wzrokiem. Och, Kell! Tak.

Ale co tak? - wyszeptał, gdy ujęła jego twarz w dłonie. Będę cię kochać. Zawsze. - Daisy poczuła, że ze szczęścia kręci jej się w głowie. - Wiesz, jak bardzo cię kocham. Chyba się tego domyślałeś.

Miałem taką nadzieję. Ale nie byłem pewien. Nie mam doświadczenia w miłości. Bardzo się bałem, że to schrzanię.

-I schrzaniłeś. Następnym razem, kiedy będziesz ode mnie odchodził, przynajmniej mnie obudź, żebym mogła zadać ci kilka pytań.

Wtedy opowiedział jej o Clariće, Moxiem i pozostałych dzieciach oraz o swoim sklepie w mieście, w którym uczył je pracy, a także o obozie treningowym, który szykował na swoim ranczu. Za kilka lat zamierzał przenieść się tam na stałe i poświęcić wyłącznie zajęciom z młodzieżą.

Skończył opowiadać dopiero wtedy, kiedy znów byli w łóżku, pojadając kanapki z indykiem, serem i jabłkiem i popijając mleko.

Jeśli ci wszyscy chłopcy będą mieszkać na ranczu, to wydaje mi się, że potrzebna ci będzie na miejscu jakaś pielęgniarka.

Mogłabyś to zrobić? To znaczy pracować w innym stanie?

- Oczywiście - wyszeptała. - Sądzę, że mogę równocześnie dbać o to, żebyś nie zrujnował sobie żołądka, i opiekować się kilkorgiem dzieci: przemywać im krwawiące nosy oraz leczyć stłuczenia i zadrapania.

Chciał jej powiedzieć, że być może czeka ją dużo więcej, ale uznał, że wkrótce i tak sama się o tym przekona.

Daisy wyjęła mu z dłoni pusty talerz, odstawiała na stolik i znów się wtuliła w Kella. Westchnęła i pogłaskała go po nagim torsie. Wszystko to było dla niej zupełnie nowym, wspaniałym doświadczeniem.

Kiedy na chwilę przymknął oczy, wyszeptała:

-Śpisz?

Reakcja jego ciała była wystarczającą odpowiedzią.

Spojrzeli na siebie i zaczęli się śmiać. Mamo, tato, pomyślał Kell, teraz już wiem, co was tak bawiło.



Dixie
Browning
Wyjątkowy
mężczyzna

Tytuł oryginalny: Her Man Upstairs



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Marty postanowiła zrobić sobie dziesięciominutową przerwę, wziąć szybki prysznic, żeby zmyć z włosów nieprzyjemny zapach, przebrać się i zdążyć wrócić na dół przed przyjściem kolejnego stolarza, czwartego już z kolei. Jeśli tylko raczy się pojawić. Co, u diabła, stało się w tym kraju z etyką pracy? Spojrzała w zaparowane, łazienkowe lustro, szukając w swym odbiciu oznak upływającego czasu. Żałosne. Zniszczone włosy o rozdwijających się końcówkach, błagające o natychmiastowe przycięcie, porozciągany sweter, pamiętający czasy collegeu. Najgorsze w tym wszystkim było to, że nawet gdyby było ją stać na pójście do fryzjera i wymianę garderoby, nie była tym zainteresowana.

Zbliżała się wolnym krokiem do czterdziestki, co oznaczało, że teraz ma już z górki, a gwarancja na poszczególne części ciała się skończyła. Jasne, „niby zęby ma jeszcze mocne i nie musi używać w sklepie okularów, ale codziennie wyrывa sobie średnio trzy siwe włosy, a na twarzy pojawiły się pierwsze zmarszczki nazywane dyplomatycznie mimicznymi. Nie dawało się ukryć, że zaczynała się starzeć.

Miała zerowe dochody. Zyski z oprocentowania na jej koncie oszczędnościowym osiągnęły w zeszłym miesiącu zawrotną sumę dolara osiemdziesięciu siedmiu centów. Była na skraju załamania nerwowego.

Marszcząc brwi, spojrzała na zegarek. Dam mu jeszcze dziesięć minut, postanowiła. W końcu nawet w Muddy Landing, liczącym zaledwie tysiąc mieszkańców, mógł wystąpić na drodze korek.

Marty wycisnęła wodę z mokrych, gęstych, orzechowych włosów. Chcąc uniknąć rozczarowania, zaczęła przygotowywać się psychicznie na niepowodzenie. Pewnie nie przyjdzie, a jeśli nawet się pojawi, to nie będzie miał dla niej czasu albo będzie za drogi. Tak czy inaczej - był jej ostatnią nadzieją. Termin zakończenia prac był nieprzekraczalny. Jeśli miałby się przedłużyć, nie ma nawet po co zaczynać.

Gdy po raz pierwszy zaświtał jej w głowie pomysł otwarcia księgarni w domu, uznała, że jest rewelacyjny. Im więcej czasu pochłaniało wprowadzenie go w życie, tym więcej zbierało się w niej wątpliwości.

Czyżby odgłos zamykania drzwi samochodowych?

Szybkim ruchem przetarła rękami włosy. Sięgnęła do szuflady po skarpetki. Ponieważ nigdy nie zwijała ich po praniu w pary, nie mogła znaleźć dwóch jednakowych, pobiegła więc na schody, głośno tupiąc bosymi stopami o drewnianą podłogę. Przynajmniej nie czuć już od niej rozcieńczalnika. Jeśli udał jej się trik z cynamonem, to w domu na dole też już lepiej pachniało.

Kiedy była w połowie schodów, usłyszała dzwonek telefonu. Klnąc pod nosem, zawróciła, aby go odebrać, bo może to dzwonił stolarz z prośbą o wytłumaczenie, jak trafić pod jej adres.

Halo! Gdzie pan jest?

Przyjechał już? - usłyszała pytanie w słuchawce.

Marty wzruszyła zrezygnowana ramionami. Sasha, jej najlepsza przyjaciółka, zawsze potrafiła wybrać na rozmowę telefoniczną lub odwiedziny najmniej odpowiedni moment.

Myślałam, że to ktoś inny. Słuchaj, nie mogę teraz rozmawiać. Zadzwoń później.

Przecież rozmawiasz.

Bardzo się spieszę.

-Jest już?

-Kto?

-Twój stolarz, oczywiście. Wiem od Faylene, że Bob Ed powiedział, że ten robotnik miał do ciebie dzwonić wczoraj wieczorem. I co, skontaktował się?

Marty wzięła głęboki oddech, przypominając sobie stare mądre powiedzenie: cierpliwość jest cnotą.

Ktoś właśnie przyjechał. To pewnie on. Później opowiesz mi, co wy tam we dwie knujecie. Kończę. Pa!

Nie odkładaj słuchawki! Zadzwoń do mnie, kiedy tylko wyjdzie. Faylene mówiła...

Marty nie chciała dalej słuchać. W małej miejscowości, takiej jak Muddy Landing, obok rybołówstwa, myślistwa i pracy na roli, plotkowanie było jednym z najpopularniejszych zajęć.

Na pewno pół miasta znało już jej plany co do

księgarni, tego, kto jej będzie pomagał w ich realizacji i ile to będzie kosztowało.

Odłożyła z trzaskiem słuchawkę i wyrzała przez okno sypialni. Na podjeździe stał stary, zaniedbany pickup. W przednim zderzaku miał uchwyt na wędki, a na platformie, za kabiną kierowcy stała duża skrzynka z narzędziami. Na tylnym oknie znajdowała się najprawdopodobniej półka na broń, a na zderzaku naklejona była odrapana naklejka z napisem „Chrzań się”.

To nic nie znaczy. Jeśli facet potrafi czytać rysunki techniczne i wypełniać proste polecenia, nie ma znaczenia, czym jeździ, jakie ma poglądy polityczne lub co robi w wolnym czasie.

Prawdę mówiąc, jej szkice niewiele miały wspólnego z projektami architektonicznymi, niewątpliwie jednak jasno wskazywały, co ma być zrobione. Jeśli więc tylko będzie potrafił je odczytać, powinien sobie poradzić.

Marty dostrzegła, jak z kabiny kierowcy wysuwa się długa noga w wytartych dżinsach. Następnie ukazał się dobrze zbudowany mężczyzna w traperkach i skórzanej, po-wycieranej kurtce. Sądząc po potarganych, wypłowiałych od słońca włosach, musiał być fanem surfingu lub spędził lato, przybijając gont na dachu czyjegoś domu.

Nieznajomy niespodziewanie odwrócił się i spojrzał prosto w okno sypialni. Marty gwałtownie zasunęła zasłonę. Nagle przyszło jej do głowy, że skoro mieszka sama, zapraszanie obcych mężczyzn do domu nie jest zbyt rozsądne.

Była już w połowie schodów, gdy zadzwonił dzwonek

do drzwi. Równocześnie rozległ się rozziewający sygnał alarmu przeciwpożarowego.

-Do licha, tylko nie teraz - jęknęła pod nosem.

Ruszyła dalej biegiem, a kiedy była już na dole, drzwi frontowe nagle się otworzyły.

-Proszę wyjść na zewnątrz, ja się tym zajmę! - krzyknął mężczyzna, wskazując na otwarte drzwi.

Marty, okręciwszy się gwałtownie na poręczy schodów, wpadła z impetem na stojącego w progu kuchni nieznanego. Na moment znieruchomiała, wpatrując się w wypełniające salon kłęby dymu.

Staraj się nie oddychać! Gdzie jest gaśnica?

Przy suszarce! - krzyknęła. Przebiegła przez pokój, podskoczyła i uderzyła pięścią w plastikowy detektor dymu znajdujący się nad drzwiami pomieszczenia gospodarczego. Odpadła pokrywa, wysypały się baterie i rozziewający uszy dźwięk alarmu nagle się urwał. Na moment zapadła ogłuszająca cisza. Marty i przybysz o przeszywającym spojrzeniu wpatrywali się w siebie przez dłuższą chwilę. Pierwszy otrząsnął się mężczyzna, ruszając w kierunku kuchni wypełnionej po sufit gryzącym dymem.

Z drogi! - Marty odepchnęła obcego i chwyciła gołą ręką spaloną formę do ciasta. Otworzyła tylne drzwi kuchenne i wyrzuciła ją na dwór; Wzięła dwa głębokie oddechy i pospieszyła wyłączyć piekarnik.

Niezajomy nie powiedział ani słowa.

Starając się nie wdychać dymu, złapała się za prawą rękę,

mamrocząc pod nosem niecenzuralne słowa. Mogła przecież spalić dom!

-Może mi pani wyjaśnić, co się tu dzieje? - spytał mąż czyzna, zakładając ręce na biodra i rzucając jej pełne rezerwy spojrzenie.

Jakim prawem żądał od niej wyjaśnień? To nie ona wtargnęła nieproszona do cudzego domu. Wprawdzie spodziewała się stolarza, ale kto wie, może w tej niewinnie wyglądającej skrzynce z narzędziami trzymał arsenał broni? Marty była wielbicielką kryminałów i łatwo puszczała wodze fantazji.

-Przepraszam. - Głos nieznanego sprowadził ją z powrotem na ziemię. - Myślałem, że to był prawdziwy pożar - dodał, rozganiając ręką drażniące opary.

Marty, starając się nie oddychać zbyt głęboko, podeszła do zlewu i podstawiła poparzoną dłoń pod strumień zimnej wody.

-Aj! - pisnęła.

Wyczuła za sobą obecność obcego.

Może lepiej pójdę? - spytał głębokim, nieco zachrypniętym i niewątpliwie pociągającym głosem.

Nie! To znaczy, proszę... Potrzebuję pana. Jeśli to pan jest stolarzem, na którego czekam. Bo jest pan, prawda?

Marty odwróciła się, podtrzymując oparzoną rękę. Mężczyzna lustrował ją uważnie, jakby starał się ocenić, czy warto zostać.

-Czy pani dobrze się czuje?

Spytał ją o samopoczucie. To miłe. W tym momencie

przypomniała sobie, że ma bose stopy i mokre włosy. Zrobiła pewną siebie minę, starając się pokazać, że panuje nad sytuacją.

-Przepraszam, zazwyczaj jestem lepiej zorganizowana.

Mężczyzna pokiwał głową, po czym pociągnął kilkakrotnie bardzo zgrabnym nosem - ani zbyt dużym, ani zbyt prostym, w sam raz, aby podkreślić charakter i nie przesłodzić rysów twarzy.

-Co to za zapach?

Marty wciągnęła powietrze. Ohyda.

-Poliuretan, rozcieńczalnik do farb i cynamon. Mój plan się nie powiódł. Panu pewnie też czasami zdarzają się dni, kiedy wszystko idzie na opak.

Nieznamy nie przestawał jej obserwować. Jego oczy były głęboko zielone z delikatnym odcieniem złota. Poruszył się niespokojnie, kierując się ku frontowym drzwiom. Marty nie mogła pozwolić, aby odszedł.

Nastawiłam palnik na najmniejszą moc, bo myślałam, że mam dużo czasu - wyjaśniła, starając się wyrzeć inteligentne wrażenie, a przynajmniej zabrzmieć racjonalnie. - No dobrze - westchnęła z rezygnacją. - Malowałam w garażu półki na książki i zostawiłam otwarte drzwi, żeby w razie czego usłyszeć telefon, a w ten sposób zapach dostał się do domu. Potem starałam się go wywabić, kiedy brałam prysznic... cynamonem.

Kąpała się pani w cynamonie?

Marty nie wiedziała, czy w jego pytaniu kryła się drwina, czy współczucie.

- Nie. Chodzi o to, że zamiast aluminiowej tacki powinnam była użyć solidniejszego naczynia.

Nieznamy zaczął się powoli cofać w kierunku wyjścia, jakby się obawiał, że ta dziwaczna kobieta wskoczy za chwilę na okno i zacznie udawać ptaka.

-Czy ja trafiłem pod właściwy adres? Róg Sugar Lane i bulwaru Bedlam?

Marty zachichotała. Jednocześnie spostrzegła, że nie znajomemu dziwnie drżą usta i po chwili oboje wybuchnęli głośnym śmiechem.

Może zaczniemy od początku - zaproponowała.

Faktycznie, tak chyba będzie lepiej. Nazywam się Cole Stevens. Otrzymałem informację, że chce pani przebudować dom.

Martha Owens, mówią na mnie Marty. Chodźmy do pokoju, tam odór pewnie już częściowo wywietrzał. Otworzyłabym okno, ale jeśli to zrobię, zamarzniemy.

Marty ruszyła przodem, zachowując resztki godności i udając, że nie jest boso, a włosy nie ociekają jej wodą.

Cole powędrował za panią Owens do salonu, który na pierwszy rzut oka wydał mu się przyjemny, choć trochę zagracony. Stanęli naprzeciw siebie i zaczęli się sobie przyglądać. On metr dziewięćdziesiąt, ona, choć mierzyła zaledwie metr pięćdziesiąt, patrzyła na niego z góry.

- Czy mogę zobaczyć pańskie CV? - spytała z wyniosłością zarządcy pięciogwiazdkowej restauracji.

Jego życiorys? Cole nie wiedział, czy ma się roześmiać,

czy wyjść. Kilka minut wcześniej nie miał wątpliwości i chciał po prostu zmykać, ale przecież w końcu trzeba wrócić do pracy. Żyjąc samotnie na łodzi, bez celu i planu, nie rozwiąże problemów. Prosta, niekłopotliwa praca byłaby pierwszym krokiem ku nowej karierze, o ile chciał zostać w budownictwie, a tylko na tym się znał.

- Mój życiorys - powtórzył, chrząkając. - Krótka historia. Firma, w której pracowałem przez trzynaście lat, ostatnio zbankrutowała. To wszystko.

Nie dodał jednak, że przedsiębiorstwo należało do jego byłego teścia, który zmusił go do objęcia stanowiska kierowniczego, do czego Cole nie był przygotowany. Jak się później okazało, było to celowe posunięcie. W rezultacie oskarżono go o oszustwa, stracił żonę, pracę i ambicję, żeby zostać najlepszym developerem na rynku budowlanym.

Mogłam o tym słyszeć? - spytała.

Oglądała pani lokalne wiadomości zeszłej wiosny?

Lokalne? Z Muddy Landing?

Z Norfolk, a dokładnie z Virginia Beach. Karolina Północna odbiera wiadomości z Norfolk.

Sądząc ze sposobu, w jaki na niego patrzyła, musiała rozważać, czy nadal chce go zatrudnić bez CV i referencji. Nie mógł jej winić. Ale skoro zaszedł już tak daleko, postanowił, że nie straci tej pracy. Poza tym te wielkie, zamglone, szare oczy i delikatne, pełne wyrazu usta...

Stop! Teraz liczą się tylko jego potrzeby i nie pozwoli, aby na jego decyzje miała wpływ jakaś kobieta. Już raz to przerabiał i oto, jak skończył.

Będę z panią szczerzy - oświadczył Cole.

Skąd ta nagła zmiana?

Cole nie lubił, kiedy nazywano go kłamcą, szczególnie że nim nie był. Jednak po tylu przesłuchaniach przez biegłych puścił to mimo uszu.

Mogę stąd teraz wyjść lub zostać, aby omówić warunki zlecenia. Decyzja należy do pani - dodał cicho. - I tak w najbliższych dniach wybierałem się na południe.

Dlaczego w takim razie zadał pan sobie tyle trudu i tu przyszedł?

Teraz sam się zastanawiam - mruknął pod nosem, jakby do siebie. - Były dwa powody. Wczoraj pomogłem przy pracach remontowych właścicielowi małej przystani, gdzie trzymam moją łódź, na której mieszkam. Jego dziewczyna, Faylene, wspomniała, że zna kogoś, kto chce zrobić szybką przebudowę, i zapytała, czy chciałbym się zatrudnić, żeby zarobić trochę grosza na utrzymanie.

Wbrew pozorom, biorąc pod uwagę skromny styl życia, Cole miał relatywnie niezłe dochody z inwestycji kapitałowych. Sytuacja na rynku była jednak niestabilna, a utrzymanie łodzi było jak studnia bez dna.

- To pierwszy powód, a drugi?

Gdyby odpowiedział, że kierował się instynktem, pomyślałaby, że jest tak samo pomyłony jak ona.

Przyszło mi do głowy, że mógłbym się tym zająć - odparł w końcu. - Małe miasteczko, drobne zlecenie, w sam raz, aby znów odnaleźć drogę.

Znów?

Ta kobieta może i wyglądała na łagodną, ale w głębi duszy była jak pirania.

-Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, zostawmy w spokoju moje wybory życiowe i przejdźmy do interesów. Chce pani robić przebudowę czy nie?

Marty głęboko westchnęła.

- Chcę przebudować część domu. Drobne zmiany, nie powinny zabrać dużo czasu. Przynajmniej mam taką na dzieję. Chcę przenieść dół na górę i odwrotnie. Zamierzam otworzyć księgarnię.

Cole skupił na moment myśli, po czym pokiwał głową, jakby powoli wszystko zaczynało mu się układać w spójną całość.

Dlatego malowała pani półki w garażu?

Chciałam je wcześniej wykończyć, żeby dobrze wyschły, zanim zacznę je wypełniać książkami.

Może pokaże mi pani, co jest do zrobienia - zaproponował.

Marty podrapała się w głowę, zastanawiając się, czy najpierw pokazać mu rysunki, czy oprowadzić po domu.

Chodźmy, najpierw pokażę panu górę. Wtedy zrozumie pan lepiej moje szkice. Powinien pan wiedzieć, że nie jest pan pierwszą osobą, która zgłosiła się do tej pracy. Wszyscy pana poprzednicy zrezygnowali.

Z jakiegoś konkretnego powodu? - spytał.

Czując jego bliskość, kiedy szedł za nią po schodach, starała się zapanować nad sobą i nie kręcić biodrami mocniej niż zwykle. Jego zielone oczy, wytarte obcisłe dżinsy

oraz podkreślający muskulaturę torsu sweter pociągały ją. Nie oznaczało to niestety, że ona fascynowała go w równym stopniu.

Gdyby Sasha umiała czytać w myślach Marty, miałyby teraz niezłe używanie. Przyjaciółka zawsze namawiała ją na dodanie do codziennej diety więcej witaminy S... czyli seksu. Może wtedy byłoby lepiej spała i nie wyglądała rano jak zombi - powtarzała.

Zaraz, nieznajomy zadał pytanie i czeka na odpowiedź.

- Dlaczego żaden z fachowców nie podjął się tej pracy? Jeden obejrzał dom i po prostu więcej się nie pojawił, dwóch kolejnych, kiedy poznało plany przebudowy, oświadczyło, że nie zamierzają tracić czasu na bzdury. A jeden zaproponował, że mógłby robić tylko w weekendy, bo przez resztę tygodnia pracuje na budowie w Nags Head. Nie wspomniałam jeszcze o ograniczeniu czasowym, ale to nie powinno być problemem. W końcu to nie budowanie od fundamentów. Oto góra - Marty zatoczyła łuk ręką, wskazując mały hol i dodatkową sypialnię, do której zamierzała się wprowadzić po przerobieniu dużej sypialni na salonik.

Całą górę odnowiła dwa lata temu. Pomalowała ją na ciepły, żółty odcień z białymi wykończeniami. Teoretycznie słoneczne kolory miały ją pozytywnie motywować do działania, kiedy po przebudzeniu z trudem wylaziła z łóżka i chwytym krokiem toczyła się do łazienki.

Cole rozglądał się i opukiwał ściany. Chodząc za nim, starała się nie podsycać w sobie nadziei. Jednocześnie nie-

znośnie rozpraszał ją jego zapach, lekko żywiczny z pikantną nutką. Nie mówiąc już o jego wyglądzie...

Właśnie stali w garderobie, którą chciała przerobić na kuchnię, kiedy Cole zapytał:

- Pokaże mi pani teraz swoje rysunki?

Choć wokół nich było sporo miejsca, wyobraźnia sprawiała, że ściany same się zsuwały, coraz bardziej ich do siebie zbliżając.

- Oczywiście - wyszeptała, z trudnością łapiąc oddech.

- Tylko proszę pamiętać, że nie jestem architektem. Zaparzę kawę - zaproponowała. Chętnie ugotowałyby dla nie go pięciodaniowy obiad z deserem, gdyby tylko podjął się przebudowy.

Marty dostrzegła, jak Cole lustruje sypialnię, w której zgromadziła setki kartonów z książkami. Nie znosiła rupieci, a zawsze miała ich sterty. Teraz wręcz w nich tonęła. Faylene, jej była gosposia, na którą od dawna nie było jej stać, często powtarzała: jak sobie pościelisz, tak się wyśpisz.

Hm... sama czy w towarzystwie?

ROZDZIAŁ DRUGI

- Plany są na stoliku - poinformowała Cole'a, wychodząc do kuchni, aby przygotować kawę. Żałowała, że będąc na górze, nie związała włosów i nie wciągnęła butów, nie mówiąc już o nałożeniu nowej pomadki o smaku kokosowym. Oczywiście nie chodziło o to, żeby mu się podobać, lecz o zwykłą wygodę.

Był bardzo atrakcyjny, ale bez przesady. Zresztą i tak nie był w jej typie. Gdy miała osiemnaście lat, wyszła za Alana, którego matka zostawiła w spadku jej obecny dom. Cokolwiek między nimi było, nie trwało dłużej niż miodowy miesiąc. Tak bardzo pragnęła wtedy mieć rodzinę, że pomimo pustki uczuć została z nim. Wkrótce okazało się, że jej mąż jest chory na stwardnienie rozsiane i ze względów moralnych nie mogła już później odejść.

W kilka lat po śmierci Alana ponownie wyszła za mąż. Jej wybrankiem został Beau Conrad, wygadany przystojniak z zamożnej, należącej do miejscowych elit rodziny z Wirginii, takiej z tradycjami i tytułami. Szybko jednak okazało się, że Beau był czarną owcą.

Patrząc wstecz, musiała przyznać, że obaj jej mężowie byli

znacznie przystojniejszy od Cole'a Stevensa. Co w takim razie tak ją pociągało w tym szorstkim z wyglądu mężczyźnie?

-Zrozumiał pan mniej więcej, o co chodzi?! - krzyknęła, krzątając się w kuchni. Z pokoju od dłuższej chwili nie dochodziły żadne odgłosy. - W miejscu garderoby chciałabym zrobić małą kuchnię. - O przerobieniu instalacji wodno-kanalizacyjnej i elektrycznej wspomni później.

Kochała swój dom, to było jej miejsce na ziemi. Beau namawiał ją wielokrotnie, aby go sprzedała, nigdy się jednak nie zgodziła. Była to zresztą jedyna rzecz, której nigdy nie pozwoliła mu ruszyć. Wszystkie odziedziczone po rodzinie obrazy i antyki oraz większość jej rzeczy, które przedstawiały jakąkolwiek wartość, zostały sprzedane zaraz po ich ślubie.

- Może udałoby się wstawić kuchenkę turystyczną i małą lodówkę - powiedziała z nadzieją w głosie, wchodząc do salonu i stawiając na stole tacę z filiżankami z kawą oraz talerz z biszkoptami w ramach zachęty. - Raczej niewiele korzystam z kuchni, nie organizuję żadnych przyjęć.

Nic nie mówi. To dobry czy zły znak, zastanowiła się.

- Powinniśmy porozmawiać o wynagrodzeniu - powie działa, wpatrując się badawczo w Cole'a.

Stolarz zdjął skórzaną kurtkę. Może to jednak dobry znak.

Trudno wyczuć. W porównaniu z panem Stevensem Sfinks byłby gadułą.

Miał na sobie wypłowiałą, niebieską koszulę, której rękawy podwinął tak, że odsłaniały do łokci opalone, lekko owłosione ręce. Miał ładne dłonie i czyste paznokcie. Po-

dobalo jej się, że uważnie obchodzi się z rysunkami, jak gdyby miały jakąś wartość.

Ciekawe, jak czułaby się kobieta dotykana tymi rękami...

- Nie wiedziałam, jaką pan pije kawę - zagadnęła, gdy podniósł głowę znad rysunków.

Kiedy wchodziła do pokoju z tacą, pomimo że miał na kolanach naręcze papierów, wstał z sofy. Skinęła głową na znak, żeby usiadł. Zrobił to, rozsuwając szeroko kolana i uwydatniając męskie obłóci, jak powiedziałaaby Sasha, ukryte w dopasowanych džinsach.

Chyba krew uderzyła ci do głowy. Opanuj się!

Czarną, bez niczego - odparł, pociągając łyk.

Wiem, niektóre rysunki są beznadziejne - usprawiedliwiła się speszona. - Tak tylko bazgrałam. Jeśli czegoś pan nie rozumie, chętnie wyjaśnię.

Może byłoby to możliwe, ale wcześniej ktoś musiałby na nią wylać kubel zimnej wody, żeby zaczęła znów logicznie myśleć.

- Wszystko jasne. Problem w tym, że mamy tu ścianę konstrukcyjną. Będę musiał zostawić jej fragment, około metra. Mogę za to otworzyć przejście z tej strony, a tę ścianę przenieść tam - powiedział, wskazując na rysunek.

Marty starała się skupić wzrok na wędrującym po planie palcu. Po chwili wstała z bujanego fotela i usiadła obok niego, aby lepiej widzieć rysunki. Pomimo swądu spalenizny poczuła od niego delikatny zapach soli, słońca i wody kolońskiej, jednej z tych, które działają na kobiety jak magnez.

Przepraszam, co pan mówił? - spytała rozproszona.

Że można lepiej wykorzystać przestrzeń, jeśli zrezygnuje pani z tej szafy na rzecz kuchenki i piekarnika.

Marty poczuła, że dotykają się ramionami, a właściwie to ona się na nim opierała. Wyprostowała się, ale ugięta pod ciężarem Colea poduszka sofy utworzyła spadek, po którym, chcąc nie chcąc, zsuwała się na niego.

- Właśnie - odparła inteligentnie, chwytając się kurczowo za poręcz. - Musimy jeszcze porozmawiać o kilku rzeczach, jeśli nadal jest pan zainteresowany.

Cole chciał wziąć tę robotę. W okolicy Outer Banks specjaliści budowlani byli bardzo poszukiwani, gdyż coraz więcej mieszkańców Wirginii przeprowadzało się na południe, pod samą granicę stanu. Muddy Landing przechodziło prawdziwy bum budowlany. Choć stawki w Banks były znacznie wyższe, warunki pracy o tej porze roku były o wiele trudniejsze. Jeśli miał wrócić do pracy na budowie po dziesięciu latach siedzenia za biurkiem, to lepiej zaczynać od czegoś łatwiejszego. Nawet jeśli pracodawca wydaje się nieco dziwaczny. Wspominała pani coś o ograniczeniach czasowych? - spytał.

Tak - odparła uczciwie. - W połowie marca ma wejść w życie nowy plan zagospodarowania przestrzeni. Jeśli nie rozpocznę wcześniej działalności, obejmą mnie nowe przepisy. Oznacza to, że...

Wiem, co to oznacza.

No tak, to oczywiste. Widzi pan, w okolicy jest już kilka księgarń. Po piętnastym ich właściciele na pewno nie pozwolą, abym otworzyła nową w dzielnicy mieszkalnej.

Czy jest pani pewna swojej decyzji?

Nie mam wyjścia - odparła prosto, po czym zerkając nerwowo na zegar, ciągnęła: - Do zeszłej jesieni wynajmowałam składający się z dwóch pomieszczeń parterowy budynek, który kiedyś służył jako garaż i sklep z artykułami wędkarskimi. Miał dobrą lokalizację i niski czynsz. Niestety moje przychody nie były w stanie pokryć kosztów utrzymania. Bywały dni, w których nie udawało mi się sprzedać nawet jednej książki. Pomyślałam, że otwierając księgarnię w domu, zaoszczędzę przynajmniej na wynajmie. Dom jest mój i jest całkowicie splecony. Mój pierwszy mąż odziedziczył go po matce.

Jej pierwszy mąż? Zaraz pewnie usłyszysz historię jej życia.

Cole nagle dostrzegł, że Marty już po raz trzeci spogląda na zegar.

Czy pani się gdzieś spieszy?

Właściwie nie. Muszę tylko dwa razy dziennie wyprowadzać pewnego psa. Dziś mam już opóźnienie, bo czekałam na... - zawahała się, a on dopowiedział w myślach. Czekala na niego. - Aż przestanie padać - dokończyła.

Deszcz ustał i przez ciemne chmury zaczęły się nieśmiało przedzierać promienie zachodzącego słońca.

- W takim razie zostawiam panią. Muszę załatwić kilka spraw, skoro mam tu zostać jeszcze przez jakiś czas.

Miała tyle nadziei w oczach. Powinien był się ugryźć w język. Przecież nie ustalili jeszcze warunków.

Zatrzyma się pan w Muddy Landing?

Musimy ustalić dwie rzeczy. Termin i moje wynagrodzenie.

Kiedy mógłby mi pan przedstawić ofertę? - spytała, spoglądając na niego błagalnym wzrokiem.

Jeśli nie będzie się pilnował, te jej wielkie, szare oczy mogą wpłynąć na jego decyzję. A to nie byłby najlepszy początek nowej kariery.

- Dajmy sobie dzisiejszy wieczór na przemyślenie wszystkiego. Jutro z samego rana przyjadę z wyceną.

Oboje wstali. Jej łagodne oczy, cera o odcieniu kości słoniowej i delikatne rysy sugerowały, że jest krucha i delikatna. W rzeczywistości nie było nic bardziej mylącego.

- Proszę przyjść na śniadanie.

Pies, gdy tylko zobaczył Marty, zaczął głośno szczekać i nie przestawał, dopóki nie wypuściła go z klatki. Gdy ją otwierała, rzucił się na nią zachwycony, prawie ją przewracając. Jego właściciele, państwo Halletowie, pojechali na dwutygodniowy rejs do Norfolk. Zapłacili Marty za wyprowadzanie Mutta dwa razy dziennie na spacer. Wybieg w hotelu dla zwierząt był zbyt mały dla wielkiego kudłacza. Pies potrzebował dużo ruchu.

- Złaż z mojej stopy, byku! - krzyknęła, chwytając go za obroże, kiedy starał się ją przewrócić.

Spacer trwał całe pół godziny, gdyż na tyle umówiła się

z Halletami. Musiała odprowadzać psa najpóźniej na szóstą, przed zamknięciem hotelu. Gdyby się spóźniła, musiałaby zabrać zwariowanego kolosa do domu, a to niewątpliwie byłoby oplakane w skutkach.

Na pewno istniały prostsze sposoby zarabiania pieniędzy. Może powinny z Sashą pobierać opłaty za usługi matrymonialne? Wszyscy w mieście wiedzieli, czym się zajmowały w wolnych chwilach. To nie był sekret, robiły to od bardzo dawna. I były w tym dobre: Sasha, Marty i Daisy, która ostatnio wyszła za mąż i wyjechała do Oklahomy, a od czasu do czasu pomagała im też Faylene, ich wspólna gospośia. Uwielbiały kojarzyć pary. Trzy ostatnie próby zakończyły się pełnym sukcesem. Oczywiście miały też na swoim koncie kilka niepowodzeń, ale zabawa była fantastyczna, a wszystkie gafy szybko puszczano w niepamięć.

Cole wrócił na przystań z obiadem na wynos składającym się z befsztyka z grilla, frytek, sałatki i kukurydzianych ciasteczek. Na dworze zrobiło się już zupełnie ciemno. Od godziny sprzeczne myśli i uczucia krążyły mu po głowie. Nie dotyczyły one samego zlecenia, choć od bardzo dawna nie pracował fizycznie na budowie. Martwiło go co innego.

Wszedł na pokład swojej starej, dwunastometrowej łodzi. Pomachał do Boba Eda, który przeglądał przynęty w świetle lampy rtęciowej.

Byłeś u niej?! - krzyknął. -Tak.

Weźmiesz tę robotę?

- Jeszcze się nie dogadaliśmy.

Bob pokiwał głową i wrócił do pracy. Był z natury mało mówny, co było dość zabawne, ponieważ jego lepszej połowie praktycznie nie zamykały się usta.

Cole musiał sam przed sobą przyznać, że bał się tej pracy. Niepokoiła go pani Owens. Lub raczej jego reakcja na nią. Zanim ją spotkał, był pewien, że nabrał odporności na kobiece wdzięki i wyleczył się z romansów. Jego była żona Paula Weyrich Stevens i Marty Owens należały do dwóch różnych gatunków ludzkich. Jeśli Paula kiedykolwiek splamiła się pracą cięższą niż opłowanie własnych paznokci, to on o tym na pewno nie wiedział. Idealny dzień jego był żony rozpoczynał się w południe, w klubie, od lunchu z trzema drinkami. Następnie odbywał się maraton zakupowy, kończony obiadem z pierwszym frajerem, który dał się naciągnąć, aby jej towarzyszyć, podczas gdy jej mąż, naiwniak, pracował do późna w nocy, zakopany w stertach dokumentów w firmie teścia.

Marty Owens zaś w wolnym czasie malowała regały na książki, wywabiała zapach rozpuszczalnika, paląc cynamon w formie do ciasta, i wyprowadzała na spacer psa znajomych. Gdyby robiła to dla pieniędzy, pewnie nie byłoby jej stać na przebudowę. Z drugiej strony, gdyby się na nią nie zdecydowała, co stałoby się z jej interesem? Czytając między wierszami, Cole domyślił się, że stoi na krawędzi i szuka sposobu, aby rozpocząć wszystko od nowa, choć, podobnie jak on, nie była winna, że jej kariera legła w gruzach.

Za upadek kariery i firmy Cole wziął winę na siebie. Jedyne, co miał robić, to przymykać oko na oszustwa: ustawione przetargi, łapówki, brak fachowości. W końcu zaowocowało to poważnym wypadkiem na budowie z licznymi poszkodowanymi i trzema ofiarami śmiertelnymi, kiedy z powodu zbyt słabej konstrukcji zawaliło się piętro garażu. Wówczas ujawnił przekręty Joshuy Weyricha. Jego małżeństwo i tak istniało już tylko na papierze. Gdy minęło pierwsze zauroczenie, nie pozostało nic, co mogłoby podtrzymać ich związek. Jedynym powodem, dla którego byli ze sobą tak długo, był brak energii i czasu, który musieliby poświęcić na to, żeby się rozstać. Wszystko się skończyło, kiedy ujawnił oszustwa ojca Pauli. Na rozwodzie oddał byłej żonie elegancki dom, który otrzymali w prezencie ślubnym, wszystkie meble, fortepian, na którym nigdy nie grała, kolekcję dzieł sztuki, których nigdy nie oglądała, oraz komplet zaprojektowanych na zamówienie mebli.

Przy pomocy dobrego prawnika Cole ocalił swoją łódź, starą gitarę, sprzęt wędkarski i połowę akcji inwestycyjnych. Uznał, że i tak miał wielkie szczęście, że tyle udało mu się zatrzymać.

Rozejrzał się po kajucie, zastanawiając się, gdzie ma nakryć do obiadu. Jego obecny dom, delikatnie ujmując, miał bardzo ograniczoną powierzchnię życiową. Włączył mały telewizor, nastawił wiadomości i zabrał się do jedzenia, a jego myśli odpłynęły w kierunku dopiero co poznanej kobiety...

ROZDZIAŁ TRZECI

Sasha przysłała niezapowiedziana na śniadanie z pudełkiem ciastek i „Przeglądem Architektonicznym”.

- Spójrz na stronę sześćdziesiątą ósmą i zastanów się, na jakie kolory chcesz pomalować pokój od frontu. Wybieram się do Norfolk i pomyślałam, że wpadnę po drodze.

Policzki Sashy były zaróżowione od zimna i wilgoci. Jej bystre oczy lustrowały zachłannie otoczenie w poszukiwaniu śladów unoszącego się w powietrzu romansu.

- Mów wszystko od początku! Jeśli jest taki super, jak opisała Faylene, będziemy mogły wciągnąć go na listę. Ma więcej niż metr siedemdziesiąt? Lily Sullivan z Chelsea Circle ma mniej więcej tyle wzrostu. Patrzy na mnie z góry, nawet gdy jestem w moich nowych, zielonych szpilkach. Wolałabym, że by ktoś niższy liczył moje podatki. Wystarczy, że straszy mnie

urząd skarbowy. Hej, ty nadal śpisz! - zawołała płaczącym tonem i zatrzepotała wachlarzem sztucznych rzęs.

Walcząc ze snem i starając się przedrzeć przez codzienną poranną mgłę, Marty zdecydowanie odmówiła współpracy.

Błagam, streszczaj się, mam zaraz randkę z psem. Co miałaś na myśli, mówiąc „super” i co to za różnica, jak on wygląda? W sumie żadna. Myślałyśmy... to znaczy Faye powiedziała, a ja pomyślałam, że skoro zamierza tu zostać na czas twojej przebudowy, może chciałby wziąć udział w naszych lokalnych rozrywkach. Przecież nie da się żyć samą pracą.

Gryzie cię to, co? - westchnęła Marty. - Nie możesz pojąć, że wykształcona, niezależna kobieta potrafi żyć sama, bez mężczyzny. Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że niektórzy ludzie lubią i akceptują swoje życie takim, jakie ono jest? Rudowłosa projektantka wewnątrz zrobiła niewinne oczy i w końcu poddała się.

Zachowujesz się tak, jakbyś nigdy nie kojarzyła par. A Clarice i Eddie? Saidie Glover z lodziarni i...

Bierz pączka - ponagliła Marty, nalewając kawę do filiżanek i dodając mleka w proporcji pół na pół. - Jedz, bo Mutt czeka. Ohyda. A masz takie specjalne torebki, na wypadek gdyby załatwił swoją potrzebę w czyimś ogródku? .

Słuchaj, muszę zdążyć z przebudową, a obawiam się, że jeśli zaczniecie zabawiać się z moim stolarzem, odstraszycie go. Więc nawet nie próbujcie. A przynajmniej zaczekajcie, aż skończy pracę - powiedziała, mrużąc oczy.

Ja tylko myślałam o biednej, samotnej Lily. Spotkałam ją kilka dni temu na poczcie. Przez przypadek wspomniała, że od zeszłego lata nie była na randce.

Tak przez przypadek, hm... Jakoś nie chce mi się wierzyć, że nie wydusiłaś z niej tego wyznania za pomocą kija basebalowego.

Uważasz, że byłabym do tego zdolna? Jakkolwiek by było, zaczyna brakować nam kawalerów, więc pomyślałam sobie, że ten twój, jak mu tam na imię, mógłby się przydać. Więc? Jaki on jest?

Ma dredy i dwudniowy zarost, nosi stare koszule, wytarte levisy i buty bez skarpetek.

Przestań żartować.

Sasha oblizła palce, połyskując długimi, kolorowymi paznokciami i dzwoniąc toną biżuterii.

Mówię poważnie. No, może troszkę przesadziłam lub nawet zniekształciłam rzeczywistość, ale proszę cię, nie zwracaj głowy mojemu stolarzowi. Jest moją ostatnią deską ratunku. Nie ma sprawy, kotku. W godzinach pracy należy wyłącznie do ciebie. Mówiłaś, że jest wysoki?

Powiedzmy, że wyższy od ciebie.

Większość dwunastolatków jest ode mnie wyższa. Jest przyzwoity? Faye mówi...

Marty zbyt długo zwlekała z odpowiedzią, co Sasha przyjęła za nieme potwierdzenie.

Oczywiście, że jest! - wykrzyknęła. - Sama masz na niego ochotę i dlatego nie chcesz go umówić z Lily, zanim go nie oczarujesz.

Proszę, przestań. To nie to, co myślisz. Ma tu przyjść zaraz z wyceną, a ja muszę jeszcze wyprowadzić Mutta

i zdążyć wrócić. Nie obraż się, ale wolałabym, żebyś już poszła. Zresztą ja też już wychodzę.

Sasha uśmiechnęła się, błyskając oczami. Była gotowa do działania o każdej porze dnia i nocy.

Słuchaj, najpierw ja go złapię na haczyk, a potem możecie sobie robić z nim, co chcecie. Mnie potrzebne są tylko jego umiejętności.

Ciekawe jakie? - spytała podstępnie rudowłosa.

Stolarskie oczywiście! - krzyknęła ze złością Marty.

Uspokój się, moja droga. Nie musisz się tak ekscytować.

Wykorzystuj go sobie w godzinach pracy, a to, co potem, rezerwujemy dla Lily. Potrzebuje trochę rozrywki, zanim rozpocznie się okres rozliczania podatków. Próbowaliśmy połączyć ją z Egbertem, ale jakoś nie wyszło.

Szeroko ziewając, Marty zaczęła się śmiać, po czym popchnęła przyjaciółkę w kierunku drzwi.

Dziwne. Ciekawe dlaczego? - zakpiła.

Do gniazdka z napięciem 220 volt nie można wkładać urządzeń przystosowanych do napięcia 110 volt. Nauczyłam się tego od mojego męża numer dwa, który był inżynierem elektrykiem.

Myślałam, że numer dwa był oszustem.

Wszyscy mężczyźni nimi są - rzuciła Sasha wesoło przez ramię.

Marty obserwowała, jak jej przyjaciółka idzie chodnikiem, absolutnie nie patrząc pod nogi i potykając się o każdy kamień. Taka była: wysokie szpilki, obcisłe, czerwone leginsy, sztuczne futro i unoszący się wokół niej obłok cięż-

kich perfum. Może wyglądała dziwacznie, ale kiedy dostała zlecenie, potrafiła pracować ciężiej niż jakakolwiek inna znana jej kobieta.

Nie mogąc jeszcze złapać tchu po szalonym galopie z psem, Marty umyła i odłożyła do suszarki brudne filiżanki, a na stole postawiła pozostałe po wizycie przyjaciółki pączki. W chwilę później usłyszała warkot silnika wjeżdżającego na podjazd samochodu. Miała rozczochrane od wiatru włosy i zaczerwienione od zimna policzki i nos. Nie było szansy na szybkie poprawienie wyglądu.

Wciągając głęboko powietrze, w którym nadal unosił się odór farby i spalenizny, zaczęła się przygotowywać na przyjęcie złej nowiny. Był to rodzaj asekuracji. Specjalnie nie robiła sobie zbyt wielkich nadziei, żeby się potem nie rozczarować. Otworzyła drzwi, zanim Cole zdążył zapukać.

- Dzień dobry, jadł pan już śniadanie? Boczek pokrojony, jajka czekają na smażenie, a na deser pączki. Proszę zostawić kurtkę i zapraszam do kuchni.

Litości, wyglądał znacznie lepiej, niż jej się wczoraj wydawało. Nie była ekspertem, ale mając za sobą dwóch mężów oraz kilku chybionych narzeczonych, nauczyła się kilku ważnych rzeczy o mężczyznach. Wszyscy przystojniacy byli zazwyczaj płytki i powierzchowni. Interesował ich wyłącznie wygląd. Cole Stevehs z pewnością do nich nie należał. Był przystojny urodą niebanalną. Wyróżniał się czymś znacznie ważniejszym niż ładne rysy twarzy.

Na dworze zrobiło się trochę cieplej - zauważył, choć było wietrznie i lodowato.

Powoli zbliża się wiosna - odparła, pomimo tego, że był środek stycznia. - Gdzie pan mieszka? Chciałabym wiedzieć, na wypadek gdyby wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

W przystani u Boba Eda. Wydawało mi się, że wspominałem o tym wczoraj.

No tak, przecież to oni go tu przysłali. Wczoraj miała ciężki dzień, to wszystko tłumaczy.

-Jak pan uważa, ile czasu zajmie przeniesienie na górę kuchni?

Wrzuciła na patelnię trzy plastry boczku i postawiła na palnik. Przypominając sobie wczorajsze kłęby dymu, włączyła od razu wyciąg. Obok na blacie leżał porzucony od wczoraj czujnik dymu. Cole dostrzegł go. Włożył baterie i umieścił z powrotem w obudowie na ścianie.

Marty uśmiechnęła się w podziękowaniu.

Właśnie miałam się tym zająć - skłamała.

Co do wybijania ścian, nie potrwa to dłużej niż jeden, góra dwa dni.

Czy to oznaczało, że podejmie się przebudowy, czy tylko odpowiada na pytanie?

-Doskonale - odparła, starając się nie zabrzmieć zbyt entuzjastycznie.

Zdjęła z patelni boczek, ułożyła go na papierowym ręczniku i zabrała się za smażenie jajecznicy. Dodając dla smaku odrobinę sosu serowego, starała się skupić na wykony-

wanej czynności i uciec myślami od tego niepokojącego mężczyzny.

-Proszę usiąść. Może chciałby pan umyć ręce? Łazienka jest na górze.

Cole poszedł na górę, Marty tymczasem nałożyła jajecznicę na talerze. Całe szczęście, że zaraz po wstaniu pościeliła łóżko. Czy przypadkiem nie zostawiła w łazience rzuconego na podłogę szlafroka? Na pewno nie zakręciła tubki z pastą do zębów... Niech tam. W końcu jakie to miało znaczenie. Przynajmniej miała dziś na sobie buty i skarpetki.

-Mam dżem truskawkowy, marmoladę i domowe powidła figowe. Zachęcam - powiedziała do gościa, kiedy wrócił z góry.

Przygotuj się na najgorsze, ale nie trać nadziei. Gdyby nie zamierzał przyjąć pracy lub gdyby był zbyt drogi, na pewno nie jadłby teraz ze mną śniadania. O ile nie jest spłukany, głodny lub całkowicie pozbawiony etyki.

Może jednak był bez gorsza. Na pewno, sądząc po tym, jak zjadał śniadanie, ma wilczy apetyt. Co do etyki, jakoś dziwnie nie miała wątpliwości. Miał uczciwe spojrzenie.

-Możliwość przebudowy wygląda dość realnie.

-Naprawdę? - podchwyciła.

Przytaknął skinieniem głowy.

-Ściana, którą chce pani usunąć, jest ścianą nośną, o czym wczoraj wspominałem. Z punktu widzenia konstrukcji jest niezbędna. Jeśli zdecyduje się pani na pewien kompromis, mogę tak przerobić pomieszczenia, że zaspokoją pani podstawowe potrzeby.

-Całe moje życie to jeden wielki kompromis.

Jej potrzeby? Gdyby znał jej pragnienia, uciekłyby stąd natychmiast. Ona sama nie zdawała sobie sprawy ze swych ukrytych namiętności, dopóki Cole nie przekroczył progu jej domu, czy raczej nie wdarł się, żądając gaśnicy. Zapomnij o gaśnicy. Tobie przydałby się raczej zimny prysznic.

Czy to oznacza, że pan się zgadza? - zaryzykowała pytanie. Umówimy się na wynagrodzenie od godziny czy za wykonaną pracę?

Jak pan woli.

To jest moja propozycja - powiedział, wręczając Marty ofertę.

Powoli rozwinęła kartkę z wyceną. Pierwszą rzeczą, która przykuła jej uwagę, był charakter pisma. Przypominał pismo techniczne. Bardzo męski, a jednocześnie pełen nieoczekiwanej lekkości i wdzięku, jak sam pan Stevens.

Nie widzę problemu - odparła po dłuższym namyśle.

W takim razie podpisujemy umowę.

Następnego dnia, słysząc parkujący na podjeździe samochód, odgoniła od siebie chmurę złych przeczuć. Koszt przebudowy był bająński. Nie miała przy tym żadnej pewności, że interes się rozwinie. Skoro splajtowała, prowadząc księgarnię na obrzeżach centrum handlowego, nie powinna liczyć na sukces, otwierając ją na przedmieściach w dzielnicy willowej.

Od samego rana zaczęła przenosić wszystkie swoje rze-

czy z dużej sypialni do małego pokoju gościnnego. Praca w sam raz dla atlety. Ból w plecach się nie liczył. Życie było pełne bólu.

Kiedy wciągała na łóżko materac, usłyszała, jak Cole woła z dołu.

-Drzwi były otwarte, więc wszedłem!

Poprzedniego wieczoru Marty wspomniała, że zostawi otwarte drzwi, na wypadek gdyby nie zdążyła wrócić na czas. Cole nie skomentował, ale z wyrazu jego twarzy można było wywnioskować, że tego nie pochwała.

To jest Muddy Landing - wyjaśniła mu. - Zerowy współczynnik przestępczości, nie licząc dziecięcych psot. Ale jeśli tak poczujesz się bezpieczniej, mogę zamykać drzwi.

Byłoby lepiej - potwierdził, przytakując skinieniem głowy.

Jeśli przyjedziesz, zanim wrócę ze spaceru, klucz będzie leżał pod wycieraczką.

Cole potępiająco przewrócił zielono-złotymi oczyma. Ależ on był cudowny.

Chodźmy na górę. Właśnie opróżniłam dużą sypialnię - powitała go w progu, rozmasowując obolały krzyż. Cole obracał dwa razy, aby przynieść wszystkie narzędzia. Kiedy był gotowy do pracy wręczył jej dwa duże worki na śmieci.

Większość krokwii i kołków uda się powtórnie wykorzystać, ale pozostałe...

Wiem, płyty gipsowe nie nadają się do powtórnego użycia. Będziemy musieli rozebrać fragment sufitu na styku ze ścianą?

Ustalmy na początek jedną zasadę. Nie ma „my”. Pracuję sam.

Tak, ale.

Po mojemu albo wcale. Zawsze sam po sobie sprzątam. Jeśli uzna pani, że mimo to jest brudno, może pani poprawić, ale nie wtedy, kiedy pracuję.

-Ale...

Pani Owens, Marty, jeśli mogę tak do ciebie mówić.

Oczywiście.

Zgodziłem się przyjąć tę robotę, ale zdecydowanie nie zgadzam się na ingerowanie w to, w jaki sposób ją wykonuję. Nie będę podejmował dyskusji na ten temat.

Chciałam tylko pomóc.

Niepotrzebnie. Wiem, co mam zrobić i jak. Nie lubię, kiedy ktoś mnie co chwila dekoncentruje niepotrzebnymi pytaniami.

Po tym, co jej powiedział, miała ochotę go zwolnić, ale nie śmiała. Podpisali umowę. Poza tym, tak szczerze mówiąc, wcale nie chciała, żeby odchodził. Był jej ostatnią szansą.

Był również...

Nieważne. Był jej pracownikiem, kropka. Później ustalą, kto tu dowodzi.

Kiedy wycofywała się na schody, zadzwonił stojący na podłodze w pustej sypialni telefon.

-Cześć, tu Faylene.

Marty zrezygnowana oparła się o ścianę, gotowa wysłuchać potoku słów przyjaciółki, która koniecznie musiała jej opisać wspaniały jacht, który właśnie zacumował w przystani tuż przy sklepie Boba.

-Widziałam na nim dwóch mężczyzn. Podobno chcą płynąć na ryby. Jeśli zostaną do niedzieli, mogłabym zaprosić ich na imprezę do Boba.

Marty mruknieniem przyznała, że to świetny pomysł, choć to wcale nie było potrzebne. Kiedy Faylene coś postanowiła, nic nie było w stanie jej od tego odwieść.

A jak tam twój facet?

Mój? Słuchaj, on nie jest mój!

No właśnie, gdyby wam nie wyszło, może przypadnie ci do gustu jeden z tych z jachtu.

Marty ciężko westchnęła.

-Zapraszaj, kogo chcesz. Żonatych, wolnych, wdowców.

Twoja sprawa. - Tylko zostaw w spokoju mojego stolarza, dodała w myślach.

Jeszcze przez kilka minut słuchała wywodów przyjaciółki, ile wspólnego mogą mieć ze sobą niezamężni żeglarze i księgar-ki lub księgowe. Większość wyobrażeń Faylene zaczerpnięta była z oper mydlanych i w związku z tym co najmniej niedorzeczna.

- Zaproś całą załogę i do dzieła - wtrąciła szybko Marty, korzystając z okazji, że przyjaciółka przerwała na moment, aby złapać oddech. Pożegnała się i szybko odłożyła słuchawkę, zanim Faye zdążyła wpaść w nowy trans.

Nie chcąc ryzykować kolejnego skłonu, Marty szybkim

szarpnięciem wyciągnęła wtyczkę z gniazdka telefonicznego. Podnosząc głowę, zauważyła, że Cole obserwuje ją z miną pełną rezerwy.

- Muszę załatwić kilka spraw. Na dole przy schodach zostawię na wszelki wypadek odkurzacz.

Może jest gburowaty, ale jest cały mój, kupiony i opłacony, myślała, jadąc do sklepu.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Cole zaczekał, aż zejdzie na dół, a potem wniósł na górę profile i ułożył je w pustej sypialni. W pokoju unosił się delikatny zapach, który skojarzył mu się z tą kobietą. Bynajmniej nie był to odór rozcieńczalnika i spalonego cynamonu. Nie był to też ciężki zapach perfum, jaki lubiła Paula, lecz delikatna woń o nucie kwiatowej, przypominająca aromat tropikalnej przyrody w gorący letni wieczór.

Otrzeźwiej. Jesteś w Muddy Landing. Jest środek stycznia.

Przestań fantazjować i bierz się do roboty.

Zdjął już dwie płyty gipsowe i właśnie odkręcał kolejny kontakt, kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwi frontowych.

Z grubsza oceniając, dom musiał być wybudowany na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Był jednym z najstarszych w okolicy. W czasach, kiedy był budowany, dwie sypialnie i jedna łazienka były standardem, jaki w zupełności spełniał wymagania większości młodych par. Jeśli rodzina rozrastała się i zaczynało być ciasno, nadbudowywano piętro lub dostawiano przybudówkę.

Ale to był jej dom. Mogła w nim robić, co chciała, choć-

by przerobić go na księgarnię. On sam dopiero co przeprowadził się ze szklanego pałacu o pięciu sypialniach i czterech łazienkach na ciasną łódź.

Zanim poślubił córkę szefa i wprowadził się do ogromnego gabinetu, w którym przykuto go do biurka, pracował na wielu budowach, na najróżniejszych stanowiskach, nabywając różnorodne doświadczenia. Swoją pierwszą pracę wakacyjną dostał w warsztacie szkutniczym. Minęły długie lata, odkąd po raz ostatni wykonywał ręcznie jakiegokolwiek prace stolarskie. Pomijając pomoc Bobowi Edowi przy wstawianiu okien.

Może popełnił błąd? Tak, powinien był ruszyć w dalszą drogę, dać sobie więcej czasu. Jedno było pewne, był w stu procentach uodporniony na uroki wyrafinowanych, obytych w świecie i drogich w utrzymaniu kobiet, które traktowały seks jak kartę przetargową. Spotykając na swojej drodze naturalne piękno, pozbawione blichtru i sztuczności, był w poważnym niebezpieczeństwie.

Założę się, że pod tymi porozciąganyymi ciuchami nosi zwykłą, bawełnianą bieliznę - pomyślał z rozbawieniem.

Następnych kilka godzin upłynęło na mierzeniu, przycinaniu i wstawianiu. Zabawne, jak szybko zaczął się z nią swobodnie czuć, zważywszy na to, co tu wczoraj zastał. Zazwyczaj dość długo oswajał się z ludźmi. Nigdy nie był zbyt towarzyski, nawet zanim rozpadło się jego dotychczasowe życie.

Pani Owens była solidna, bezpretensjonalna i inteligentna, czego nie podkreślała na każdym kroku. I miała

poczucie humoru, o czym świadczyły zabawne rysunki przedstawiające aranżacje wnętrz z meblami i postaciami. Dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo wspólny śmiech z kobietą może pociągać mężczyznę. Potem chce się dzielić coraz więcej doznań. Czuł, jakby się znali od lat, ale nigdy wcześniej nie mieli okazji się spotkać. A może się mylił? Już raz mu się to przydarzyło.

Marty usłyszała, że Cole schodzi na dół, i zabrała się za robienie kanapek. Zaparzyła kawę i przygotowała dzbanek mrożonej herbaty. O ile dobrze zauważyła, nie przyniósł ze sobą nic na lunch. Gdyby postanowił pojechać do najbliższego baru, straciłby zbyt wiele czasu i mógłby nie dotrzymać terminu. W godzinach pracy chciała go mieć całego tylko dla siebie.

Mijając go w holu, odwróciła głowę, aby nie spotkać się z nim wzrokiem. Nadal była urażona jego porannym zachowaniem.

-Lunch na stole. Jeśli nie masz nic przeciwko temu, siadaj i jedz, a ja w międzyczasie trochę posprzątam na górze. Niech sobie myśli, że jestem maniakiem czystości. Już to lepsze niż siedzenie z nim przy jednym stole i wpatrywanie się w te seksowne usta i tajemnicze oczy.

-Posłuchaj, przepraszam, że byłem trochę opryskliwy.

Nie chciałem cię urazić,

-Nie ma sprawy - odparła, przyjmując lekceważący ton.

- Postawiłeś sprawę jasno i rozumiem to. Gdybym pozwałała wszystkim pracującym u mnie na pół etatu pomocni-

kom mówić mi, jak mam prowadzić moją księgarnię, już dawno wypadłabym z interesu. - Co zresztą się stało, dodała w duchu. - Wiesz, co mam na myśli? - mruknęła.

Kiedy weszła na górę i zobaczyła hałdę gruzu, kikut ściany i pokrywającą wszystko grubą warstwę kurzu, wyparowała z niej cała złość. Trzeba szybko to posprzątać, zanim ktoś zobaczy.

Powróciły wspomnienia z dzieciństwa. Zawsze starała się być perfekcyjna, mając nadzieję, że w końcu ktoś ją polubi i zaadoptuje. Gdzieś na świecie musi żyć miła, kochająca się para, która zauważy, jak Marty starannie układa swoje rzeczy na półkach i jak porządnie ściela swoje łóżko. Rozpozna, że pod tym niezgrabnym, skromnym strojem kryje się inteligentna, ładna, posłuszna dziewczynka, która będzie dla nich idealną córką.

Zamrugła powiekami i powróciła do rzeczywistości, do zrujnowanego pomieszczenia, które jeszcze kilka godzin temu było jej sypialnią. Tak bardzo nie mogła się doczekać przebudowy, że zupełnie zapomniała, jak wygląda plac budowy w trakcie robót. Oderwała z rolki wielką torbę na śmieci i zaczęła wrzucać do niej gruz. Nie wiedziała, czy resztę śmieci powinna zamieść, czy odkurzyć. Czy bezpiecznie będzie włączyć odkurzacz do gniazdka?

Pomiędzy krokwiami i słupami, czy jakkolwiek się to nazywało, dyndały złowrogo przewody elektryczne. Tyle zostało z jej pięknych, żółtych ścian. Jeszcze niedawno wisiały tu jej ulubione obrazki i stał zabytkowy, drewniany stolik. Dostała go w prezencie od Beau w pierw-

szym roku ich małżeństwa. Twierdził z dumą, że to część jego spadku.

Raz zabrał ją nawet do swej rodzinnej posiadłości w Culpepper. Rodzina przyjęła ją bardzo chłodno. W drodze powrotnej do Muddy Landing opowiedział jej o wszystkim, co widziała w rezydencji, o domu, meblach, dziełach sztuki - wszystko to były pamiątki rodzinne po przodkach. Zapomniał tylko napomknąć, że wszystko, co pochodziło od rodziny Owensów, nie mogło należeć do ich wspólnego majątku, nawet jeśli podarowałyby jej to na urodziny lub na gwiazdkę. Przynajmniej jej pierwszy mąż ofiarował jej dom. Alan przepisał go na nią tuż po ślubie, jakby wiedział, że wkrótce umrze. Marty zawsze żartowała, że potrafi połączyć pracę na pełnym etacie z pełnowymiarowym małżeństwem, ponieważ, zanim jeszcze zdiagnozowano u jej męża stwardnienie rozsiane, poświęcała mu znacznie więcej energii i czasu niż swojej pierwszej księgarni. Pragnęła być idealną żoną. Potem, gdy się rozchorował, przez kilka lat działała jak robot. Rachunki mnożyły się w zastraszającym tempie i nie mogła sobie pozwolić na zamknięcie księgarni. Wynajęła więc pracownika, a sama została z Alanem w domu.

Kiedy umarł, musiała odłożyć na bok rozpacz i ratować to, co jeszcze było do ocalenia z prowadzonego interesu. Stopniowo jej księgarnia zaczęła zyskiwać próg rentowności. Jednak kiedy pojawiły się pierwsze zyski, niespodziewanie nadeszła recesja. Właściciel lokalu podniósł czynsz,

tłumacząc się wzrostem podatków lokalowych. Na rynku pojawiły się też liczne księgarnie internetowe, które odebrały jej wielu klientów. Bankructwo było już tylko kwestią czasu. Jeśli jej plan nie wypali, to znajdzie się znów w punkcie wyjścia. Albo, co gorsza, bez wyjścia. Była naprawdę zmęczona, fizycznie i psychicznie.

Odganiając czarne myśli, z nowym zapalem zabrała się do pracy. Podłączyła odkurzacz, który odpalił na moment i zaraz zgasł. Wzięła szczotkę i kilkakrotnie uderzyła w pokrywę.

-Do licha! - krzyknęła ze złością.

Chwilę później spotkali się na schodach. Marty taszczyła ogromny wór ze śmieciami i Cole odsunął się, aby ją przepuścić.

Odłożyłem odpady na bok - poinformował, widząc wojowniczą minę na jej delikatnej twarzy. Gładka, kremowa cera.

Ciekawe, jak by smakowała, zamyślił się. - Dziękuję za lunch. Nie wliczałem posiłków w cenę, robiąc kalkulację.

Nie ma o czym mówić - odparła nonszalancko. Postawiła wór u podstawy schodów i zaczęła sobie masować obolały krzyż. Coś ci jest?

Skąd - odparła wesoło. - Nic a nic.

Zadzwoił telefon. Marty wychodziła właśnie, aby wyrzucić śmiecie. Zawahała się przez moment, po czym zde-

cydowała się jednak nie odbierać. Nie była w nastroju na pogaduszki.

Mam odebrać?! - krzyknął Cole z góry po piątym sygnale. Jeśli chcesz - odpowiedziała. To pewnie jakiś telemarketer, pomyślała. A może Sasha? Chce obgadać plany Faylene dotyczące nowych, gorących widoków w porcie. Marty miała już i tak dość na głowie, żeby jeszcze teraz bawić się w swatanie. Prędzej byłaby skłonna pozwolić sobie na mały atak paniki wywołany obecnością seksownego stolarza, rozbierającego właśnie pół jej domu w celu realizacji ryzykownej inwestycji, która miała może pięćdziesiąt procent szans na powodzenie. Może kilka solidnych uderzeń głową w ścianę garażu wybiłoby jej w końcu głupoty z głowy...

Czasami, gdy zaczynała myśleć racjonalnie, co zdarzało jej się ostatnio bardzo rzadko, docierała do niej gorzka prawda, że w dzisiejszych czasach czytanie nie było ulubioną rozrywką społeczeństwa. A ci, którzy czytali, mieli do wyboru mnóstwo konkurencyjnych źródeł zakupu książek. Targi książki używanej, supermarkety, wielkie księgarnie sieciowe, małe księgarnie lokalne, punkty wyprzedaży, nie wspominając już o sklepach internetowych.

-Może powinnam otworzyć salon tatuażu - mruknęła.

Kiedy znów ujrzała swojego stolarza, miał zupełnie siwe włosy. Chyba tak nagle przez nią nie osiwiiał... Nic takiego nie zrobiła ani tym bardziej nie powiedziała. Jeśli zruj-

nował jej górę, a teraz załamał się i chce zrezygnować, to już po niej. Powinna była jednak sprawdzić jego referencje, a nie polegać jedynie na opinii Boba Eda i wrażeniu Faylene.

Postanowiła nie dać po sobie poznać niepokoju.

Kto dzwonił?

Trudno powiedzieć.

Jak to?

Ktoś usłyszał obcy męski głos i odłożył słuchawkę -wyjaśnił, wzruszając ramionami.

No pięknie, teraz jeszcze dostaję głuche telefony.

Około czwartej po południu Marty zaczęła się ubierać do wyjścia na spacer z Muttem. Cole znosił właśnie ostatni wór z gruzem.

Spacer z pieskiem?

Mhm. Będziesz tu jeszcze, kiedy wrócę?

Spojrzał na zegarek. Marty zdała sobie sprawę, że wpatruje się, jak cudownie naprężają się mięśnie jego ramion.

-Właściwie mógłbym już na dziś kończyć, ale chciałbym jeszcze przygotować materiały na jutro, żeby od rana móc zacząć stawiać nowe ściany.

Zabrzmiało bardzo obiecująco. Przytrzymała drzwi frontowe, aby mógł przejść ze śmieciami, i stojąc tak, przyglądała się, jak starannie układa gruz na dworze i przykrywa grubą folią.

Było coś ujmującego w tym mężczyźnie, który potrafił włożyć tyle wysiłku w uporządkowanie śmieci. Alan zawsze zostawiał gazety i ubrania porozrzuc-

cane po całym domu. Beau tak rzadko bywał, że nawet nie zdążył zrobić bałaganu.

Cole obserwował, jak Marty wkłada nauszniki i ciepłe rękawiczki. Jej policzki i nos zdążyły się zaróżowić od zimnego powietrza. Jasna cera, odziedziczona prawdopodobnie po szkockich lub irlandzkich przodkach, była jak wykrywacz kłamstw. Nie posądzał jej o to, że nie mówi prawdy, absolutnie. Po prostu, po doświadczeniach z pierwszą żoną, nie potrafił ufać kobietom. Nauczył się, że jeśli prawda jest niewygodna, to wszystkie kobiety oszukują. Paula traktowała to wręcz jak zabawę w chowanego.

Cole szybko przestał szukać prawdy.

Mam zamknąć, wychodząc? - spytał, kiedy Marty wsiadała już do samochodu.

Nie, chyba że będziesz się bał o narzędzia.

Nie czekając na odpowiedź, wycofała samochód na ulicę.

Dokładnie w tym samym momencie, trzy domy dalej, wyjechał z podjazdu szary mercedes. Zatrzymał się, aby ją przepuścić, po czym ruszył za nią w tym samym kierunku. Cole zwrócił na niego uwagę, gdyż był to pięknie odrestaurowany stary model. Był wspaniały, a Cole potrafił docenić prawdziwe dzieło sztuki technicznej. On sam jeździł obecnie zdezelowanym truckiem wypożyczonym od Boba Eda.

Mutt był zachwycony, kiedy zobaczył Marty.

-Wydaje mi się, że on się okropnie nudzi - zwróciła uwagę opiekunowi, chłopakowi o niebieskich włosach ułożonych w sterzcący czub.

Szarpiąc się i dysząc, przypięła smycz do kolczatki Mutta. Miała pewne wyrzuty, że używa czegoś takiego, ale Annie wytłumaczyła jej, że psa to nie boli. Spowalnia go tylko, gdy zobaczy coś, za czym chce gonić.

-Przydałaby ci się lekcja dobrych manier - wydyszała, ciągnięta w pełnym pędzie przez wielkiego, kudłatego potwora. - W lewo! Skręcaj! Tędy, do licha! - krzyknęła wściekła.

Mutt pędził prosto w kierunku restauracji Hamburger Shanty. Dopadł wielki śmietnik, przewrócił go, a kiedy Marty schyliła się, żeby pozbierać rozwiewane przez wiatr odpadki, zaczął szczekać.

Tuż obok rozgrywającej się sceny przejechał szary mercedes, jakby szukając miejsca do zaparkowania.

Mutt zaczął obwąchiwać buicka Egberta Blalocka. Bank był już zamknięty. Wiceprezes musiał właśnie kupować jedzenie na wynos. Egbert był wyjątkowo skąpy i nie lubił, kiedy bank pożyczał komukolwiek pieniądze, jakby to były jego własne, co u bankiera pewnie można by poczytać za zaletę.

-Masz ochotę nasiusiać na jego koła? Proszę cię bardzo, śmiało.

Tym razem pies wyjątkowo posłuchał.

Kiedy wróciła do domu, dochodziło wpół do szóstej i było już zupełnie ciemno. Coraz bardziej dokuczał jej ból krzyża po tym, jak musiała zbierać śmiecie i walczyć z ciągnącym ją Muttem. Tymi swoimi wielkimi łapskami przewróciłby nawet śmieciarkę, czego na szczęście nie próbował.

Marty była tak zmęczona, że nie zauważyła wyjeżdżającego zza rogu Sugar Lane szarego sedana.

W oknie kierowcy pojawiła się zatroskana twarz Colea.

-Pomóc ci?

Więc jeszcze tu był. Ciekawe, czy ta zmarszczka na jego lewym policzku była mimiczna? To okropne, że u mężczyzn zmarszczki uważa się za atrakcyjne, a kobiety muszą wydawać majątek na specjalistyczne kremy, aby się ich pozbywać. Otworzyła drzwi i chciała wejść, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

-Nie, dzięki.

Ponieważ jednak nadal spoglądał na nią z wyrazem wątpliwości na twarzy, dodała:

Czy wyprowadzałeś kiedyś na spacer dwustukilowego, nigdy nieszkolonego potwora, który musi obwąchać każdą roślinę, którą napotka na swojej drodze? Nie mówiąc już o wysusianiu się na każde źdźbło trawy, które mija. - Westchnęła i z trudem zrobiła krok do przodu, potem jeszcze jeden, starając się przy tym, nie wykrzywiać twarzy z bólu.

Codziennie go wyprowadzasz?

Dwa razy dziennie. Pomagam znajomym, którzy pojechali na wycieczkę. Marzyli o niej od wielu lat. W hote-

lu dla psów powiedzieli, że nie przyjmą Mutta, jeśli ktoś nie będzie dwa razy dziennie wyprowadzał go na spacer. Uznali, że jest za duży na krótkie spacery, jakie mogą zapewnić swoim podopiecznym.

Właściwie właściciele psa wcale nie byli jej przyjaciółmi, lecz sąsiadami. Mieszkali kilka domów dalej. Annie była kiedyś jej stałą klientką. Byli zdesperowani, a Marty potrzebowała pieniędzy.

Pokuśtykała do środka, Cole tymczasem wrzucił kolejny wór ze śmieciami do samochodu.

Najpierw jedzenie, potem ciepły prysznic i łóżko, pomyślała. Gdyby tak jeszcze te jego silne, męskie ręce mogły wymasować jej bolące plecy. To byłoby cudowne.

Opanuj się. Kolejny mężczyzna w twoim życiu to ostatnie, czego potrzebujesz.

Kiedy wszedł za nią do domu, resztką sił starała się nie pokazać wyczerpania.

Czy potrzebujesz jeszcze czegoś? - spytała, odwracając się.

Były do ciebie trzy telefony.

Marty uniosła brwi, ciesząc się, że nie bolą jej chociaż mięśnie twarzy.

Kto dzwonił?

Najpierw pani Beasley. Powiedziała, że w przyszłym tygodniu może przyjść w dowolnym dniu, jeśli chcesz zacząć ustawiać książki. Prosiła, żebyś zadzwoniła, kiedy będziesz jej potrzebowała.

Marty mruknęła coś pod nosem. Przecież Faylene do-

brze wiedziała, że do tego jeszcze daleko. Cole stał na tyle blisko, że czuła jego odurzający zapach. Połączenie wody kolońskiej ze świeżo spiłowanymi wiórami drewna.

Potem dzwoniła kobieta o imieniu Sasha. Ma wzory wykładziny, które przyniesie jutro rano.

Nie potrzebuję jeszcze wykładziny i ona o tym wie. Coś jeszcze?

Czysta ciekawość, nic więcej, pomyślała w duchu ze złością. Marty zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, Cole nadal tu był. Taki duży, silny, opiekuńczy. Uosobienie cech bohatera romansów. Czegoś dobrego, czego nigdy osobiście nie doświadczyła.

-Posłuchaj, pozamykałam wszystko w domu i włączyłam ogrzewanie. Zdejmij z siebie kilka warstw, a ja w tym czasie zaparzę dzbanek herbaty.

Coraz lepiej. Chyba troszeczkę się zagalopowałam. Może jeszcze od razu powinnam zarezerwować bilety na podróż poślubną.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Cole został w końcu na kolację. Trochę dlatego, że nie miał nic lepszego do roboty, ale też dlatego, że jej dom, choć nadal przesiąknięty zapachem rozpuszczalnika i przypalonego cynamonu, był o niebo przyjemniejszy od jego zawilgoconej, zimnej łodzi.

To nie ma nic wspólnego z tą kobietą, zapewnił się w myślach. Ani z tym, że lubił przebywać w jej towarzystwie, ani z tym, że sprawiało mu przyjemność fantazjowanie, jaka jest w łóżku. Do tej pory nie wykonała żadnego gestu w celu przyciągnięcia jego uwagi.

Może właśnie to było to. Używała naturalnej przynęty, nie fałszywego uroku jak większość kobiet. Nie powinien się zapuszczać na łowy na niebezpieczne wody, niezależnie od tego, jak bardzo go kusiło.

Marty otworzyła napój dietetyczny i butelkę portera.

Chodzi o to, że nie mam teraz czasu na żadne rozrywki i gierki towarzyskie - oświadczyła, podając mu piwo. -Chcesz szklanek?

Nie, dziękuję. O co chodzi z tymi gierkami?

Marty powiedziała Colebwi o ulubionej formie spęd-

dziania wolnego czasu, polegającej na kojarzeniu par. To, czego się dowiedział, wyjaśniło podsłuchaną, wcześniejszą rozmowę telefoniczną.

Wasze ofiary nie mają nic przeciwko temu?

Nie nazywałabym ich ofiarami. Pomyśl tylko, ilu ludzi na świecie pragnie mieć kogoś bliskiego. Niektórzy, szukając, wchodzą na czata do Internetu a inni decydują się na randkę w ciemno.

-I może robią to z własnej woli? Nikt ich do tego nie zmusza?

My nigdy nikogo do niczego nie zmuszamy - zaprotestowała.

- Aranżujemy tylko spotkanie pani X i pana Y. Dalej już wszystko zależy od nich.

X i Y jak chromosomy?,,,

Nigdy tak o tym nie myślałam - uśmiechnęła się, a oczy jej się zaiskrzyły. - Tak czy inaczej, jestem teraz zbyt zajęta opracowywaniem planu, jak w dwóch frontowych pokojach pomieścić moje trzyipółmetrowe regały, żeby martwić się o życie towarzyskie jakiejś pani księgowej. Wszelkie rady mile widziane.

Za chwilę, kiedy zacznie się okres rozliczania podatków, twoja księgowa przesyli ci kontakty z ludźmi.

Nie chodziło mi o nią, lecz o półki.

Do licha, zaczyna się zachowywać jak jej przyjaciółki plotkarki. Co on wie o kojarzeniu par?

No tak. To żaden problem.

Teoretycznie może nie, ale w praktyce, kiedy myślę, że miałabym najpierw rozkręcić każdą półkę na dwie części,

a potem z powrotem złożyć rozebrane regały, jestem pewna, że to by się źle skończyło.

- Po kolacji mogę ci zmontować jedną lub dwie półki.

Wyraz zwątpienia na twarzy Marty zaczął stopniowo ustępować miejsca szerokiemu uśmiechowi.

- Ależ nie musisz - zaprotestowała gorąco.

Miał ochotę przyznać jej rację. Skręcania półek nie było w umowie. Z drugiej strony, nie pałał entuzjazmem na myśl o powrocie do przystani. W domu było przyjemniej.

Jasne, chcesz tu zostać tylko ze względu na dom...

Zaraz, mówi coś o psie i o tym, jak bardzo obawia się jutrzejszego porannego spaceru.

- Niezależnie od pogody muszę go wyprowadzać dwa razy dziennie. A Halletowie wracają dopiero za dwa tygodnie. Nie wiem, czy moje ramiona dotrwią do tego czasu.

Kiedyś Cole bardzo chciał zostać architektem. Było to jego największym marzeniem. Przez jakiś czas studiował nawet architekturę, ale nie zrobił dyplomu. Grając w amerykański football, uszkodził sobie poważnie kolano, przez co stracił stypendium. Na początku, kiedy zaczynał pracę, zajmował się wprowadzaniem drobnych poprawek na rysunkach i planach. W końcu zaczął dostawać poważniejsze zlecenia, takie jak budowa biurowca Murdock Complex czy centrum społecznego Josephine. Wtedy praca naprawdę zaczęła go cieszyć.

Tak było, dopóki rosnąca liczba wypadków na budowach nie zaczęła wzbudzać jego podejrzeń. Był to okres,

kiedy coraz wcześniej wychodził do pracy i coraz później z niej wracał. Wieczorami kontrolował obszary, które nie podlegały jego kompetencji.

Po kolacji poszli razem do salonu, żeby ustalić miejsce, w którym miały stanąć regały.

- To jest najdłuższa ściana. Łącznie jest jedenaście półek i wszystkie chciałabym zmieścić w tych dwóch pokojach.

Pomyślałam, że w kuchni zrobię biuro. Ten stół i tak się nie zmieści na górze, a tu będzie świetnie służył do rozpakowywania książek.

Skubiąc brodę z jednodniowym zarostem, zaczął uważnie studiować plany. Mieszkając na łodzi, nauczył się, jak ekonomicznie wykorzystywać każdy skrawek wolnej przestrzeni.

- Sasha ma jakieś szalone pomysły co do kolorów ścian.

To moja przyjaciółka, o której ci opowiadałam. Rozmawiałeś z nią przez telefon. Jest dekoratorką wnętrz, więc powinna się znać. Uważa, że należy pomalować ściany na różne odcienie czerwieni. Wyobrażasz to sobie? Twierdzi, że przy północnym świetle pomieszczenia nie tylko powinny być przytulne, ale i ekscytujące.

Zdaniem Cole'a pokoje już teraz były ciepłe i miłe. Ściany pomalowane na kremowy kolor dobrze się komponowały ze starymi meblami. Wszystko do siebie pasowało, tworząc sensowną całość. Może nie było to arcydzieło sztuki wnętrzar-skiej, ale też na pewno nie przerażało bezguściem.

Przechadzając się po pokojach, kuchni i pralni, które zajmowały parter domu, Cole zaczął w głowie szkicować plan rozstawienia regałów. Szkoda, że będzie trzeba zagrabić pokoje na górze. Ale w końcu to nie jego sprawa, to jej dom. Marty dreptała za nim jak wierny szczeniak czekający na smakołyk. Cole nie był cudotwórcą. Oczywiście przebuduje zgodnie z jej wymaganiami piętro domu, ale niczego więcej nie może zagwarantować.

Jest kilka możliwości - uspokoił ją w końcu.

Masz na myśli kolorystykę?

Usłyszał jej westchnienie. Odwrócił się. Stała tylko dwa kroki od niego. Zbyt blisko. Niechcący otarł się dłonią o jej biodro. Przeszedł go dreszcz przypominający spięcie elektryczne. Sądząc po tym, jak odskoczyła, musiała poczuć to samo.

Będę walczyć - powiedziała, z trudnością łapiąc oddech. - Widziałeś kiedyś walec drogowy w szpilkach? To Sasha, moja przyjaciółka.

Miałem na myśli aranżację wnętrza, nie kolorystkę.

Na jej delikatnej twarzy pojawiło się zmęczenie i zrezygnowanie. Patrząc na nią, pomyślał, że mógłby dodać jej trochę otuchy, przecież to nic nie kosztuje.

-Chcesz wiedzieć, co naprawdę myślę? - zapytał, biorąc głęboki oddech. - Myślę, że świetnie poradzisz sobie nawet z walcem drogowym w szpilkach. Nie mam wątpliwości, że jeśli coś postanowisz, to wykonasz to.

Na twarzy Marty pojawił się nieśmiały uśmiech.

-Nie znasz jeszcze Sashy.

I nie miał najmniejszej ochoty jej poznawać.

-Próbowałam już wiele razy dorysować półki na planie, ale nic tu nie pasuje. Regały były robione na zamówienie do mojej starej księgarni, stąd nietypowe wymiary, ale... - przerwała, potrząsając nerwowo głową. - Myślisz, że oszałam, że chcę tu otworzyć sklep? Nie odpowiadaj. I tak już za późno - dodała, tym razem chichocząc.

Jej zachowanie poruszyło go bardziej, niż się spodziewał.

Ludzie ciągle coś przebudowują. Ten dom nigdy nie był remontowany. Najwyższy czas.

Jasne. Wszystko miałoby sens, gdybym dobudowała na dole łazienkę lub dwa pokoje nad garażem. Ale przerabianie domu na księgarnię?

Kiedy tak się martwiła, miał ochotę ją przytulić i pocieszyć. Wytłumaczyć, że zanim wzejdzie słońce, zawsze panuje mrok.

-Klienci muszą móc się swobodnie poruszać między regałami. Nie będą chcieli przebywać w pomieszczeniu, które przyprawia ich o klaustrofobię. Mamy tu pięć i pół metra, z czego cztery i pół powierzchni użytkowej pomiędzy drzwiami i tamtym narożnikiem. Moglibyśmy niektóre półki skrócić i przymocować wyżej do ściany, tu i tam

- wyjaśnił, wskazując. - W ten sposób zyskamy więcej przestrzeni i będziemy mogli dodać kilka wiszących półek w rogu za drzwiami.

-Chcesz je obciążyć? - zapytała z przerażeniem, jakby chodziło o amputację jej nóg. Wykonała nagły obrót wokół własnej osi, o mało się nie przewracając. Kiedy Cole wyciągnął

ramię, aby ją podtrzymać, otworzyła szeroko oczy, wciągając go w ich szarą, bezkresną głębię.

Kwiaty! Pomimo nadal unoszącego się odoru farby i spaliny, wyczuł zapach kwiatów. Przecież o tej porze roku nic nie kwitnie. To musi być jej zapach. Nie robi makijażu, ma wiecznie rozczochrane włosy i znoszone ubrania, a pachnie jak ogród tropikalny. Cole zbliżył się do Marty. Ona zastęła w bezruchu, a w jej oczach zaiskrzyła dzikość.

Nie rób tego. Pakujesz się w coś, czego nie będziesz mógł dokończyć - przestrzegł się w duchu.

Jak mówiłem, skrócimy półki - powiedział szorstko, wycofując się na bezpieczną odległość.

A tu i tam mogłabym powiesić krótsze półki - zapaliła się, wskazując przestrzenie między oknami. - Zostaje jeszcze jadalnia.

Powoli z jej twarzy zaczęło znikać speszenie. Nigdy nie potrafił czytać w kobiecych myślach, ale wydawało mu się, że w wyrazie jej oczu nie było już nieufności. Wyglądała raczej na podekscytowaną. Emanująca z niej moc i entuzjazm zupełnie go rozbrajały. Odsunął się na bok i oparł o framugę drzwi. Ona chodziła po pokoju, mamrocząc coś pod nosem i gestykulując w powietrzu rękoma, jakby wieszała półki.

Prawdopodobnie nawet nie zdawała sobie sprawy ze swojego dziwnego zachowania.

Kto by pomyślał, że te jej wielkie, szare oczy potrafią nagle tak ściemnieć i cudownie się roziskrzyć. Ciekawe, czy podobnie wyglądałaby w łóżku po...

-Lepiej już pójdę - przerwał własne rozmyślenia.

To, co zaczynało mu chodzić po głowie, znacznie wykraczało poza pomoc w rozplanowaniu ustawienia regałów. Dość tego dobrego.

- Chciałbym przyjechać tu jutro około siódmej, jeśli to dla ciebie nie za wcześnie.

Sprytny plan. Kiedy ona będzie rano na spacerze z psem, on będzie mógł się spokojnie zabrać do pracy i żadne pokusy nie będą odciągały jego uwagi.

Marty wpatrywała się w ciężarówkę Cole'a, aż znikła za horyzontem, po czym puściła wodze fantazji. Jak to jest z tymi mężczyznami? Zna ich przecież wielu, a nawet lubi. Ale każdemu czegoś brak. Aż tu pewnego dnia pojawia się facet w powycieranych džinsach i czarnym, gładkim podkoszulku, a ona po pięciu minutach kompletnie traci dla niego głowę.

W końcu zebrała uciekające myśli i skoncentrowała całą uwagę na rozwiązaniu bieżących problemów. A przynajmniej jednego z nich. Spacerując po pokojach na dole, mierzyła wolną przestrzeń i robiła na kartce zapiski, co gdzie mogłoby się zmieścić.

W środę rano Marty była na nogach na długo przed świtem, choć zasnęła bardzo późno, aranżując w wyobraźni wnętrza nowej księgarni. Hotel dla psów otwierano dopiero o siódmej. Wypiła duszkiem szklanekę soku pomarańczowego, który nieprzyjemnie zabulgotał w jej pustym żołądku, opatulili się ciepło i pospiesznie wyszła na

zewnątrz, nie zamykając na klucz drzwi frontowych. Na dworze uderzyły ją wilgoć i przenikliwy chłód. Czasami zdarzały się w tym regionie łagodniejsze zimy, kiedy średnie temperatury w styczniu dochodziły nawet do piętnastu stopni powyżej zera, ale nie w tym roku.

Mutt uwielbiał taką pogodę. Musiał mieć w sobie ukrytą duszę niedźwiedzia polarnego. Zaraz po wyjściu puścił się galopem wzdłuż ulicy Water w swoim ulubionym kierunku. Był jak rozpędzona lokomotywa. Nie reagował na żadne komendy ani perswazje. Marty krzyczała na niego, ale oczywiście całkowicie ją ignorował.

Pędził przed siebie, wabiony zapachem. Każdy mijany po drodze krzak musiał być odpowiednio podlany. Celem spaceru był oczywiście ulubiony bufet Mutta, czyli śmietnik przy Hamburger Shanty. Na parkingu przed restauracją stało kilka samochodów, głównie należących do pracowników lokalu, który otwierano dopiero za około dwadzieścia minut. Ulicą wolno jechał szary mercedes. Był to ten sam samochód, który widziała wczoraj. Parkował na podjeździe u Caseyów. Może opiekunka do dziecka? Caseyowie wyjechali na Florydę, ale, o ile dobrze pamięta, nie wspominali, że w tym czasie ktoś będzie u nich mieszkał.

- Spokojnie, już idę! - krzyknęła Marty, kiedy Mutt rzucił się na dzikiego kota, obwąchującego zawartość śmietnika, który pies uważał za swoją prywatną spiżarnię.

Dwadzieścia minut później Marty szczęśliwie zamykała podopiecznego w klatce w psiarni.

-Nieżył z niego hultaj - zauważył, szczerząc zęby w uśmiechu, niebieskowłósy chłopak.

Przynajmniej mógłbyś mi pomóc zdjąć kolczatkę -warknęła, rzucając mu miażdżące spojrzenie.

To nie należy do moich obowiązków. Za mało mi płacą, żeby miał się użerać z takimi potworami.

To za co ci płacą?

Nie dość, że połamano ją w krzyżu od przenoszenia ciężkich regałów, to teraz jeszcze psisko usiłowało jej powyrywać ręce.

Za odbieranie telefonów, przyjmowanie pieniędzy i robienie rezerwacji.

Żebyś się tylko nie przemęczył - zadrwiła.

Gd kiedy stała się taką złośnicą? Czyżby to był jeden z symptomów niedoboru witaminy S w organizmie?

Kiedy wróciła do domu, Cole już tam był. Jego truck stał z boku, aby mogła wygodnie wjechać na podjazd. Myśląc facet, odkryła nagle. Już wkrótce przekonamy się, czy jest też dobrym fachowcem. Na burzeniu niewątpliwie się znał. Ciekawe, co jeszcze potrafił?

-Cześć, już jestem! - krzyknęła z dołu, krzywiąc się z bólu przy zdejmowaniu płaszcza, który rzuciła na ławę.

Później zaniesie go do szafy. Najpierw musi choć na chwilę usiąść i złapać oddech. Potem weźmie coś przeciwbólowego i zrobi śniadanie. Wystarczy łyżka masła orzechowego - szybki zastrzyk energii.

Słyszac kroki, spojrzala do góry. Zza barierki schodów

wychylił się jej cudowny stolarz. Wyglądał bardzo męsko, jak model z czasopisma sportowego.

Dzień dobry - przywitała się, posyłając mu zmęczony uśmiech.

Wyglądasz, jakbyś biegła w maratonie - zauważył.

Ciągnięta przez wielką, rozwydrzoną bestię. Wierz mi, to nie jest warte żadnych pieniędzy.

-Jak to? Płacą ci za to?

Przytaknęła ruchem głowy.

Gdybym wcześniej poznała tego psa, nie zgodziłabym się go wyprowadzać za skarby świata.

Aż tak źle? - spytał Cole, schodząc na dół.

Minął ją i udał się prosto do kuchni, gdzie włączył ekspres do kawy, który zostawiła przed wyjściem przygotowany do wstawienia. Żaden mężczyzna jeszcze nigdy nie zrobił dla niej kawy, nawet mężowie. Bardzo ją to poruszyło. Poczula, że do oczu napływają jej łzy.

Mutt nie tylko waży tonę, ale jest też uparty jak osioł. Nie śmiej się. Nie znasz gó - uśmiechnęła się krzywo.

Myślałam, że robisz przyjaciołom przysługę. Nie znałaś psa, zanim zobowiązałaś się go wyprowadzać?

Mówiłam ci już. Nigdy wcześniej go nie widziałam. Po tym, co Annie o nim opowiadała, myślałam, że to będzie domowa maskotka. Pudel albo cocker spaniel.

Annie? - powtórzył, wieszając jej płaszcz w szafie.

Jedna z moich najlepszych klientek. Znam ją z księgarni.

Mieszka niedaleko. Jej męża nawet nigdy nie widziałam.

Faylene mówiła, że jest prawnikiem. Podobno wygrał swo-

ją pierwszą sprawę po sześciu latach pracy w zawodzie. Postanowili to uczcić i dlatego wybrali się w rejs.

-Pierwsza sprawa, tak?

Marty westchnęła i zamknęła oczy.

-Tak mówi Faylene, co wcale nie oznacza, że to prawda.

Tak czy inaczej, kiedy Annie zatelefonowała do mnie i spytała, czy mogłabym go dwa razy dziennie wyprowadzać na spacer, zgodziłam się bez wahania.

Marty nie wspomniała tylko, że głównym powodem, dla którego się zgodziła, była zapłata.

Założę się, że nikt z ich przyjaciół nie chciał go wyprowadzać, dlatego poprosili mnie.

Potraktuj to jako kolejne doświadczenie życiowe. Jak facet wygra następną sprawę i będą chcieli jechać na wakacje, nie dasz się już nabrać.

Przysunął się do niej bliżej i nagle poczuła na karku jego dłonie. Pochyliła głowę do przodu i jęknęła.

Możesz być pewien. Nie zgodzę się za żadne pieniądze. Aj!

Gdzie cię boli? Tutaj?

Mhm... - zamruczała rozmarzona.

Dochodzące z kuchni odgłosy bulgotania obwieściły, że kawa jest już gotowa.

Posiedzisz tu w holu czy wolisz się przenieść na kanapę?

Najchętniej wzięłabym ciepłą kąpiel i położyła się do łóżka - wyznała. - Ale chyba nie dam rady wejść na górę.

Jadłaś śniadanie? - spytał, najwyraźniej nie rozumiejąc aluzji.
Wypiłam sok.

Marty przyłożyła dłoń do krzyża i ciężko wstała. Cole już wczoraj zwrócił uwagę, że kilkakrotnie rozcierała bolący kręgosłup.

Na pewno nic ci nie jest? - spytał z troską.

Wszystko w porządku. Muszę po prostu wziąć ibuprofen.

Tylko nie przesadz.

On już kiedyś przeholował. Przedawkował lek przepisany mu przez lekarza. To było po tym, jak kilku wynajętych przez jego teścia zbirów spuściło mu na budowie cięgi. Dostał wtedy prawdziwą lekcję życia, z której wyciągnął kilka ważnych wniosków: po pierwsze, nie ufaj facetowi, który ma szyję szerszą niż głowę i mówi do twojego teścia „szefuniu”, po drugie, uważaj z jakimkolwiek alkoholem mocniejszym niż piwo. Ewentualnie raz na jakiś czas jedna szklaneczka Jacka Daniellsa.

Jak się posuwa praca? - spytała Marty, posyłając mu nieśmiały uśmiech.

Dziś postawię ściany, a od jutra zajmę się szafkami.

Chciałabym raczej coś prostego.

Postaraj się narysować, o co ci dokładnie chodzi. Mamy niewielkie pole manewru.

Czyżby to oznaczało, że będzie mogła mu towarzyszyć przy pracy na górze? A co po godzinach?

A może tak skup się na sprawach zasadniczych, skarciła

się w duchu. Cole wyszedł do kuchni, a ona powędrowała do salonu i ułożyła się na sofie. Jej pusty żołądek nie miał szczególnej ochoty na kawę, ale musiała czymś naładować akumulatory.

Poproszę dużo mleczka! - zawołała.

Tak jest, proszę pani.

Wyjątkowo uprzejmy stolarz. I ma dar w rękach. Wie, jak i gdzie dotykać, żeby złagodzić ból. Gdyby Sasha mogła podsłuchać jej myśli, zjawiłaby się tu w pięć sekund, pomyślała rozbawiona.

Kawa dobrze działała, choć jej żołądek pompował litry kwasu.

-Zrobiłem ci też tosta - oświadczył, podając tacę ze śniadaniem.

To było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe.

Naprawdę musisz brać ibuprofen?

Może i nie - westchnęła. - W końcu pigułkami nie leczy się nadwężonego kręgosłupa.

Kiedy musisz iść na następny spacer?

Po południu, między drugą a szóstą, przed zamknięciem hotelu.

Pójdę z tobą. I tak muszę wstąpić po materiały budowlane do składnicy. Jakiej rasy jest pies?

-Mieszaniec bernardyna z clydesdałem i... niedźwiedziem polarnym. Annie mówiła, że kiedy brali go ze schroniska, był maleńką futrzaną kuleczką.

-Trudno uwierzyć, prawda?

Na dworze panowała szaruga, więc Cole zapalił lampę, aby rozświetlić ciemny pokój. Usiadł w fotelu, a Marty skuliła się obok na sofie.

A co z... no wiesz - skinęła głową w kierunku sufitu.

Już mówiłem, wyprzedzam na razie plan. Zastanów się, jakie chciałabyś drewno. To ważne dla samego wykończenia. Wolisz surowe, malowane, lakierowane czy tylko zakonserwowane?

A co radzisz?

Jak postawię szkielet, pojedziemy razem wybrać.

Czy to oznacza, że otrzymam prawo głosu? A będę mogła wejść na górę, kiedy pracujesz, czy mam zostawić dyspozycje na kartce?

No, no, jaka złośliwa.

Żebyś wiedział - burknęła i wypila łyk kawy, którą przygotował i podał. I tak cudownie rozmasował jej kark, przynosząc ukojenie.

Marty ziewnęła. Zrobiło jej się ciepło i przytulnie. Jak dobrze jest znaleźć się w łóżku, pomyślała. Cole wyjął jej z ręki filiżankę z kawą i przykręcił natężenie światła.

Obiecuj, że nie pójdziesz beze mnie na spacer z potworem.

Mhm - zamruczała.

Kiedy wychodzili z domu około czwartej po południu, Marty zauważyła, że na podjeździe Caseyów nie ma szarego, zabytkowego mercedesa.

Zdecydowali, że pojedą gruchotem Cole'a, dzięki czemu

w powrotnej drodze będą mogli kupić deski na dodatkowe półki oraz zabudowę kuchni na górze.

Marty cieszyła się, że choć raz nie będzie musiała galopować, ciągnięta na smyczy przez Mutta. Poczowała ulgę na myśl, że ktoś odwali za nią czarną robotę, a ona będzie tylko biegła obok spokojnym truchtem. Gole zaoferował się nawet, że sam założy olbrzymowi kolczatkę i wyprowadzi go z zagrody, na co pani Owens oczywiście przystała z wielką ochotą. Nadal jeszcze zaspianym wzrokiem śledziła, jak dłoń stolarza zmienia biegi. Ładne ręce, takie silne, a jednocześnie delikatne. Poznała już urok ich dotyku.

Ziewnęła po raz trzeci od wyjazdu z domu.

Masz ochotę na kolejną drzemkę? Czyżby ten bałagan na górze nie dawał ci w nocy spać? - spytał.

Zawsze dobrze sypiam. Po prostu jest coś takiego w tej pogodzie. A może mam charakter niedźwiedzia. W zimne, deszczowe dni zapadam w hibernację.

Ciekawe, czy niedźwiedzie zapadały w sen zimowy w parach. Może oprócz chrapania robiły coś jeszcze, rozmarzyły się.

Kilka minut później Cole wyprowadził Mutta z hotelu na ulicę, gdzie czekała na nich Marty. Olbrzym był zachwycony. Ruszyli przed siebie spokojnym krokiem. Kiedy dotarli do rogu ulicy Watef i Trzeciej Alei, Cole pociągnął delikatnie za smycz i poklepał psa prawą ręką. Mutt posłusznie skręcił w prawo.

Marty stanęła jak wryta.

-Jak to zrobiłeś?

-Jak co zrobiłem?

Z rozwianymi włosami i w skórzanej kurtce pilota wyglądał zabójczo przystojnie i niebezpiecznie.

Jak udało ci się go zmusić, żeby skręcił? Ja zawsze muszę się z nim szarpać.

Nie wydajesz mu komend dłonią?

Zazwyczaj mam zajęte obie ręce.

Ale wiesz, że on jest głuchy?

Cole klasnął w ręce. Pies nawet się nie obejrzał.

Potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Zdała sobie sprawę, że Halletowie nie poinformowali jej o wielu istotnych sprawach.

Gdyby to zrobili, na pewno by się nie zgodziła.

Ma też kataraktę w jednym oku.

Pięknie, i co jeszcze?

Nadal dobrze widzi na drugie oko. Musisz zwracać uwagę, jakie wykonujesz gesty.

Ale ja mu nigdy wcześniej nie wydawałam komend dłońmi.

Może nieświadomie. Nauczony jest czytać polecenia z ruchu rąk, więc jeśli gestykulujesz bez sensu, czuje się zdezorientowany. W tej sytuacji robi to, na co ma ochotę, czyli znaczy swoje terytorium i bada interesujące zapachy.

Wracając ze spaceru, rozgoryczona Marty roztrząsała w duchu, ile w życiu przeoczyła. Nigdy na przykład nie miała psa, choć zawsze o tym marzyła. Najpierw była szkoła, potem choroba Alana, a teraz księgarnia. To nie byłoby w porządku zostawiać na cały dzień zwierzaka samego w domu.

Zawsze szukała wymówek, a prawda była taka, że całą energię pochłaniało jej prowadzenie interesu. Opieka nad psem to było za dużo na jej siły. Niektóre kobiety potrafiły łączyć liczne obowiązki. Ona widocznie do tej grupy nie należała. Udało jej się nawet zgładzić filodendrona, co zdaniem Sashy było niemożliwe.

Mutt wyglądał na zadowolonego z powrotu na wybieg. Machał zamasyżycie ogromnym, silnym ogonem, czekając spokojnie, aż mu zdejmą kolczatkę.

Zanim został zamknięty w swoim boksie, przeciwicyli jeszcze kilka komend, które pies wzorowo wypełnił, za co został nagrodzony ciasteczkami.

-Pewnie miałeś kiedyś psa. Tyle o nich wiesz.

Wyszli na dwór. Zanim Cole zdążył odpowiedzieć, skąd tak doskonale zna się na psach, Marty spostrzegła wolno jadącego ulicą znanego, szarego mercedesa. Pociągnęła Colea za rękaw i wyszeptała mu do ucha:

-Widziałeś ten samochód? Wydaje mi się, że mnie śle dzi. Ostatnio wszędzie go widzę.

Cole obserwował, jak mercedes znika za zakrętem, po czym otworzył przed Marty drzwi swego trucka.

To nie jest znów taki rzadki model - zauważył. -Wiem.

Może to jakiś turysta.

-O tej porze roku? Zimą jedynymi przyjezdnymi są tu myśliwi, którzy na pewno nie jeżdżą mercedesami. Poza tym widziałam, jak parkował na podjeździe u sąsiadów, którzy są teraz na Florydzie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Marty uparła się, że wejdzie z nim do składu drzewnego, na co się zgodził. W końcu to były jej pieniądze. Nadal była poirytowana, że nie zorientowała się, z czego wynikał problem z Muttem. Cole przekonał się, że lubiła panować nad sytuacją. Zresztą jak większość kobiet. Paula niezdarnie ukrywała tę stronę swojej osobowości przez pierwszy rok ich małżeństwa. Potem jednak okazała się prawdziwą kobietą-bluszczem, która jak bujna roślina obrastała powoli metr po metr, całą ich przestrzeń życiową.

Jak pan płaci, kartą czy gotówką? - spytał sprzedawca.

Kartą - odparła Marty, podając mu złotą Visę.

Proszę podejść od tyłu i odebrać z magazynu materiały - poinformował sprzedawca.

Marty ruszyła przodem, Cole specjalnie nie przyspieszał. Śmieszna kobieta. Wojownicza, niezależna, na tyle bystra, by wiedzieć, kiedy milczeć i słuchać, i na tyle odważna, by potrafić przyznać, że czegoś nie wie. Sposób, w jaki obserwowała, słuchała i uczyła się, gdy pokazywał jej, jak poskromić wielkiego kudłacza, był tego dobrym przykładem. Takiej kobiety nie można było nie podziwiać.

Ku własnemu zdumieniu Cole musiał przyznać, że nie tylko ją podziwiał, ale i lubił. Zapakował drewno na platformę z tyłu samochodu i przymocował niezwykle starannie sznurami.

O ile nie masz nic przeciwko temu, to dziś popracuję dłużej, a jutro rano potowarzyszę ci na spacerze. Chciałbym mieć pewność, że sobie poradzisz. Jeśli głuchy pies ucieknie, to na nic zda się wołanie i gwizdanie.

Coś o tym wiem - odparła ponuro.

Marty szarpnęła drzwi samochodu, chwyciła za ramę i wciągnęła się do środka, zanim Cole zdążył podskoczyć, aby jej pomóc.

-Wiem, że sobie poradzisz, ale trochę ostrożności nie zaszkodzi.

Kiedy przyjechali do domu, uparła się, że pomoże mu rozładować drewno.

-Ja wezmę jeden koniec deski, a ty drugi. Tak będzie wygodniej - nalegała.

-Łatwiej będzie, jeśli przeniosę je sam, zaufaj mi.

Marty poszła przodem otworzyć drzwi. Cole obrzucił ją ciepłym spojrzeniem. Wydawała się taka wspaniała, pomimo sfilcowanego płaszcza i potarganych przez wiatr włosów. Założył na ramię paczkę desek i balansując jej ciężarem, wniósł ją do domu.

Faktycznie, wyszło mu to bardzo sprawnie, lepiej, niż gdyby żonglowali między sobą deskami, wnosząc je wspólnie, jedna po drugiej.

Kiedy wszystkie materiały znajdowały się już na górze, Marty zaprosiła Colea na kolację.

-Może przynajmniej w ten sposób zrewanżuję się za to, że nauczyłeś mnie psiego języka migowego. Przygotuję coś szybko. Po prostu odgrzeję w mikrofalce jakieś mrożonki.

Co ja wyczyniam? Minęły zaledwie trzy dni, a ja już zapominałem, że jestem jej pracownikiem.

- Nie musisz robić sobie kłopotu. Wracając do portu, mogę wstąpić do restauracji i kupić coś na wynos.

Jednak zamiast się pożegnać i wyjść, ruszył za nią do kuchni, która była wyjątkowo przytulna i przypominała mu kuchnię jego mamy. Brakowało tu tylko porozrzucanych zeszytów z nutami.

Marty pochyliła się, żeby skontrolować zawartość lodówki!

,Kiedy zgięta wpół przekopywała zamrażalnik, Cole z zachwytem wpatrywał się we wspaniałe wyeksponowane, jędrne kształty pani Owens, podkreślane przez opięte dżinsy. Na pośladkach wyraźnie odznaczała się linia majtek. Nie nosiła stringów.

Zgorszony własnym zachowaniem, spuścił wzrok. Dość tego!

Aby odwrócić uwagę od powabów swojej pracodawczynie, zaczął się uważnie rozglądać po kuchni. Udawał zainteresowanie dwuskrzydłowym oknem nad zlewem, doniczką z bluszczem stojącą na wąskim parapecie oraz roletą. Stwierdził, że żółto-białe zasłonki pasowały do serwety na stole.

Lubiła żółty kolor. W takie dni jak dziś, kiedy światło

dzienne prawie nie docierało do wnętrza domu, rozświetlał pomieszczenia, przydawał ciepła i radości.

-Mam - oświadczyła Marty, wyciągając triumfalnie dwie tacki mrożonek. Pierwsza zawierała dietetyczny przysmak, druga stek z makaronem i żółtym serem. - Możesz wybrać. Przez chwilę udawał, że przygląda się uważnie obu potrawom, po czym wskazał smakołyk zawierający tylko dwieście osiemdziesiąt kalorii.

-Na pewno? - spojrzała na niego ze zdumieniem.

Teraz zje przekąskę, a potem, wracając do przystani, zatrzyma się na porządną kolację. Marty od rana nic nie jadła. Nie chciał, żeby szła głodna spać.

Podczas posiłku prawie ze sobą nie rozmawiali. Cole nieufnie przyglądał się zawartości swojej tacki. Cokolwiek to było, miał nadzieję, że jego żołądek to wytrzyma. Marty skończyła pierwsza i odstawiła na bok tackę.

Co do dzisiejszego wieczoru, mówiłem, że chciałbym zostać dłużej i nadrobić za wcześniejsze wyjście - przerwał w końcu milczenie.

Przecież nie wyszedłeś wcześniej. Byłeś nadal...

W pracy? - dokończył rozbawionym głosem, widząc na jej twarzy zakłopotanie.

W pewnym sensie - odpowiedziała zawstydzona, na co on wybuchnął szczerym śmiechem.

Dobrze wiedział, że zniesienie dystansu pomiędzy pracodawcą i pracownikiem zawsze źle się kończy. Ale do diabła z tym!

Marty uśmiechnęła się. Cole spił ten cudowny uśmiech z jej warg jak kot śmietankę, przyglądając się z rozkoszą, jak zaczynają płonąć jej oczy i mimowolnie drgać kąciki ust. Po chwili wybuchnęła głośnym, szczerym śmiechem. Miał wrażenie, że ostatnio rzadko jej się to zdarzało. Nie wiedział czemu, ale bardzo go to zmartwiło.

Kiedy wstała, aby zabrać jego tackę i kubek po kawie, schyliła się i włosy opadły jej na ramiona. Znowu poczuł tajemniczy zapach kwiatów. Słodki, a zarazem bardzo subtelny. Może to był szampon lub krem do rąk? Nie posądzał jej o to, że skropiła się dla niego perfumami. Znał ją dopiero od trzech dni. Normalny facet w takiej sytuacji zwinąłby żagle, zanim zrobi coś głupiego, na przykład dotknie jej, żeby sprawdzić, czy te mahoniowe włosy są takie delikatne, na jakie wyglądają.

Zgoda, od bardzo dawna nie był z kobietą i pewnie cierpiał na nadmiar testosteronu. Ale mózg chyba nadal działał mu prawidłowo. Wiedział, co powinien zrobić. Łatwo było powiedzieć, ale znacznie trudniej wykonać...

Wiesz co? - oznajmił, wstając od stołu i spoglądając nerwowo na opięte dżinsy, żeby się upewnić, czy nie musi wyciągnąć koszulki ze spodni. - Zmierzę teraz i skrócę jedną z półek. Jutro rano złożymy ją i kiedy będę pracował na górze, ty zastanowisz się, czy chcesz, żebym podobnie przyciął pozostałe. Co ty na to?

Doskonale.

Pracowali razem w ciasnym garażu, gdzie trudno się

było przemieszczać nawet jednej osobie. Aby jej nie dotykać, Cole zawsze starał się być na drugim końcu półki, ale nawet to nie chroniło ich przed fizycznym kontaktem. Pomieszczenie było nieogrzewane i Marty opatulila się w stary płaszcz. Na głowę naciągnęła obcisłą czapkę przypominającą półczochę. Wyglądała komicznie, ale on był nią oczarowany. Na dziś wystarczy - oświadczył, wstając i rozglądając się w poszukiwaniu szczotki.

Zostaw, jutro rano posprzątam. Masz ochotę na kawę? Myślę, że jest jeszcze gorąca.

Po spędzeniu godziny w małym pomieszczeniu z tą kobietą Cole cały płonął. Mimowolne muśnięcia, przypadkowe dotknięcia, wpadanie na siebie... Nie dawało się ukryć - coś między nimi zaiskrzyło. Nie miał pojęcia, czy ona też zdaje sobie z tego sprawę. W końcu doszedł do wniosku, że nie. Gdyby tak było, na pewno nie zaproponowałyby, żeby został na kawę.

-Lepiej już pojedę. Muszę włączyć pompę na łodzi.

Okropność, pomyślał. Znow będzie musiał się wcisnąć do kabiny prysznicowej wielkości jednej czwartej budki telefonicznej. Potem położy się spać na maleńkiej kanapie przeznaczonej dla kogoś o połowę od niego mniejszego i tyle samo młodszego.

Jednocześnie uświadomił sobie, że styl życia, który jeszcze kilka miesięcy temu wydawał mu się wspaniały, zaczynał go nużyć i irytować.

Pierwszego lutego pojawiło się kilka krokusów, co zwiastowało rychłe nadejście wiosny. Marty spała jak kamień, marząc o przyprowadzających o dreszcz rozkoszy szaleństwach. Kiedy zadzwonił rano budzik, wiedziona poczuciem obowiązku otworzyła niechętnie oczy, po czym powlokła się jak potępiona dusza pod prysznic. Po pięciu minutach stania pod wodą wspomnienie słodkich fantazji wyparowało.

Trzeba iść na spacer z psem. Czy Cole prosił, żeby na niego poczekała? Nie mogła sobie przypomnieć, ale była pewna, że nie obiecywała, że pójdą razem. Lepiej, żeby skręcił półkę, kiedy ona będzie na spacerze.

Muszę pamiętać o komendach, które mi wczoraj pokazywał. Jak to było? W prawo, w lewo, stój, siad, idź. Co jeszcze? Nie siusiać na mleczce i nie gonić kota.

Kiedy przygotowywała w kuchni dzbanek na kawę, dostrzegła przez okno światła samochodu wjeżdżającego na podjazd. Postanowiła jednak, że sama wyprowadzi Mutta, choćby tylko dlatego, żeby udowodnić sobie, że jest w stanie sobie z nim poradzić.

Ku jej zaskoczeniu okazało się, że to Sasha. Powstrzymując niecierpliwość, otworzyła frontowe drzwi.

Czy to nie odrobinę za wcześnie na wizytę, nawet twoją?

Daj mi pączka i opowiedz, jak się spisuje - zażądała przyjaciółka.

Ciastka są w zamrażalniku, mogłabyś połamać zęby. Jak kto się spisuje? - spytała, udając, że nie wie, o kogo chodzi.

Dekoratorka wewnątrz wytarła z błota szpilki za trzysta dolarów, minęła Marty i wparowała do kuchni, pozostawiając za sobą mgłę zapachu ciężkich perfum.

Otwórz oczy, weź głęboki wdech i budź się, kotku!

Nie masz w swoim domu nic do jedzenia? - burknęła zaspana Marty.

Po co? Lunch i obiad zawsze jadam na mieście, a ty mieszkasz po drodze do pracy, więc zawsze mogę wpaść na śniadanie. To mów, spałaś z nim? - spytała Sasha, rozsiadając się wygodnie na jednym z kuchennych krzeseł.

On jest moim stolarzem, to wszystko.

Ja tylko pytam. Nadal rezerwuję go dla Lily. Faye mówi, że on jest boski, więc jeśli jesteś nim zainteresowana, to dla księgowej znajdziemy kogoś innego.

Nie jestem! - krzyknęła z wściekłością. - A przynajmniej nie w tym sensie. Jeśli będziecie mu przeszkadzać i nie zdąży z przebudową na czas, nigdy wam tego nie wybaczę.

Oczywiście, że wszystko będzie gotowe. My tylko chcemy zagospodarować jego. wieczory, kiedy będzie po pracy.

Arhg... - warknęła Marty.

Mówiłam ci, że robię projekt wewnątrz biur dyrektora PGP?

Skoro nie masz pączków, to może zjemy tosty z masłem i z cynamonem? Dużo, dużo masła, mnóstwo cukru i szczypta cynamonu.

Przykro mi, ale spaliłam cały cynamon. Pozostaje pełnoziarnisty chleb pszenny z masłem.

Jak można się tak zdrowo odżywiać? Słyszysz? Przyjechał jakiś samochód. To on?

- Zjawiłaś się tu celowo. Chciałaś, żebym ci go przedstawiła, tak?

Triumfalne spojrzenie rudowłosej elegantki mówiło samo za siebie. Marty nie mogła już niczemu zapobiec. Stało się to, co i tak było nieuniknione.

Gotowa do wyjścia?! - zawołał Cole od drzwi.

Jestem w kuchni, wejdź na chwilę. Chciałabym ci kogoś przedstawić.

Szczerze mówiąc, wolałaby mieć tysiąc krost na twarzy, niż mu ją przedstawiać.

-Sasha, to jest Cole Stevens. Cole, to jest Sasha.

Mrużąc oczy, obserwowała jego reakcję. Cole uśmiechnął się i obrzucił zaciekawionym spojrzeniem maleńką, zgrabną, rudą elegantkę. W wyrazie jego twarzy jawiło się rozbawienie, a może zdziwienie, nie miała do końca pewności, co to było.

-Miło mi panią poznać. Rozmawialiśmy już kiedyś przez telefon.

Dobry Boże! Jest pan widokiem, który warto zobaczyć - wykrzyknęła, rozplywając się dekoratorka.

Sasha! - Marty warknęła przez zaciśnięte zęby.

Chciałam powiedzieć, że biedna Marty bardzo potrzebowała mężczyzny... to jest fachowca, który zrujnuje jej dom, a zaraz potem odbuduje.

Wiesz, która jest godzina? Chyba nie zapomniałaś, że masz umówione spotkanie? - przypomniała jej Marty z ponurym uśmiechem. - Cole ma bardzo dużo pracy, ja muszę teraz wyjść z Muttem na spacer, a potem

mamy do załatwienia mnóstwo innych, ważnych spraw, prawda, Cole?

Przytaknął posłusznie głową, błyskając z rozbawieniem zielonymi oczyma. Marty chętnie pacnęłyby go czymś, ale nie chciała dawać satysfakcji Sashy, która uwielbiała wtykać kij w mrowisko.

Miło było panią poznać.

Słyszysz to? Ależ on jest słodki.

Sasha!

Zastanawiałaś się już nad próbkami kolorów, które ci dałam? - zainteresowała się nagle rudowłosa, popychana przez przyjaciółkę w kierunku drzwi. - To wielkie okno wychodzące na północ...

Cały czas nad tym myślę - skłamała, wypychając koleżankę na dwór.

Zamykając drzwi, usłyszała unoszący się za Sashą jak obłok jej ciężkich perfum chichot. Jeśli ktoś ma takich przyjaciół, niepotrzebni mu już wrogowie, mruknęła do siebie pod nosem.

Czy ona pracuje w show-biznesie? - spytał Cole, kiedy Marty wróciła do kuchni.

Pytasz dlatego, że nosi czerwoną, skórzaną spódniczkę, żółte, sztuczne futro, kolczyki jak żyrandole, białe kabaret-ki i dziesięciocentymetrowe szpilki? Myślę, że u niej ma to związek z kompleksem Napoleona. Nie chce ryzykować, że ktoś mógłby jej nie zauważyć.

Marna szansa - odparł, kiedy szli do samochodu. - Nie dosłyszałem jej nazwiska. Domyślam się, że jakieś ma?

Przynajmniej pięć. Jedno własne i cztery po mężach. Sama nigdy nie wiem, którym aktualnie się posługuje, więc nie zawracam sobie głowy, żeby zapamiętać.

Madonna, Cher... czasem wystarczy samo imię.

-O tym nie pomyślałam, ale może masz rację.

Straciwszy dalsze zainteresowanie Sashą, Cole powrócił do spraw bieżących.

-Myśle, że powinniśmy zdążyć wrócić ze spaceru przed ósmą, chyba że masz jeszcze coś do załatwienia po drodze. Nie miała. Nie tak zaplanowała dzisiejszy poranek, uznała jednak, że będzie mniej kłopotu, jeśli podda się temu, co i tak jest nieuniknione. Przynajmniej powinni byli wziąć jej samochód. Jego truck budził w niej zbyt wiele emocji. Zapach skóry, mydła oraz woń kawy unosząca się ze stojącego w stojaku kubka rozdrażniły jej zmysły. Kiedy włączył silnik, z głośnika samochodowego popłynęły dźwięki muzyki klasycznej. Muzyka fortepianowa? Czyżby przez przypadek włączył niewłaściwą stację? Przez całą drogę do hotelu dla psów nie zmienił jednak kanału. Marty rozpoznała Chopina, ale nie mogła sobie przypomnieć, co to za utwór. Jej zdumienie urosło jeszcze bardziej, gdy Cole zaczął cichutko gwizdać w takt muzyki, idealnie naśladowując linię melodyczną. Mogę go wyprowadzić - zaproponował, gdy zaparkowali. Dzięki, ale chcę to zrobić sama.

W porządku - odpowiedział wesoło. - Będę czekał

w pobliżu, na wypadek gdyby jakiś dziki kot rozproszył jego uwagę. Gdyby Mutt uciekł.

-Wiem - przerwała. - Dzwonić do straży pożarnej i ogłosić, że zbliża się tornado.

Marty wiedziała już, jak poradzić sobie z psem, za to zupełnie nie miała pojęcia, co myśleć o towarzyszącym jej mężczyźnie. Jeździł rozpadającym się, zardzewiałym, dziesięcioletnim truckiem. Mieszkał na łodzi i lubił Chopina.

Włamał się do jej snów i marzeń, tak jakby miał do tego prawo. Rozpalił jej zmysły i wprowadził niepokój do serca. Jeśli teraz nie da rady psu, to będzie to wyłącznie jego wina, pomyślała z urazą.

Mutt okazał się wyjątkowo grzeczny. Dzięki komendom wydawanym za pomocą odpowiednich gestów pozwolił sobie nawet włożyć kolczatkę, nie miażdżąc przy tym jej stóp.

Oczywiście uderzył ją kilkakrotnie swoim ogromnym ogonem i zaśłinił rękę, ale Cole twierdził, że pies okazywał jej w ten sposób swoją sympatię. Strach pomyśleć, co by było, gdyby jej nie lubił.

Przeszli zaledwie kilkadziesiąt metrów, kiedy zauważyli, jak szary, dziwnie znajomy mercedes zjechał z chodnika i ruszył ulicą kilkanaście metrów za nimi. Cole dotknął ramienia Marty i wyszeptał:

-Idź dalej, jakby nigdy nic.

Zanim zdążyła zapytać, co zamierza zrobić, zatoczył ko-

ło i pobiegł trawnikiem w kierunku samochodu. Marty odwróciła się, żeby zobaczyć, co się stanie, i o mało nie została ścięta z nóg przez pracującego do przodu Mutta. W ostatniej chwili przypomniała sobie właściwą komendę. Wykonała ręką gest oznaczający „stój” i pies posłusznie się zatrzymał. Kiedy Cole znalazł się w odległości około dziesięciu metrów od mercedesa, kierowca skręcił nagle w lewo i odjechał Trzecią Aleją. Cole stał jeszcze przez moment, wpatrując się w znikający samochód, po czym dołączył do czekających na niego Marty i Mutta.

Niebywałe - mruknął, kręcąc z niedowierzaniem głową. Już nie uważasz, że zwariowałam? On naprawdę mnie śledzi? Jeśli tak, to jest to najgorszy tajniak, jakiego w życiu widziałem. Nie, żebym znał ich wielu, ale...

Jak myślisz? Czego ode mnie chce?

Masz coś cennego?

Marty zaczęła się zastanawiać, dlaczego ktoś miałby ją śledzić. Cole przejął tymczasem smycz i zamiast kontynuować spacer do ulubionego punktu, jakim był śmietnik przy Hamburger Shanty, pozwolił psu dokładniej zbadać nabrzeże.

-Myślę, że gdyby chodziło mu o coś, co masz, poczekałby, aż wyjdiesz i przeszukałby dom. Przyznaj, że sama mu to ułatwiasz.

Marty przytaknęła ruchem głowy.

Zaczynam się czuć jak bohaterka Conan Doyle'a.

Czego?

Nie czytasz kryminałów?

Czytam... na przykład Cusslera, Pattersona.

Marty natychmiast postanowiła, że zapozna go z twórczością kilku ciekawych pisarek. Pisarze mężczyźni są niezaprzeczalnymi mistrzami thrillerów, jednak kryminały pisane przez kobiety zawierają wciągającą, subtelną intrygę.

Tak czy inaczej, nie mam nic wartościowego. Zresztą, nawet gdybym miała, to szukałby tego w domu, a nie śledził mnie.

Przecież nawet nie zamykam drzwi.

Ale od dziś będziesz.

Oczywiście - zgodziła się. Ale tylko do momentu wyjaśnienia, o co chodzi, dodała w myślach. To na pewno jakaś pomyłka.

Skoro nie chodzi mu o rzeczy, czy jest coś innego, co mogłoby go zainteresować?

Na przykład jakieś informacje? Nie mam pojęcia. A może to łowca głów? Waldenbooks chce, żebym zajęła się otwarciem ich salonu książki w Muddy Landing.

Cole wziął ją pod rękę i ruszyli w powrotną drogę. Przodem wędrował Mutt, machając na wszystkie strony długim, ciężkim ogonem.

Następnym razem...

..kiedy zobaczę, że mnie śledzi, podejść do niego i zażądać wyjaśnień, o co, u diabła, mu chodzi. Może wyduszę z niego prawdę przy pomocy Mutta.

Cole wybuchnął śmiechem, który sprawił, że Marty

przeszył dreszcz przywodzący na myśl fantazje z jej snów. Po raz kolejny uświadomiła sobie, że pewne sfery jej życia od bardzo dawna są zaniedbywane.

-Nie żartuj. Poważnie zastanawiam się, czy nie powinnaś zabierać Mutra do domu, na wypadek gdyby twój prześladowca zdecydował się na niezapowiedziane odwiedziny. Mogę załatwić wszystkie twoje sprawy na mieście, nie musiałabyś wtedy wychodzić. Sprowokujemy go w ten sposób do działania.

Marty zatrzymała się, pies szedł dalej.

-Chwileczkę! - wykrzyknęła, próbując odzyskać równowagę.

- Jeśli myślisz, że wpuszczę tego włochatego olbrzyma do mojego domu, to się grubo mylisz. Już i bez niego jest okropny bałagan.

Cole wszedł pierwszy do budynku, przejął smycz i wprowadził Mutta do boksu. Marty zaczęła, aż wyjdzie i odwiesi na miejsce kolczatkę.

-Zastanawiam się, czy nie sprawić sobie psa. Będę teraz zawsze na miejscu, więc nie musiałby przez cały dzień siedzieć sam w domu. Tylko niedużego, takiego, żeby nie ważył więcej niż dwadzieścia kilo. Im niniejszy, tym lepszy.

Może beagla albo teriera. Wzięłabym go ze schroniska.

Kiedy wyszli na parking, Marty odruchowo rozejrzała się po ulicy. Zauważyła ciężarówkę, dwa trucki i zardzewiałe camaro. Pomachała do kobiety prowadzącej camaro.

-To Sadie Glower, pracuje w lodziarni. Zeszłej jesieni była naszym celem.

-Celem?

-Nawet nie pytaj.

Zazwyczaj chętnie opowiadała o tym, jak z koleżankami zajmowała się kojarzeniem par. Wszyscy o tym wiedzieli i nikt nie miał nic przeciwko temu. Oprócz Faylene. Próbowaly ją wyswatać z Gusem Mathisem, a wtedy okazało się, że od dawna spotyka się z Bobem Edem.

Słuchaj, wolałbym, żebyś nie zostawała na noc sama w domu - powiedział, otwierając przed nią drzwi samochodu. - Zapnij pas.

Ustaliliśmy już, że to nic osobistego. Gdyby tak było, już dawno mógł zrobić mi krzywdę. Nie chowałam się przed nim.

To mnie właśnie zastanawia - rzucił w zamyśleniu. -Parkuje niedaleko twojego domu, tak?

Na podjeździe u Caseyów - przytaknęła.

Śledzi cię, kiedy wychodzisz, ale nie próbował się włamać do domu i nie zbliżał się do ciebie? Coś tu nie gra.

Może myśli, że mnie zna, ale nie jest pewien. No wiesz, chodziliśmy do jednej klasy w liceum lub coś w tym rodzaju.

Możliwe.

Albo wiesz co? Chce, żebym go do czegoś lub do kogoś doprowadziła. Marny chyba ze/mnie Sherlock Holmes.

Oboje zaczęli się śmiać.; Marty pomyślała, że wygodnie jest mieć u boku mężczyznę, któremu można zaufać i który potrafi się zatroszczyć. Słowo „wygodnie” nie było właściwym słowem oddającym jej uczucia...

Dojechali do domu. Cole wyskoczył z samochodu i pomógł jej wysiąść. Nie była przyzwyczajona do takiego traktowania, zawsze radziła sobie sama. Otworzył drzwi, a ona wysunęła nogę w poszukiwaniu stopnia. Czując pod stopą oparcie, pochyliła się do przodu, a on złapał ją w ramiona i mocno przytrzymał. Marty wstrzymała oddech i przymknęła oczy. W głębi serca poczuła dziwny niepokój. Przecież nawet nie знаła tego mężczyzny. Z drugiej strony był jej dziwnie bliski, jakby byli ze sobą od lat.

Później nie było już czasu na myślenie, zadziały wygłodniałe zmysły. Poczuła na ustach delikatny, wilgotny dotyk jego warg. Bez naporu, dzikiego pożądania, tylko muśnięcie. Stopniowo pocałunek stawał się coraz głębszy i bardziej intensywny. Czowała się, jakby się właśnie obudziła ze stuletniego snu i odkryła nowy, nieznany świat, pachnący kawą i miętą. Odurzył ją jego zapach. Połączenie mydła, skóry i osmaganego słońcem męskiego ciała. Jego silne, umięśnione ramiona tuliły ją mocno, aż do utraty tchu. Z każdą chwilą narastało w niej niezaspokojone pożądanie, błagając o spełnienie. Jak on cudownie całuje, przemknęło jej przez myśl. Jej stolarz, tak bosko całujący stolarz. Opiekun, pomocnik i znawca psów.

No... - wydusiła, kiedy oderwał usta i w końcu udało jej się złapać oddech. Tylko tyle potrafiła powiedzieć po tym, co się przed chwilą stało?

Naprawdę starałem się wybić to sobie z głowy - powiedział drżącym głosem - Masz święte prawo mnie zwolnić. Zrozumiałem.

Marty zaprzeczyła ruchem głowy. Wylać go? Nigdy w życiu. Pewnie będzie im trudniej, ale gdyby teraz próbował odejść, rzuciłaby się za nim, błagając, by został.
Wybić co? - spytała, ciężko oddychając.
Chcesz przez to powiedzieć, że o tym nie myślałaś? Nie wyobrażałaś sobie, jak by to było, gdybyśmy...
Nie potrafiła kłamać, więc po prostu nic nie odpowiedziała.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Weszli do domu. Marty nie mogła zebrać myśli. Uczucia i emocje wybuchały w jej sercu jak noworoczne fajerwerki. Nigdy żaden mężczyzna tak na nią nie działał. No, może z małym wyjątkiem. Kiedy miała piętnaście lat, poznała wyrzuconego ze szkoły szesnastolatka, który znał sprośne słowa, potrafił przeklinać w dwóch obcych językach, szyderczo się uśmiechał i palił camele. James Dean do potęgi drugiej.

-To ty może... no wiesz... zajmiesz się półkami... - powiedziała, ściągając czapkę i masując skronie, jakby to mogło wspomóc jej procesy myślowe. - A ja w tym czasie... hm... coś zrobię.

Cole przytaknął, jakby jej wypowiedź była zupełnie jasna. Jeśli przeżywał teraz to, co ona, to dobrze ukrywał uczucia.

Muszę pojechać do sklepu z narzędziami. Nie zajmie mi to więcej niż pół godziny. Nie otwieraj nikomu, dopóki nie wrócę, chyba że to będzie ktoś dobrze ci znany.

Czy to również dotyczy ciebie? - zażartowała. - Czy aby nie popadamy w paranoję?

Nie użyłbym tu słowa paranoja. Ostrożności nigdy dość. To nic nie kosztuje, a może pomóc.

Jak tylko zauważę coś podejrzanego, natychmiast powiadomię FBI - uśmiechnęła się z przekąsem.

Powtarzaj za mną - powiedział, starając się zachować powagę. - Zamknę drzwi i nie wpuszczę nikogo obcego, dopóki nie wróci Cole.

Dobrze, już dobrze.

Zamachała rękoma i przewróciła oczyma. Nigdy nie lubiła teatralnych gestów.

Co się stało z moim miłym, nudnym, uporządkowanym życiem? Wstaję pewnego ranka i okazuje się, że śledzi mnie jakiś typ. Następnego dnia mój dom zostaje kompletnie zrujnowany. I w końcu każą mi się jeszcze zamykać, na wypadek gdyby jakiś szaleniec chciał tu wtargnąć. Pięknie!

Spokojnie - powiedział Cole, biorąc jej dłonie w swoje ręce. - Nie jest aż tak źle, jak to wygląda. My, faceci z dużych miast, jesteśmy po prostu trochę przewrażliwieni, więc nie sprzeciwiaj mi się, dobrze?

Przytaknęła tylko głową.

Cole odjechał, a Marty zabrała się za przegląd lodówki. Pół kartonu odtłuszczonego mleka, cztery jaja, w tym jedno rozbite, stara sałata, dietetyczna śmietanka Sashy, trzy marchewki i kilka plasterków boczku.

Zamiast zabrać się za rozplanowanie ustawienia regałów, zaczęła przygotowywać listę zakupów, tym razem biorąc pod uwagę dodatkową osobę - mężczyznę. Jej wystar-

otyłyby do życia sałatki, masło orzechowe i lody, ale gdyby Cole miał się wprowadzić do jej domu... Mowmy nie ma. Już prędzej podejmie ryzyko, że zostanie napadnięta przez nieznanego przestalcowcę. Jednego była pewna. Jeśli pozwoli się wprowadzić Colebwi Stevensowi, na pewno skon czy z nim w łóżku. A to nie byłoby mądre.

Niecałą godzinę później Cole był już z powrotem w domu. Były jakieś telefony? - spytał, kładąc na ławie w przed pokoju sześciopak piwa i dwie siatki z zakupami.

Nie. Wiesz co? Im dłużej się nad tym zastanawiam, do chodzę do wniosku, że to pewnie ktoś nowy i że po prostu poznaje miasteczko.

Z tobą w roli przewodnika? Dlaczego nie kupi sobie mapy? Żartujesz? Nie ma czegoś takiego jak plan Muddy Lan ding. To nie metropolia, tylko trzy ulice na krzyż.

Może masz rację, to nie Norfolk.

Obciąłeś włosy - zauważyła Marty, starając się nie po łknąć go wzrokiem. Zabrzmiało to bardziej jak oskarżenie niż spostrzeżenie.

Domowa robota. Uważasz, że powinienem był pójść do fryzjera? Słuchaj, przywiozłem wszystko do zamonto wania łańcuchów w drzwiach i blokad w oknach. Zamki nie są najwyższej jakości, ale facet też nie wyglądał na spe cjalistę.

-Chwileczkę! Zachowujesz się, jakby Muddy Landing było siedliskiem zbrodni. Zaczynam żałować, że w ogóle powiedziałam ci o tym mercedesie.

W fizyce istnieje prawo, które mówi o tym, że każda akcja wywołuje reakcję. Tak było i z nimi. Im ona gwałtowniej reagowała, tym on był spokojniejszy. Marty stała na środku pokoju, wymachując nerwowo rękoma jak strach na wróble na wietrze, on tymczasem przyglądał jej się zastygły w bezruchu jak marmurowy posąg.

Nie ma się pewnie czym przejmować, ale skoro już kupiłem te wszystkie zabezpieczenia, to co stoi na przeszkodzie, żebyś zaczęła z nich korzystać? Kiedy otworzysz księgarnię, na pewno się przydadzą - powiedział spokojnym tonem.

Na wypadek gdyby chciał się włamać złodziej i okraść kasę? Nie starczyłoby mu nawet na lunch.

Ubezpieczyciel nie zwróci ci za szkody, jeśli nie wykazesz, że miałś zabezpieczenia.

Marty skrzyżowała ręce na klatce piersiowej, szukając błędu w jego rozumowaniu. Niestety miał rację. Sama powinna była o tym wcześniej pomyśleć. Dotychczas nie musiała się martwić o dom, bo miała dobrych sąsiadów, ale prowadzenie interesu to co innego.

-Ile to wszystko kosztowało? - burknęła.

Cole podał jej fakturę, przypominając, że powinna to wciągnąć w koszty firmy.

-Nie lubisz tracić argumentów - skonstatował z uśmiechem.

-A kto lubi - odparła, czekając na ripostę.

Marty doszła do wniosku, że klótnie z Cole'em były w gruncie rzeczy inspirujące i pobudzały do działania. Zazwyczaj stwierdzał tylko fakty i czekał, aż ona przyjmie jego argumentację.

Pamiętaj, zamki nie przydadzą się, jeśli nie będziesz ich używała - ostrzegł.

Przecież to oczywiste. Obiecuję, że będę grzeczna i codziennie będę wszystko zamykała, zanim pójde spać.

Nie są niezawodne, ale przynajmniej utrudnią napastnikowi włamanie, a ty będziesz miała czas, żeby zadzwonić na policję i uciec z domu.

Po zamontowaniu wszystkich zabezpieczeń wrócili do kuchni.

-Uciekać na zewnątrz? Ale przecież on właśnie tam będzie na mnie czekał - zaprotestowała. Wolałaby raczej schronić się w tych silnych, opalonych ramionach, ignorując całe to zamieszanie. - Wiesz co? Problem w tym, że czytam za dużo kryminałów. Powinam się teraz chyba przerzucić na... - już chciała powiedzieć romanse, ale w porę ugryzła się w język. To również nie był najlepszy pomysł. Szczególnie że na wyciągnięcie ręki stał najprawdziwszy bohater powieści. - ...biografie - dokończyła słabym głosem. - Chyba niepotrzebnie przesadzam.

Cole nie odezwał się ani słowem. Jego oczy powiedziały wszystko za niego.

Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, sprawił na niej wrażenie dzikiego, starganego przez wiatry, spalonego słońcem

awanturnika, bohatera z powieści płaszcza i szpady. Stopniowo zaczęła odkrywać jego urok w tysiącu drobiazgów. Uwodził ją zapach jego skóry, jego akcent. Podobał jej się sposób, w jaki otwierał przed nią drzwi swojego wielkiego trucka. Uwielbiała, kiedy tak zabawnie drgały mu kąćki ust i kiedy mrużył z rozbawienia oczy. I jak ją całował...

Litości, te jego pocałunki. Co, u licha, roilo się w tej jej małomiasteczkowej, nudnej, niewykształconej głowie.

Był jeszcze jeden istotny szczegół - przebudowa, która musiała być zakończona w terminie. Jej stolarz zobowiązał się ją wykonać i rozpraszanie go mogłoby doprowadzić do zawalenia się wszystkich planów.

Lepiej o tym pamiętaj, nauczyła się w myślach.

No dobrze, ale robimy to tylko ze względu na ubezpieczalnię.

Nadal uważam, że to przesada.

Być może, ale jeśli usłyszysz na dworze jakiś hałas, będziesz miała czas, żeby wezwać policję.

Berty Mary Crotts, nocna dyspozytorka. Była jedną z moich najlepszych klientek. Jeśli akurat cudem nie będzie spała, to na pewno będzie dyżurowała z nosem utkwionym w jakimś romansie.

Widzisz, kolejny powód, aby utrzymać cię przy życiu. Jesteś potrzebna swoim klientom.

Zawsze musisz mieć ostanie słowo.

W tonie jej głosu dało się wyczuć uznanie. Sądząc po wyrazie jego oczu, odebrał to jako komplement. Jak to możliwe, że ten facet potrafi czytać w moich myślach, zastanowiła się.

Może weźmiemy się w końcu do jakiejś pracy. Straciliśmy już pół dnia.

Straciliśmy?

Marty odwróciła głowę, aby nie spotkać jego wzroku. Chwycała plany aranżacji i ruszyła do salonu.

Lunch zjedli osobno. Zaraz po tym, jak Cole wrócił do pracy na górze, Marty zdecydowała, że wybierze się do sklepu.

Jeśli jakiś szary mercedes miał ochotę popatrzeć, jak odbiera pocztę i robi zakupy, proszę bardzo. Tym razem sama doprowadzi do konfrontacji i zakończy raz na zawsze tę głupią szaradę.

W supermarkecie kupiła duże opakowanie ibuprofe-nu oraz plaster rozgrzewający na ból krzyża. Przechodząc przez dział z kosmetykami, pod wpływem impulsu włożyła do koszyka róż do policzków. Nagle jej wzrok zatrzymał się na półce z prezerwatywami. Sięgnęła po kolorowe opakowanie. A jeśli...? Ależ to absurd, pomyślała. Mowy nie ma.

Kilka minut później wyszła ze sklepu z płonącymi rumieńcem policzkami, siatką pełną zakupów i opakowaniem prezerwatyw.

W drodze powrotnej wstąpiła jeszcze do banku zamówić czeki i faktury na nowy adres. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, już wkrótce będą jej potrzebne. Zrobiło się już późne popołudnie. W progu domu spotkała Colea, który właśnie znosił z góry odpady z płyt gipsowych.

Mówiłam, żebyś wyrzucił to przez okno sypialni. Nie musisz być taki porządny. Posprzątam.

To żaden problem - odparł chłodno.

Jego opryskliwa odpowiedź nie była w stanie przygasić jej optymizmu.

-Wiesz co? Myślę, że wyrobię się w terminie.

Przytaknął i zaczekał, aż otworzy mu drzwi. Marty zastygła nieruchomo, ściskając kurczowo zakupy i czekając, aż wróci.

-Mam nadzieję, że się nie denerwowałeś. Notuję wszystkie twoje nadgodziny.

Cole tylko uniósł brwi.

Chodzi mi o wszystkie prace, które nie były w naszej umowie - pospieszyła z wyjaśnieniem.

Uznajmy, że to w zamian za posiłki. Pamiętaj tylko, co mówiłem.

Co go gryzie? - zastanowiła się Marty. O czym niby mam pamiętać?

Że mam zadzwonić do Berty, jeśli usłyszę, że ktoś próbuje się włamać? Nie ma sprawy.

A potem do mnie.

Po co? Możesz być setki kilometrów stąd. Lokalna policja powinna sobie poradzić. Gdyby się spóźnili i ktoś zdążyłby się włamać, zrzuć mu z góry książki na głowę

- dodała z wesołym uśmiechem na twarzy, starając się rozluźnić atmosferę. Cole miał taką ponurą minę.

Przestań, ja nie żartuję.

Nie krzycz na mnie. Chodziło mi o to, że mogłabym

go zatrzymać. Domyślam się, że książki w miękkich okładkach krzywdy mu nie zrobią, ale gdybym tak zrzuciła encyklopedię. .. - próbowała być dowcipna, sama nie wiedząc czemu. Może czuła się zażenowana? A może dlatego, że nadal ścisła siatkę z zakupami i pudełkiem prezerwatyw? Lub po prostu marzyła, żeby jej dzielny stolarz przyjechał na białym koniu i ocalił ją przed złymi ludźmi.

To wszystko nie miało sensu. Czy prawdziwy złoczyńca jeździłby starym mercedesem z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę? Nawet nie miał przyciemnianych szyb. Cole zaczął kciuki na szlufkach dżinsów i czekał na jej ; reakcję, jakby nie miał nic innego do roboty. Marty nagle zdała sobie sprawę, że się w niego wpatruje, i szybko odwróciła wzrok, dostrzegając jeszcze kątem oka, że delikatnie drgają mu kąciki ust. Jednak nie uśmiechnął się, więc pomyślała, że to tylko jej fantazja.

Dlaczego tak trudno było odgadnąć jego uczucia? Był w końcu tylko prostym stolarzem, a nie ratującym świat Jamesem Bondem, który mógł spędzić w łóżku cały weekend bez wsparcia niebieskich pigułek.

-No to wszystko jasne - wysapała naburmuszona. Było to jedyne, co jej przyszło do głowy. Mógł to zinterpretować, jak chciał.

W jego oczach dostrzegła rozbawienie. Jeśli teraz zacznie się śmiać, zamorduje go. On jednak nie wybuchnął śmiechem.

- Muszę zrobić jeszcze jedną rzecz - oświadczył z powagą. Marty bała się zapytać co.

Możesz ze mną pojechać do portu? Wezmę tylko kilka czystych rzeczy, a w drodze powrotnej możemy wstąpić do restauracji na grilla.

Zaczekaj, może jeszcze raz przemyślimy, czy musisz zostawać tu na noc. Prawie cała góra nie nadaje się do mieszkania.

- Westchnęła głośno i opadła na ławę w holu.

Będę spał na dole na sofie.

Już widzę, jak rzucasz się na intruza z wiertarką i młotkiem - zażartowała.

Cole roześmiał się.

-Tylko nie zrzucaj mi na głowę książek, kiedy w nocy będę szedł do toalety.

Marty przytaknęła skinieniem głowy.

-Poza tym będzie z tego jeszcze dodatkowa korzyść. Nie będę tracił czasu na dojazdy. Mogę zaczynać zaraz po spacerze z Muttem i pracować tak długo wieczorem, jak będę musiał lub póki nie będziesz chciała położyć się spać.

To miało sens.

Naprawdę uważasz, że potrzebny mi ochroniarz?

Powiedzmy, że lepiej dmuchać na zimne.

Zawracanie głowy - mruknęła pod nosem, po czym dodała: - Zgoda, ale uprzedzam, że jeśli włamywacz będzie próbował dostać się przez okno i podepcze moje cebulki irysów, gorzko tego pożałuje. Nie jestem bezbronna.

Tym razem oboje wybuchli śmiechem.

-Tyle pudeł z amunicją. Ciekawe, które pójda na pierwszy ogień?

Nawet jeśli z niej żartował, zrobiło się miło. Gdyby mia-

ła w sobie choć trochę instynktu samozachowawczego, powinna zabronić mu zostać. Prawdziwy wróg był już w jej domu. Koń trojański o obliczu Cole'a.

Kiedy wyruszyli, było już ciemno. Przez całe popołudnie Cole pracował na górze nad ściankami i szafkami, a ona ślezczała na dole nad projektem aranżacji. Sasha nalegała na ustawienie mebli zgodnie z zasadami feng shui i na pomalowanie ścian w trzech odcieniach czerwieni. Marty nie miała ochoty na urządzenie pomieszczeń według jakiegoś tam feng - shui. Najbardziej zależało jej na zmieszczeniu jak największej liczby książek w istniejącej przestrzeni tak, aby przebywanie w księgarni nie wywoływało w klientach uczucia klaustrofobii.

Wieczór był zimny i wyjątkowo jasny od wchodzącego 1 w pełni księżyca. Cole zwolnił.

Gwiazda Polarna. Widzisz?

Gdzie? - spytała, wyciągając głowę i wyglądając przez przednią szybę samochodu.

Widzisz Wielki Wóz za tamtym suchym drzewem? Narysuj teraz linię przechodzącą przez dwie skrajne gwiazdy na końcu Wozu, pociągnij ją i znajdziesz Gwiazdę Polarną.

Widzę, widzę! Jestem pod wrażeniem.

Właśnie - przytaknął zadowolony z siebie. - O to mi chodziło. Może teraz, kiedy zauważyłaś, jaki jestem mądry, zaczniesz mnie w końcu słuchać bez ciągłego sprzecznania się.

W bladym świetle księżycy spojrzała na jego przystojny profil.

- Trele morele.

Cole rzucił jej szybkie spojrzenie i przyspieszył samochód.

Trele morele?

To takie potoczne określenie na „niedoczekanie twoje”

- Niedoczekanie moje?

Cole wybuchnął głośnym śmiechem. Jego białe zęby nawet w mroku kontrastowały z opaloną cerą. Marty, udając urażoną, skrzyżowała ręce na piersiach.

- Dobrze wiesz, co miałam na myśli - mruknęła, poczym zaczęła się śmiać razem z nim.

Jechali wolniutko nabrzeżem, mijając kilka małych pomostów, do których przycumowane były łodzie i jachty. W końcu zatrzymali się i zeszli na ostatnią keję, gdzie stała przycumowana duża, drewniana łódź motorowa.

- Witaj na „Rozrywce” - powiedział z dumą w głosie.

Wchodząc na pokład, Marty straciła równowagę i chwyciła Colea za rękę.

Powoli, trzymam cię.

Stoję na łodzi po raz drugi w życiu - usprawiedliwiła się, starając się pod wpływem emocji nie rzucić mu się w ramiona. - Strasznie tu wieje - mruknęła, chwytając się kurczowo linki i czekając, aż Cole otworzyabinę.

Kiedy zapalił światło i weszli do środka, ze zdziwieniem

zauważyła panujący tu porządek. Wszystko było na swoim miejscu.

- Jak na staruszkę jest w świetnym stanie. Odnawiałem ją w wolnym czasie przez kilka ostatnich lat.

Marty przyglądała się wszystkiemu, co robił, zastanawiając się, co skłoniło takiego mężczyznę do zamieszkania na łodzi. Trudno byłoby ją nazwać jachtem, ale wyraźnie był z niej bardzo dumny.

Nie byłam w przystani od kilku miesięcy, a dokładnie od ostatnich urodzin Boba - wyznała, kiedy zeszli na ląd i skierowali się do samochodu. Wrzucili do środka rzeczy, wsiedli i ruszyli. Mijając dom Boba Eda, zauważyli odbijające się w szybie niebieskawe światelka. Pewnie oglądają koszykówkę. Faylene była fanką sportu.

To samochód Faylene. Poznałeś ją, prawda? Obiecała, że jak skończę przebudowę, przyjdzie pomóc mi sprzątać.

Blondynka w różowej bluzie z cekinami i w białych adidasach? - opisał Cole, nie mówiąc wprost, że Faylene była uosobieniem złego gustu.

Zbliżając się do wyjazdu z portu, zmniejszył szybkość.

Przy kei równoległej do linii brzegu cumowało kilka kutrów rybackich, które mrugały delikatnie światelkami w mroku nocy. Przy samym końcu stał wielki jacht, kołysząc się na spokojnej wodzie. Pomiędzy stosem koszy do połowu krabów a wyciągarką łańcuchową zaparkowanych i było kilka samochodów. Pracownicy portu wypożyczali je turystom.

- Pewnie zastanawiałaś się, jak to możliwe, że przywio-

złem tu ze sobą z południa jacht i samochód? Truck jest z wypożyczalni Boba Eda.

- A, stąd uchwyt na wędkę - mruknęła sennie po nosem. Zamknęła oczy, usypiana mrużeniem silnika i obecnością mężczyzny u swego boku.

Co powiesz na grilla?

Brzmi zachęcająco - odparła, ziewając. - Jutro muszę się wybrać po zakupy.

Może pojedziemy do sklepu zaraz po spacerze z Muttem?

Była odprężona i nie miała ochoty na sprzeczkę. Pomyślała jednak, że przy licznych zajęciach przebudowa zaczyna schodzić na drugi plan, a ona nie może pozwolić sobie na żadne opóźnienia. Musi się trzymać terminów.

Lepiej ja zabiorę psa na spacer i zrobię zakupy, a ty w tym czasie podgonisz pracę.

Zobaczymy - odparł ugodowo.

Żebyś wiedział - burknęła.

W jej głosie nie było jednak ducha walki. Powinna uważać, by jej priorytety nie znalazły się na ostatnim miejscu. Najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że już się nie bała i znów była pełna entuzjazmu.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Jak kobieta może się skoncentrować, kiedy jej ukryty smok budzi się po długiej, zimowej drzemce po to tylko, aby się natknąć na pogromcę smoków? - zastanowiła się w duchu Marty.

Może to złe porównanie. Tak wcześnie rano nie była w stanie zebrać myśli. Zawsze tak było, ale ostatnio jakby jeszcze gorzej. Na dodatek miała kaca moralnego po nocnym fantazjowaniu na zakazane tematy. Zgoda na to, żeby Cole się do niej wprowadził, była dużym błędem.

Był piątek, dochodziła siódma rano. Z mokrymi włosami i z zapuchniętymi oczyma zeszła na dół do kuchni. Otworzyła drzwi i ujrzała go. Siedział przy jej stole, bohater z marzeń i gorących fantazji. Kiedy weszła, wstał, powoli rozciągając mięśnie, i obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Jesteś bardzo blada. Dobrze się czujesz? Może grill ci zaszkodził?

Fakt, czuła się okropnie, ale wczorajsza kolacja nie miała z tym nic wspólnego. Sprawcą jej złego samopoczucia był stojący naprzeciw mężczyzna.

Zaczęła się zastanawiać nad inteligentną odpowiedzią, ale jakoś nic nie przyszło jej do głowy.

-Przepraszam, jeśli cię obudziłam. Staralam się być cicho - wymamrotała.

Rano zazwyczaj miała zachrypiły, opryskliwy głos, ale on już się do tego przyzwyczaił.

-Nie należę do rannych ptaszków. Niezależnie od pory roku zawsze bardzo długo się rozbudzam.

Cole nie odezwał się, tylko z pełną zrozumienia miną pokiwiał głową. Odebrała to jako wyraz politowania, co natomiast nastroiło ją wojowniczo. Nie potrzebowała litości.

- Tylko nie oczekuj, że będę podtrzymywała rozmowę - ostrzegła.

Otworzyła szafkę kuchenną, spojrzała na pudełko płatków kukurydzianych, zrobiła niezadowoloną minę i zatrzasnęła drzwiczki. Cole usiadł bez słowa i zaczął się przyglądać, jak Marty, krążąc po kuchni, mamrocze coś pod nosem na temat dobowego rytmu.

Będzie lepiej, jak wszystko sobie poukładam - wyjaśniła. -

Ale potem przechodzimy na czas letni i wszystko zacznie się od początku. Może powinnam znaleźć sobie pracę w nocnym sklepie? - Usta jej się nie zamykały. - Ciekawe, gdzie się podziało słońce- rzuciła ze złością.

Zaraz wjeździe, daj mu jeszcze kilka minut.

Cole sięgnął po leżące przed nim szkice, a Marty nalala sobie kubek kawy, wdychając z rozkoszą pobudzający zapach.

- Może grzanekę lub coś innego, bardziej konkretnego? - spytała uprzejmie, jakby w ogóle nie zauważyła jej nieprzyjemnego tonu.

Spojrzała na piekące się w tosterze grzanki.

- Za wcześnie.

Chrząknęła i spytała go, co ogląda. Cole przesunął w jej kierunku rysunki, aby mogła się przyjrzeć. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w elegancki rysunek techniczny, aż w końcu zrozumiała, co przedstawiał.

- Ładne. Funkcjonalne, ale nie przypomina pokoju rodzinnego. Z drugiej strony jest wszystko, co powinno być.

Po raz pierwszy tego ranka jej wypowiedź zabrzmiała rozsądnie.

Przełknęła kolejny ożywczy łyk kawy, odstawiła kubek i zakasłała.

Czy uważasz, że popełniam błąd? - spytała nagle. - No wiesz, z tą przebudową.

O co chodzi? Ogarnęły cię wątpliwości?

Tak, około setki - wyznała.

Chyba trochę na to za późno.

Raczej za wcześnie - oświadczyła, nie rozumiejąc jego słów. - Zwykle śpię do siódmej trzydzieści. Ale od kiedy wprowadzam psa, muszę wstawać w godzinach dostosowanych do jego potrzeb.

Nie może poczekać?

Annie mówiła, że lubi wychodzić na spacer przed śniadaniem, ale może tylko dlatego, żeby oni mogli zdążyć do pracy.

Z tosterki wyskoczyły dwie przypieczone grzanki. Sięgnęła odruchowo po jedną, posmarowała ją masłem, a potem konfiturą figową. Odrobina cukru nie zaszkodzi, szczególnie że musi się wykazać racjonalnym zachowaniem.

Kiedy rano wpadała do niej Sasha, mogła zachowywać się jak stara zrzęda. Przyjaciółka była wyrozumiała i nigdy nie brała tego do siebie. Z Cole'em było inaczej. Była wściekła, że widzi ją w takim stanie. Zapuchnięte oczy, zachrypnięty głos emerytki.

Jasne! A jaką cię powinien oglądać? Nagą, w łóżku, gotową na erotyczne szaleństwa? Ochłoń. Wróć na ziemię. Po co kupiłaś wielką paczkę gumek?

Jeszcze nie zacząłem robić szafek - poinformował, wyciągając przed siebie długie, zgrabne nogi. - Jeśli nie jesteś zadowolona z uzgodnionego wcześniej projektu, to ostatnia chwila, żeby coś zmienić. Mogę przywrócić stan pierwotny, ale to zajmie kilka dni.

Nie - zaprotestowała. - To znaczy, wszystko mi się podoba. No, może z małym wyjątkiem. Przeszkadzała jej jego obecność. Wspólne śniadania, zapach jego mydła i wody kolońskiej. Właściwie teraz to jej mydła.

Marty najwyraźniej straciła kontrolę nad opadającymi ją fantazjami. Jej wyobraźnia zaczęła płatać figle, poddając się nawet najdelikatniejszym bodźcom. Wystarczył subtelny zapach mydła, a ona już widziała nagiego stolarza stojącego pod prysznicem w jej łazience. Po jego silnych, sze-

rokich ramionach spływały strugi wody, coraz niżej, po wąskich biodrach, sprężystych pośladkach... Wystarczy!

Projekt jest świetny - wychrypiała żarliwie. - Naprawdę mi się podoba. I to miejsce nad zlewem.

W większości kuchni jest tam zazwyczaj okno. Nie chciałem, żebyś miała widok na szafkę.

Pewnie nie znajdziesz się miejsce na zmywarkę? Choć w sumie to żaden problem. I tak bym jej nie używała.

Może przydawać się latem, kiedy urządzasz grilla dla większej liczby osób.

Wystarczy podwójny zlew.

Kończ grzanekę, jedziemy po Mutta. Myślisz, że jest przyuczony do jazdy samochodem?

Chodzi ci o to, czy jest nauczony czystości?

Niezupełnie. Zastanawiam się, czy jeśli go przywiążemy na platformie z tyłu, nie będzie próbował wyskoczyć?

Jak to możliwe, żeby mężczyzna przy pracy w kuchni wyglądał tak pociągająco?

Gdyby pokazał się twój prześladowca, mając samochód, będziemy mogli za nim pojechać.

Mowy nie ma. Zabezpieczenia w oknach to jedno, ale nie wynajmowałam cię, żebyś zagrał rolę w kryminale, ścigając czyhających na mnie przestępców.

Nie dasz mi małego epizodu? Nawet jeśli oddam Muttowi wszystkie najlepsze kwestie?

Marty wybuchnęła śmiechem. Temu mężczyźnie nie można było się oprzeć.

Tak już lepiej - powiedział wesoło, stając za jej plecami i masując jej usztywniony kark. Kiedy jego kciuki rozcierały naprężone mięśnie, odchyliła głowę do tyłu i zamknęła z rozkoszy oczy.

Musimy już ruszać - powiedział łagodnym głosem. - Chciałbym wrócić do pracy przed ósmą.

Już mówiłam, nie musisz ze mną iść. Dotychczas sama chodziłam z nim na spacer i żyję. A teraz, kiedy wiem, jak go poskromić, nie potrzebuję cię.

Chcesz jeszcze wstąpić na górę, zanim wyjdziemy? - spytał, nie zwracając uwagi na to, co przed chwilą powiedziała.

My? Jeśli coś dotyczy tego, co robisz na górze, zawsze mówisz w pierwszej osobie. Ja to, ja tamto. Kiedy chodzi o wszystko inne, nagle jesteście „my”.

Masz rację - odparł z poważną miną, z której można było wywnioskować, że żartuje.

Jesteś wstrętnym szowinistą - warknęła, zrzucając jego rękę z karku i idąc umyć kubek.

Kto ci sprzedał taką informację? - wyszczerzył się w uśmiechu, opierając się biodrem o blat stołu.

Cole podał jej płaszcz, w który zgrabnie się wślizgnęła. Choć odwrócona plecami, czuła, że nadal się z niej śmieje. Na dworze świeciło słońce.

Luty, pomyślała. Już prawie wiosna i zaraz potem lato. Niedługo znów będę prowadziła księgarnię.

Ciekawe, gdzie będzie wtedy Cole? W innym stanie, w innym porcie, z inną kobietą? Z tej perspektywy wiosna nie wydawała się już tak obiecująca.

Spacer z Muttem przeszedł wyjątkowo sprawnie, choć psa prowadziła Marty. Tylko raz doszło do groźnej sytuacji, kiedy olbrzym dostrzegł samotnie przechadzającą się sukę. Na jej widok zupełnie oszalał, szczekając radośnie rzucił się na nią i całkowicie zignorował okrzyki swojej opiekunki, których zresztą nie słyszał.

Zapomniałam, jak go zmusić do zwrócenia uwagi na komendy! - krzyknęła, szarpiąc się ze smyczą. Cole stał tymczasem nieruchomo o kilka kroków od niej, obserwując scenkę i absolutnie nie zamierzając udzielić jej pomocy.

Szarpij energicznie smycz.

Marty posłuchała, Mutt stanął i obejrzał się na nią, jakby chciał zapytać: Co jest? Wykonała ręką gest, który miał oznaczać: Spokój, idziemy w prawo. Pies usłuchał.

Musiała mieć ruję - wyjaśnił Cole, kiedy ruszyli dalej spokojnym krokiem.

Tak pomyślałam.

Za kilka miesięcy mielibyśmy szczeniaki. Ostatnio mówiłaś, że chciałabyś sprawić sobie psa.

Jeszcze nie teraz - odparła ponuro, skracając smycz, gdy Mutt zainteresował się podlaniem opon stojącego na chodniku samochodu. - Myślę, że możemy już powoli wracać. Kiedy będziemy dochodzić do hotelu, minie akurat pół godziny.

Uczciwa do szpiku kości?

Żebyś wiedział. Poza tym to wielkie psisko. Potrzebuje dużo ruchu.

Przed budynkiem Cole wyciągnął rękę, aby odebrać od niej smycz.

Mogę go odprowadzić, a ty w tym czasie poczekaj w samochodzie.

Dzięki, ale zrobię to sama.

Mutt siedział spokojnie i lypał na nią wesoło okiem, jakby chciał powiedzieć: Śmiało, idziemy. Czas na śniadanko.

Cole tymczasem pogłaskał ją po ramieniu i pocałował, wytrącając ją całkowicie z równowagi. Zrobił to w biały dzień, na środku ulicy, nie zwracając uwagi na przejeżdżające obok nich samochody. Stojąc przytulona do niego, wyczuła przyspieszone uderzenia serca. Nie wiedziała, czyje to serce tak mocno wali: jej czy jego, a może oba. Cole objął ją mocniej i przyciągnął do siebie. Poczowała znajomy, zniewalający zapach kawy, mięty i jeszcze czegoś, bardziej osobistego.

Kiedy wypuścił ją z ramion, odsunęła się, starając się odyskać miarowy oddech i uśmiech. Drżały jej wargi i paliła ją twarz.

-Mmm, pycha. Kokosowa? - zapytał Cole, oblizując wargi.

Jego oczy błyszczały, co przyjęła z satysfakcją. Musiał czuć to samo.

Przed domem stał czerwony kabriolet, zaparkowali więc trucka na ulicy.

Dość wcześnie jak na gości.

Nie jak na Saszę - odparła niechętnym głosem Marty. Nie miała teraz najmniejszej ochoty na towarzystwo. - Często wpada rano po drodze do pracy.

W samochodzie siedziały jednak dwie kobiety. Cole ruszył prosto do drzwi wejściowych, zostawiając Marty samą, aby przywitała się z gośćmi. Okazało się jednak, że pod wycieraczką nie było jak zawsze kluczy, więc, chcąc nie chcąc, musiał zaczekać przed domem.

W chwilę później z samochodu wysiadły dwie panie. Rudowłosa elegantka, którą poznał już wcześniej, oraz wysoka blondynka w czarnych spodniach i czarnym płaszczu z szynszylowym kołnierzem. Przywitały się i skierowały do wejścia. Blondynka uważnie stapała po nierównych bloczkach kamiennej ścieżki, ruda, idąca przodem, ignorowała wszystkie wystające płytki, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, po czym kroczy.

- Cześć, Cole. Lily, to jest pan Stevens, stolarz.

Sasha miała na sobie krótkie, żółte futerko i czarne rajtuzy. Na wszystkich palcach dłoni migotały kolorowe pierścionki, nie wyłączając kciuków.

- Pamiętasz mnie? Poznaliśmy się kilka dni temu.

Trudno byłoby zapomnieć, pomyślał.

- Jechaliśmy z Lily do pracy i przyszło nam do głowy, że skoro Marty wkrótce otwiera nową księgarnię, może jej się przydać fachowa pomoc księgowa. Z urzędem skarbowym nie ma żartów. Coś o tym wiem, bo sama prowadzę własny biznes.

-Pani Owens na pewno zna wszystkie odpowiednie przepisy - odezwała się blondyna.

Wydawała się wyniosła i chłodna. Sprawiała wrażenie osoby zdecydowanej i kompetentnej.

Przez chwilę jeszcze rozmawiały o sprawach zawodowych, po czym przerzuciły się na bardziej interesujące tematy. Rudowłosa zasypała Colea osobistymi pytaniami, na które udzielił wymijających odpowiedzi. Tak, mieszkał na łodzi, nie był to tak naprawdę jacht, poznał już Faylene Beasley, nie ma dzieci, a gdyby je miał, na pewno, zanim zaczęłyby chodzić, nauczyłyby się pływać. I tak dalej, ble, ble, ble.

To zabawne, ale odpowiadając na te wszystkie chaotyczne pytania, odniósł wrażenie, że Sasha jest bardziej zainteresowana reakcją Marty niż jego odpowiedziami.

- Sądzę, że znasz tu już wiele osób - trąkotała rudowłosa, poklepując go po ramieniu. - To dlatego postanowiłeś tu zacumować? Bo tak się mówi, zacumować, prawda?

-Pewnie tak.

- Słuchajcie, on jest taki niepoprawny, że aż uroczy.

Cole musiał się ze wszystkich sił powstrzymać, aby jej czegoś nie powiedzieć. Zanim jednak zdążył wymyślić jakąś odpowiedź, która odwróciłaby od niego jej uwagę, Sasha zwróciła się do Marty.

- Gdybyś miała jakiegokolwiek pytania, wiesz, do kogo dzwonić. Pamiętaj, co ci mówiłam o kolorach. Będziesz miała mało wolnych ścian, więc każdy centymetr jest cenny i powinien dla ciebie pracować.

Nie czekając na odpowiedź Marty, zwróciła się ponownie do stolarza.

- Miło było cię widzieć. Faylene wiele mi o tobie opowiadała i o tym, jak pomogłeś Bobowi wstawić te wspaniałe okna. Wspaniałe? Stare, odrapane, w niepomalowanym budynku. Co, u licha, ta Beasley jej o nim naopowiadała? Rozmawiał z nią może przez trzy minuty.

Marty otworzyła drzwi i delikatnie wypchnęła koleżanki na zewnątrz, obiecując, że w najbliższych dniach umówią się na wspólny lunch. Cole zaczął się zastanawiać, co tu się przed chwilą stało. Usłyszał, jak rudowłosa, wychodząc, wyszeptała do Marty:

- Chyba poszło nieźle. Widziałaś jak ona.

Nie usłyszał niestety zakończenia, ponieważ jego pracodawczyni zatrzasnęła drzwi. Nie miał jednak wątpliwości, że Sasha coś kombinowała. Pewnie to nic ważnego, ale zapytać nie zaszkodzi.

Czy ominęło mnie coś istotnego?

Słucham? O, nie. To znaczy tak. Nie wiem, czy sobie zdajesz sprawę, ale stałeś się teraz oficjalnym celem.

Nie wiem, czy mi się podoba to, co mówisz - rzucił, wycofując się na schody.

To zależy od tego, czy lubisz wspaniałe, niezależne, inteligentne kobiety - warknęła. - Z taką chcą cię właśnie wyśwatać.

Chwileczkę, kto z kim i jak zamierza mnie swatać?

Z Lily. Inaczej Sasha by jej tu nie przywoziła tak wcześ-

nie rano. Dokładnie wie, że o tej porze jestem półprzytomna i nie nadaję się na dyskusje dotyczące księgowości. Policzki płonęły jej, a oczy iskrzyły ogniem.

Wcale nie są zainteresowane stanem moich ksiąg, tylko tobą!

- krzyknęła ze złością.

Zamieniłem z tą kobietą może ze trzy zdania - zaprotestowałam.

- Pewnie nie zapamiętała nawet mojego imienia.

Nie oszukuj się - odparła sucho.

Czemu właściwie się tak wściekała? Jediną osobą, która miała prawo być zła, był Cole. Czuli się, jakby miał na piersi wymalowaną tarczę, a one do niej strzelały.

- Wracajmy do pracy. Straciliśmy już za dużo czasu.

RRS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kilka godzin później Sasha siedziała w kolorowym, zagraco-
nym saloniku i masowała stopy, z których przed chwilą zdję-
ła za małe buty.

-Teraz wiem, jak się czuje balerina po występie. Przestań
się kręcić. Usiądź i pogadajmy! - krzyknęła. - Po co myć ok
na od środka, skoro jest zima i są brudne na zewnątrz?

Faylene odstawiła spray do szyb.

Jak tylko się ociepli, wypoleruję wszystkie z obu stron. Masz
ochotę na mrożoną herbatę?

Chętnie. Należesz nam obu? Jest w lodówce.

Sasha rozparła się wygodnie na poduszkach i ułożyła nogi na
sofie. -I przynieś ciasteczka! - zawołała za przyjaciółką. Po-
pijając orzeźwiający napój, obie kobiety przeszły do konkre-
tów. Faylene poprawiła delikatnie dłonią fryzurę a la Dolly
Parton, upewniając się, czy misterna, wylakierowana budow-
la nadal się trzyma bez zarzutu. -I co ona na to?

-Lily? Trudno wyczuć. Może ty z niej coś wyciągniesz,
bo mnie się nie udało.

To przez to, że ciągle tylko wypełnia setki druków urzędowych. Mnie też nigdy nic nie mówi, a ostatni raz sprzątałam u niej rok temu.

Jedyne, czego się od niej dowiedziałam, to że skończyła Wharton. Jej ojciec prawdopodobnie jest wysokiej rangi wojskowym, ale to tylko moje przypuszczenia. A, i nie znosi muzyki country.

Bob mówi, że pan Stevens ma gitarę na swojej łodzi.

W takim razie może poszerzymy jej horyzonty -oświadczyła Sasha, pociągając łyk herbaty o konsystencji syropu.

Nadal mam wrażenie, że oni do siebie nie pasują. Ona jest po uniwersytecie, ma dobrą pracę i w ogóle. Może powinniśmy się jeszcze rozejrzeć. Co powiesz na jakiegoś napuszonego biznesmena, na przykład jednego z tych, dla których teraz pracujesz?

Wszyscy żonaci, geje lub okropni nudziarze. Powinnaś bardziej docenić naszego przystojnego stolarza, który własnoręcznie wybudował swój dom...

Jaki dom? Jeśli ma dom, to dlaczego mieszka na starej łodzi? To nawet nie jest jacht.

Wiem z pewnych źródeł, że kiedyś był bardzo dobrze sytuowany. Był dyrektorem w znanej firmie developerskiej w Wirginii. Był żonaty z córką szefa, potem wybuchł jakiś wielki skandal, oczywiście, w przedsiębiorstwie. Firma splajtowała, on został bez pracy, a prawnicy jego żony wyczyścili mu konto. Dlatego mieszka na łodzi i bierze prace dorywcze, aby związać koniec z końcem.

Nie wiem, jaka jest jego sytuacja finansowa, ale nic nie wziął od Boba Eda za wstawienie okien. I zapłacił za wynajęcie kei za dwa tygodnie z góry.

Tym lepiej. Nie sądzę, aby Lily chciała się wiązać z nieudacznikiem bez gorsza.

.- Przejrzałam cię, ty chcesz go wyswatać z Marty, a nie z Lily - uśmiechnęła się znacząco Faylene.

-I co ty na to? Nie była z mężczyzną od lat, więc dobry i facet bez kasy.

Faktycznie, ostatnio jest coraz bardziej marudna, więc przydałoby się jej...

Mhm... A on jest jak pyszne ciastko w zasięgu ręki. A tak z innej beczki, zamierzacie wyprawić Bobowi równie huczne przyjęcie urodzinowe jak w zeszłym roku?

Oczywiście, z gulaszem z gęsi, grillem i różnymi innymi smakołykami. Tylko nie wkładaj szpilek tak jak ostatnio.

Jeszcze obcas wejdzie ci między deski na pomoście, co wykorzysta jakiś sprytny prawnik. Wtedy Bob już nigdy więcej cię nie zaprosi.

Bądź spokojna. Ubiorę się odpowiednio do okazji. Może pożyczę od ciebie tenisówki. A wracając do pana Stevensa. Mój informator w Wirginii doniósł mi, że ta jego była żona to prawdziwa jędba, więc nasz wspaniały stolarz może być odrobinę nieśmiały.

Znasz takiego, który by nie był? Szczególnie kiedy się czuje osaczony.

A ty i Bob Ed?

Nie spieszymy się i tyle. A ty? Miałaś czterech mężów,

z których żaden nie zagrzeźł miejsca dłużej niż liście na drzewach jesienią.

- Dlatego jestem ekspertem. Zresztą nie prowadzimy nikogo siłą do ołtarza. Po prostu zachęcamy dwoje miłych ludzi, żeby zwrócili na siebie uwagę.

Faylene nadeła usta, które od zastrzyków z botoksu i tak już były bardzo wydatne.

Na przyjęcie przyjdą też inni faceci. Może zaproszę Lily i zobaczymy, co się wydarzy.

To się nazywa upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Może nawet trzy, jeśli będziemy miały szczęście. Bob Ed zaprosił żeglarzy z tego jachtu, który wczoraj przybił do portu.

Ty przyprowadź Lily, a ja postaram się ściągnąć Marty.

Umowa stoi - zgodziła się Sasha, robiąc minę rozpuszczonego perskiego kota.

Marty miała ochotę poprosić Cole'a o pomoc, ale kiedy usłyszała na górze warkot piły mechanicznej, pomyślała, że lepiej mu nie przeszkadzać. Skoro udało jej się na własnych plecach zatargać te wszystkie półki do garażu, pomagając sobie tylko małym wózkiem i intelektem, dlaczego nie miałyby ich z powrotem wnieść sama. Jeśli pokona schodek do kuchni, dalej droga jest już prosta. Po całej zimie stania na dworze samochód też w końcu zasługuje na trochę luksusu, jakim jest garaż, pomyślała, wciągając półkę na wózek i przesuwając się tyłem w kierunku drzwi. Bardzo powoli i ostrożnie weszła na schodek i kiedy próbowała wciągnąć za sobą wózek, pół-

ka nagle zaczęła się zsuwać, przechylając się niebezpiecznie na jedną stronę. Marty wydała okrzyk przerażenia. Na górze ucichł odgłos piłowania. Krzyknęła jeszcze raz. Opierając się plecami o framugę, próbowała przytrzymać nogą przewracającą się półkę.

Cole, ratunku! - zawołała głośniejsze.

O rany! - wrzasnął z przerażeniem stolarz, pojawiając się nagle za jej plecami. - Wytrzymaj jeszcze chwilę, już ci pomagam!

Nie przejdiesz tędy - jęknęła, walcząc z przewracającym się regalem.

Kilka sekund później Cole był już w garażu i od drugiej strony chwycił przechyloną półkę.

-Co ty, u diabła, wyrabiasz? Nie, lepiej nic nie mów. Powoli.

Już ją trzymam. Kiedy pochylę ją do tyłu, wyciągnij wózek.

Potem zaczekaj, aż przejdę z drugiej strony, żeby ją wnieść.

Spojrzenie, które mu rzuciła, było jednoznaczne z powiedzeniem: po moim trupie.

Dokąd, u Ucha, się z tym wybierałaś?

Do salonu.

Akurat teraz? Dlaczego? Potrząsnęła tylko głową.

Tędy, przytrzymaj, a ja podwinę chodnik. Kwadrans później ogromny regał stanął pod ścianą

w salonie. W otoczeniu sofy, dwóch stolików, fotela i krzeseł wydawał się monstrualny. To dopiero pierwszy krok. Od czegoś zawsze trzeba zacząć.

Zapomniałam, jak wielkie są te regały - wyszeptwała. -Gdzie ja je wszystkie wstawię?

Pytasz o radę? Poczekaj, aż przytnę wszystkie i wyniesiemy stąd meble.

Stanął tuż za nią, położył jej na ramieniu dłoń i zaczął delikatnie kciukiem masować napięty kark.

Wybrałaś niewłaściwą kolejność czynności, stąd problem.

Następnym razem poproś o pomoc.

Nie ma znaczenia, od czego zacznę. Ty masz pilną pracę na górze, a ja potrafię poradzić sobie sama.

Przestań być taka uparta - zbeształ ją łagodnie.

Nie jestem. Po prostu wiem, ile jeszcze jest pracy, i nie chcę czekać do ostatniej minuty z tym, co można zrobić wcześniej.

Poczuła, jak dłonie Cole'a ześlizgują się z jej karku i jego silne ramiona biorą ją w objęcia.

- Jasne. Ty nie jesteś uparta, deszcz nie jest mokry, a temperatura na zewnątrz nie spadła do zera. Przyszła wiosna, tak? I wszędzie wokół zakwita bujna przyroda.

-No dobrze. Popełniłam błąd. Najpierw powinnam była wnieść wszystko na górę. Ale bardzo chciałam zobaczyć, jak będą tu wyglądały regały.

Kiedy zaczął się śmiać, usztywniła się i nadeła.

- Wiem, nie musisz mi mówić. Zrobił się okropny bałagan i prawdopodobnie popełniam drugi największy błąd w moim życiu.

Jego ręce znów zaczęły wędrować po jej karku, szyi, włosach, dając cudowne ukojenie.

- Co w takim razie było tym pierwszym? Pytam przez czystą ciekawość. Nie musisz odpowiadać.

-I nie zamierzam.

Cole nie musiał wiedzieć, że zanim poznała Beau Owensa, zaczytywała się w romansach jak nastolatka i przez to tak łatwo pomyliła jego gładkie maniery, garnitury szyte przez krawca i hollywoodzko piękną twarz z miłością. Był zwykłym oszustem, ale uświadomiła to sobie zbyt późno.

Wszystko działo się za szybko. Jej nadzieje rosły, a potem opadały jak ciasto z zakalcem. Jeszcze wczoraj aranżowała na rysunkach pomieszczenia na dole, ustawiała ladę, segregowała tematycznie literaturę: romanse tu, klasyka w jadalni, nowości zaraz przy wejściu. Kilka plakatów, zdjęcia z autografami pisarzy, może nawet, jak sugerowała Sasha, ściany w trzech odcieniach czerwieni, która zachęci klientów do szalonych zakupów...

Szalona to chyba jestem ja.

Jedyne, co do tej pory osiągnęła, to dewastacja domu.

Oczy zaszyły jej mgłą i poczuła szczypanie. Po policzkach popłynęły łzy. Cole odwrócił ją przodem do siebie, zaczerwienioną, chlipiącą, zniechęconą, i przytulił. To ją zupełnie rozłożyło.

- Posłuchaj - mruknął, a ona poczuła jego gorący oddech na włosach. - Zaszliśmy już bardzo daleko. Pomogę ci teraz wynieść stąd meble na górę. Zostawimy tylko fotel bujany, na którym będziesz mogła sobie siedzieć i rozplanowywać ustawienie regałów i książek.

- Nie możemy przenieść tego wszystkiego na górę. Przecież jeszcze nie skończyłeś.

Marty zapragnęła, żeby ten mężczyzna przestał być tak bardzo pomocny i taki wyrozumiały. Zaczynała się od niego uzależniać. A z własnego doświadczenia wiedziała, że to poważny błąd.

-Możemy zabezpieczyć rzeczy folią. Dopóki nie skończę twojej nowej kuchni, możesz korzystać z tej na dole.

Ton jego głosu był pełen ciepła i życzliwości, co zupełnie ją rozkleiło. Cole, nic nie mówiąc, tulił ją przez dobrych kilka minut i pozwalał jej się spokojnie wypłakać. Nie przemawiał do rozsądku, nie pocieszał. I tak nie dałoby to rezultatu. Głaskał ją tylko czule po plecach.

Dlaczego ryczę? Przecież ja nigdy nie płaczę, pomyślała.

Zaczęła wędrować dłonią po jego torsie, starając się wymacać, czy przypadkiem nie ma chusteczki do nosa w górnej kieszeni koszuli. Cole usztywnił się, a ona nagle zdała sobie sprawę z bliskości ich rozpalonych ciał. Twardego, napierającego męskiego i delikatnego, miękkiego kobiecego. Zmysłowy zapach jego skóry tylko pogorszył sprawę. Instynktownie przycisnęła się mocniej. Poczwała, jak pod wpływem jej bliskości twardnieje jego męskość.

O niebiosa! To na pewno przypadek. Nie należała do kobiet, które ekscytują mężczyzn. Na pewno to typowa reakcja na zaistniałe okoliczności.

-Mam w kieszeni chusteczkę - powiedział głosem, w którym wyczuwało się napięcie.

Na pewno poczuł się zakłopotany i nie wiedział, jak wy-

brnąć z krępującej sytuacji, nie raniąc jej uczuć. Marty postanowiła ułatwić mu sprawę i sama odsunęła się, przyjmując podaną chusteczkę do nosa. Natychmiast jednak zatęskniła za jego ciepłem, siłą i tym wszystkim, czego od tak dawna jej brakowało, a z czego nie zdawała sobie sprawy. Wylała oczy, osuszyła twarz i wydmuchała nos.

-Wypiorę - powiedziała sucho, omijając jego spojrzenie. Nie odezwał się ani słowem, tylko wciąż się w nią wpatrywał.

Brniesz w ślepej uliczce. Zatrzymaj się, zanim będzie za późno.

I wtedy on zrobił to, czego tak bardzo pragnęła i jednocześnie się obawiała. Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Tym razem nie miała wątpliwości co do natury pocałunku.

Był zmysłowy i namiętny. Nie odrywając od niej ust, ułożył ją na twardej, wąskiej sofie, po czym położył się na niej, przywierając mocno całym ciałem. Przez chwilę żadne z nich się nie poruszało. Marty nie czuła czegoś takiego od bardzo wielu lat. Rodzaj bezmyślnego, nienasyconego głodu, który wymaga natychmiastowego zaspokojenia. Dlaczego zamiast tej okropnej sofy nie kupiła kanapy? Oplotła go nogą na wysokości bioder w obawie, żeby nie spadł. Co za inteligentne posunięcie i jakie subtelne, skarciła się w myślach. Cole zaczął rozpinać jej sweterek. Poczwała przeszywający dreszcz rozkoszy. Jego dłoń wślizgnęła się pod bluzkę i zaczęła pieścić delikatnie jej piersi. Kiedy jego palce napotkały stwardniałe sutki, jęknęła z pożądania.

-Musimy po... porozmawiać - wydusiła z siebie.

Niech ostatnia wychodząca szara komórka wyłączy światło, pomyślała z rozpaczą.

Dłoń Colea zatrzymała się. Porozmawiać? Czy ta kobieta oszalała? Nie, to chyba raczej on stracił rozum. Gdyby choć odrobinę logicznie myślał, powinien uciekać stąd, póki pozostały mu jeszcze resztki zdrowego rozsądku. Mógłby popłynąć do Southport lub Charleston. Albo żeglować przed siebie tak długo, aż wyrzuci z pamięci jej imię, twarz, zapach i smak. Kiedy ją poznał, nigdy by nie pomyślał, że okaże się tak niebezpieczna. Nawet nie umiał powiedzieć, co go w niej uwiodło. Nie robiła nic, by przyciągnąć jego uwagę.

- Nie chcę cię wykorzystać - powiedział, zaciskając zęby.

Zawracanie głowy. To jakim cudem znaleźli się na twardej, ciasnej sofie złączeni rozpalonymi ciałami? Ona wtulona biodrami w jego bliską wybuchu męskość.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz był w takim stanie. Od bardzo dawna w jego życiu istniały jedynie praca, problemy i ciasna koja na zatęchłej łodzi. Jego zmysły poszły na urlop, kiedy przekonał się, że Paula go zdradza. Potem nie miał już czasu na przygody erotyczne.

Z Marty nie chodziło tylko o seks. Chodziło o nią, o całokształt. A może nie zrozumiał sygnałów i ona wcale nie była nim zainteresowana? Cole w zupełnie niezrozumiały sposób poczuł jej bliskość, której pragnął bardziej niż cokolwiek innego. Seks z Marty Owens nie mógł się udać. Poza tym, że był jej pracownikiem, za bardzo ją lubił, szanował i nawet podziwiał. Może za bardzo starała się być niezależna, ale musiała mieć ku temu powody.

Marty - szepnęła, próbując wstać, ale z braku miejsca zsunęła się na podłogę. - Jeśli oczekujesz moich przeprosin, to przepraszam - wychrypiała. - Nie powinienem był...

Lepiej nic nie mów - przerwała ostrym głosem, omijając jego wzrok.

Cole spojrział na nią, szukając oznak pożądania, lecz żadnych nie dostrzegł. Może z wyjątkiem potarganych włosów i rozpiętego sweterka.

-Dziękuję, że mi pomogłeś - oświadczyła szorstko, wbijając zimne spojrzenie w coś, co znajdowało się za jego plecami. Dzikie, niestosowne fantazje przemknęły mu przez głowę, zanim zrozumiał, co miała na myśli.

-Nie ma sprawy. Następnym razem uprzedź mnie wcześniej, kiedy będziesz chciała wносить meble na górę.

- Zastanowię się, może dziś po południu.

Wygłądali teraz jak dwoje obcych ludzi rozmawiających o codziennych sprawach.

Cole ruszył schodami na górę, żeby dokończyć przerwana pracę. Co to on ostatnio robił? Zupełnie stracił zdolność koncentracji. Sytuację pogarszał fakt, że jej łóżko znajdowało się tuż za ścianą. Prawie na wyciągnięcie ręki. Wszędzie czuł zapach mydła, którego używała, stojąc rano nago pod prysznicem. Szlifierka czekała tam, gdzie ją zostawił. Znaczy, że wykańczał szafki kuchenne. Podniósł narzędzie i przypomniał sobie, że korzystanie z urządzeń elektrycznych, kiedy krew odpłynęła z mózgu w dolne partie ciała, może być bardzo niebezpieczne.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Marty z niechęcią wpatrywała się w brzydki bujany fotel, który był pierwszym i jedynym meblem, jaki sobie kiedykolwiek kupiła.

Boże, o mało... urwała myśl.

Przecież tego pragnęła. Po raz pierwszy od wielu lat miała ochotę zedrzeć z siebie ubranie i kochać się do upadłego.

Płonęła z namiętności. Drżała z pożądania. Nigdy dotychczas nie miały nią takie uczucia i emocje.

Weź głęboki wdech. Jeden, drugi, ochłoń i wracaj do rzeczywistości. Powoli emocje zaczęły opadać, co oznaczało, że potrafi nad sobą zapanować, jeśli tylko się postara.

Przemeblowanie rozpoczęła od wyjęcia szuflad. Przeciągnęła biurko przez salon do kuchni, kompletnie blokując lodówkę.

Rozcierając obolałe ręce, postanowiła, że później znajdzie na nie odpowiednie miejsce. Przecież to tylko mebel. Kiedy była dzieckiem nauczyła się ograniczać we wszystkim do minimum i stawiać przed sobą tylko realne cele. Przemeblowanie było osiągalnym celem. Ludzie często przestawiają meble. Jeśli nowe ustawienie się nie podoba, za-

wsze można wrócić do poprzedniego, czyli garażu zastawionego gigantycznymi półkami, salonu zablokowanego jedną z nich, nie wspominając już o tonie książek na górze, które z dnia na dzień coraz bardziej traciły na wartości.

I nawet nie próbuj myśleć o mężczyźnie na górze! - rzuciła ostrzeżenie pod własnym adresem.

Stół w kuchni okazał się znacznie lżejszy, niż się to mogło wydawać, kiedy zdjęła z niego książki, katalogi i górę korespondencji. Wciągnęła go do pomieszczenia gospodarczego i poukładała na nim krzesła. Będzie musiała to wszystko wystawiać, żeby się dostać do pralki, W tym momencie jednak była to jedyna konfiguracja, jaka przychodziła jej do głowy. Założyła ręce na biodra i zaczęła się zastanawiać, czy znalazła się już w punkcie, z którego nie było odwrotu. Jeśli jeszcze go nie przekroczyła, mogłaby zwolnić stolarza, jadać przy stole w pralni, myć talerze w toalecie i korzystać z lodówki na dole. Postępujące zadurzenie w Cole'u odebrało jej kompletnie umiejętność logicznego rozumowania. A on nie był nawet na tyle zainteresowany, żeby wykorzystać sytuację. - Taki już mój los - mruknęła pod nosem, wpatrując się tępym wzrokiem w stertę brudnych naczyń w zlewie. Jednak aby się do nich dostać, musiałaby przeskoczyć przez górę zagradzających drogę mebli. Na górze nadal było słychać odgłos pracującej szlifierki, przerywany z rzadka uderzeniami młotka, piłowaniem i padającymi od czasu do czasu przekleństwami.

Przechodząc przez pusty pokój, zaczęła się zastanawiać, dlaczego ani razu nie zszedł na dół, by sprawdzić, co ona robi. -Nie jesteś ciekaw? - burknęła, zerkając na zakurzoną klatkę schodową. - Czego się obawiasz? Że złapię cię, zedrę z ciebie ubranie i wykorzystam, zanim zdążysz zawołać o pomoc? Marne szanse - westchnęła, odpychając mającą w jej wyobraźni wizję.

Cole wyglądał właśnie szesnastą z kolei deskę, kiedy usłyszał na dole ruch. Zaklął pod nosem i odłożył hebel. Cokolwiek robiła, widocznie nie potrzebowała jego pomocy. Gdyby było inaczej, zawołałaby go.

Kusiło go, żeby pójść i sprawdzić, co ona tam wyrabia. W końcu zdecydował, że lepiej nie wtykać nosa w nie swoje sprawy. Nigdy nie potrafił zrozumieć kobiet i pewnie nigdy nie zrozumie. A Marty Owens była szczególną kobietą. Dokończył pracę, zamiótł wióry i kurz, po czym w końcu zszedł na dół. Pokój zastawiony był meblami. Prawie nie było gdzie stanąć. Powitała go u podnóża schodów.

Nie zrobiłam tego sama, pomógł mi sąsiad.

Czyś ty oszalała?! - wykrzyknął.

A jak myślisz? - spytała prowokacyjnie.

Ton jej głosu wydawał się podejrzenie zrównoważony. Oczy radośnie świeciły. Spojrzała na niego, wydymając triumfalnie mały, zaokrąglony podbródek.

-Chcesz usłyszeć, co myślę? Uważam, że przestraszyłaś się swoich decyzji i chciałaś znaleźć się w sytuacji, z której nie będziesz miała możliwości odwrotu.

-Nie jesteś psychologiem, tylko robotnikiem budowlanym!
Czy to śmiecie? Daj, wyniosę je - zażądała stanowczo, wy-
ciągając rękę.

Cole cofnął się o krok i obrzucił ją wzrokiem.

Zaraz pęknie z tej złości.

Dawaj torbę ze śmieciami!

Zawiąż sznurówkę, zanim się potkniesz - doradził jej, wrę-
czając wór.

Nie, ty idź! - zmieniła zdanie, wciskając mu śmiecie.

Jej zazwyczaj blada twarz płonęła czerwonym rumieńcem.

Miała zaróżowiony koniuszek nosa, a oczy... zaszły mgłą
pożądania.

Cole upuścił worek z odpadami budowlanymi, przeskoczył
przez stertę szuflad, wysypując ich zawartość, i chwycił ją w
ramiona.

Hej, wszystko w porządku. Nie płacz. Deszczowe dni ideal-
nie się nadają na robienie rzeczy, na które zazwyczaj nie ma
czasu, jak na przykład przestawianie mebli. Znałem kiedyś
dziewczynę...

Nie chcę nic wiedzieć o tej twojej przeklętej dziewczynie -
zaszłochała, wtulając nos w jego koszulę.

Brudny, zapyłony, przytulał ją mocno do siebie, starając się
uspokoić.

- Znowu to samo - załkała. - To już osiągnięcie.

Cole nie miał pojęcia, o co jej chodziło, więc tylko słuchał.

Jej włosy łaskotały go w brodę, a miękkie krągłości rozpal-
onego ciała przywarły cudownie do jego torsu.

Ta kobieta, bardziej niż którakolwiek inna potrzebo-

wała ciepła i czułości. Zdał sobie sprawę, że nie potrafiłby wziąć od niej grosza za pracę, którą dla niej wykonywał. To zajęcie było nagrodą i szczęściem samym w sobie.

Wszystko będzie dobrze, moje słoneczko. To był dobry pomysł.

Co w nim było dobrego?

Czując jej dłonie zaciśnięte na swoim pasku od dżinsów, instynktownie wciągnął powietrze. Dlaczego wyciąga jego koszulę ze spodni. Po co, czyżby chciała...

- Obiecuję, że wypiorę - wyszeptła, wycierając połami koszuli zapłakaną twarz. Nie wypuszczając jej z objęć, przekreślił delikatnie w bok biodra, aby ukryć entuzjastyczną reakcję swojego ciała. To było jak poddanie się próbie ognia. Wydał z siebie kilka nieartykułowanych dźwięków świadczących o tym, że całkowitą kontrolę przejęły zmysły.

Kiedy objęła go za szyję i przycisnęła się do niego całym ciałem, zamknął oczy i zaczął się modlić o cierpliwość i liłość. Zostanie świętym.

- Może... wyniosę śmieci, a ty znajdziesz miejsce, w którym moglibyśmy usiąść. Kiedy wrócę, zaparzę kawę i porozmawiamy o tym, co zamierzasz tu zrobić. Co ty na to?

Nie czekając na odpowiedź, delikatnie uwolnił się z jej objęć. Gdyby tego nie zrobił, prawdopodobnie rzuciłby się na nią i kochał z nią do utraty tchu na najbliższym skrawku wolnej powierzchni.

Cała drżąca wciągnęła ciężko powietrze i odsunęła się. Na jej twarzy pojawił się niejasny uśmiech, który przebił

się przez dawne rany i blizny, nasuwając mu różne, niespodziewane myśli. Nie tylko zresztą o seksie.

Złapał więc szybko wór ze śmieciami i uciekł na dwór.

Marty rzuciła poduszkę z sofy i wyjęła z szafy płaszcz.

Rozglądając się, obróciła się wokół własnej osi. Dostrzegła stary, brudny kapelusz przeciwdeszczowy. A że właśnie zaczynało padać, wcisnęła go na głowę, wzięła torebkę i wyszła na dwór. Najwyższy czas na spacer z Muttem.

Samochód odpalił dopiero za drugim razem. Cole wyszedł właśnie zza rogu domu, zawołał coś i zamachał rękoma, ale Marty udawa, że go nie widzi. Nie miała ochoty z nim teraz rozmawiać. Wycofała tyłem. Kiedy znalazła się na ulicy, pierwsze krople deszczu zaczęły uderzać w przednią szybę. Cole obserwował znikający za rogiem samochód. Miał ochotę ją gonić, ale gdyby potrzebowała jego opieki, powiedziałyby. Jeśli wybierała się na spacer z psem, powinna go uprzedzić, toby z nią poszedł. Czyżby zapomniała już o szarym mercedesie?

Wniosek był prosty. Nie potrzebowała go. Pokazała to już rano. Robiła, co chciała. Miała ochotę przewrócić dom do góry nogami, przestawiając meble, to po prostu robiła to. Co on wiedział o kobietach? Jego była żona, rozpuszczona córka robotnika budowlanego, który dzięki sprytowi zbil majątek, choć urodziła się w biedzie, szybko przywykła do luksusów. Matka Cole'a, Aurelia Stevens, była z kolei nauczycielką

gry na pianinie, która nigdy nie wyzbyła się marzenia o zostaniu wielką pianistką koncertową. Obserwował, jak się starała, rok po roku, dzień po dniu, patrząc tęsknie przez okno podczas prowadzonych w domu lekcji, kiedy znudzone dzieciaki profanowały jej ukochany fortepian.

Obaj z ojcem, który był stróżem i miał poważny problem z utrzymaniem pracy, ponieważ nadużywał alkoholu, oszczędzali przez lata, żeby kupić jej fortepian. Bardzo go dotknęło, kiedy Paula postanowiła kupić Steinwaya dla dekoracji. Nie potrafiła grać i nie lubiła muzyki klasycznej.

Jechać za nią? - zaczął się zastanawiać. W końcu wrócił do domu i zabrał się za wnoszenie na górę wszystkich mebli, które mógł unieść. Ustawił je w większej sypialni, która wkrótce miała przekształcić się w salon. Sofa musiała poczeekać na dole. Może, kiedy poprawi się pogoda, poprosi Boba Eda o pomoc w jej wniesieniu.

Następnie przystąpił do wykańczania drzwi szafek kuchennych. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że od wyjścia Marty minęły już dwie godziny. Na dworze padał deszcz, przechodzący momentami w grad. Obserwując przejeżdżające samochody, doszedł do wniosku, że jezdnie nie były zamrożone. Temperatura wahała się kilka stopni powyżej zera. Zanim wróciła Marty, wszystkie drzwiczki w dolnych szafkach były gotowe. Cole próbował zabrać się za szuflady, ale nic mu nie wychodziło. W jego głowie panował kompletny chaos. Nie mógł się skoncentrować. Nie powinno go in-

teresować, dokąd pojechała ani z kim się spotkała. Dlaczego w takim razie w głębi duszy czuł, że to jednak jego sprawa? Zszedł na dół dokładnie w momencie, kiedy otwierała drzwi. Do domu wpadł powiew zimnego, wilgotnego powietrza. Idąc do kuchni, strzepnęła mokry płaszcz i zdjęła najbrzydszy kapelusz, jaki w życiu widział.

Jeszcze tu jesteś? Myślałam, że ze względu na pogodę wyjdiesz dziś wcześniej. Gdzie się podziały wszystkie moje meble? - spytała ze zdziwieniem, rozglądając się powoli wokół.

Większość wniosłem na górę. Masz całkiem przemoczone buty, lepiej je zdejmij, zanim się przeziębisz.

Skostniałam z zimna. Na dworze jest lodowato.

Marty zadrżała i zaczęła rozcierać dłonie. Cole'owi uciekła z głowy cała przemowa, którą sobie przygotował na temat tego, że jest plan i należy się go trzymać, że nie wolno działać pochopnie i że nie powinna sama wychodzić, nie mówiąc mu, dokąd idzie i kiedy wróci.

Nie uwierzysz, jaki miałam okropny dzień - powiedziała, potrząsając głową. - Błagam, powiedz, że jest w dzbanku świeża kawa.

Która część dnia była taka okropna? - spytał, chrząkając. - Kiedy w twoim salonie na dole pojawił się pierwszy regał gigant czy...

Nie wracajmy już do tego - mruknęła. - Od rana nie miałam nic w ustach, więc lepiej się nie odzywaj. Kiedy jestem głodna, zachowuję się jak wściekły pies.

Na jego twarzy pojawił się delikatny cień uśmiechu.

- Daje się zauważyć.

Poszedł za nią do kuchni, z ciekawością oczekując, jak zareaguje na to, że podczas jej nieobecności przyciął i złożył prawie wszystkie półki. Czekał na pochwałę, zdał sobie sprawę, jak ważna jest dla niego jej aprobata. Na tym etapie nie mógł się już wycofać.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Cole, widząc zaskoczenie Marty, wyjaśnił, że martwił się o nią, dlatego postanowił zostać. W międzyczasie zdążył wykonać kilka dodatkowych prac.

Zrobiłeś aż tyle w dwie godziny?! - wykrzyknęła, zataczając krąg rękoma.

Raczej cztery. Gdybyś przyszła jeszcze trochę później, wszystkie byłyby gotowe.

Prawdę mówiąc, już dawno miał ochotę zacząć jej szukać.

Muddy Landing nie jest duże. Łamiąc wszelkie możliwe ograniczenia prędkości, objechałby je w niecałą godzinę. Ale przecież mogła pojechać dokądkolwiek. Chociażby do Chesapeake z tą swoją zwariowaną, rudą przyjaciółką. Delikatnie ujmując, czekanie na nią całkowicie wyprowadziło go z równowagi.

Marty bała się spojrzeć mu w oczy. Nie miała ochoty na awanturę. Wróciła kompletnie przemoczona i z wysiłkiem, opierając się o stół, zrzuciła mokre buty. Następnie, trzymając się za krzyż i pojękując cicho z bólu, schyliła się i zdjęła skarpetki. Jej stopy były fioletowo białe, a palce czerwone.

Byłaś z psem na spacerze - rzucił oskarżycielskim tonem. A co? Zobowiązałam się do dwóch spacerów dziennie. Pora nie była określona w umowie. Durne psisko uznało, że w deszczowe dni nie musi się słuchać, albo już zapomniało, czego je nauczyłeś - powiedziała.

Nie uczyłem Mutta, tylko ciebie!

No dobrze, moja вина, to ja zapomniałam - odparła, rzucając mu posępne spojrzenie.

Zanim zdążyła powiedzieć cokolwiek więcej, Cole chwycił ją w ramiona. Podtrzymując ją lewym kolaniem, włączył jedną ręką ekspres do kawy, po czym ruszył na górę.

Sama zaczęłaś cały ten bałagan - mruknął. - I kto teraz będzie winien, jeśli nie dotrzymasz terminu? Chcesz dostać zapalenia płuc?

Nie można rozchorować się na zapalenie płuc od mokrych stóp, tylko...

Od wirusów lub bakterii, wiem! Wiem też, że gorąca kąpiel, ciepłe ubranie i kawa nie zaszkodzą, a wręcz przeciwnie.

Masz whisky?

Gdyby jego propozycja nie była tak kusząca, a ona zmarznięta, pewnie jeszcze by się z nim podroczyła.

-Pod tosterem, to znaczy pod blatem, w szafce, na której stoi toster. Jest w karafce.

Na górze w łazience postawił ją na nogach i nakazał, żeby się rozbierała. Sam tymczasem zatkał wannę i odkręcił wodę, nastawiając wysoką temperaturę dla zabicia wszelkich drobnoustrojów.

-Pomóc ci? - spytał w końcu, kiedy przez dłuższą chwilę stała w bezruchu.

W zimnym pomieszczeniu zaparowało lustro. Marty zdjęła sweter i rzuciła go na podłogę. Podniósł go i przewiesił sobie przez ramię.

Czyżby był taki porządny? - zastanowiła się.

-Dodajesz coś do kąpeli? Kobiety zwykle coś dosypują lub wlewają.

Spojrzała na słój z solami. Idąc za jej wzrokiem, Cole sięgnął po pojemnik i zanim zdążyła go powstrzymać, wsypał do parującej wody pół jego zawartości.

Za dużo! - zaprotestowała.

Już za późno. Trzeba było mówić wcześniej.

Nie musiałeś się tak spieszyć! Poza tym zwalnim cię - zazgrzytała zębami.

Włóż do wanny, przyniosę ci coś do ubrania.

Nie słyszałeś? Zwalnim cię.

Nie ma sprawy, jak tylko skończę twoją nową kuchnię, zbięram narzędzia i już mnie nie ma.

Przestań być tak cholernie rozsądny!

-Rozbierz się w końcu i wejdź do wanny, dobrze?

Marty wzięła głęboki wdech, starając się nie wybuchnąć.

-Pomóc ci?

Nie, dziękuję, zrobiłeś już wystarczająco dużo - odpowiedziała sztywno.

No to wskakuj.

Jak wyjdiesz.

Stała zmarznięta, z gęsią skórą na całym ciele, nie

chcąc rozebrać się przy wpatrującym się w nią mężczyźnie. Może się nie wpatrywał, ale też nie wychodził, a ona nie miała ochoty...

Wanna napełniła się i Cole zakręcił wodę.

Słuchaj, staram ci się pomóc, ale ty mi nie ułatwiasz - powiedział głosem, w którym dało się słyszeć zniecierpliwienie.

To idź sobie, dokądkolwiek chcesz, zanim sama cię wyrzucę. Już otworzył usta, żeby jej coś odpowiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Pokręcił głową i wyszedł, zabierając jej sweter i pozostawiając za sobą dyskretny zapach wody kołońskiej i świeżo pilowanego drewna. Kiedy zniknął, błyskawicznie zrzuciła ubranie i wskoczyła do gorącej wody, która była cudowna. Zanurzyła się po szyję i westchnęła z rozkoszy. Już tak niewiele brakowało jej do szczęścia. Musi tylko uważać przy wychodzeniu, wanna będzie bardzo śliska.

Zamoczyła włosy i natarła szamponem. Zazwyczaj myła je pod prysznicem, ale dziś nie robiło jej to różnicy. Zamknęła oczy, bijąc się z myślami. Miała ochotę zejść na dół i zrobić mu awanturę, a jednocześnie pozostać w ciepłej, błogiej kąpieli. Kiedy znów otworzyła oczy, ujrzała Cole'a siedzącego na łazienkowym stołku. W ręku trzymał mały ręcznik.

-Gotowa do wytarcia twarzy?

Marty wyrwała mu ręcznik i wbiła w niego ostre spojrzenie.

Zwolniłam cię. Idź, dokąd chcesz. Po prostu wyjdź z mojego domu.

Opowiadałem ci, że kiedy byłem w liceum, w czasie wakacji pracowałem jako ratownik?

Super. Rzuć mi koło ratunkowe i wynoś się! - krzyknęła, zasłaniając rękoma piersi, gdyż woda w wannie była prawie przezroczysta. - Czego ty chcesz? No dobrze, jeśli tak bardzo ci zależy, mogę cię z powrotem przyjąć do pracy.

Woda w wannie, która już dawno wystygła, wydawała się teraz gorąca nie do wytrzymania.

Skończyłaś? Jeśli tak, to pomogę ci wyjść, żebyś się nie poślizgnęła. Powinienem był przeczytać informację na opakowaniu, zanim nawrzucałem tyle soli do wanny.

Nie zamierzasz wyjść, tak? - spytała zrezygnowanym głosem. Wiedziała, co i tak się za chwilę stanie i jakie będą tego konsekwencje. Żadne koło ratunkowe tu nie pomoże.

Zamoczyła ręcznik i owinęła się nim w biuście. Dłonią zasłoniła dolną część ciała i podała mu rękę. Gdyby się poślizgnęła i uderzyła w głowę, na pewno by utonęła. Przynajmniej miałyby nieszablonową stypę. Bufet ustawiony byłby na gigantycznych półkach, a zgromadzeni w salonie goście musieliby szukać dla siebie krzeseł, żeby usiąść i opowiadać sobie nawzajem, jak biednej Marty Owens odbiło i utopiła się w wannie.

Kiedy wychodziła, odwrócił głowę i otulił ją ręcznikiem kąpielowym. Drugim ręcznikiem przetarł jej delikatnie mokre włosy.

-Używasz suszarki?

Marty stała zawinięta w ręcznik i drżała. Bynajmniej nie z zimna. Była gorąca jak ogień. Zbyt blisko mężczyzny, którego namiętnie pożądała.

On tymczasem zaczął wycierać jej ramiona. Jego twarz była tak blisko, że widziała, jak rozszerzają się jego czarne źrenice. Wstrzymała oddech, on również. Powolnym ruchem objęła go za szyję. Zaslaniający nagie ciało ręcznik opadł. Marty musnęła go delikatnie ustami w szyję.

Pocałujesz mnie w końcu, czy nie? - wyszeptwała. Uniosła twarz, Cole przywarł namiętnie ustami do jej warg. Zaczął delikatnie pieścić jej piersi. Następnie jego ręce ześlizgnęły się niżej, na biodra, i przyciągnęły ją bliżej, wywołując falę niewymownego podniecenia i silną reakcję jego męskości, która kusząco przyciskała się do jej nagiego brzucha.

Łóżko? - wydusił.

Zaczekaj, mam paczuszkę...

Świetnie. Dużą, mam nadzieję?

Wziął ją na ręce i omijając stopy mebli, zaniósł do sypialni. Marty podziękowała opatrności, że w dzieciństwie nauczyła się zawsze schludnie składać pościel. Cole ściągnął narzutę i kołdrę i ułożył ją na łóżku. Leżąc, patrzyła, jak w pośpiechu zrzuca z siebie ubranie.

-Postaram się zrobić to powoli - powiedział zachrypłym głosem.

-Nie!

Wyciągnęła do niego ręce, ale on zamiast przyjąć jej zaproszenie, ukląkł obok niej i zaczął delikatnie całować jej

twarz. Ciężko oddychał, jego płonące z pożądania oczy mogłyby stopić stal. Poczwała, że traci zmysły. Cole powoli wsunął się na nią i przywarł do niej ciałem. Tracąc kontrolę, zaczęła odpływać w ocean rozkoszy, błagając o więcej i więcej...

Obudził ich dzwonek telefonu. Marty rzuciła ukradkowe spojrzenie na twarz leżącego obok niej Cole'a i zdała sobie sprawę, że patrzy na mężczyznę, którego kocha.

Aparat telefoniczny stał w jej starej sypialni za ścianą. Kiedy wyslizgnęła się z łóżka, żeby odebrać, przewrócił się na plecy i spojrzał na zegarek. Dochodziło wpół do piątej. Tylko rano czy wieczorem, zaczął się zastanawiać. Sądząc po tym, co było widać za oknem, było raczej późne popołudnie. Szaro, ale jeszcze nie całkiem ciemno.

Postanowił wstać, ale zabrakło mu energii.

-Jest cudowny. Mhm, dziś już dwa razy - usłyszał niechętny dochodzący zza ściany głos Marty. - Nie musisz, naprawdę. Podobało mi się.

Mnie też, pomyślał.

Musiał przysnąć, ponieważ nagle usłyszał dźwięk otwieranej szuflady. Usiadł niechętnie na łóżku i zapytał:

Jakiś problem?

Słucham? Nie, nic takiego.

Marty wyjęła komplet bielizny i sweter. Cole obserwował ją w lustrze.

- Masz ochotę wrócić jeszcze do łóżka?

Nie patrząc na niego, potrząsnęła przecząco głową.

Chcesz przenieść wszystkie półki do salonu?

Mhm - odparła.

Zapadł zmrok i zaczął padać śnieg. Stali w oknie i przyglądali się spadającym z nieba wielkim, białym płatkom. Cole obejmował ją ciasno ramieniem, jakby miał do tego święte prawo. Marty bardzo chciała w to wierzyć, ale była realistką. Niezależnie od zapisanego w konstytucji prawa, nie wszyscy ludzie byli równi. Szczególnie jeśli dotyczyło to seksu. Z Alanem było w łóżku... może nie tyle nudno, co monotennie. Z Beau na początku było nawet dość namiętnie, ale po kilku miesiącach wszystko się zmieniło. Jej były mąż pojawiał się i zniknął, a ona czuła się, jakby czekała na autobus, który i tak jej nie zabierze. Nigdy się nie skarżyła, ale bardzo jej brakowało seksu. Z Cole'em... Westchnęła głęboko.

Zapomniałam zupełnie o kolacji.

Masz coś w zamrażalniku? Obawiam się, że na mieście wszystko już dziś zamknięte.

Pół godziny później jedli pizzę i różne resztki, które znaleźli w lodówce. Kiedy skończyli, zabrali się za przenoszenie regałów do salonu. Wieczorem zadzwoniła Faylene, przypominając o imprezie urodzinowej Boba Eda, która miała się odbyć następnego dnia.

Marty stanęła w progu pokoju, przyglądając się swoim półkom, rozdarta pomiędzy obowiązkiem i chęcią natychmiastowego zaciągnięcia Cole'a do łóżka. Zaoferował się wprowadzić, że zniesie na dół wszystkie kartony z książkami, ale ona stwierdziła, że najpierw musi pomalować ściany i posprzątać.

Wrócili Halletowie. To oni dzwonili. Nie będę musiała więcej wyprowadzać Mutta.

Myślałam, że miało ich nie być jeszcze przez tydzień.

Wszyscy na statku się pochorowali, więc skrócili rejs. Wielkie rozczarowanie. Może pomogę ci wieszać kuchenne szafki? - spytała z uśmiechem.

A może ja skrócę dwa ostatnie regały? - odparował.

Stoi - zgodziła się i wyciągnęła dłoń.

Cole przybił uścisk. Trzymali się tak przez moment za ręce, w końcu on pierwszy cofnął dłoń.

-Zgoda - odparł łagodnie.

Widocznie nie tylko ona obawiała się przeznaczenia.

RRS

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Marty, czując na sobie brzemię dwukrotnie zamężnej, trzydziestosiedmioletniej kobiety, przebrała się po raz kolejny. W końcu zdecydowała się na różowy golf i brązowe spodnie. Skontrolowała swoje odbicie w lustrze i stwierdziła, że to musi wystarczyć. Łóżko zasłane było stertą ubrań, które kolejno przymierzała i odrzucała, a jej myśli zajęte były fantazjami na temat tego, co się wydarzyło zeszłego dnia i w nocy. Znów dwa razy!

Rankiem Cole pojechał do portu sprawdzić, czy wszystko w porządku na łodzi, oraz zabrać trochę czystych ubrań. Obudził ją warkot odjeżdżającego samochodu. Usiadła na łóżku i przez kilka minut przypominała sobie wszystkie gorące pocałunki, każdy jego dotyk i spełnienie.

To już koniec, pomyślała zdziwiona. Odjeżdża? O szóstej rano? Zaspianymi oczami nie mogła dojrzeć, która jest dokładnie godzina. Myśl, że mogłaby go już nigdy więcej nie ujrzeć, była przerażająca. Zmusiła się do wstania, wzięła prysznic i ubrała się. Życie toczyło się dalej. Właśnie malo-
wała rzesy, kiedy usłyszała samochód wjeżdżający na

podjazd. Skąd jej przyszło do głowy, żeby o siódmej dwadzieścia rano robić makijaż! Czyste szaleństwo.

Okazało się, że Cole w drodze powrotnej zatrzymał się przy sklepie i zrobił zakupy, które, jak stwierdziła, wystarczyłyby na wyżywienie armii wojska.

-Jesteś aż tak głodny?

Nic nie mówiąc, poruszył tylko brwiami i roześmiał się. Ani słowa o zeszłej nocy, o tym, że skradł jej serce, ciało i duszę. Przez cały dzień razem pracowali, robiąc tylko krótkie przerwy na zjedzenie kanapek. O piątej Marty poszła wziąć prysznic i przygotować się na przyjęcie urodzinowe Boba. Cole tymczasem wykańczał na dole ostatnie półki, rozsuwając je w taki sposób, aby można było swobodnie pomalować ściany. Kiedy usłyszał, że wyłączyła prysznic, wszedł na górę i zajrzał do sypialni.

Jakie obowiązują stroje?

Codzienne.

Doskonale, inaczej musiałbym jechać teraz do Virginia City i odebrać mój frak z przechowalni.

Biorąc prysznic, wesolo pogwizdywał. Następnie ogolił się i ubrał. Łącznie zabrało mu to wszystko o połowę mniej czasu niż jej podjęcie decyzji o stroju. Marty tymczasem stała przed lustrem i usiłowała ułożyć włosy. Kiedy zajrzał do niej, oferując pomoc, przepędziła go na dół, choć jej serce pragnęło zupełnie czego innego.

-Powinniśmy coś zabrać? Piwo, wino, jakieś jedzenie?!

- zawołał do niej z dołu.

Skąd. Obraziliby się. Jeden z klientów Boba ma browar, a drugi firmę cateringową specjalizującą się w potrawach z grilla.

Myślałem, że podadzą słynny gulasz z gęsi - mruknął, wciągając zapach szamponu, mydła i jaśminowego balsamu do ciała. Wydawało mu się, że wręcz uzależnił się od jej kokosowej pomadki.

To tylko część menu - uspokoiła go, Wkładając najcieplejszy płaszcz, jaki miała.

-Pięknie wyglądasz. Ślicznie ułożyłaś włosy.

Zawiązała je w niezbyt ciasny supeł i spięła grzebieniem. Z przodu wypuściła kilka podkręcających się pasemek. A teraz poczuła, że rumieniec oblewa jej twarz. Udając, że przegląda zawartość torebki, podziękowała mu za komplement.

Wczorajszy deszcz ze śniegiem pozostawił po sobie tylko mokre wspomnienie. Niebo na zachodzie przyozdobione było złoto-lawendowymi smugami. Na wschodzie w oddali jaśniał neon Hamburger Shanty, rozświetlając odpływające sztormowe chmury. Faylene zarzekała się, że na urodziny Boba zawsze jest udana pogoda.

Czym samochodem jedziemy? - spytała, starając się wybać, czy Cole zostanie u niej; na noc.

Moim, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Całą drogę do przystani jechali w milczeniu. Cole włączył tylko płytę z muzyką. Tym razem nie był to Chopin, lecz klasyczna muzyka gitarowa. W sytuacji, w której się

znajdowała, każda muzyka wydawałaby się jej romantyczna, nawet heavy metal.

Parking na przystani cały zastawiony był samochodami.

Czerwony kabriolet Sashy stał tuż przy kei. Pewnie przyjechała wcześniej, żeby pomóc w przygotowaniach.

Nie miałem pojęcia, że to taka wielka impreza - mruknął Cole, pomagając Marty wysiąść z trucka. Wziął ją pod rękę i ruszyli w kierunku odrapanego budynku, który służył za dom i biuro. Marty przytuliła się do jego ramienia.

Może na to nie wygląda, ale firma Boba cieszy się największą renomą w okolicy. Każdy z jego klientów uważa ją za swoje odkrycie. Taka urocza przystań na uboczu.

Przeskakiwali kałuże, trącąc się biodrami i ramionami. Cole uśmiechnął się do niej, a jej serce o mało nie wyskoczyło z piersi. To może być trudny wieczór. Wystarczy jedno spojrzenie Sashy i już będzie wiedziała, co się między nimi dzieje. Jej przyjaciółka potrafiła przeświecić jak promienie rentgena.

W budynku wszystkie okna płonęły rześkim światłem.:

Sądząc po odgłosach i zapachach, przyjęcie już się nieźle rozkręciło. Nagle Marty zauważyła znajomy samochód. Na moment zamarła.

-Czy mnie oczy nie mylą?

Przed nimi stał szary, starodawny mercedes.

-Czyżby przypadek? Nie wydaje mi się – mruknął i poszedł zobaczyć z bliska tablicę rejestracyjną. – Trzeba sprawdzić.

Marty wykorzystała sytuację i przytuliła się do niego, czując bijące od niego kojące ciepło.

Myślę, że niepotrzebnie wywołałam aferę. Gdyby było inaczej, na pewno nie ośmieliłby się tu przyjść.

Kiedy cię śledził, wcale się nie krył. Nie bał się też, że ktoś go zobaczy, kiedy parkował na podjeździe u twoich sąsiadów.

Odważny złoczyńca - starała się zaśmiać lekceważąco, ale nie wyszło jej to zbyt przekonująco. - Może to początkujący przestępca, dopiero się uczy fachu.

Przepraszam - usłyszeli nagle głos za plecami i odsunęli się, by zrobić miejsce mężczyźnie niosącemu misę z lodem. - O, Marty, moja żona pytała, kiedy zamierza pani otworzyć nową księgarnię?

Wyraz niepokoju natychmiast znikł z jej twarzy.

- Witaj, James. Mam nadzieję, że już niedługo.

Spojrzała znacząco na Cole'a i wyszeptwała:

- A myślałam, że będę musiała dać ogłoszenie, wysłać zaproszenia lub zamieścić w radio reklamę.

Kiedy weszli do środka, otoczył ich zewsząd gwarny i wesoły tłum gości. Marty prawie natychmiast zapomniała o prześladowcy i ogłoszeniach. Z głębi dobiegały dźwięki gitarowej muzyki przebijającej się przez śmiechy i setki rozmów.

Marty, jesteś ekspertem, powiedz temu ciemniakowi, że ten pisarz, Clive Cussler, od lat przyjeżdża tu nurkować.

Znam się na literaturze, a nie na nurkowaniu, ale rzeczywiście to prawda.

Przez szum rozmów przebił się ostry głos:

-Ziemniaki gotowe!

Jakiś damski dyszkant oznajmił:

-O rany, do garnka z gulaszem wpadł mi kolczyk!

W końcu pojawiła się Sasha i szepnęła Marty do ucha:

-Nie uwierzysz, mam nową, świetną partię dla Lily.

Spójrz, stoi tam i rozmawia z szeryfem.

Po chwili dołączyła Faylene.

-Co powiecie na Gusa i Cassie? Jej ogromny biust i jego piwny brzuch idealnie pasują. Wyobrażacie sobie ich razem?

Marty zachichotała.

-W głowie się nie mieści - stwierdziła Sasha.

Impreza coraz bardziej się rozkręcała, kilka osób wyszło na dwór zaczerpnąć świeżego powietrza. Między innymi przystojny mężczyzna w średnim wieku palący fajkę. Pewnie jakiś profesor, pomyślała. Nie wyglądał ani na myśliwego, ani na wędkarza, ale nigdy nie wiadomo. Obserwowała go przez moment, jak szedł keją, minął kilka samochodów, aż zatrzymał się... przy szarym mercedesie. Otworzył drzwi i zaczął czegoś w środku szukać. Niewiele myśląc, Marty rzuciła się za nim na dwór. Dopadła go, gdy zamykał samochód. W rękę trzymał coś, co przypominało woreczek z tytoniem.

- Stój - rozkazała.

Mężczyzna zatrzymał się, wpatrując się w nią. W zimnym, zielonkawym blasku lamp portowych mogłaby przysiąc, że zaczerwienił się na twarzy.

Pani Owens?

Śledził mnie pan? Chcę wiedzieć, dlaczego pojawia się pan zawsze tam gdzie ja? Nawet tu!

Czy ma pani siostrę?

Siostrę? - spytała zaskoczona. - Niech pan słucha. Dopóki nie dowiem się, o co tu chodzi, nie odpowiem na żadne pańskie pytanie!

Dzieliło ich tylko kilka kroków. Mężczyzna jednak nie wyglądał na groźnego. Gdyby się postarała, pewnie mogłaby mu nawet przyłożyć. Choć może lepiej tego nie sprawdzać. Jedyna jej wiedza dotycząca sztuk walk pochodziła z książek i z filmów z Jackiem Chanem.

Ja mam - odparł zrezygowany.

Co pan ma?

Siostrę. Nazywa się Marisa Owens. Mieszka pod Cul-pepper, na farmie Kenyon. Właściwie z farmy został już tylko dom i pusta stajnia. Powinna pani znać to miejsce.

Faktycznie. Znała. Beau zabrał ją tam raz zaraz po ślubie.

Jego matka przyjęła ją wtedy bardzo chłodno.

Pan jest...

Wujem Beau. Nazywam się James Merchison. Bardzo mi przykro, jeśli panią przestraszyłem. Nie miałem takiego zamiaru. Kiedy moja siostra się dowiedziała, że wybieram się w te strony, poprosiła, żebym panią odnalazł i sprawdził, czy ma pani jeszcze jakieś rzeczy, które Beau wyniósł z domu. Rozumie pani, pamiątki rodzinne. Chcielibyśmy je od pani odkupić.

Dlaczego po prostu nie przyszedł pan i nie zapytał?

-Wiem, powinienem był, ale nie wiedziałem, jak to zrobić. To takie żenujące, oskarżanie kogoś, kto należał kiedyś do rodziny, o... przyjmowanie ukradzionych rzeczy. Marty wzięła głęboki wdech i fuknęła ze złością. Mężczyzna faktycznie wyglądał na skruszonego i miała ochotę mu wybaczyć, ale najpierw powie mu, jakim ziółkiem był ten jego siostrzeniec.

-Wie pan, że ukradł nawet moją obrączkę? Nie chodzi o to, że była wartościowa. I na pewno nie była rodzinną pamiątką, razem ją wybieraliśmy. Powiedział, że zanieś ją do jubilera, żeby się upewnić, czy żaden z kamyków nie wypada. Oświadczył potem, że jubiler ją zgubił. Co do obrazów to podobno dała mu je matka, ponieważ nie miała na nie miejsca. Po około pięciu miesiącach znikły z naszego domu i nigdy ich więcej nie widziałam.

Kiedy Marty wyrzucała kolejne oskarżenia pod adresem swojego byłego męża, pojawił się Cole. Spojrzał na nią uważnie i wziął za rękę.

-Jakiś problem?

Marty przedstawiła sobie obu mężczyzn.

Kancelaria prawna Merchison, Saunders, Vessels and Wilson - dodał wuj.

Skoro jest pan prawnikiem, to zapewne pan wie, że moglibyśmy pana zaskarżyć - oświadczył spokojnym głosem Cole.

To osobista sprawa, wszystko wyjaśniłem już tej pani i przeprosiłem.

Rzeczywiście tak jest, rozumiem i już się nie gniewam

Na pana miejscu szukałabym Beau w kasynach w Atlantic City.

W trójkę wrócili na przyjęcie, w samą porę, żeby skosztować jeszcze gulaszu z gęsi, klusek, grillowanych mięs i ryb. Do tego podano szeroki wybór napojów alkoholowych od piwa po czystą wódkę. Cole poszedł posłuchać muzyków, a Marty odnalazła Faylene, żeby pochwalić jej nową fryzurę, tym razem skromniejszą, a la Farrah Fawcett.

-Jak nie ustaną te ciągle wiatry, to będę musiała ściąć się na jeża. Co myślisz o tym facecie od mercedesa dla Lily? Jest trochę wyższa, ale niektórzy mężczyźni lubią duże kobiety.

Wrócili do domu po północy. Od początku było jasne, że Cole będzie u niej nocował. Inaczej zaproponowałby, żeby pojechali osobno, dwoma samochodami. Marty powiesiła płaszcz i rozejrzała się po pomieszczeniu, które kiedyś było jej salonem.

- Nadal przeżywam wstrząs, kiedy widzę ten chaos. Zawsze byłam taką pedantką.

- Domyślam się - uśmiechnął się ze zrozumieniem. Zapadła krępująca cisza. Marty zdała sobie sprawę, że od tygodnia mieszka z mężczyzną. Razem jedzą, wyprowadzają psa na spacer i robią zakupy. Przedstawiła go swoim przyjaciołom, kilkakrotnie się, z nim pokłóciła i nawet go zwolniła. I kochała się z nim! Dlaczego w takim razie zachowuje się jak skończona idiotka? Cała drży. Czyżby bała się, że zaraz powie jej dobranoc i odjedzie na swoją łódź?

- Chcesz iść do łóżka czy nie? - wypaliła w końcu. - Ze mną. Jeśli wolisz, możesz spać na sofie. Spory tu bałagan ale mogę przynieść ci wygodną poduszkę i koc, i... Cole uciszył ją, przykładając palec do jej ust. Jego oczy śmiały się. Do niej czy z niej?

Na górze pomógł jej posprzątać porzucane na łóżku ubrania, a potem powoli zaczął ją rozbierać.

- Przepraszam, zepsułem ci fryzurę, ale tak też mi się podobasz.

Był tak blisko, że wyczuwała przez ubranie jego rozpalone ciało. Rozpiął jej spodnie.

Jego drżące dłonie zaczęły błądzić po jej ciele. Ich usta spotkały się w namiętym pocałunku, coraz głębszym i intensywniejszym.

Tak bardzo cię pragnę - wyszeptała zduszonym głosem.

Na pewno nie tak bardzo jak ja ciebie. Czekałem na to przez cały wieczór, cały dzień, cały tydzień.

Pierwszą rzeczą, jaką Marty zauważyła rano po otworzeniu oczu, była twarz Cole'a. Przyglądał jej się z wyrazem niepokoju, połączonym z dziwnym samozadowoleniem.

Jestem okropnie głodna. Wczoraj wieczorem przegapiłam deser.

Ja również. Ale najpierw chciałbym się upewnić, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli oświadczę ci coś ważnego nad bekonem i jajecznicą.

Serce jej zatrzepotało i na moment zamarło.

To zależy, co mi powiesz.

Jeśli wolisz, mogę to ewentualnie zrobić nad goframi, nawet mrożonymi.

Czy to dotyczy naszej umowy? - spytała, widząc znajomy błysk w jego oku.

W pewnym sensie - przytaknął. - Widzisz, byłbym zdecydowanie za jej przedłużeniem. Na pięćdziesiąt, a może więcej lat. Z prawem wyłączności.

Przez moment Marty udawała, że się zastanawia, choć serce śpiewało jej z radości. Przeżyła już oświadczyny z bukietem róż przy świetle księżycy i przy kolacji ze świecami we francuskiej restauracji. W obu przypadkach romantyzm nie przełożył się na życie. Teraz miała pewność, że będzie to coś do końca życia, nareszcie.

Jajka z bekonem wydają mi się rozsądnym rozwiązaniem - oznajmiła.

To oznacza „tak” czy „nie”?

Siedzieli na łóżku nadzy, przykryci tylko cienką kołdrą z żółtymi nadrukami.

Chcę usłyszeć, że potrafisz powiedzieć to słowo.

Masz na myśli słowo na k?

Marty roześmiała się, ponieważ oboje dokładnie wiedzieli, o jakie słowo chodzi.

-Kocham cię - wyszeptał.

Poczuła ścisk w gardle, a do oczu napłynęły jej łzy. Nie lubiła tracić kontroli nad emocjami. Co się stało z tą pragmatyczną, zrównoważoną zodiakalną Panną, która zawsze przestrzegała zasad i starała się omijać problemy?

-Wiesz, że niczego nie robię pod wpływem emocji, jestem na to zbyt praktyczna.

Cole uniósł brwi, a ona spuściła oczy.

Może to nie jest odpowiednie słowo, ale nie potrafię działać pod wpływem impulsu. Jest jeszcze wiele rzeczy, których o mnie nie wiesz, na przykład tego, że nigdy, no wiesz... nie postępuję pochopnie. Naprawdę.

Jasne. Z niczym nie będziemy się spieszyć. Najpierw poznamy się, ty opowiesz mi o swoich wadach, ja tobie o moich - uśmiechnął się szelmowsko.

Marty dała mu kuksańca w bok.

A może jeszcze raz mam powtórzyć? -Co?

Słowo na k.

Pokręciła przecząco głową. Znała różnicę pomiędzy kochaniem a zakochaniem. To pierwsze było trwałe, na zawsze. To drugie często było tylko iluzją. Wiedziała to z własnego doświadczenia.

Jak bardzo jesteś głodna? - zapytał.

Bardzo, bardzo, ale nie na jedzenie - odparła.

Nie musiał nic mówić, wszystko powiedziały za niego oczy.

-Marty, jesteś moja, Kocham cię.



Dixie
Browning
Mężczyzna
ze snu

Tytuł oryginału: Her Fifth Husband?



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Sasha zrobiła sobie przerwę. Ułożyła się na leżaku i zamknęła oczy, rozkoszując się ciepłem popołudniowego słońca i powiewem morskiej bryzy. Szum fal i dalekie odgłosy ulicy działały na nią kojąco jak cicha kołysanka.

Tylko pięć minut - przyrzekła sobie. Zamierzała jeszcze raz sprawdzić pomieszczenia, obejrzeć wyposażenie i uzupełnić listę niezbędnych sprzętów, a następnie odwiedzić biuro kolejnego klienta. Zawód projektantki wewnątrz nie zapewniał regularnej pensji ani wielkich dochodów, ale zostawiał sporo wolności i dawał możliwość swobodnego planowania czasu pracy.

Najczęściej urzędowała kancelarie adwokackie, gabinety lekarskie i siedziby agencji nieruchomości. Przed sezonem łątała budżet zleceniami od właścicieli domów wypoczynkowych na wybrzeżu. Najbardziej lubiła projektować wystrój świeżo wybudowanych, pustych jeszcze pomieszczeń. Wtedy wszystko zależało od niej, od pierwszej kreski do ostatecznego szlif, a wszelkie ograniczenia finansowe tylko pobudzały jej inwencję.

Przeciagnęła się i westchnęła błogo. Nie miała nawet siły, by otworzyć oczy. Od wspinania się po schodach na szpilkach bolały ją opuchnięte nogi, ale eleganckie czółenka tak cudownie wydłużały sylwetkę, że nie potrafiła się ich wyrzec nawet za cenę cierpienia. Dodawały kilkanaście centymetrów, co przy jej niskim wzroście miało niebagatelne znaczenie. W domu chodziła na bosaka i w workowatych łachach, ale do miasta wychodziła zawsze w pełnym makijażu, biżuterii i najmodniejszych ubraniach pochodzących przeważnie z sezonowych wyprzedaży. Wiele czasu spędzała przed lustrem, żeby doprowadzić swój wygląd do perfekcji. Nosiła długie, sztuczne paznokcie, rudym włosom nadawała szlachetny odcień cynamonowej herbaty i starannie upinała je przed każdym wyjściem, a piegi od słońca ukrywała pod warstwą pudru. Zawsze przecież mogła się natknąć na potencjalnego klienta. Koleżanki żartowały, że Kopciuszek spodziewa się spotkać księcia tuż za rogiem ulicy. Nie gniewała się na nie. W głębi duszy Sasha Combs Cassidy Boone Lasiter pozostała zwyczajną Sally June Parrish, córką ubogiego plantatora tytoniu, późniejszego kaznodziei. Nie stać jej było na odrzucanie nawet groszowych zleceń, takich jak obecne. Wykazanie się talentem przy urządzaniu pokoi dla gości w osiedlu Driftwinds mogło w przyszłości zapowocować poważniejszymi zleceniami. Dom z sześcioma pokojami, siedmioma łazienkami, dwiema saunami i basenem, nie wiado-

mo dlaczego zwany „chatką”, należał do rodziny Jamisonów. Właściciel mógł bez trudu sam doprowadzić go do stanu używalności, ale tuż przed sezonem zadzwonił nagle do Katie McIver, współpracującej z nim agentki nieruchomości, żeby znalazła kogoś, kto się tym zajmie. Cóż, zarabiał miliony, mógł sobie pozwolić na angażowanie dowolnej liczby osób. Ponieważ współpracowały już wcześniej, Katie natychmiast pomyślała o Sashy.

Projektantka już z pięć razy powtórzyła sobie, że koniec z lenistwem, ale nadal leżała i masowała skronie. Ból głowy od rana przybierał na sile, musiała więc podarować sobie jeszcze kilka chwil odpoczynku. Próbowwała odtworzyć w pamięci wszystkie zauważone usterki. W kuchni brakowało kilku naczyń, krzesła wymagały wymiany tapicerki, a barowe stołki wyglądały, jakby użyto ich w charakterze broni podczas bitwy. Narzuta na łóżku była poplamiona czerwonym winem i skotłowana, chociaż ekipa sprzątająca opuściła dom w ubiegłym tygodniu. Może ktoś odwołał pokojówkę do innych zajęć, zanim skończyła pracę... No i przydałoby się porządnie przewietrzyć. W całym domu śmierdziało dymem z papierosów.

Pewnie nie otworzyłaby oczu z własnej woli, ale przez zamknięte powieki poczuła, że jakiś cień na moment przysłonił słońce. Samolot? Ptak? Wokół nie było żywej duszy. Katie mówiła, że do najbliższego długiego weekendu z okazji Dnia Pamięci nikt tu nie przyjedzie. Może pelikan przeleciał nad tarasem? Za-

nim zbudowano osiedle, tą częścią wybrzeża władały niepodzielnie kraby, mewy, stado dzikich kucyków i kilka rodzin rybackich.

Sasha podniosła głowę i rozejrzała się po okolicy. Wokół panowała cisza i bezruch, nawet komar nie przeleciał. Nie dukały zresztą tej wiosny, wyjątkowo cieplej i suchej. Opadła z powrotem na leżak. Promienie popołudniowego słońca przeświecały czerwonym blaskiem przez zamknięte powieki, ale coś je znów na chwilę przesłoniło. Tym razem usłyszała również jakiś cichy szelest. Ponownie otworzyła oczy i próbowała ustalić źródło dźwięku. Serce waliło jej jak młotem. Usiłowała sobie wytłumaczyć, że pewnie Katie przyjechała ocenić postępy w pracy albo ekipa sprzątająca wróciła dokończyć porządki. Pojawienie się ludzi na parkingu mogłoby wyjaśnić przyczynę hałasu, ale nie cień na tarasie na pierwszym piętrze. Przypomniała sobie, że nie zamknęła za sobą drzwi.

- Jest tam kto? - zawołała. - Jeżeli tak, proszę mi nie przeszkadzać. Pracuję!

Odpowiedziała jej cisza. Wstała i zaczęła gorączkowo szukać bezpiecznej kryjówki oraz sposobu obrony przed ewentualnym napastnikiem. Domy w osiedlu Driftwinds posiadały system alarmowy, ale teraz, przed sezonem, był jeszcze wyłączony, a ona nie wiedziała, jak go uruchomić. W sytuacji zagrożenia nie było czasu na czytanie instrukcji.

Nie miała szans ani uciec, ani zwyciężyć w walce z przestępcą. Poczucie zagrożenia narastało z każdą

chwilą, a wraz z nim ból głowy. Ponownie spojrzała w dół na parking. Prócz jej własnego samochodu nie było żadnego innego. Na zewnętrznych schodach także nikogo nie dostrzegła. Prawie pewna, że uległa złudzeniu pod wpływem zmęczenia i złego samopoczucia, odwróciła się na pięcie, żeby wejść do domu.

Nagle serce skoczyło jej do gardła i zastygła w niewygodnej pozycji. Na tarasie sąsiedniej willi, zaledwie kilkanaście metrów dalej, stał mężczyzna i celował do niej. Z pistoletu czy z aparatu? Raczej to drugie. Odległość nie pozwalała rozpoznać przedmiotu w ręku nieznanego. Usiłowała znaleźć rozsądne wyjaśnienie jego obecności na tym pustkowiu. Przecież gdyby chciał ją zastrzelić, miał doskonałą okazję, gdy leżała bezbronna z zamkniętymi oczami.

Wysoki, barczysty człowiek mógł równie dobrze fotografować domy dla jakiejś agencji nieruchomości, jak i ukrywać się przed wymiarem sprawiedliwości. Rozbudzona wyobraźnia podpowiadała jednak najczarniejsze scenariusze. Sasha przypominała sobie historię o zbiegu, który ponad dwanaście lat umykał FBI. Urządzenie w ręku obcego mogło służyć na przykład do łamania szyfrów w sejfach. Szerokie ramiona i wysportowana sylwetka także sugerowały, że mógł być członkiem gangu...

No nie, nie powinna czytać tak dużo kryminałów do poduszki. Opanowała gonitwę myśli i spróbowała podsumować własną sytuację. Znajdowała się w opustoszałym osiedlu, oko w oko z nieznanym,

choć o tej porze nie powinno tu być nikogo. Zdecydowała się zawiadomić policję. Weszła do środka niespieszonym krokiem, żeby nie zdradzić się ze swoim strachem, odszukała telefon i wybrała automatyczne połączenie z komisariatem. Przez cały czas rzucała przez ramię ukradkowe spojrzenia na taras sąsiedniego domu.

Mówi Sasha Lasiter. Znajduję się na osiedlu Driftwinds w Kitty Hawk. Sąsiednia willa powinna być pusta, tymczasem na balkonie stoi jakiś człowiek i mierzy do mnie z pistoletu albo robi mi zdjęcia. Trudno z tej odległości stwierdzić, co trzyma w ręku, ale może to być broń. - Na wszelki wypadek przybrała przesadnie dramatyczny ton, żeby nie zlekceważono jej mel-dunku. I tak nie uniknęła niedyskretnych pytań.

Nie, nie wyszłam z kąpieli - zapewniła. - Nie jestem naga, ale nie mam pewności, czy to tylko aparat fotograficzny.

Jeszcze kilka razy musiała zapewnić, że jest trzeźwa i przy zdrowych zmysłach. Podała adres i poprosiła o przysłanie patrolu. Uświadomiła sobie, że nie zamknęła drzwi wejściowych. Rozsądek nie należał do najmocniejszych stron Sashy, podobnie jak odwaga.

Na wszelki wypadek udała się do kuchni, przejrzała zestaw noży, wybrała największy i rozejrzała się za bezpieczną kryjówką. Bała się wyjść z willi, mimo że od samochodu dzieliło ją tylko kilka kroków. Jej koleżankę niedawno zamordowano na parkingu, i to niedaleko stąd. Nawet gdyby zdołała

dopaść do auta i odjechać, przestępca mógł podążyć jej śladem. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, że projektowanie wnętrza może się okazać wielce ryzykownym zajęciem.

Kilka minut później na schodach sąsiedniej willi pojawił się dyżurny Mac Scarborough.

Ładnych rzeczy się dowiaduję, Jake. - Aż krztusił się ze śmiechu. - Zostałeś postrachem samotnych kobiet. Sąsiadka złożyła na ciebie doniesienie.

Cześć, Mac, skąd wiedziałeś, że to ja?

Widziałem nieopodal twój samochód.

Przykro mi, że wystraszyłem tę panią. Próbowałem ją zawołać, ale szybko, weszła do domu.

Jeżeli próbowałeś krzykiem uspokoić przerażoną niewiastę, to chyba wybrałeś nie najlepszy sposób - śmiał się dalej policjant.

- Podobno do niej celowałeś.

Tak, z aparatu. Na razie nie mogę ci powiedzieć, dla kogo pracuję, ale pewna kobieta podejrzewa męża o zdradę i zleciła mi zdobycie dowodów do sprawy rozwodowej. Facet jest znany w okolicy. Doszedłem do wniosku, że prędzej umówi się na schadzki w pustej willi, niż zaryzykuje wynajęcie pokoju w hotelu.

-I co? . - Na razie nic.

Mac Scarborough skończył szkołę zaledwie trzy lata wcześniej niż Tim, syn Jake'a Smitha, ale pomimo różnicy wieku detektyw i policjant przyjaźnili się.

-Co słyhać u Tima?

-Jak zwykle, wciąż na morzu. Szkoda, że zaciągnął się do marynarki, zamiast wstąpić do policji. Wymienili jeszcze kilka uwag o pracy i Mac zakończył rozmowę:

-Muszę już iść, obowiązki czekają. Po drodze zapukam do twojej sąsiadki i powiem, że nie ma się czego obawiać. Trzymaj się, pozdrów Tima i nie strasz więcej kobiet.

Zanim przyjaciele zdążyli się pożegnać, usłyszeli trzaśnięcie drzwi. Równocześnie przechylili się przez barierkę tarasu i zobaczyli kształtną, rudowłosą kobietę oddalającą się na wysokich obcasach w kierunku parkingu. Obserwowali, jak wsiała do samochodu i wyjechała na szosę.

Jake westchnął. Nie zdobył żadnych materiałów obciążających wiarołomnego męża. Będzie musiał wrócić następnego dnia. Jeżeli właściciel urządzał sobie tu schadzki, jak przypuszczała jego żona, nie zaryzykuje spotkania w nocy. Jedyne oświetlony dom w nie-zamieszkanym osiedlu za bardzo rzucałby się w oczy. Może zresztą nie na darmo spędził tu kilka jałowych godzin. Wyglądało na to, że rudowłosa na kogoś czekała. Kimkolwiek była, zwracała na siebie uwagę. Niższa i nieco pulchniejsza wersja Marilyn Monroe mogła przyprowadzić każdego mężczyznę o zawrót głowy. Z całą pewnością pani Jami-son nie wytrzymała porównania z pięknnością o miedzianych włosach. Z drugiej strony, gdyby miała coś na sumieniu, nie robiłaby

wokół siebie rozgłosu i nie wzywałaby policji. Zniechęcony Jake dał spokój bezowocnym rozważaniom. Ani klientka, ani jej adwokat nie uznają zdjęć samotnej kobiety, obojętne jak powabnej, za dowód zdrady. Nałożył okulary przeciwsłoneczne, schował aparat do bagażnika swojej starej terenówki i ruszył w drogę.

Jake naprawdę nazywał się John Smith. Miał czterdzieści cztery lata i własną agencję ochrony. Kilka lat wcześniej odszedł z policji, ponieważ musiał się zająć wychowywaniem syna. Skorzystał z tego, że jeden z najlepszych na świecie ośrodków kształcenia detektywów i pracowników ochrony Blackwater znajdował się w sąsiedniej miejscowości. Wybrał najmniej czasochłonny kurs dla detektywów i ukończył go z doskonałym wynikiem. Nadal jednak pozostawał w kontakcie z ludźmi szeryfa. W razie potrzeby wymieniali informacje i pomagali sobie w trudnych sytuacjach.

Wyjechał na obwodnicę i skierował się na północ. Droga do domu prowadziła na południe i zrobiło się już późno, mimo to podążył w ślad za czerwonym lexusem z pretensjonalną tablicą rejestracyjną, na której zamiast numerów widniało imię „Sasha”. Z samochodu zadzwonił do podwładnego, Hacka, i poprosił, żeby sprawdził, do kogo należy auto. Zanim dotarł do skrzyżowania, dziewiętnastoletni współpracownik podał mu adres właścicielki:

Jake próbował wymyślić logiczne uzasadnienie pościgu za samochodem nieznanego. Ponętna kobieta mogła, ale nie musiała spotykać się z Jamisonem. Je-

zeli się umówili, coś musiało go spłoszyć lub zatrzymać, skoro nie przybył na miejsce schadzki. To, że powszechnie znany obywatel wybrał na gniazdko potajemnej miłości własny letni dom, a nie jakieś publiczne miejsce, wydawało się oczywiste, chociaż również niezbyt rozsądne. Niejasna pozostawała tylko rola urodziwej nieznajomej. Mogła pracować dla jakiejś agencji nieruchomości lub oceniać stan lokalu na zlecenie przyszłego podnajemcy. Jake żałował, że nie poobserwował jej dłużej, zanim zaczął fotografować. W każdym razie powinien ją sprawdzić.

Bez trudu odnalazł maleńką osadę Muddy Landing, raczej wioskę niż miasteczko. Jeszcze szybciej trafił pod wskazany adres. Zaskoczył go trochę lawendowy, czy też wrzosowy kolor fasady. Jake za żadne skarby nie pomalowałby tak własnego domu. Właśnie rozpoczął od dawna odwlekany remont, lecz użył wyłącznie białej farby zarówno do odnowienia elewacji zewnętrznej, jak i w pomieszczeniach. Przez Manteo, gdzie mieszkał, położone sześćdziesiąt kilometrów na południe od Muddy Landing, przeszedł huragan. Musiał teraz zreperować zniszczony dach i dokonać innych, niezbędnych napraw.

Miejscowość sprawiała przyjemne wrażenie. Właściciele malowali domy na różne kolory, co tworzyło w cichej uliczce wesoły nastrój. W drodze do furtki przyjrzał się uważniej interesującej go posesji. Widać było, że właścicielka utrzymuje otoczenie w porządku. Znajome auto odcinało się jaskrawą plamą od ciemnej zieleni żywopłotu.

Jake nerwowo przeczesał ręką włosy. Nie wiedział, jak ma wyjaśnić swoje przybycie. „Pojechałem za tobą, bo wyglądasz na gorącą kobietkę” wydało mu się niezbyt stosownym powitaniem, chociaż odpowiadało prawdzie. Już sobie wyobrażał, jak rozsierdzona piękność zatrząskuje mu drzwi przed nosem i dzwoni na policję.

Dwukrotnie nacisnął guzik dzwonka. Nikt się nie pojawił. Już miał odejść, gdy nagle drzwi się otworzyły. Przedstawił się, ale nie zdążył powiedzieć, po co przyszedł, bo gospodyni przerwała mu gwałtownie:

-Proszę zostawić mnie w spokoju! Nikogo nie wzywałam, niczego nie potrzebuję i niczego nie kupię.

Jake zdążył wsunąć stopę pomiędzy drzwi i futrynę, ale zanim wyciągnął legitymację, kobieta nadepnęła mu z całej siły na palce. Z trudem złapał powietrze, a ostry ból promieniował w kierunku pachwiny.

Oto moje dokumenty. - Pokazał jej licencję detektywa i honorowy dyplom współpracownika policji. Ten ostatni nie dawał mu żadnych uprawnień, ale podsunąłby jej pod nos nawet kartkę z przepisem na ciasteczka swojej matki, gdyby uznał, że to w czymkolwiek pomoże.

Chciałem się tylko usprawiedliwić i przeprosić, że przestraszyłem panią w Drjftwinds.

Niewiele brakowało, żeby przetaił oczy ze zdumienia. Osoba, którą oglądał godzinę wcześniej w szpilkach, minispódniczce i obcisłej bluzeczce, stała przed nim na bosaka, z czerwonymi stopami, rozczochrana i z rozma-

zanym makijażem. Miała na sobie coś, co przypominało stary namiot wojskowy z demobilu. Tylko odurzający zapach jakichś egzotycznych perfum świadczył o tym, że dba o siebie, i niepokojąco pobudzał zmysły.

Już po tobie - wysyczała przez zaciśnięte zęby. -Dwa domy dalej mieszka dzielnicowy. Wystarczy, że zadzwonię.

Pożyczyć pani telefon? - spytał uprzejmie i sięgnął do kieszeni, chociaż zostawił komórkę na siedzeniu samochodu.

Daję panu trzydzieści sekund na przedstawienie sprawy.

Wcale nie wyglądała groźnie z cieniami do powiek rozmazanymi na pół twarzy. Jake miał tylko nadzieję, że fioletowe, czarne i niebieskie plamy pod oczami to nie sińce po rodzinnej awanturze. Włosy o barwie mahoni sterczały z jednej strony, z drugiej zwisała pozostałość po koku, jakby dopiero wstała z łóżka. Może spotykała się z Jamisonem we własnym domu?

Chyba niemożliwe, przynajmniej nie dzisiaj. Pachniała kusząco, ale raczej żadna kobieta nie pokazałaby się kochankowi odziana w bezkształtny worek i skrajnie zaniedbana. Niemniej każdy normalny mężczyzna miałby ochotę zaciągnąć ją do łóżka, nawet w tak oplakany stan, a przynajmniej dotknąć gładkiej, jedwabistej skóry. Zauważył zieloną barwę oczu.

Zdziwił się. Wcześniej wydawały mu się niebieskie, ale odległość i tempo wydarzeń utrudniały dokładniejszą obserwację.

Proszę cofnąć stopę - zażądała.

Pani Lasiter, chciałbym zapewnić, że...

Skąd pan zna moje nazwisko?

Jake oprzytomniał. Nieważne, że pachniała jak afrodyzjak, że oczami wyobraźni widział ponętne kształty pod workowatą podomką. Przybył tu w określonym celu i winien jej być wyjaśnienie.

-Musiałem ustalić pani dane. Przebywałem w sąsiednim domu służbowo, jako detektyw, i przykro mi, że panią przestraszyłem. - Starał się mówić spokojnie, łagodnym głosem, mimo że czuł się jak lis schwyty w pułapkę. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że nie zmiażdżyła mu kości stopy.

Kimkolwiek jesteś, panie Smith, nie potrzebuję twojego towarzystwa ani przeprosin - myślała Sasha. Nie potrzebowała zresztą niczego, prócz spokoju. Chociaż w Driftwinds uznała go za mężczyznę godnego zainteresowania i podziwiła świetną, wysportowaną sylwetkę, w tej chwili marzyła tylko o tym, żeby się położyć. Pomimo trzech tabletek migrena dokuczała jej coraz bardziej. Nie miała nawet siły, żeby zmyć makijaż. Zaraz po powrocie do domu legła na kanapie i położyła sobie na czole zimny okład z torebki mrożonego groszku.

-Musiałem się przedstawić, bo przypuszczam, że jeszcze się zobaczymy, jeszcze nie wykonałem zadania i muszę jutro wrócić w do willi, a chciałbym uniknąć kolejnych nieporozumień. Sasha przyjrzała się intruzowi nieco uważniej. Do-

legliwości nie ustępowały, ale ciekawość zwyciężyła. Zauważyła opaleniznę, zmarszczki od śmiechu w kącikach ust, zaczątek siwizny we włosach, ślad zarostu na policzkach i dołeczek w podbródku. Mimo niezbyt regularnych rysów twarzy oceniła jego powierzchowność jako bardzo przyjemną. Uznała, że osiągnął wiek dojrzały, w którym mężczyźni albo błyskawicznie się starzeją, albo zyskują na atrakcyjności, tak jak ten.

- Mnie też pozostało co nieco do zrobienia - odparła już znacznie uprzejmiej.

Jake cofnął nogę. Nawet nie poczekała, aż się odwróci, i natychmiast zatrzęsnęła drzwiami.

RRS

ROZDZIAŁ DRUGI

Jake zatrzymał się przed budką z jedzeniem. Kazał sobie zapakować jakieś gotowe danie, włączył płytę CD i ruszył w dalszą drogę. Wolał się nie pozywiać w trakcie prowadzenia samochodu. I bez tego miał trudności z koncentracją, bo cały czas myślał o nowej znajomej. Nazwisko Sasha Lasiter brzmiało egzotycznie, prawie jak pseudonim. Na tarasie miała na sobie obcisłą, krótką spódnicę i coś, co przypominało bardziej stanik niż bluzkę, a chociaż później oglądał ją w wyjątkowo szkaradnej szmacie, nie mógł zapomnieć ponętnych kształtów. O takich kobietach mówi się, że są zbudowane jak klepsydra. Prawdziwa rzadkość.

Zapach pieczeni przyjemnie drażnił nozdrza, lecz Jake obawiał się, że kolacja nie zaspokoi jego apetytu. Od czasu gdy został sam i musiał się poświęcić wychowaniu syna, zapomniał o płci przeciwnej. Dopiero wdzięki rudowłosej przypomniały mu, co stracił przez te lata samotności.

Jego małżeństwo z Rosemary trwało siedem lat. Chodzili razem do szkoły, pobrali się tydzień po maturze, siedem miesięcy później na świat przyszedł

Tim. Rosemary zdobyła lokalne mistrzostwo w trójboju i marzyła o laurach olimpijskich, ale po ślubie bez żalu rozstała się ze sportem i zajęła rodziną. Zabił ją pijany kierowca na skrzyżowaniu. Jake z trudem wiązał koniec z końcem. Połowę domu - bliźniaka - przeznaczył pod wynajem, a sam przeniósł się wraz z synem do drugiej części, gdzie mieściło się biuro. Zdawało mu się, że od tego czasu minęły całe wieki. Gdyby nie fotografie, nie pamiętałby nawet, jak wyglądała jego zmarła żona. Siebie z tamtych czasów też ledwo poznawał. Pewne siebie, zadowolone oblicza młodych małżonków z albumu nie miały nic wspólnego z ich późniejszym życiem. Wtedy patrzyli w przyszłość z nadzieją. Kilka lat później pijany szalaniec położył kres ich szczęściu. Jake przechowywał też zdjęcia domku, który zbudował dla synka na drzewie, oraz pierwszej poważnej inwestycji - używanego samochodu, starego grata, z którego byli bardzo dumni. Przez ponad dwanaście lat żył wspomnieniami, które wbrew jego woli bladły z każdym rokiem.

Wchodząc do pustego domu, ominął stertę ubrań roboczych i dwie drabiny w przedpokoju. Starzeję się - pomyślał. Dziwne, ale właśnie teraz, wyczerpany i z bolącą stopą, poczuł się tak, jakby nagle ubyło mu kilka lat.

Sashę obudziły pierwsze promienie porannego słońca. Nie otwierała oczu, wołała trochę poczekać i sprawdzić, czy ból głowy nie wróci. Wspominała wczorajszy

wypoczynek na tarasie, niepokojącą grę światła i cienia pod zamkniętymi powiekami i wreszcie pomyślne zakończenie całej przygody.

Sięgnęła pamięcią jeszcze dalej, do czasów dzieciństwa. Nie należała do szczęśliwych. Ojciec nie szczędził razów, używał pięści do rozstrzygania konfliktów nawet wówczas, gdy poświęcił się religii. Jakże inny był tutejszy ksiądz! Dbał o parafian, organizował nawet kolacje na cele dobroczynne, na których spotykała się cała miejscowa społeczność. Sasha i jej koleżanki korzystały z tych spotkań, żeby zabawiać się w kojarzenie par. Ostatnio Daisy wyszła za mąż i przeniosła się do Oklahomy. Marty też ułożyła sobie życie od nowa, ale pozostała na miejscu. Tylko Lily, która kilka lat temu wprowadziła się do Muddy Landing i pracowała jako doradca podatkowy, nie miała nikogo. Przez jakiś czas spotykała się z pewnym marynarzem, ale kiedy oblubieniec odpłynął w siną dal, została znowu sama.

Faylene sprzątała u trzech przyjaciółek i okazała się nieocenionym członkiem nieformalnego zrzeszenia swatek. Twierdziła, że Lily co tydzień dostaje listy z Kalifornii i natychmiast chowa je do szuflady w sypialni. Chyba nie miłosne, bo pisane ołówkiem na zwykłym papierze w linie. Może ma dziecko w innym mieście albo jakiś bratanek czy inny kuzyn pozostaje z nią w kontakcie? To ostatnie wyjaśnienie wydawało się mało prawdopodobne. Kto z młodego pokolenia zaprzęta sobie głowę prowadzeniem korespondencji? Siostrzeńcy Sashy

ledwie raczyli skrobnąć podpis pod kartkami, które ich matki wysyłały na Boże Narodzenie.

Przypomniała sobie, że powinna się skontaktować z Katie.

Powinna się też dowiedzieć, czy na nowym osiedlu na wydmach coś się buduje. Przydałyby się nowe zlecenia.

Ból całkowicie ustąpił. Wstała, pogimnastykowała się i weszła pod prysznic. Wróciła myślami do wydarzeń poprzedniego dnia. Jeżeli Jake Smith okaże się wolny, warto wciągnąć go na listę ewentualnych kandydatów. W każdym razie nie zajmował się działalnością przestępczą. Zanim opuściła Driftwinds, widziała, jak gawędził na tarasie z policjantem. A potem nie poszedł do więzienia, tylko odnalazł ją i przyjechał przeprosić. W dodatku zapowiedział, że wróci, żeby wykonać powierzone zadanie. Wspominał, że pracuje w resorcie bezpieczeństwa czy też zajmuje się ochroną - nie słuchała jego wyjaśnień zbyt uważnie. Może instalował nowy system alarmowy albo sprawdzał lub naprawiał stary? Ona sama nieustannie miała kłopoty z wszelkimi nowościami technicznymi. Obsługiwała komputer, bo musiała, ale nie wiedziała, na jakich zasadach ta maszyna funkcjonuje. Jeśli konieczność wymagała włączenia lub wyłączenia systemu alarmowego w domu klienta, najpierw długo czytała instrukcję, później wykonywała krok po kroku zalecane czynności, a w końcu i tak przeważnie się okazywało, że popełniła jakiś błąd i musiała prosić o pomoc. Jeżeli Jake radzi sobie z tak skomplikowaną aparaturą, musi

być wyjątkowo inteligentny. Na pewno znajdzie z Lily wspólny język.

Sasha nałała na rękę kokosowy szampon i rozprowadziła go po gęstych lokach. Strumienie gorącej wody usuwały napięcie mięśni i dawały przyjemne odprężenie. Po kąpieli natarła ciało wonnym balsamem, włożyła żółtą bluzkę, zwiewną kamizelkę i spódnicę, nieco już przyciasną. Przytyła trochę, ale na szczęście nie w talii. Skutki łakomstwa zawsze przydawały jej centymetrów jedynie w okolicy bioder. Sto lat temu mogłaby uchodzić za ideał urody, ale nie teraz, w epoce wychudłych piękności z silikonowymi biustami. Ona sama również nie zawahałaby się przed dokonaniem korekty figury w gabinecie chirurga, ale nie mogła sobie pozwolić na taki wydatek. Nie pozostawało)t) nic innego, jak przestrzegać diety i regularnie kontrolować wagę ciała. Wypracowała sobie własny, indywidualny styl, który podkreślał jej walory i odwracał uwagę od mankamentów. Była pewna, że udało jej się stworzyć gustowny, a równocześnie niebanalny wizerunek. Jednym słowem, oceniała samą siebie jako kobietę z klasą

Zanim zjadła śniadanie, zrobiło się gorąco. Opuściła dach samochodu, który zafundowała sobie na trzydzieste piąte urodziny. }}la ochrony przed słońcem włożyła kapelusz, ale nie zawiązała wstążek. Przypomniała sobie, że znana tancerka zginęła, gdy szal wkręcił się w koła rozpędanego pojazdu. Jej groziła najwyżej utrata nakrycia głowy.

Zatrzymała się przed przydrożną kawiarenką w nadziei, że uderzeniowa dawka kofeiny zapobiegnie nawrotowi migreny. Kilka minut później znalazła się na parkingu przed willą Jamisonów. Przed sąsiednim budynkiem nie stał żaden samochód. Udawała przed sobą, że nie czuje rozczarowania. Na podstawie swojej wiedzy o mężczyznach, a doświadczenia jej nie brakowało, mogła się domyślać, że nowy znajomy jeszcze śpi. Ona zaliczała się do „skowronków” zrywających się zawsze przed świtem. Natomiast każdy z jej czterech byłych mężów najchętniej wylegiwałby się do południa, gdyby nie zdzierała z niego kołdry.

Frank od urodzenia był patentowanym leniem, Barry pracował po nocach, Rusty bałował do białego rana, przeważnie bez niej, a za dnia odsypiał zaległości. Nie mogła sobie przypomnieć, jakiej wymówki używał jej pierwszy mąż, żeby wykręcić się od porannego wstawania. Pobrali się tydzień przed jej dziewiętnastymi urodzinami pod wpływem chwilowej fascynacji po długim, szalonym weekendzie. W każdym razie żaden z jej życiowych partnerów nie zasługiwał na miano pracowitego czy choćby obowiązkowego. Nawet ojciec, rudy, piegowaty Addler Parrish, wolał sprzedać farmę i poświęcić się głoszeniu słowa Bożego, ponieważ to zajęcie wymagało znacznie mniejszego nakładu pracy niż uprawa roli. Nie osiągnął oszłamiających sukcesów, lecz zyskał sporo czasu, żeby strofować i karać nieposłuszne potomstwo. Najczęś-

ciej obrywało się Sashy, wtedy jeszcze Sally June Parrish. Od najmłodszych lat miała duszę buntowniczką. Przemęczoną, zastraszoną matkę brakowało sił i odwagi, żeby bronić dzieci przed pięściami i pasem brutalnego męża.

Sally June wyprowadziła się z domu, gdy tylko znalazła posadę w salonie wystawowym dużej fabryki mebli. Prowadziła biuro, trochę pomagała w magazynie, a równocześnie kończyła szkołę średnią w systemie wieczorowym. Pracodawca docenił jej zdolności i wkrótce wraz z nim przystąpiła do Międzynarodowego Stowarzyszenia Handlu Meblami.

Miała już wtedy męża. Nazywał się Larry Combs i nie zagrał miejsca w żadnej firmie dłużej niż kilka miesięcy. Twierdził, że żadne z zajmowanych stanowisk nie odpowiadało jego kwalifikacjom. W rzeczywistości brakowało mu jedynie chęci do pracy. Drugi, dowcipny i przystojny, okazał się zwykłym oszustem. Rozczarowana dwoma nieudanymi związkami, z których żaden nie przetrwał nawet roku, Sally wyjechała z Greensboro na wschód i zmieniła imię. Znużona włóceniem się po sądach pozostała w końcu przy nazwisku czwartego męża, także i z tego powodu, że ładnie się komponowało z imieniem Sasha.

Trzydzieści lat temu kupiła dom w zapadłej mieścinie Muddy Landing, głównie z powodu śmiesznie niskiej ceny. Decyzja okazała się strzałem w dziesiątkę. Od centrum handlowego w Norfolk dzieliła ją zaledwie godzina jazdy. Wkrótce ta część wybrzeża stała

się bardzo modna, ceny nieruchomości poszły w górę, a nowe inwestycje wyrastały jak grzyby po deszczu. Całe miasteczko oraz okoliczne wioski zamieniły się w jeden wielki plac budowy. Otrzymywała mnóstwo zleceń.

Skończyła trzydzieści osiem lat, chociaż przyznawała się do trzydziestu pięciu, i coraz bardziej dokuczała jej samotność. Za każdym razem, kiedy się zaręczała, łudziła się, że wreszcie spotkała swojego księcia z bajki. I nieodmiennie wiązała się z życiowymi nieudacznikami, którym przy całym zamięłowaniu do blichtru nie starczało determinacji, żeby własnymi rękami zapracować na lepszy standard życia. W rozmowach z przyjaciółkami Sasha wspominała czasem pół żartem, pół serio, że rozgląda się za kolejnym towarzyszem życia. W rzeczywistości jednak nie czuła się na to gotowa. Po cichu przyznawała, że zanim zacznie poszukiwania, powinna ukazać światu prawdziwą twarz: zmyć makijaż, pozwolić odrosnąć naturalnym, niefarbowanym włosom i schować do lamusa kilogramy biżuterii. Posiedziała jeszcze kilka minut w samochodzie, rozkoszując się ciepłem i ciszą wiosennego poranka. Za tydzień zaroi się tu od aut i wczasowiczów. Czekają ją niewiele pracy, powinna uporać się ze wszystkim w ciągu godziny. Wyłączyła system alarmowy i otworzyła na oścież drzwi wejściowe i drugie prowadzące na taras, bo w całym domu ciągle utrzymywał się swąd dymu z papierosów.

Jeszcze raz przejrzała listę sporządzoną poprzedniego dnia. Zniszczone stołki już wymieniono na nowe, więc je wykreśliła. Upewniła się, czy nie zapomniała o niczym, co wymagało naprawy lub uzupełnienia, i wyszła na taras, nie tylko po to, żeby odetchnąć świeżym powietrzem i nacieszyć oczy widokiem oceanu. Tym razem zerkała przeważnie w stronę sąsiedniej posesji. Wmawiała sobie, że nie za bardzo ją obchodzi, czy Jake się pojawi, i że nie martwi jej brak samochodu na parkingu. No, może troszeczkę. Wraz z przyjaciółkami wciąż szukały odpowiedniego partnera dla Lily Sullivan, pięknej blondynki o smutnych oczach. Faylene sprzątała u niej co kilka dni i mówiła, że w ogóle nie prowadzi życia towarzyskiego. Potrafiła wywnioskować z zawartości kosza na śmieci więcej niż wyszkolony agent CIA.

Mimo niedostatku kawalerów dwie przyjaciółki Sashy stanęły ostatnio na ślubnym kobiercu. Daisy poznała Kella Magee, kiedy przyjechał z wizytą do krewnych. Marty wyszła za stolarza, którego najęła do pracy przy remoncie domu. Sasha musiała sobie dwa razy powtórzyć, że wcale im nie zazdrości. Postanowiła porzucić wreszcie bezowocne rozważania i zabrać się do pracy. Obróciła się gwałtownie na pięcie. Cieniutki, wysoki .Ohas wbił się w szparę między deskami. Próbując utrzymać równowagę, oparła się o leżak, ale złośliwy mebel odjechał na drugą stronę balkonu i wylądowała na podłodze. Zdążyła tylko wyciągnąć ręce przed siebie. Poczuła ból w lewej no-

dze. Złapała się za kostkę i szarpnęła mocno, próbując uwolnić się z potrzasku. Bez skutku.

- Pomocy! - krzyknęła. - Do licha, do diabła, cholera jasna! Kunsztowną wiązaną przekleństw wyrzuciła z siebie na widok strzępów różowego zamszu wokół zaklinowanego obcasa. Pantofelki kosztowały fortunę i były okropnie niewygodne, ale męczyła się na szpilkach, bo dodawały jej dwanaście centymetrów i pięknie wysmuklały nogi. Od kiedy dowiedziała się, że rude kobiety powinny się wystrzegać różu, z wrodzonej przekory zawsze nosiła coś w tym kolorze, chociażby dodatki. Drżącymi rękami rozpięła pasek i dopiero wtedy zauważyła, że jej kostka rozmiarami przypomina baleron. W dodatku złamała trzy paznokcie i nawbiła sobie drzazg w dłoń. Nie miała pojęcia, jakich środków używa się do zabezpieczania drewna przed robactwem. Może arszeniku? Pomyślała, że nawet jeśli się nie otruje, na pewno dostanie zakażenia. Z trudem rozpięła złotą bransoletkę na opuchniętej nodze. Przeraziła się, że będzie musiała spędzić na słońcu nie wiadomo ile godzin. Zanim ktoś ją znajdzie, twarz zrobi się czerwona, skóra popęka, a mewy napaskudzą jej na głowę. Oczywiście zostawiła torebkę w pokoju. „Miała nadzieję, że pod numerem 911 dyżuruje inny funkcjonariusz niż wczoraj. Łzy spływały wraz z tuszem i cieniami do powiek prosto na nowiutką bluzkę. Rozpięła drugi but i odrzuciła najdalej, jak potrafiła.

Bez pary stał się bezużyteczny. Uklękła i spróbowała wstać.

Nagle usłyszała za sobą kroki i znajomy głos:

-Co się pani stało?

Jake Smith znów miał okazję obejrzeć ją w oplakanym stanie, w sensie jak najbardziej dosłownym.

-Mógłby mi pan pomóc? - poprosiła słabym głosem.

W drodze do szpitala przysięgła sobie, że zacznie się ubierać do pracy w bardziej praktyczny sposób. No i że skończy raz na zawsze z pączkami, knedlami i innymi łakociami, jednym słowem - ze wszystkim, co w ogóle warte jest zjedzenia.

Jake zaniósł ją do samochodu, chociaż upierała się, że pójdzie sama, i prosiła, żeby ją tylko podtrzymawał. Gdy znalazła się w jego silnych ramionach, zakręciło jej się w głowie. Już nie z bólu i strachu, tylko z powodu nieoczekiwanej bliskości i ciepła silnego, męskiego ciała. Pachniał wspaniale: świeżością, mydłem i czymś jeszcze, nieuchwytnym, lecz zniewalającym. Zapomniała nawet, jakie trzecie postanowienie powzięła. Zdało się, że miała pozostać twarda i obojętna wobec płci przeciwnej. Łatwiej powiedzieć, niż wykonać. Prawie omdlewała w jego objęciach. Jake umieścił ją na siedzeniu, unieruchomił chorą stopę za pomocą kawałka plastiku i zrolowanej koszuli i sięgnął po pas, żeby ją przypiąć.

Mogę to sama zrobić - zaprotestowała.

Ależ proszę bardzo - rzucił oschłym tonem.

Nie rozumiała, czemu się rozzłościł. W końcu to ona miała opuchniętą stopę, masę drzazg pod skórą, uczulenie na antybiotyki i zerową odporność na ból. Fatalnie znosiła jakiegokolwiek dolegliwości.

Jake jechał szybko, ale ostrożnie, zwalniał przed każdym skrzyżowaniem.

Dobrze się pani czuje? - spytał, chyba tylko z grzeczności, raczej mimochodem. W rzeczywistości koncentrował się wyłącznie na prowadzeniu pojazdu.

Skąd, potwornie cierpię - jęknęła jak małe dziecko. Może powinna wykazać więcej opanowania, ale nie widziała powodu, żeby udawać bohaterkę. W końcu cóż miała do stracenia?

Godność?

Za kilka minut będziemy na miejscu - uspokajał Jake. - O tej porze na pewno jeszcze nie ma kolejek. Prześwietlą pani nogę, opatrzą i dadzą jakiś środek przeciwbólowy.

Nagle zauważył, że jedną ręką przytrzymuje sobie drugą, nie naturalnie skreconą.

-Co z pani dłonią? - zapytał ze współczuciem.

Sasha nie odpowiedziała. Nie znosiła, gdy ktoś się nad nią litował. Już w latach szkolnych po kryjomu pudrowała twarz, ukrywając siniaki po ciosach ojca, żeby nikt jej nie żałował. Narażała się na kolejne razy za nieobyczajne zachowanie, ale wolała to niż niedyskretne pytania i litość:

Jake zaparkował przed szpitalem i kazał jej poczekać, aż przywodzi wózek. Pierwszy raz w życiu

znalazła się w takim miejscu i nie wiedziała, jak się zachować. Dziękuję, nie potrzeba - zaprotestowała bez przekonania.

No to proszę mnie złapać za szyję. - Obszedł samochód dookoła i wziął ją na ręce.

Nie myślała już o bólu. Ciepło jego krzepkiego ciała i cudowny, świeży zapach podziałały jak znieczulenie. A raczej jak narkotyk.

-Musi pani wypełnić sporo dokumentów - poinformował rzeczowo. - To trochę potrwa, ale może uda mi się coś przyspieszyć.

Kobieta z rejestracji i wszyscy pacjenci w poczekalni odwrócili głowy w ich kierunku. Zawstydziała się.

- Proszę mnie postawić na ziemi - poprosiła najciszej, jak potrafiła, chociaż miała wielką ochotę przedłużyć chwilę ukojenia w ramionach atrakcyjnego wybawcy.

Niecałe dwie godziny później sanitariusz przywiózł Saszę na wózku do poczekalni. Jake odłożył gazetę, wstał i zapytał: Gotowe?

Tak, obyło się bez gipsu. Na szczęście to nie złamanie, tylko zwichnięcie.

A co z ręką? - Wskazał ruchem głowy na obandażowaną dłoń. Nawbijało mi się drzazg. No i straciłam trzy paznokcie.

Koszmar - wykrztusił z trudem. Jego twarz wy-

krzywił skurcz, jakby dostał nudności. - To musi potwornie boleć.

- Nie, wcale, ale trochę szkoda. Nakleiałam je w tym tygodniu i cała robota na nic. - Obejrzała się przez ramię i podziękowała sanitariuszowi. Uśmiech wypadł trochę krzywo z powodu rozmazanej szminki i tuszu.

- Dalej już sobie poradzę.

- Muszę się stosować do przepisów, madame, nie mogę pani tak zostawić - odrzekł młodzieniec i dalej pchał wózek.

Jake pokręcił głową z dezaprobatą, podszedł do drzwi i otworzył je szeroko.

- Proszę się nie upierać.

Obydwaj mężczyźni przenieśli Saszę na przednie siedzenie.

Jake wcisnął młodemu człowiekowi kilka dolarów. Jechali jakiś czas w milczeniu przerywanym jedynie westchnieniami pasażerki. Zatrzymali się dopiero na czerwonym świetle.

Staniemy teraz przy aptece, a później pojedziemy do

Drftwinds. Trzeba zabezpieczyć samochód, zasunąć dach. Nie może stać otwarty do czasu, aż pani wy-dobrzeje.

W ogóle nie mam odwagi zostawiać go na tym pustkowiu.

Proszę mnie tylko podzucić na parking. Dam radę dojechać do domu, nie jestem kaleką.

Sasho... przepraszam, pani Lasiter...

W porządku, mówmy sobie po imieniu.

Jeżeli cię tu zostawię, nie zmrużę oka przez całą noc. - Popatrzył znacząco na jej unieruchomioną sto-

pę. - A gdyby coś się stało, będę odpowiadał za nie-udzielenie pomocy. Przypominam, że kodeks karny traktuje takie zaniebdanie jak przestępstwo.

Sasha patrzyła na niego, jakby nie zrozumiała ani słowa. Na pewno dostała jakiś silny środek uśmierzający ból - pomyślał. Zawsze mogę wezwać taksówkę - spierała się jeszcze.

Która i tak nie może wziąć auta na hol. W ten sposób nie rozwiążesz problemu. Możesz na mnie polegać. Chyba do tej pory nie zawiodłem zaufania. Odwiozę cię na miejsce.

Minęli następne skrzyżowanie i wjechali w uliczkę pomiędzy nadmorskimi domkami różniącymi się jedynie kolorem.

Drftwinds znajdowało się zaledwie kilka kilometrów dalej.

-Nie mogę pozwolić, żebyś nakładał tyle drogi.

Jake po cichu przeklinał swoje miękkie serce. Faktycznie nie powinien włóczyć się całymi dniami nie wiadomo gdzie i po co. Pani Jamison czekała na konkretne dowody winy męża, a on zamiast śledzić winowajcę, niepotrzebnie pakował się w kłopoty. Wysiadł, przestawił lexusa Sashy w mniej widoczne miejsce, opuścił dach, pozamykał drzwi i wrócił do swojej terenówki. Oddał właścicielce klucze i wyjechał na szosę.

Lubisz dania z rusztu? - zapytał nieoczekiwanie, wbrew rozsądkowi.

Kto nie lubi? - odpowiedziała i zaczęła skubać bandaż poniżej kciuka.

- Zostaw to. - Chwycił ją za rękę. - Czy mama cię nie uczyła, że nie wolno brudzić opatrunku?

Uśmiechnęła się, ale odnosił wrażenie, że walczy ze sobą, żeby nie okazać, jak bardzo cierpi. Zaskoczyło go to spostrzeżenie. Na pierwszy rzut oka wyglądała na rozkapryszoną. Zatrzymał się przy punkcie gastronomicznym. Za chwilę wrócił z dwoma pakunkami, usiadł za kierownicą i ruszył dalej.

-Och, nie pomyślałem o napojach. - Próbował w dyskretny sposób wysondować, czy otrzyma zaproszenie do domu, czy też będzie musiał zjeść swoją porcję w samotności na parkingu.

Mam w lodówce mrożoną herbatę - odrzekła.

To świetnie. - Uśmiechnął się, włączył płytę i pogwizdywał w rytm melodii na przekór okolicznościom. Zamiast dopilnować remontu i wziąć się ostro za sprawę Jamisonów, beztrósco marnował czas. Jak dotąd, nigdy nie kierował się impulsem, zawsze starannie planował wszystkie poczynania. Usprawiedliwiał się poczuciem obowiązku. Zaoferował pomoc i powinien dotrzymać słowa. Jak się coś zaczęło, trzeba to doprowadzić do końca. Tylko co się zaczęło?

ROZDZIAŁ TRZECI

Sasha dokładała wszelkich starań, żeby dotrzeć do drzwi o własnych siłach. Po kilku krokach przestała jednak odgrywać bohaterkę i wsparła się na ramieniu towarzysza. Z trudem wygrzebała klucze z torebki. Jake wziął je od niej i otworzył drzwi.

-Mam cię przenieść przez próg?

Jej oczy mówiły wyraźnie: „Po moim trupie”. Podtrzymał ją tylko, doprowadził do salonu i kazał jej się położyć na kanapie. Umieścimy stopę nieco wyżej. Powiedz mi, gdzie jest lodówka, to przyniosę lód na okład.

Skąd wiesz, co trzeba zrobić?

Tym razem Jake popatrzył na nią, jakby spadła z księżycy.

-Widziałem już w życiu kilka zwichnięć.

Sasha miała ochotę poprosić, żeby przestał się nad nią rozczulać i dał jej wreszcie spokój. Ale nie mogła liczyć na niczyją pomoc. Faylene pracowała u Lily, a Marty dopiero wróciła z podróży poślubnej i pewnie właśnie zmywała z siebie piasek i sól.

-Doktor nazwał to zwichnięciem drugiego stop-

nia. Wspominał coś o zerwanych więzadłach, ale nie bardzo uważałam - przyznała ze wstydem. Miała paskudny zwyczaj nieprzyjmowania do wiadomości niepomyślnych informacji. Podczas zabiegu, zamiast słuchać zaleceń lekarza, zastanawiała się, czy można ubezpieczyć drogie buty. - Przypomniałam sobie, że faktycznie była mowa o okładach z lodu. Ja używam w tym celu mrożonych warzyw.

-Często ich potrzebujesz?

Posłała mu wyniosłe spojrzenie i zmarszczyła mocno przyzernione brwi.

Jake umieścił ją na kanapie i podłożył poduszki pod chorą stopę. Trochę zbyt długo wybierał właściwą pozycję i dotykał jej nogi częściej, niż wymagała sytuacja. Sasha zauważyła, że spódnica skręciła się wokół bioder i zadarła do góry. Usiłowała ją poprawić. Żałowała, że nie włożyła czegoś dłuższego, ale nie miała w szafie umiarkowanych długości. Tylko mini lub maxi, nic pośredniego. Zawsze wybierała rzeczy, które reprezentowały jakiś konkretny styl.

-Jeszcze tylko jedna poduszka pod kolano, coś pod piętę i gotowe. - W miłym dla ucha głosie dało się słyszeć prawie nieuchwytną nutkę goryczy.

Jake ułożył jej nogę w nowej pozycji i umieścił kolejną podpórkę pod kolanem. Ciągłe coś poprawiał, jakby szukał pretekstu, żeby jej dotykać. Całe szczęście, że w szpitalu otrzymała potężną dawkę środków przeciwbólowych. Każde muśnięcie ciepłych, silnych dłoni powodowało przyjemne wibra-

cje pod skórą nawet w miejscach, które omijał. Nie wiedziała, jak zareagowałaby, gdyby leki nie przytłumiły jej reakcji na bodźce. Od paru lat żyła w celibacie. Po kolejnej życiowej porażce zdecydowała się na samotność, ale nie zaznała spokoju. Rozpaczliwie pragnęła męskiego towarzystwa. I czułości. Jake odsunął się o krok i zapytał:

Już lepiej?

O, tak. - Skinęła głową i poczuła, że się czerwieni. - Ale to takie krępujące.

-Nie ma się czego wstydzić. Każdemu może się zdarzyć. Sasha odnosiła wrażenie, że słyszy w jego głosie nutkę ironii. Gdyby nie był tak dobrze wychowany, powiedziałaby pewnie: „Każdej wariatce, która biega po schodach na szpilkach” - pomyślała jeszcze bardziej skrępowana.

-Jak tam ręka?

- Już dobrze - odrzekła i przyjrzała się jego silnym, opalonym dłoniom. Oparł je na zgrabnych, wąskich biodrach. Szkoda, że na swoich.

Co mi chodzi po głowie? - próbowała przywołać się do porządku. Spuściła wzrok i obejrzała własne palce. Po utracie akrylowych tipsów wyglądały żałośnie.

Nie ruszaj się stąd, pfzygotuję okład.

Nie musisz się spieszyć. Przecież nie wstanę i nie zatańczę na stole.

Roześmiał się i zniknął w kuchni. Sasha nie myślała już o swoim nieszczęściu. Podobał jej się uśmiech,

wysportowana sylwetka, umięśnione nogi i wyśmienita kondycja nowego znajomego. Niósł ją po tyłu schodach i nie upuścił. Pewnie nawet gdyby nie trzymał jej tak mocno, nie upadłaby na ziemię, wczepiła się bowiem w niego z całej siły.

Po chwili wrócił z torebką mrożonej kukurydzy.

Często ich używasz? - zapytał, stając w drzwiach pokoju.

Kiedy boli mnie głowa - odparła i zamilkła. To, że podwiózł ją do szpitala i apteki, a następnie odtransportował do domu, nie oznaczało, że powinien wysłuchiwać historii jej chorób. Zamiast wypłakiwać się w marynarkę miłosiernego Samarytana, wolałaby się czegoś o nim dowiedzieć. Postanowiły przecież z koleżankami wyswatać Lily. Nie nosił obrączki, ale to jeszcze niczego nie oznaczało. Wielu mężczyzn nie nosi.

Żona nie będzie się o ciebie martwić? - Bardziej subtelny sposób uzyskania pożądanej informacji nie przyszedł jej do głowy.

Dzwoniłem do biura. Już wiedzą, że wrócę później.

Niby kto? Podstęp się nie udał. Zresztą nieważne. Nawet jeżeli nie jest żonaty, może się okazać niedostępny. Podobno wolni mężczyźni w okolicach czterdziestki to zatwardziali starzy kawalerowie. Chociaż przyjaciółki z Muddy Landing bawiły się w kojarzenie par i nazywały siebie swatkami, nie zależało im na tym, żeby kogokolwiek ciągnąć do ołtarza. Ona i Mar-

ty zgadzały się, że przysięga małżeńska często stanowi początek końca udanego związku. Razem miały za sobą sześć rozwodów, doświadczenia im więc nie brakowało. Jake przyglądał się fotografiom na ścianach.

- Bardzo ciekawe - powiedział.

Nadmiar uprzejmości. Naprawdę wraz z jej prywatną kolekcją obrazów oraz plakatami i dekoracjami, które przygotowała dla klientów, tworzyły bezładną mieszaninę. Ostatnio kupiła jeszcze dziewięć reprodukcji dla pewnego biura. Ułożyła je w stos na podłodze, ponieważ nie znalazła ani skrawka miejsca na cedrowej boazerii.

- Idę po napoje. - Jake odwrócił się na pięcie i zniknął za drzwiami.

W kuchni przystanął na chwilę, żeby złapać oddech. Gospodyni nie brakowało fantazji w doborze kolorów. Aż biły po oczach! Jedna ściana czerwona, dwie różowe, a w oknach zamiast firanek pęki jakiegoś zielska. Przypominały trochę lęty ziemniaków, ale mógł się mylić. Nigdy nie pasjonowało go ogrodnictwo, pielęgnacją roślin zajmowała się Rosemary.

Napełnił lodem dwa kubki i zalał mrożoną herbatą. Spojrzał na zegarek i zdziwił się, że zrobiło się tak późno. Wybiła druga, a on beztrąsko marnował czas. Nie miał jednak większych wyrzutów sumienia. I tak za rzadko pozwalał sobie na chwilę odpoczynku. Już nie pamiętał, kiedy ostatnio spożywał posiłek w towarzystwie kobiety. Ustawił naczynia na tacy i wrócił do pokoju.

Jeżeli wystygło, wstawię do mikrofalówki - zaproponował.

Dziękuję, nie potrzeba.

Słusznie, odgrzewane potrawy tracą aromat - przytaknęła niepewnie.

Prowadzenie konwersacji sprawiało mu trudności. Przez tyle lat samotności odwykł od towarzystwa kobiet i czuł się dość niepewnie. Przeszkadzał mu nie tylko brak wprawy, ale i świadomość dzielącej ich przepaści. Cóż mogło łączyć słodką laleczkę z lawendowego domku z prostolinijnym, siwiejącym wdowcem po czterdziestce? Ona jeździła eleganckim lexusem z opuszczanym dachem, on - starym, terenowym - SUV-em, którego nigdy nie tknęła ręka lakiernika. Obserwował w milczeniu, jak Sasha zdrową ręką próbuje wyłowić z talerza kawałek pieczeni.

Może podłożę ręcznik, żeby nic nie upadło na narzutę? - zaproponował z wahaniem. - Nielatwo jest jeść w pozycji leżącej i z obandażowaną ręką. - Czuł się coraz bardziej nieswojo.

Chwilami żałował, że nie pożegnał się przy drzwiach. Lecz gdyby to zrobił, pewnie nie przyniosłaby sobie picia i nie dałaby rady rozpakować jedzenia. Z drugiej strony, z takim wyglądem narzeka pewnie raczej na nadmiar wielbicieli niż na samotność - pomyślał.

Jeśli wolisz zostać sama, zjem w kuchni albo zabiorę swoją porcję na drogę.

Co za pomysł! Przystaw sobie tylko krzesło i stolik. Te szpargały można zrzucić na podłogę.

Jake ułożył książki, katalogi i listy w stertę na brzegu stolika i przysunął sobie trzcinowe krzesło z dwiema małpami wyrzeźbionymi z tyłu na oparciu. Sasha miała nietypowe upodobania. Czerwono-pomarańczowy dywan przypominał kobierce z Dalekiego Wschodu. A obrazy... były niezwykle. Inne określenie nie przychodziło mu do głowy. Gospodyni podażyła za jego spojrzeniem.

-Ten za sekretarą to Eisher - wyjaśniła.

Nie miał pojęcia, co to jest sekretera ani o które malowidło chodzi. Na wszelki wypadek skinał głową z miną znawcy. Wolał skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory.

-Może trochę keczupu?

Nie wiadomo kiedy minęła trzecia. Jedli w milczeniu jak stare, dobre małżeństwo. Uczucie skrepowania minęło bez śladu. No, niezupełnie. Jake przez cały czas współczuł Sashy, że musi jeść w niewygodnej pozycji i z trudem manewruje poranioną ręką. Długie czerwone paznokcie i kilka pierścionków na palcach drugiej ręki na pewno w jeszcze większym stopniu ograniczały swobodę ruchów. Nie śmiał zaproponować, że ją pokarmi. Nie byłoby w tym nic dziwnego, przecież nosił ją już na rękach, ale bez wątpienia rozgniewałaby ją nadmierną poufałość.

Przypomniał sobie przyjemne ciepło jej ciała. A jak pachniała! Kadzidłę i kwiatem pomarańczy z nutką egzotycznych przypraw. Jak sama pokusa! W innych okolicznościach może próbowałby zacieśnić znajo-

mość. Teraz tylko patrzył zachwycony i onieśmielony. Spozstrzegł, że opalenizna kończy się nieco poniżej bandaża na kostce. Pewnie używa samoopalacza - pomyślał. Nie miało to żadnego znaczenia. Mogła malować swoje wspaniałe nogi nawet na niebiesko, nic nie było w stanie ująć im powabu. Jej usta błyszczały, a oczy pod zasłoną czarnych, gęstych rzęs wydawały się tak błękitne jak ocean w środku lata. Jeszcze wczoraj mógłby przysiąc, że są zielone. Aromat egzotycznych perfum odurzał i niebezpiecznie pobudzał zmysły. Jake z trudem wziął się w garść.

Odniosę naczynia do kuchni. Może przynieść ci torebkę? Powinnaś mieć pod ręką telefon.

Po co? Jeżeli komuś zależy, zadzwoni jeszcze raz, a ja nie zamierzam z nikim się kontaktować. Nie jestem w nastroju do towarzyskich pogawędek.

Jake wołał nie odpowiadać i ewakuował się do kuchni. Ta drobna kobietka wyglądała na mięciutką i słodką, ale jeżozwierz mógłby pobierać u niej lekcje samoobrony.

Napełnił kubki lodem, wymienił torebkę rozmrożonych już warzyw na nową, przypomniał, że powinna zażywać tabletki co cztery godziny, i zaczął się zbierać do odejścia.

Sasha nie próbowała go zatrzymać. Przeciwnie, ucieszyła się, że nareszcie zostanie sama. Rozczochrana, z rozmazanym makijażem i w pogniecionym ubraniu wyglądała jak półtora nieszczęścia. Nie lubiła się pokazywać ludziom w takim stanie.

Zresztą, która ko-

bieta lubi? Nawet nie przeprosiła za kłopot i nie podziękowała za pomoc. Wstydziła się zarówno swego wyglądu, jak i zachowania. Ojciec zawsze ganił ją za pychę i próbował nauczyć pokory za pomocą pasa. Bez skutku. Pozostała harda, nadal nie umiała przyznawać się do błędów ani prosić o wybaczenie.

Jake zacisnął zmysłowe usta, wytarł stolik i ułożył na nim z powrotem książki i katalogi.

-Jeżeli niczego więcej nie potrzebujesz, pójdę już.

Czas na mnie, obowiązki czekają. Pamiętaj, żeby co jakiś czas zmieniać okłady.

-Podaj mi tylko portmonetkę, bardzo cię proszę. Chciałabym zwrócić ci pieniądze za jedzenie i paliwo.

Zmarszczył brwi, najwyraźniej zirytowany, ale starał się zachować spokój.

Wiem, że nie czujesz się na siłach zabawiać gości, ale radzę ci po kogoś zadzwonić. Lepiej, żeby ktoś się tobą zaopiekował.

Bzdura! Nie potrzebuję niańki - wykrzyknęła bez zastanowienia. I zaraz tego pożałowała.

Nie zdążyła przeprosić za nietakt. Zanim znalazła odpowiednie słowa, Jake zamknął drzwi z drugiej strony. Uniosła się na łokciu i patrzyła, jak odchodzi. Maszerował energicznym krokiem, jakby wybierał się na wojnę. I, prawdę mówiąc, miał prawo się rozgniewać. Poświęcił jej pół dnia, zmarnował tyle czasu i energii, a ona zamiast podziękować, ofuknęła go jak ostatnia jędza.

Jake zbliżał się do ostatniego skrzyżowania, kiedy zadzwonił telefon. Zanim zdążył się odezwać, Sasha wyrzuciła z siebie jednym tchem jakieś nieskładne usprawiedliwienie i równie niezdarne przeprosiny. Nie miał ochoty tego słuchać. Przerwał jej w połowie i przypomniał dość oschle, że powinna pojechać do Kitty Hawk po samochód, gdy tylko stan zdrowia na to pozwoli.

- Nie musisz się niepokoić - odrzekła równie oficjalnym tonem. - Mam wielu przyjaciół, ktoś mnie podrzuci.

Jake zapewnił, że wcale się nie martwi, i wyłączył telefon. Kłamał. Bardzo żałował, że nie potrafi wymyślić żadnego sensownego pretekstu, żeby wrócić do Muddy Landing. Poza tym usiłował zgadnąć, w jaki sposób ta ekstrawagancka osoba zdobyła jego numer telefonu.

Kilka minut później już wrzeszczał na swojego podwładnego:

- Na drugi raz, Hack, dwa razy się zastanów, zanim podasz mój numer obcej osobie!

Zapach farby i wszechobecny bałagan jeszcze potęgowały jego rozdrażnienie. Nic dziwnego, że sekretarka, pani Martha, wyszukiwała coraz to nowe preteksty, żeby wyjść na zewnątrz i zaczerpnąć powietrza.

- Ta cała Lasiter przysięgała na wszystkie świętości, że zostawiła coś bardzo ważnego w twoim samochodzie. Skąd mogłem wiedzieć, czy mówi prawdę?

Za coś ci przecież płacę, nie?

Akurat nie za to. Mam wprowadzać dane do komputera i analizować wyniki. Odbieranie telefonów to zadanie pani Marthy, ale pojechała rano na pogrzeb. A poza tym, gdzie się włóczyć? Pani Jamison dzwoniła kilka godzin temu i prosiła, żebyś się z nią natychmiast skontaktował, a ja nie mogłem cię złapać.

Jake już otwierał usta, żeby ofuknąć Hacka, że zbyt słabo się starał, ale tylko zaklął pod nosem. Zarówno wtedy, gdy czekał na Sashę na izbie przyjęć, jak i podczas wizyty w jej domu, jego komórka leżała w samochodzie. Hack mógł sobie dzwonić do woli.

Wybrał już pierwsze trzy cyfry numeru pani Jamison, kiedy uświadomił sobie, że nie ma dla niej żadnej wiadomości. Włożył telefon do kieszeni. Współpracownik przyglądał mu się z mieszaniną rozbawienia i ciekawości. Jake otworzył drzwi i wszedł do swojego gabinetu. Ciasne pomieszczenie pełniło obecnie funkcję przechowalni. Od podłogi po sufit piętrzyły się graty z kilku remontowanych pomieszczeń. Budynek od dawna wymagał wielu napraw, ale dopiero gdy huragan zniszczył część dachu, Jake podjął decyzję. Teraz w całym domu panował rozgardiasz. W duszy właściciela również. Przypomniał sobie, że pantofelek Sashy rzeczywiście został w jego aucie. Kiedy zabierał ją z willi, wsunął go do tylnej kieszeni spodni, a potem cisnął na tylne siedzenie. Postanowił, że podrzuci go następnego dnia albo jeszcze później. Przecież przez najbliższych

kilka dni rekonwalescentka nie włoży szpilek. Ale co słodzi zadzwonić i poinformować, że zguba się znałaś?

Sasha pokuśtykała do łazienki, przebrała się w domowy strój, wyjęła z lodówki kolejną mrożonkę na okład i ułożyła się z powrotem na kanapie. Rozwinęła bandaż. Na widok spuchniętej, czerwonej kostki powzięła mocne postanowienie, że zacznie nosić na nogach coś bardziej rozsądnego. Łatwo powiedzieć, trudniej dotrzymać. To, co praktyczne, bywa przeważnie szpetne i można wpaść w kompleksy!

Podniosła słuchawkę i wykręciła numer Marty, przyjaciółka wróciła właśnie z podróży poślubnej po Karaibach.

- Cześć, odespałaś już szalone noce? - zagadnęła. - wiesz, chyba wreszcie znalazłam kogoś dla Lily.

Nic więcej nie zdążyła powiedzieć. Marty zalała ją potokiem słów. Opisała z detalami obyczaje wyspiarzy, powtórzyła chyba wszystkie zasłyszane legendy i jeszcze dorzuciła garść przepisów kulinarnych. W końcu jednak musiała przerwać, żeby zaczerpnąć oddechu, i Sasha skwapliwie skorzystała z okazji.

- Ten facet dla Lily ma na imię Jake. Jestem prawie pewna, że jest samotny. Mówię ci, klasa...

Zamiast odpowiedzi wysłuchała, jak należy przysądzać huevos rancheros, oryginalne danie z egzotycznej wyspy.

- Dziękuję ci bardzo - wykorzystała kolejną krótką

przerwę. - I tak nie zamierzam gotować potrawy, której nazwy nawet nie potrafię wymówić. Wróćmy do naszego kandydata. Muszę jeszcze sprawdzić, czy naprawdę jest wolny, ale mówię ci...

Nie słuchała dalszych relacji koleżanki. Przytakiwała od czasu do czasu z grzeczności, a myślała o nowym znajomym. Pewnie wyrzucił jej pantofelek do pierwszego śmietnika przy drodze. Od chwili gdy uzyskała jego numer, nie rozstawiała się z telefonem. Zadzwoiła do niego, żeby przeprosić, a później do Daisy, żeby się dowiedzieć, kiedy jej dziecko przyjdzie na świat. Następnie skontaktowała się ze szpitalem. Próbowała uzyskać informację, kiedy będzie mogła prowadzić samochód. Lekarz pouczył ją jednak, że nie stawia się diagnozy na odległość. Musi zobaczyć pacjentkę, zanim wyda jakąkolwiek opinię. Sasha skrzywiła się. Nie miała pojęcia, czy kasa chorych zwraca pieniądze za badania kontrolne. Polisy ubezpieczeniowe nie należały do jej ulubionych lektur.

Skupiła się ponownie na rozmowie dopiero wtedy, gdy Marty wspomniała o dziecku Daisy.

Rozmawiałam z nią przed chwilą. Urodzi za trzy tygodnie.

Umówiłyśmy się, że do mnie zadzwoni i polecę ją odwiedzić - powiedziała.

Podobno nienawidzi[^] samolotów - przypomniała Marty.

Nie ja, tylko moja migrena. Ale w pierwszej klasie jakoś wytrzymam.

Sasha dla przyjaciółki gotowa była zaryzyko-

wać nawet najgorszy ból głowy. Obiecała zostać matką chrześnącą maleństwa i bardzo się cieszyła z tego wyróżnienia. Marzyła o dziecku i liczyła na to, że pojawienie się kolejnego chrześniaka, choćby w Oklahomie, przynajmniej w części zaspokoi jej tęsknotę za własnym potomstwem. Za każdym razem, gdy była zakochana, natychmiast przyjmowała oświadczenia, licząc na to, że wreszcie znajdzie wymarzonego ojca dla swoich przyszłych dzieci. Cztery razy się zawiodła. Żaden z kandydatów nie okazał się na tyle odpowiedzialny, by pełnić obowiązki głowy rodziny. A biologiczny zegar nieubłaganie odmierzał czas. W dodatku podczas badań okresowych ginekolog wykrył u niej początki endometriozy, co jeszcze bardziej zmniejszało szansę na macierzyństwo. Straciła już nadzieję.

-Spotkamy się jutro albo pojutrze i obgadamy wszystkie sprawy - zakończyła rozmowę i odłożyła słuchawkę.

Nie wspomniała o wypadku. Wiedziała, że przyjaciółka rzuciłaby wszystko i pospieszyła z pomocą, a ona nie miała ochoty na pogawędki. Poruszała się z wielkim trudem. Jako podpórki używała zabytkowego krzesła z małpami. Mimo wszystko wolała sama borykać się z trudnościami, niż znosić współczujące spojrzenia i odpowiadać na niedyskretne pytania. Przebyła połowę drogi do kuchni, kiedy zadzwonił telefon. Nie miała ochoty odbierać, ale Katie McIver zapowiedziała, że skontaktuje się z nią w najbliższym

czasie. Pomyślała, że może właśnie zamierza dać jej nowe zlecenie. Zamiast szefowej agencji nieruchomości, odezwał się męski głos.

- Witaj, Kopciuszku, czy bardzo ci brakuje pantofelka?

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Znalazłeś mój but? - wykrztusiła z największym trudem. Rzadko zdarzało jej się zaniemówić, jeszcze rzadziej miewała kłopoty z regulacją oddechu, ale wiadomość o odzyskaniu bezcennej zguby, a zwłaszcza głos, który obwieścił dobrą nowinę, zrobiły na niej większe wrażenie, niż chciała przyznać sama przed sobą.

- Obcas wygląda dosyć paskudnie, pewnie wymaga wymiany - poinformował Jake.

Zirytowała się. I tak zainwestowała w te eleganckie narzędzia tortur znacznie więcej, niż powinna. Teraz czekał ją kolejny wydatek, ale gotowa była popaść w długi, a nawet żyć o chlebie i wodzie, byle tylko wyeksponować swój najsilniejszy atut - zgrabne nogi.

Jeśli chcesz, to ci go podrzucę.

Och, nie chciałabym sprawiać ci kłopotu. I tak straciłeś przeze mnie mnóstwo czasu. - Instynktownie poprawiła włosy, chociaż nie mógł jej zobaczyć.

Będę tamtędy przejeżdżał po południu. - Odcze-

kał chwilę, jakby chciał rozpoznać jej nastrój. - Mogę wstąpić po drodze.

Zgodziła się natychmiast. Nie potrafiła mu odmówić. Zależało jej nie tyle na odzyskaniu pantofla z po-obdzieranym obcasem, co na ponownym spotkaniu. Nie wiedziała dlaczego. Nie był przecież ani specjalnie przystojny, ani elokwentny czy choćby zabawny. Wyglądał przeciętnie i tak też się ubierał, ale Saszę ciągnęło do niego bez żadnych racjonalnych powodów.

Zważywszy na dotychczasowe relacje z płcią przeciwną, powinna raz na zawsze dać sobie spokój z zawieraniem nowych znajomości, zwłaszcza że jak dotąd Jake oglądał ją w nie najkorzystniejszych dla niej sytuacjach. Pierwszego dnia z obwódkami rozmazanego tuszu wokół oczu wyglądała jak szop prac. Stary kaftan też nadawał się do śmietnika, a nie do przyjmowania gości. Dziwnym trafem wcale mu to nie przeszkadzało. Kiedy zaszła potrzeba, przyszedł jej z pomocą i niósł ją na rękach po schodach, ryzykując przepuklinę. Różnił się od mężczyzn, których знаła do tej pory. Sama jego obecność sprawiała, że zapomniała o wszystkich dotychczasowych porażkach. Miłosierny Samarytanin okazał się nie tylko użyteczny, lecz również bardzo pociągający <

- Powinienem przyjechać- mniej więcej za godzinę. Może jeszcze coś ci potrzeba? Mijam po drodze kilka sklepów, mógłbym zrobić jakieś zakupy.

Nie odpowiedziała. Myślała tylko o tym, żeby przyzwocić się ubrać, uczesać i zrobić makijaż.

- Jeżeli sobie o czymś przypomnisz, zadzwoń na komórkę. Znasz numer.

Przypomniał)q) jeszcze, żeby przestrzegała zaleceń lekarza, i rozłączył się. Po zakończeniu rozmowy Sasha kilkakrotnie musiała sobie powtórzyć, że nie powinna się nim tak bardzo interesować. Przeznaczyła go przecież dla Lily.

Minęły prawie dwie godziny, nim Jake zaparkował przed lawendowym domkiem. Nie wyglądał kwitnąco, ale przynajmniej zdążył się ogolić i wykąpać. Wstał o piątej rano, żeby chociaż przejrzyć stertę papierów na biurku, zanim przyjdą dekarze i hałas uniemożliwi mu pracę. Chwilę później zjawili się malarze. Pomimo rozcierania się udało mu odnaleźć nową koszulkę polo - prezent urodzinowy od syna - i butelkę wody kolońskiej, której dotąd nigdy nie używał. Teraz nagle uznał, że powinien o siebie zadbać. Zwykle ubierał się w mgnieniu oka, tym razem poranna toaleta trwała prawie czterdzieści pięć minut.

Po drodze zatrzymał się jeszcze przy sklepie spożywczym. Sasha pewnie potrzebuje mrożonek - pomyślał. Jakies soki też by się przydały. Spakował do koszyka jeszcze kilka puszek napojów, paczkę ciastek, mleko dla wzmocnienia kości i bukiet kwiatów. Dlaczego? Bo stały tuż przy kasie i ładnie wyglądały. A zresztą, czemu nie?

Zanim wysiadł z samochodu, spojrzął jeszcze we

wsteczne lusterko i przyglądał włosy. Zastał drzwi otwarte. Siedziała w salonie i wyglądała jeszcze ładniej, niż zapamiętał. Nigdy przedtem nie gustował w rudych kobietach. Jako młody człowiek pokochał i poślubił Rosemary, wysoką, smukłą, wysportowaną blondynkę. Sasha była zupełnie inna, nieduża i bardzo, bardzo kobieca. Włosy koloru miedzi otaczały jej twarz, oczy błyszczały jak szmaragdy. Jeszcze wczoraj wydawały się błękitne, a gdy ją pierwszy raz zobaczył, gotów był przysiąc, że są piwne. Popatrzyła z zachwytem na bukiet.

-Jakie piękne - westchnęła i uśmiechnęła się.

Jake przyjrzał się kwiatom, jakby ich nigdy wcześniej nie widział.

-O, tak, wpadły mi w oko, więc pomyślałem... - Przerwał i wzruszył ramionami. - Trzeba je wstawić do wody.

Sasha pokazała mu kryształowy wazon. Wyszedł do kuchni, żeby go napełnić, włożyć zakupy do lodówki, znaleźć świeżą mrożonkę na okład, a przede wszystkim ochłonić.

- Masz ochotę na coś zimnego czy mam zaparzyć kawę?

- Dziękuję, wolę sok. Przywiozłeś mój pantofelek?

Jake o mało nie upuścił kubka. Zapomniał na śmierć o nie-szczęsnym bucie. Zostawił go na komodzie w sypialni. Chyba na pamiątkę! Nie miał wyjścia, musiał się przyznać.

- Może zabrzmi to głupio, ale spieszylem się i zapo-

mniałem wrzucić go do samochodu. Mogę zaraz po niego pojechać.

Nie wygłupiaj się. I tak ich nie włożę przez najbliższych kilka dni.

Mądre postanowienie. Chyba projektował je sadysta. Trudno w czymś takim nie skrećć nogi.

Najpierw muszę wymienić obcas. - Udawała, że nie dosłyszała ostatniej uwagi.

Jake wiedział, że świadomie się z nim droczy. Pokręcił głową z dezaprobatą, ale w kącikach ust czaił się uśmiech.

Och, kobiety, same się dopraszacie o kłopoty. Po co wam takie wynalazki?

Nie wiem, czy zauważyłeś, ale natura nie była dla mnie zbyt hojna.

Chcesz powiedzieć, że jesteś niska?

Mała i przysadzista, skoro już nazywamy rzeczy po imieniu - uśmiechnęła się bez urazy. - No i z tym kolorem włosów też się nie urodziłam.

Ja też - zapewnił z kamienną twarzą. - Dopiero ostatnio posi-
wiałem.

Sasha roześmiała się serdecznie na całe gardło.

Jesteś taki zabawny. Musisz być duszą każdego towarzystwa.

Tak. Całe moje życie to jedna wielka balanga.

Ja zaczynałam jako pospolity rudzielec. Później byłam brunetką, jasną i ciemną blondynką, ale wciąż się sobie nie podobalam. W końcu odnalazłam właś-

ciwy kolor. - Potrząsnęła głową, a miedziane kaskady zawirowały wokół twarzy.

Jake patrzył na nią z zachwytem. Wiele by dał, żeby poznać jej myśli, nie z zawodowej dociekliwości, ale z powodu całkiem prywatnego zainteresowania. Leżała wsparta o poduszki i przypominała mu Mae West z plakatu filmowego. Uznał, że powinien się ewakuować, zanim wpadnie na dobre. Zamiast tego jednak zaproponował, że przyniesie jeszcze coś do picia. Podając mu szklankę, uważnie przyjrzała się jego twarzy.

Kiedy złamałeś nos? Uprawiałeś jakiś sport?

Co za spostrzegawczość!

Po prostu zgadłam. Mój brat grał w piłkę jeszcze w liceum. - Nagle posmutniała. - Później wstąpił do policji. Zginął zaraz po rozpoczęciu pracy, w czasie pierwszej akcji.

Zanim Jake zdążył znaleźć odpowiednie słowa, dodała tonem usprawiedliwienia:

-Przepraszam, co może cię obchodzić moja rodzina. Nie wiem, po co wywlekłam tę historię. Może dlatego, że tkwię tu bezczynnie i nie mam nic innego do roboty, jak tylko wspominać przeszłość.

Było w tym trochę prawdy, ale nie cała. Nawet w stanie najwyższej frustracji nie zwierzałyby się nowemu znajomemu, gdyby nie wzbudził w niej zaufania. Nie traktowała go jak obcego. Znali się krótko, ale już miała ochotę dzielić z nim nie tylko przemyślenia.

A jak tam u ciebie z podatkami? - zapytała znienacka, zupełnie bez związku.

Z czym? - wyjął Jake zaskoczony nagłą zmianą tematu.

No wiesz, każdy z nas musi niestety oddawać część dochodów na budowę dróg, utrzymanie szkół, diety deputowanych i takie tam różne.

Jeżeli chcesz się upewnić, że masz do czynienia z porządnym obywatelem, mogę ci przynieść do poczytania kopie moich rocznych deklaracji. - Miał poważną minę, ale Sasha wiedziała, że sobie z niej kpi. Zawstydyła się i pospieszyła z wyjaśnieniem:

Wybacz, nie chciałam cię urazić. Chodzi o to, że moja przyjaciółka, Lily Sullivan, prowadzi biuro rachunkowe niedaleko stąd.

-I co z tego?

No właśnie, co? Lily ledwo nadążała z realizacją zleceń, nie potrzebowała więcej klientów. Nie wiadomo też, czy byłaby zainteresowana nową znajomością. Nie było sensu uszczęśliwiać obojga na siłę.

-Och, przyszło mi do głowy, że Lily jest świetna w swoim fachu, mogłaby pomóc w razie jakichś kłopotów. - Wzruszyła ramionami. - Nieważne, zapomnijmy o tym. Nie powinnam wtykać nosa w nie swoje sprawy.

Jake podniósł się powoli i stanął nad nią. Wyglądał tak imponująco, że ją onieśmielał.

- Ta kukurydza już się zupełnie rozmroziła. Przyniosę coś innego. Nawiasem mówiąc, przydałaby ci

się przenośna lodówka. Dobrze byłoby mieć wszystko pod ręką, a nie biegać za każdym razem do kuchni.

- Niby mam, ale jest jaskrawoniebieska. Wyglądałaby tu ohydnie - odparła zmieszana. Zorientowała się, że traci głowę i wygaduje bzdury, ale nie potrafiła nic na to poradzić. Zawsze musiała liczyć tylko na siebie, nawet mężowie niespecjalnie się o nią troszczyli. Nie przywykła do męskiej opieki i nie umiała się odpowiednio zachować, gdy ktoś wreszcie okazał jej serce. Poza tym sama obecność tego mężczyzny peszyła ją do tego stopnia, że nie potrafiła ułożyć rozsądnego zdania. Jake tylko rozejrzał się po pokoju i pokiwał głową ze zrozumieniem.

Faktycznie, błękit do niczego tu nie pasuje.

Wybacz, przez całe życie byłam bardzo samodzielna. Zdana na czyjąś pomoc czuję się jak ostatnia łamaga.

Siła wyższa. Trzeba się pogodzić z rzeczywistością i przestrzegać zaleceń lekarzy. Kiedy opuchlizna zejdzie, znów siędziesz za kierownicą. Na razie samochód jest bezpieczny, ale na długi weekend do Driftwinds zjedzie masa ludzi, nie zawsze uczciwych. Lepiej go przyprowadź, zanim zjawią się turyści.

Mogę posłać po niego mojego młodego pracownika.

Dziękuję, nie skorzystam. Nie pozwolę żadnemu dzieciakowi tknąć mojego auta. Do jutra powinnam wyzdrowieć.

Jake już miał stanąć w obronie Hacka, ale przypo-

mniał sobie, że jego samochód czeka właśnie w warsztacie na naprawę po brawurowej jeździe. Spuścił oczy i ze zdumieniem zauważył, że na kostce Sashy, zamiast klamerki do podtrzymywania bandaża, błyszczała przepiękna, secesyjna broszka. Pokręcił głową zadziwiony jej twórczą inwencją.

- Twoja sprawa. Radziłbym tylko wybrać taką porę, kiedy ruch jest najmniejszy. Najlepiej wczesnym rankiem albo po kolacji. Sasha przyrzekła uroczyście, że zastosuje się do jego zaleceń. Oboje wiedzieli, że postąpi, jak zechce. Duch przekory zawsze zwyciężał u niej nad rozsądkiem.

Uparciuch - pomyślał Jake bez złości, a nawet z odrobiną podziwu. W drodze powrotnej powziął mocne postanowienie, że przestanie sobie zawracać głowę Sashą i skoncentruje się na własnych sprawach. Zrobił, co do niego należało, a właściwie znacznie więcej, i wystarczy. Nadłożył nawet kilka kilometrów, żeby kupić jej jedzenie i kwiaty. A przecież właśnie przez jej niefortunną przygodę i własne miękkie serce zaprzepścił szansę przyłapania Jamisona z kochanką. W dodatku nic nie zapowiadało pozytywnej zmiany. Póki czerwony samochód będzie straszył na parkingu przed jego willą, winowajca na pewno nie odważy się wykorzystać jej jako kryjówki. Jake wcale nie żałował, że nie dodzwonił się do zdradzonej małżonki. I tak nie miał jej nic ciekawego do zakomunikowania.

Sasha ujrzała przed domem samochodu Marty i Faylene i pokuśtykała do drzwi, żeby otworzyć. Opowiedziała im o wypadku poprzedniego dnia wieczorem, ale poprosiła, żeby odłożyły wizytę do rana. Ciekawość przygnała obie koleżanki do lawendowego domku już przed dziewiątą.

Ho, ho, Marty, oczy ci błyszczą. Posłużył ci miodowy miś - zagadnęła przyjaźnie. - Nie proszę o szczegóły, zdradź tylko, czy nowy mąż okazał się lepszy od poprzednich.

Już ja cię znam! Możesz sobie pogadać. Będiesz ją ciągnąć za język, aż wszystko wyśpiewa. - Faylene zmrużyła jedno oko, roześmiała się i poszła do kuchni nastawić wodę.

Pięć minut później trzy kobiety siedziały w salonie przy kawie i pączkach i dzieliły się ploteczkami, zwłaszcza dotyczącymi kontaktów damsko-męskich.

- Pewnie kładziesz się wcześniej do łóżka, inaczej nie zerwałabyś się tak rano.

- Nie w tym rzecz, żeby spać długo, tylko dobrze - odrzekła młoda mężatka z odcieniem dumy w głosie.

- Zanim zaczniesz dochodzenie, powiedz chociaż kilka słów o tym gościu dla Lily.

Jest świetny. - Sashą wsypała drugą łyżeczkę cukru do filiżanki.

Wysoki? - zapytała Faylene. Jej mąż, Bob Ed, miał siwą brodę i brzuszek od piwa, a ona uważała go za najpiękniejszego mężczyznę na świecie.

O, tak, wyższy od Lily i w dodatku przystojny. Po-

za tym wygląda na to, że nawet nie zdaje sobie sprawy z własnej atrakcyjności. W niczym nie przypomina tego nadętego adwokata, z którym zapoznaliśmy ją w Boże Narodzenie. Tamten nie przeszedł koło żadnej szyby, żeby się w niej nie przejrzeć.

- A pamiętacie następnego? - wtrąciła Faylene. - Podarował jej pudełko czekoladek z preceny. Nawet nie oderwał metki.

-No cóż, przynajmniej próbowałyśmy - ucięła Sasha. - Same wiecie, jak trudno dziś znaleźć kogoś na odpowiednim poziomie. Nieważne. Zastanówmy się lepiej, jak ich ze sobą poznać. Próbowałam się dowiedzieć, czy nie potrzebuje usług doradcy podatkowego, ale dał mi do zrozumienia, że to nie moja sprawa.

Nic dziwnego. To było raczej niedyskretne pytanie - wytknęła jej Marty. - Zaczynasz popełniać gafy. Dotychczas wykazywałaś więcej sprytu.

Ciekawe, czy byłabyś równie błyskotliwa z obolałą nogą i trzema złamanymi paznokciami.

Sztucznymi. Czemu nie zrezygnujesz z tych upiornych szponów? Kosztują fortunę i dawno wyszły z mody. - Marty zademontrowała z dumą umiarkowany francuski manicure. - Dziś liczy się naturalny wygląd. Powinnaś też pomyśleć o jakimś praktycznym stroju do pracy.

Co, może każesz mi nosić fartuch?

Jak cię znam, włożyłabyś pod spód bikini i koronkowe podwiązki. Już to widzę! - drwiła dalej Marty.

- Weź przykład ze mnie - dorzuciła swoje trzy grosze Faylene.

- Zawsze wkładam jakieś wygodne rzeczy.

Sasha prawie nigdy nie oglądała gosposi w innym stroju niż szorty, podkoszulek i tenisówki.

No i musisz pomyśleć o wygodnym obuwiu - napominała Marty. - Tyle razy cię ostrzegałam, że skrećisz sobie kark na tych szrudłach. Na razie skończyło się na kostce, ale wszystko przed tobą. Biegasz po schodach i tarasach z rozeschniętych desek. Wszystko może się zdarzyć.

Dajcie mi spokój. Żaden klient nie uwierzy projektantce wewnątrz ubranej jak pomoc kuchenna. Każda z nas powinna podkreślać swoje naturalne walory. Ja akurat mam drobne stopy, ładne nogi i włosy.

Naturalne? - Marty nadal nie potrafiła się powstrzymać od złośliwości. - Tak samo jak twoje rzęsy i paznokcie.

Sasha nie po raz pierwszy musiała odpiierać podobny atak.

Wiele osób zarzucało jej upodobanie do sztuczności. Nie zaprzeczała. Gdyby zaszła potrzeba, poprawiłaby sobie urodę za pomocą skalpela. Od wczesnego dzieciństwa podchodziła w sposób twórczy do własnego wyglądu. Już jako mała dziewczynka wyczarowywała fantastyczne przebrania ze starych sukienek mamy. Kiedy dorosła, wypracowała własny styl, lubiła go i na razie nie zamierzała zmieniać. Koleżanki tego nie rozumiały. Należały do osób, które wszystko wiedzą najlepiej, także to, jak powinno wyglądać cu-

dze życie. Faylene chyba zorientowała się, że Sasha ma już dość, bo wymówiła się obowiązkami i wyszła do łazienki nastawić pranie. Kiedy wróciła, Marty przypomniała o celu wizyty.

Niedługo zaczniesz się kiermasz dobroczynny ze stołami na wolnym powietrzu, ciasteczkami i aukcją darów. Może zaprosiłabyś tego nowego znajomego? Wydaje mi się, że to dobra okazja, żeby zapoznać go z Lily.

Jake mieszka w Manteo. Na pewno nie będzie mu się chciało jechać sześćdziesiąt kilometrów na jarmark. Skąd mogę wiedzieć, czy w ogóle lubi takie imprezy?

To znowu nie tak daleko. Dochód z licytacji zostanie przeznaczony na wakacje dla dzieci z najuboższych rodzin. Wspominałaś, że ma dobry charakter, więc może zechce wspomóc ubogich. - Marty zrobiła komiczną minę.

Jak ty to robisz? - wykrzyknęła Sasha. - Unosisz jedną brew, a druga pozostaje nieruchoma.

Nawet nie próbuj. Ta sztuczka udaje się tylko z prawdziwymi, a ty masz namalowane ołówkiem.

Pewnie dokuczałyby jej nadal, gdyby nie zadzwonił telefon. Odebrała Faylene. Sasha nawet nie próbowała się domyślić, kto szuka z nią kontaktu. Miała wielu klientów: polityków, kupców, właścicieli hoteli, a przed sezonem pojawiało się jeszcze więcej zleceń. Gospoś przycisnęła słuchawkę do piersi i oznajmiła teatralnym szeptem:

- Mówi, że nazywa się Smith. To chyba właśnie on.
- Ostatnie zdanie wypowiedziała zdecydowanie za głośno. -
Dzisiaj po południu chce cię zabrać po samochód.

Kiedy skończyła, spojrzała znacząco na Saszę.

Czy to aby nie ten kandydat do ręki Lily? O ile dobrze pamiętam, wymieniłaś właśnie to nazwisko. Ma piękny głos.

Hurra! Udało się! - wykrzyknęła Marty. - Jak się pojawi, możesz go namówić na udział w naszej aukcji dobroczynnej. Kuj żelazo, póki gorące.

Jake wyszedł od fryzjera i przyglądał świeżo ostrzyżone włosy. Przed wizytą w salonie dodzwonił się do klientki. Odwołała całą akcję, pogodziła się z mężem. Twierdziła, że zaszło nieporozumienie, i pewnie miała rację. Umknęło mu zlecenie, ale za to zyskał wolny czas. Nie pozostało mu nic innego, jak podwieźć Saszę do Driftwinds, żeby odebrała samochód, zanim zjadą się turyści.

Na nudę nie mógł narzekać. Dwóch nowych klientów prosiło o kontakt, powinien też dopilnować malarzy, wziąć się za porządki i rozliczyć zaliczkę pani Marthy. Ale nie przejmował się zbytnio ani nawałem zajęć, ani nieoczekiwanym zakończeniem sprawy Jamisonów, ani nawet kolejnym wyjazdem syna. Nigdy dotąd nie podchodził tak lekko do życia. Wbrew swoim zwyczajom uznał, że i tak nie ma wpływu na rozwój wypadków, i powrócił myślą-

mi do Muddy Landing. W jego głowie rozległ się dzwonek alarmowy, że pakuje się z deszczu pod rynną, ale zlekceważył głos rozsądku. Włączył płytę i wsłuchał się w słowa piosenki.

RS

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lodówka Sashy pękała w szwach. Przyjaciółki nie przyszły z pustymi rękami. Marty przyniosła danie z makaronu i wołowiny według najnowszego przepisu. Faylene, najgorsza kucharka na świecie, musiała się pochwalić świeżą sałatą pochodzącą z upraw Eda i własnym kunsztem kulinarnym. Sasha nie miała żadnego powodu, żeby przyjąć zaproszenie na obiad w drodze do Kitty Hawk.

Jestem głodny - oznajmił Jake. - Jadłem dość wcześnie śniadanie.

Ja też - odrzekła. -Zawsze wstaję o świecie.

Wolała nie wspominać, że noga nadal jej dokucza. W nocy nie mogła znaleźć wygodnej pozycji i co chwila się budziła. Gdy tylko się zdrzemnęła, nawiedzały ją sny. I to jakie! Jake zmierzzył ją spojrzeniem od stóp do głów i zatrzymał wzrok na chorej nodze. Tym razem nałożyła wygodn|! sandały na zaledwie kilkucentymetrowych, korkowych platformach. Żadnych innych nie wcisnęłyby na opatrunek Jake patrzył na nią tak, jakby nie miało dla niego znaczenia, czy chodzi boso, czy na szrudłach. Albo z nudów zbyt dużo

sobie wyobrażała. W drodze do jego samochodu podtrzymywał ją troskliwie. Zanim wsiedli, położył jej rękę na ramieniu.

- Zastanów się. Mogę poprosić Hacka, żeby odprowadził auto do Muddy Landing. Nie sprawi mu to kłopotu. Mieszka w pobliżu.

Sasha zapewniła, że czuje się znacznie lepiej, odpoczynek jej posłużył. Było w tym dużo prawdy. Przed wypadkiem sporo się nabiegała po sklepach. Nic dziwnego, że zmęczone nogi odmówiły posłuszeństwa. Ostatnio kupiła za grosze na pchlim targu cały stos czasopism medycznych z lat dwudziestych, ponieważ uznała, że wkładki reklamowe świetnie się nadają na dekorację w stylu retro do gabinetu lekarskiego. Wymagały tylko odpowiedniej oprawy. Przemierzyła później wiele pięter w różnych domach towarowych, żeby dopasować do nich ramki. Opowiedziała o tym wszystkiemu towarzyszowi podróży. Jake zaś o swojej pracy nie mówił nic. Nie miała mu tego za złe. Rozumiała, że zawód detektywa wymaga nie tylko umiejętności, lecz również dyskrecji. Interesowała się nim samym, a nie jego karierą. Nie próbował uwodzić, a mimo to robił na niej ogromne wrażenie. Patrząc na niego, zastanawiała się, jakim byłby kochankiem.

Wysiedli przy restauracji z widokiem na morze i usiedli przy stoliku.

-Zacznę od deseru - zwróciła się Sasha do kelnerki. - Jeżeli jeszcze będę głodna, wezmę jakąś sałatkę

albo coś równie obrzydliwie zdrowego. Teraz poproszę o ciastko z kremem cytrynowym.

Jake wybrał ostrygi. Kelnerka pożerała go wzrokiem, a na nią w ogóle nie zwróciła uwagi, pomimo dziwacznego zamówienia. Sasha już otworzyła usta, żeby zapytać, czy tym małżom zasłużenie przypisuje się rolę afrodyzjaku, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Już nieraz się przy nim wygłupiła, postanowiła więc uważać na to, co mówi i robi, żeby nie uznał jej za kompletną idiotkę.

Kiedy zostali sami, Jake zapytał:

Poważnie zamierzasz zacząć od słodyczy?

Czy wyglądam na osobę niepoważną? - Zamrugnęła powiekami. Wiedziała, że to robi wrażenie na mężczyznach. - Nie rozśmieszaj mnie do łez, bo klej nie jest wodoodporny.

Chyba nie zrozumiałem. Czyżby te gęste czarne rzęsy nie były prawdziwe?

Poniekąd. Zapłaciłam za nie najprawdziwsze pieniądze i to niemałe. Ale trzeba na nie uważać.

Jake pokręcił głową zarówno zaskoczony, jak i pełen podziwu. Rzuciła mu jeszcze jedno kokietyjne spojrzenie. Lubiła i umiała uwodzić, chociaż na ogół po fakcie okazywało się, że zwierzyzna nie warta była polowania. Kelnerka przyniosła jej kawę i ciastko, ale nadal uporczywie wpatrywała się w Jakea. Sashy się to nie spodobało. Kręciło się tu tyłu opalonych, młodych żeglarzy, a ta dziewczucha musiała się akurat przyczepić do siwiejącego mężczyzny w średnim wieku.

-Może coś mocniejszego do picia? Wątpię, czy dasz radę przyprowadzić dziś samochód. Radziłbym się jeszcze wstrzymać. Niech zostanie tam, gdzie jest, włączymy tylko alarm i...

- Nic z tego, nie działa. Tam trzeba pstryknąć taki mały dzynzdelek, a ja wciąż o tym zapomniałam, no i w końcu się zepsuł..

Jake najpierw westchnął, a potem się roześmiał.

Zdecydowanie potrzebujesz męskiej opieki.

Próbowałam cztery razy, ale zawsze, gdy już myślałam, że znalazłam odpowiedniego towarzysza życia, okazywał się nie wart i musiałam się go pozbyć.

Jake zastygł w bezruchu ze szklanką wody przy ustach. Wpatrywał się w Sashę z taką miną, jakby właśnie wypił wyjątkowo gorzkie lekarstwo. Dopiero po chwili ochłonął.

Mogłem się tego spodziewać. Dziwiłbym się raczej, gdyby taka kobieta nie miała narzeczonych.

Jakich tam narzeczonych? Mężów.

Jake znieruchomiał i nie poruszył się nawet wtedy, gdy na stole przed nim stanęły parujące ostrygi. Dopiero po kilku sekundach odzyskał głos i poprosił o powtórzenie ostatniego zdania. Sasha zatrzepotała ponownie rzęsami i zrobiła niewinną minkę.

- Nie patrz na mnie w ten sposób, nie siedzisz przy stoliku z Lukrecją Borgia. Nie otrułam ich, tylko normalnie się rozwiodłam. Czy nigdy w życiu się nie pomyliłeś?

O tak, wiele razy - wyjąkał. - Ale ja się ze swoimi pomyłkami nie żeniłem.

Jesteś kawalerem?

-Nie. Mam za sobą jedno małżeństwo, bardzo szczęśliwe. Rosemary była moją jedyną miłością. Został mi po niej syn, Tim.

-Szczęściarz z ciebie. Zawsze pragnęłam urodzić dziecko, ale nie dostałam takiej szansy.

Jake tylko skinął głową. Ciekawiło go, dlaczego w takim razie nie zdecydowała się na dziecko z którymś z mężów i dlaczego żaden z jej związków nie przetrwał próby czasu. Doszedł jednak do wniosku, że nie powinien zadawać niedyskretnych pytań kobiecie, z którą nie zamierza zawierać bliższej znajomości. Sasha nie miała takich skrupułów i poprosiła, żeby powiedział jej coś o synu.

- Wspaniały chłopak. - Zamilkł, spojrział na ocean przez szybę i nagle posmutniał. - Żałuję tylko, że wstąpił do marynarki.

Zawsze się o niego martwię, kiedy wypływa w morze.

Patrzyła na niego wielkimi, rozszerzonymi jeszcze z ciekawości oczami, aż jego myśli zaczęły biec zupełnie innym i to zgoła niepożądanym torem. Zanim zdążył wziąć się w garść; Sasha przypomniała półgłosem, że miał mówić o Timie.

Jake nie wiedział, dlaczego nagle zapragnął jej się zwierzyć, nie tylko z sukcesów, lecz również ze wszystkich trosk. Sam się sobie dziwił. Nigdy nie był gadułą, nie otwierał serca nawet przed najbliższy-

mi przyjaciółmi, a co dopiero przed nowo poznaną osobą i to po czterech rozwodach. Jego matka pewnie od razu przyczepiłaby jej etykietkę, a babka nie zawahałaby się nazwać ją ladcownicą na sam widok mocnego makijażu. Wbrew wszelkim pozorom Jake przeczuwał, że pod wyzywającą powłoką bije żywe, czułe serce. Serce wrażliwej kobiety, która na siłę stara się ukryć przed światem swoje słabości. Gdyby mama i babcia ją poznały, z pewnością w końcu zrozumiałyby ją i polubiły. Na wszelki wypadek zmienił temat na bezpieczny:

Może masz ochotę na jeszcze jedną kawę?

Nie, dziękuję. Czy mówiłam ci już, że mam dwie siostry bliźniaczki? Annette i Jeanette są dziesięć lat młodsze ode mnie, mają dzieci i mężów. Żeby uniknąć nieporozumień, dodam jeszcze, że po sztuce na głowę. Mama wprawdzie stanęła drugi raz na ślubnym kobiercu, ale dopiero po śmierci taty, tuż przed pięćdziesiątką. Mój ojczym hoduje lamy w Kolorado i chyba się do nich upodobał. Jest łagodny jak jagnię. - Westchnęła cicho. Nie miała żadnego powodu, żeby opowiadać nowo poznanemu mężczyźnie o losach swoich bliskich, ale opowieść sama popłynęła. - Szkoda tylko, że każda z nas mieszka w innej części kraju. Za rzadko się widzimy. Najbardziej mnie denerwuje, że teraz, kiedy mogłabym im pomóc, żadna nie potrzebuje już wsparcia. Ale po co ja cię zanudzam rodzinnymi historijkami? Udawaj, że nie słuchałeś.

Jake roześmiał się i otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nie zdążył, bo zadzwonił Tim. Pewnie chciał się pożegnać. Wybrał sobie bardzo niepewny los. Każdego dnia jeden rozkaz mógł rzucić go w najdalsze, najbardziej niebezpieczne rejony świata. Sasha chciała wstać i wyjść do toalety, żeby nie przeszkadzać, ale zrobiła zbyt gwałtowny ruch, poczuła ból w kostce i całym ciężarem ciała klapnęła z powrotem na krzesło. Ponieważ nie mogła się ruszyć, przysunęła sobie talerzyk i zaczęła rozgrzebywać okruszyny, jak gdyby bardzo jej zależało, żeby wyłowić widelczykiem kandyzowane owoce. Jake zacisnął zęby.

- Na Boga, synu, co ty mówisz? - Głos aż mu drżał ze zdenerwowania.

Sasha domyśliła się, że usłyszał jakąś złą nowinę, nie wiedziała tylko, jaką. Przez głowę przemknęły jej różne przypuszczenia, jedne bardziej tragiczne od drugich. W końcu powiedziała sobie, że chyba Timowi nic poważnego się nie stało, skoro był w stanie telefonować. Ale oczy jego ojca zrobiły się zupełnie okrągłe ze zdumienia czy też przerażenia.

- Może powinienem pogadać z twoim kapitanem? - zapytał nieswoim głosem.

Jednak musiało się wydarzyć coś strasznego. Może zdezerterował i został aresztowany? Jeżeli tak, groził mu sąd wojskowy. Sasha spuściła głowę, upiła łyk paskudnej, zimnej już kawy i zaczęła się znów bawić widelczykiem.

-No trudno - zakończył Jake. - Podaj mi jej nazwi-

sko i adres. Kiedy tylko się z nią skontaktuję, natychmiast odzwonię. Powiniennem tam dotrzeć za godzinę. Jestem niedaleko, przy plaży.

A więc dowódca Tima okazał się kobietą. Sasha nie wiedziała, czy to dobrze, czy źle. Zastanawiała się, czy powinna dyskretnie się oddalić, czy raczej zostać, zapytać, co się stało, i zaoferować pomoc. Znała kilku członków komisji wojskowych, ale nie orientowała się w hierarchii i nie miała pojęcia, czy mają jakiś wpływ na decyzje dowódców marynarki.

Głowa do góry, synu, nie martw się - zakończył Jake. - Zalaamię to, a ty pomyśl, co zrobisz później. - Wyłączył telefon i przez dobrych kilka minut wpatrywał się w solniczkę. Sasha próbowała odgadnąć, w jakie kłopoty wpakował się młody marynarz. W końcu odważyła się odezwać.

Mogę w czymś pomóc?

Jake jakby nie słyszał. Wyjął portfel i położył na stole kilka monet. Sasha nie zadawała więcej pytań. Miał dość problemów, nie powinna zaprzętać mu głowy błahostkami. W milczeniu wsiadła do samochodu. Kiedy zjechali z obwodnicy w kierunku jednej z wiosek, Jake zwołnił i zaczął uważnie przyglądać się zabudowaniom, jakby czytał numery na tabliczkach. Dopiero po jakimś czasie powiedział:

-Mówi, że potrzebuje pieniędzy. Przez kilka miesięcy nie pracowała.

Co za ona? I kim jest dla Tima? Co Jake ma z nią wspólnego? Sashy cisnęło się na usta jeszcze więcej py-

tań, ale nie wypowiedziała ich głośno. Ponieważ nie mogła się na nic przydać, nie pozostawało nic innego, jak siedzieć cicho i nie przeszkadzać. Jake zwolnił przy kolejnym drogowskazie.

-Nic z tego nie rozumiem. Nie poprosiła o pieniądze, tylko poinformowała, co się stało i co zamierza zrobić.

Skręcił w boczną drogę z prędkością dziesięciu kilometrów na godzinę. Był błąd jak ściana, na czoło wystąpiły mu krople potu. Sasha pojęła, że próbuje zebrać myśli i wewnętrzny monolog pomaga mu znaleźć rozwiązanie. Chyba nawet zapomniał, że wiezie pasażerkę.

- Potrzebowała aż pięciu tygodni, żeby do niego za dzwonić! Kazał jej poczekać na mnie. Mam nadzieję, że przynajmniej go posłucha i że ją zastaniemy.

Nagle przypomniał sobie o obecności Sashy i zwrócił się bezpośrednio do niej, chociaż patrzył nadal przed siebie:

Wiesz co? Trudno mi uwierzyć w tę całą historię. Tim twierdzi, że ostatni raz widzieli się pierwszego maja ubiegłego roku i później już się nie spotkali. A mój syn nigdy nie kłamie, ani dla korzyści, ani nawet we własnej obronie.

Jeżeli go znalazła, to znaczy, że nie stracili kontaktu - stwierdziła Sasha. Domyśliła się, że Tim ma nowy problem z dawną sympatią. Najwyraźniej dość poważny, skoro zdecydował się wtajemniczyć ojca.

Podjechali pod brzydki dom z odrapaną elewacją

i płatami papy zwisającymi z dachu. Jediną ozdobę otoczenia stanowił bujny krzew kwitnącej gardenii przy schodach.

Chcesz tu poczekać?

Nie wiem. Może przesiądę się na miejsce kierowcy i zostawię włączony silnik, żebyśmy mogli szybko uciec w razie konieczności.

Przepraszam. - Jake znieruchomiał z ręką na otwartych drzwiach auta. - Zdaje się, że ze zdenerwowania nawet ci nie wyjaśniłem, o co chodzi. Tim spędził ubiegłoroczny majowy weekend z nowo poznaną dziewczyną. Przedtem widzieli się zaledwie kilka razy, a potem już nigdy. Teraz zadzwoniła i poinformowała go, że pięć tygodni temu został ojcem. Przysięga, że nie miała nikogo innego. - Opuścił ręce i zgarbił się, jakby nagle postarzał się o kilka lat. Dziwna rzecz, taki właśnie bezradny i zdruzgotany wydał się Sashy jeszcze bardziej pociągający. Zapragnęła objąć go, przytulić do piersi i pocieszyć. Zła na siebie, że w krytycznej sytuacji myśli o głupstwach, postanowiła skupić się na problemie.

Może kłamie?

Chyba nie. Dziwna rzecz, ale wierzę jej. Nie szukała kontaktu przez całą ciążę, nie żądała pieniędzy ani ślubu. Wygląda na to, że dopiero po porodzie zorientowała się, że sama sobie nie poradzi. Dzisiaj oświadczyła, że skontaktowała się z prywatną agencją adopcyjną w Norfolk i chce oddać dziecko do rodziny zastępczej. Tim kazał jej zaczekać na mnie. Jeszcze nie wiem, co

zrobimy. Tim ciągle jest na morzu, ja wiecznie w terenie, ale nie pozwolę sprzedać mojej wnuczki!

Ile mamy czasu?

Jacy my? Sprawa dotyczy wyłącznie Tima, tej dziewczyny i mnie. Przepraszam, że cię w to wciągnąłem. Obiecuję, że kiedy wszystko załatwimy, dopilnuję, żebyś wreszcie odebrała samochód.

Duby smalone!

Co takiego? - Jake uśmiechnął się po raz pierwszy od chwili odebrania telefonu.

Wybacz, słoma mi z butów wylazła. Wychowałam się na wsi i jeszcze czasem wyrwie mi się jakieś gwarowe powiedzonko.

Mój ojciec zaczął dbać o to, żebyśmy się poprawnie wyrażali, dopiero gdy został pastorem. Chciałam powiedzieć: „Nie zaprątaj sobie głowy drobnostkami”.

Nieważne. Jeśli możesz, zastanów się, co powinniśmy kupić: butelki, smoczki, pieluchy i takie tam różne... Do diabła, czy ci smarkacze nigdy nie słyszeli o antykoncepcji? Podobno Tim nie miał jeszcze osiemnastu lat, kiedy się poznali. Skandal! - mruknął jeszcze pod nosem.

Jake chyba się domyślił, że Sasha nie zamierza stać z boku, bo obszedł samochód dookoła i podał jej rękę, a gdy wysiadła, przytulił ją na chwilę do piersi jak człowiek, który szuka wsparcia i czerpie energię z kontaktu z bliską osobą. Wstrzymała oddech. Miała wrażenie, że stymulują się wzajemnie, bo w nią również wstąpiły nowe siły.

Przeszli przez zaniedbane podwórko w kierunku domu przypominającego stare, odrapane pudło.

-Gdybyś potrzebował pieniędzy, nie krępuj się. Mam ich całe mnóstwo.

Jake zmarszczył brwi, posłał jej gniewne spojrzenie, nacisnął guzik dzwonka i równocześnie chwycił za klamkę. Weszli do sieni. Z pokoju dobiegały dźwięki jakiegoś rapowego przeboju. Jake mruknął pod nosem niezbyt pochlebny komentarz.

- Czego się spodziewałeś po nastolatce? Kołysanki?

Została matką, ale nie przestała być dzieckiem.

Gospodyni pojawiła się w przedpokoju. Błada i chuda, wyglądała, jakby żyła powietrzem. Brakowało jej właściwie wszystkiego: słońca, snu i co najmniej kilku kilogramów. Przyjrzała im się badawczo.

Jestem ojcem Tima - przedstawił się Jake. - Chyba panią uprzedził, że przyjadę? Gdzie mała?

Proszę wejść. Czy pani jest mamą Tima?

Przyjaciółką rodziny - skłamała. Wołała uspokoić dziewczynę, zanim Jake zdradzi, że wciągnął w sprawę prawie obcą osobę. Możemy zobaczyć dziecko?

Wypluła pokarm na ubranko, nie zdążyłam zmienić kaftanika - tłumaczyła się młoda matka. Zaprowadziła ich do drugiego pokoju jeszcze brzydszego niż pierwszy. Na środku rozgrzebanego łóżka stała skrzynka po bananach wypchana poduszką. Niemowlak zawzięcie kopał w deskę różową stopką. Maleńka

piąstka wygrażała całemu światu, a czerwona, wykrzywiona od płaczu buzia była mokra od łez.

- Oto ona. Nazwałam ją Tuesday, bo urodziła się we wtorek. Tuesday Smith - dodała zdecydowanym tonem.

-A pani?

- Cheryl - odrzekła niechętnie. - Cheryl Moser.

Wtorek - zżymała się Sasha w duchu. Nie natrudziła się przy wymyślaniu imienia. Wprawdzie rodzice jednej z gwiazd filmowych wykazali się podobnym brakiem wyobraźni, ale ta biedulka pewnie nawet nie wiedziała, że jej córeczka została imienniczką znanej aktorki. Jake wyglądał, jakby zaraz miał się przewrócić. Nie wiedziała, czy ma go podtrzymać, czy uspokoić dziecko. Wybrała to drugie rozwiązanie. Pochyliła się i ujęła w dłonie maleńką stopkę.

Dzień dobry, kochanie, nie denerwuj się, proszę. Następnie zwróciła się do Cheryl:

Szkoda, że pani wcześniej nie zadzwoniła.

Nie sądziłam, że ktokolwiek się tym przejmie.

A jak zareagowali pani rodzice?

- Mama nie żyje, a ojciec stwierdził, że jak sobie nawarzyłam piwa, to muszę je sama wypić.

Sasha nie wiedziała, co powiedzieć. Żadne słowa nie zmieniają sytuacji. Problem mogli rozstrzygnąć tylko sami zainteresowani.

Co to za agencja w tym Norfolk? - zapytał Jake z ponurą miną. Nieważne - wtrąciła się Sasha wbrew wcześniej-

szemu postanowieniu. - Dajemy dwa razy tyle co tamci. Nie zamierzała interweniować, słowa same wypłynęły jej z ust. Jake posłał jej karcące spojrzenie. Pochyliła się, podniosła mokrą, wrzeszczącą dziewczynkę z prowizorycznego posłania i zaczęła do niej przemawiać jak niegdyś do młodszego rodzeństwa. Czuła się wspaniale, trzymając na ręku niemowlę po raz pierwszy od niepamiętnych czasów. Cheryl westchnęła i próbowała wytłumaczyć swoją decyzję:

- Muszę wrócić do pracy na pełny etat. Kiedy brzuch urósł mi na tyle, że nie mogłam już obsługiwać gości, szef wysłał mnie do pomocy w kuchni. Po porodzie chciałam zabierać Tuesday ze sobą, ale zabronił mi i musiałam zostać w domu.

Sasha miała już rzucić niezbyt taktowną uwagę, ale się powstrzymała. Przypomniał jej się ulubiony cytat ojca: „Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni”. Sam Addler Parrish nigdy nie przestrzegwał biblijnego nakazu. Sasha poczuła, jak ciepła ciecz o zapachu kwaśnego mleka spływa po jej bluzce wartej prawie sto dolarów. Miała dziewięć lat, gdy na świat przyszły bliźnięta, a jedenaście, gdy urodził się Robert, zwany Bukiem. Po ostatnim dziecku matka bardzo chorowała i wszystkie obowiązki spadły na najstarszą córkę. Tuląc maleństwo w ramionach, wspominała własne dzieciństwo z mieszaniną nostalgii i goryczy.

Jake wymienił pokaźną sumę, Cheryl włożyła palec do ust i zaczęła ogryzać paznokcie. Widać

było, że rozważy propozycję. Sasha milczała, uniosła tylko znacząco brwi na znak, że jej oferta pomocy finansowej jest cały czas aktualna. Była gotowa zrobić wszystko dla tej kruzynki, nawet gdyby miała kogoś urazić.

Gdzie leżą jej rzeczy? Zmieniłabym jej pieluszkę i kaftanik. Wszystko wypłuka i ciągle brudzi ubranka. - Cheryl wskazała ruchem ręki stertę rzeczy na stole. Leżały tam kawałki płótna zastępujące pieluchy, zasyпка i butelka.

Chodź cukiereczku, Sasha cię przebierze i zaraz się lepiej poczujesz. - Przejrzała żałośnie ubogą stertę ciuszków, wybrała coś stosownego i zajęła się dzieckiem, jakby wynik negocjacji w ogóle jej nie interesował. Cheryl podkreślała, że Tim na pewno jest ojcem Tuesday. Na dowód prawdomówności pokazała świadectwo urodzenia. Jake starał się ją uspokoić:

Gdyby żądała pani pieniędzy lub ślubu, miałbym wątpliwości. Ponieważ nie oczekiwała pani niczego, jestem pewien, że mam do czynienia z uczciwą osobą.

Sasha pomyślała o siostrach. Całe szczęście, że obie za pierwszym razem tak dobrze trafiły. Mogły skończyć w nędzy jak ta biedna dziewczyna.

Dziecko chwyciło palec Sashy i usiłowało włożyć go sobie do buzi. Roześmiała się.

- Pierścionki nie będą ci smakować, kochanie, a ten szafir to imitacja. Lepiej poszukajmy smoczka.

Dzisiaj dam pani połowę, a resztę po dopełnieniu formalności. Przecież już mówiłam, że podpiszę wszystko, co trzeba - odpowiedziała Cheryl bliska płaczu. - Niech pan o nią dba i nikomu nie oddaje.

Sasha bardzo jej współczuła. Nie miała z czego żyć, a jednak zdecydowała się oddać córeczkę dopiero wtedy, gdy znalazła się w sytuacji bez wyjścia.

- Wiem, że robi to pani dla jej dobra - zapewniła.

Jake czuł się wyjątkowo zagubiony w ubogim domu pełnym niemowlęcych akcesoriów i pomiędzy dwiema kobietami, których oczy zwilgotniały od łez. Wyjął z portfela jakąś kartkę i zapisał swój numer telefonu.

Może ją pani odwiedzać o dowolnej porze, tylko proszę najpierw zadzwonić. Zapłacę zaraz po podpisaniu aktu adopcji, ale chciałbym zabrać Tuesday już teraz.

Dzisiaj? Nie mogłabym od razu dostać całej sumy?

Nie wiem, czy znajdę jakiegoś prawnika.

Pomogę - zaproponowała Sasha. - Znam jednego, który ma wobec mnie dług wdzięczności, bo wyświadczyłam mu kiedyś sporą przysługę. Na pewno nie odmówi, tym bardziej że nie istnieją żadne formalne przeszkody, a obie strony wyraziły zgodę.

Później dziwiła się sama sobie, że aż tak się zaangażowała. Nie tylko ze względu na wspomnienia z dzieciństwa. Odezwała się w niej również niespełniona,

wiecznie tłumiona potrzeba macierzyństwa. Dlatego zwróciła się do najważniejszej w tym towarzystwie osoby:

- Nic się nie bój, słoneczko. Sasha jest przy tobie, Sasha wszystko załatwi.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

-Widzicie, udało się - cieszyła się Sasha z tylnego siedzenia samochodu.

Wizyta u prawnika trwała niecałą godzinę. Obydwoje zainteresowani wypełnili dokumenty, Sasha złożyła swój podpis jako świadek. Musiała uważać, żeby nie poplamić łzami aktu adopcji, tak bardzo się wzruszyła. Jake wypisał dwa czek: dla Cheryl i dla adwokata. Droga powrotna upłynęła w milczeniu, dopiero pod koniec Jake oświadczył:

- Jutro założę jej książeczkę oszczędnościową i zacznę składać pieniądze na studia.

Właściwie mógł powiedzieć cokolwiek. Matka małego dziecka czuła chyba jedynie ulgę, że po długich miesiącach niedostatku ona i dziecko mają wreszcie zapewniony byt. Sasha bardzo współczuła nieszczęsnej dziewczynie i próbowała podnieść ją na duchu:

- Jake to wspomniał człowiek, możesz mi wierzyć. Nie musisz się martwić o córeczkę, będzie dla niej bardzo dobry. Jeśli poczujesz się samotna, dzwoń do mnie. Doskonale cię rozumiem, mam dwie młodsze siostry.

Jake odprowadził Cheryl do drzwi. Sasha została w samochodzie i szybko starła chusteczką resztki makijażu. Łzy zostały zacieki na policzkach, ale Jake widywał ją już w gorszym stanie. Po kilku minutach wrócił do samochodu.

- Musimy zatrzymać się przy jakimś sklepie - powiedziała Sasha. - Potrzebujemy wyprawki. Ta biedaczka nie miała właściwie nic, nawet na pieluchy podarła stare prześcieradło. Wątpiła, czy Jake zdaje sobie sprawę, że jego życie radykalnie się zmieni. Gdy Tim był mały, zapewne opiekowała się nim Rosemary. Pomimo wszystkich czekających go kłopotów Sasha okropnie mu zazdrościła. Jake włączył radio, skrzywił się, gdy usłyszał krzykliwą piosenkę, mruknął, że wołałby coś kojącego, i wyłączył je z powrotem. Jego słowa wywołały w umyśle Sashy daleko idące skojarzenia. Przypomniała sobie, jak niósł ją po schodach, i poczuła ciepło w okolicy serca. Jego bliskość, spojrzenie i dotyk podziały na nią wtedy jak łągodzący balsam. Zapragnęła znowu znaleźć się w jego ramionach i równocześnie wyrzucała sobie brak rozsądku. Zaparkowali przed wielkim domem towarowym.

-Może zadzwonisz do Tima, kiedy pójde po zakupy? Będzie z ciebie dumny

Godzinę później pchała w kierunku samochodu wyładowany wózek. Uśmiechała się na myśl o urządzaniu dzieciennego pokoju. Tuż za nią ekspedientka wiozła jeszcze większą stertę pakunków. Sasha wysy-

pała bilon z portmonetki, wrzuciła sprzedawczyni do kieszeni fartucha i serdecznie podziękowała. W sklepie opowiedziała jej całą historię, pominęła tylko nazwiska. Kobieta poruszona opowieścią nie chciała przyjąć napiwku, a na widok Jake'a wykrzyknęła:

-Ależ pan wcale nie wygląda na dziadka!

Nie zwracał na nią uwagi, patrzył jak zahipnotyzowany na stosy pudełek na wózkach. Sporo się jeszcze musisz nauczyć, kochany - pomyślała Sasha. _ Chętnie udzieliłabym ci paru lekcji, jeżeli dasz mi szansę.

-To jeszcze nie wszystko - uprzedziła ewentualny komentarz. - Kupiłam tylko podstawową wyprawkę, potrzebujemy jeszcze blatu do przewijania i kąpieli.

Wybrałam biały wózek, bo nie wiem, na jaki kolor po falujesz sypialnię. Były i większe, ale i tak będzie spać w łóżeczku.

Ponieważ Jake patrzył na dwa sklepowe wózki, jakby spadły z kosmosu, pospieszyła z wyjaśnieniem:

- Wcale nie jest tego tak dużo. Producenci lubują się w olbrzymich opakowaniach. Zachowałam paragon. Możemy zwrócić wszystko, co okaże się zbędne.

- Była w swoim żywiole. Zawsze marzyła o tym, żeby urządzić pokój dziecienny, najchętniej we własnym domu. Pochopny wybór życiowych partnerów, a później komplikacje ginekologiczne niemalże przekreśliły jej szanse na macierzyństwo. Mimo wszystko nie rezygnowała z marzeń. Uważała, że życie bez nich traci smak, a jeśli człowiek czegoś bardzo pragnie, czasem

zdarza się cud. Jake przypominał, że muszą jeszcze przypro-
wadzić jej samochód. Skwitowała całą sprawę machnięciem
ręki.

-Jak tam maleńka? Nie obudziła się, nie przegrzała?

Ach, otworzyłeś drzwi, żeby miała świeże powietrze.

Bardzo mądrze - pochwaliła.

Jake nie odpowiedział. Tu cię mam - pomyślała z satysfakcją. -
Nawet nie pomyślałeś o wietrzeniu, chciałeś się tylko nią na-
cieszyć. Pewnie puchniesz z dumy, że to cudo należy do cie-
bie.

Nie podzieliła się jednak tymi spostrzeżeniami, tylko od razu
przeszła do spraw praktycznych:

Na pewno jest głodna i mokra. Nie znalazłam maści przeciwko
odparzeniom, musimy zatrzymać się jeszcze gdzieś przy apte-
ce.

Sasho, nie musisz jechać ze mną... z nami. Bardzo nam pomo-
głaś, nie chcę zajmować ci zbyt wiele czasu.

Daj spokój! Czy chcesz, czy nie, jestem z nią związana, nawet
formalnie. Weź pod uwagę, że mój podpis widnieje na wszyst-
kich dokumentach adopcyjnych.

Jake miał coraz bardziej niepewną minę. Przeczesał ręką wło-
sy, spojrział na nią, na dziecko, wreszcie w bok. Właśnie taki
zakłopotany i onieśmielony wydał się Sashy najbardziej po-
ciągający.

-Pomogę ci tylko to wszystko rozpakować, a potem wezmę
taksówkę i pojedę do Kitty Hawk po samochód.

Doskonale wiedziała, że trochę to potrwa. Oprócz
tego zdawała sobie sprawę, że bez niej Take sobie nie poradzi,
i skrycie się z tego powodu cieszyła. I jeszcze z nowej blu-
zeczki równie taniej, co efektownej. Nigdy wcześniej nie
ubierała się w domach towarowych. Ładnie by wyglądała,
gdyby pojawiła się u klienta i zastała identycznie ubraną po-
kójówkę!

-Usiądź z przodu, musimy porozmawiać – poprosił Jake z nie-
przeniknionym wyrazem twarzy.

Na szczęście skręcił w drogę do Manteo. To oznaczało, że nie zamierzał się jej pozbyć, przynajmniej na razie. Czekala w milczeniu niespokojna, co zaraz usłyszysz, ale on również nie odezwał się ani słowem.

Jak ją nazwiemy? - zagadnęła przekonana, że i jemu nie podoba się imię zapisane w metryce. - Jak miała na imię twoja mama?

Rebeka - rzucił krótko i postukał palcem w kierownicę.

Ładne. Jak nie będzie jej się podobało, może zmienić. Ja tak właśnie zrobiłam. Na chrzcie nadano mi imiona Sally June, ale kiedy dorosłam, uznałam, że to do mnie nie pasuje.

Jake otworzył szeroko oczy, a potem uśmiechnął się po raz pierwszy od początku wyprawy. Chyba wreszcie pogodził się z sytuacją.

Jak na to wpadłaś? I dlaczego właśnie Sasha?

Spodobała mi się bohaterka jakiejś powieści. Od najmłodszych lat połykałam książki. Niektóre musiałam chować pod kołdrą albo w koszu na bieliznę.

Czytałaś takie rzeczy? - ostatnie dwa słowa

wymówił ze szczególnym naciskiem. Wyraz rozbawienia na twarzy ujmował mu co najmniej kilka lat. Sasha doszła do wniosku, że jest niewiele starszy od niej. Zapewne dorobił się pierwszych zmarszczek od ciągłego przebywania na dworze. Z pewnością nie stosował kremu ochronnego. Mężczyźni nigdy o tym nie myślą.

Kupowałam wszystko, co na pchlim targu kosztowało mniej niż dziesięć centów. Rzadko trafiały mi się takie okazje. Ubdzy ludzie niechętnie pozbywają się swoich skarbów, toteż oferta nie była zbyt bogata - powiedziała lekkim tonem, ale nie potrafiła ukryć goryczy. Wyrosła w biedzie, pewnie stąd wzięło się jej upodobanie do luksusu.

Czy w czasach twojego dzieciństwa producenci dołączali do opakowań książki w ramach promocji?

O tak, chyba nawet nadal to robią, ale jak przeczytasz trzy, wiesz, jak się skończy czwarta.

Znów się uśmiechnął, po raz drugi w ciągu pięciu minut. Napięcie całkowicie zniknęło z jego twarzy, pionowa zmarszczka na czole wygładziła się, za to te koło ust pogłębiły. Sasha prawie zyskała pewność, że nabrał do niej zaufania, może nawet jeszcze przed wizytą u prawnika, po rozmowie z synem. Mógł przecież podrzucić ją do domu i sam pojechać do Cheryl albo podziękować i pożegnać się po wyjściu z kancelarii, a jednak nie skorzystał z żadnej z tych okazji i jeszcze zabierał ją do siebie. Czują, że jej potrzebuje, chociaż się do tego nie przyznaje, i serce jej rosło z radości.

Rozsądek podpowiadał, że za dużo sobie wyobraża. Zawsze kierowała się uczuciem, a nie rozumem.

Jake spochmurniał, zmarszczka na czole znów się pogłębiła. Sasha obejrzała się. Dziecko leżało spokojnie z szeroko otwartymi oczami najwyraźniej zafascynowane zmianą otoczenia.

O imieniu niech zadecyduje Tim. Dzwoniłem do niego, kiedy wyszłaś po zakupy, ale nie poruszaliśmy tego tematu. Mieliśmy ważniejsze sprawy do omówienia.

Musimy się do niej jakoś zwracać.

Chyba niewiele jeszcze rozumie.

Ale odbiera sygnały z otoczenia. Kiedy niemowlak wyczuje, że nie umiesz się z nim obchodzić, będzie potrafił wyrazić niezadowolenie. Przeważnie bardzo głośno i najczęściej w środku nocy. Sam się wkrótce przekonasz.

Ejże, nie rób ze mnie niedołęgi. Nie pierwszy raz widzę dziecko na oczy! O ile pamiętam, Tim nie sprawiał żadnych kłopotów.

Bo twoja żona wiedziała wszystko o kolce, ząbkowaniu i nocnym karmieniu. Pewnie wiele razy wstawiała do niego, gdy spałeś. Peaches będzie wymagała wiele troski, przygotuj się! Peaches? Brzoskwinie? Szkoda, że w restauracji nie zamówiłaś czegoś konkretnego. Teraz nawet moja wnuczka kojarzy ci się z jedzeniem. Głodnemu chleb na myśli!

No to się jej przyjrzyj. Ma aksamitne policzki jak świeży owoc i w dodatku dołeczek w podbródku, zu-

pełnie jak ty. Włosy dopiero zaczynają rosnać, ale bez wątpienia zaczną się kręcić. Podobno te dwie cechy są powiązane genetycznie. Oczy też mogą jeszcze zmienić kolor, wszystkie niemowlęta mają niebieskie. - Jake miał orzechowe oczy, a główkę dziewczynki pokrywał ledwie widoczny meszek, ale Sasha na siłę szukała podobieństw. Wiedziała, że nic tak nie umacnia związku mężczyzny z dzieckiem jak świadomość pokrewieństwa.

- Na Boga, Sasho, zupełnie oszalałaś na jej punkcie! - wykrzyknął. W jego głosie dało się słyszeć zarówno rozbawienie, jak i irytację. - Ty pragniesz mojego dziecka.

Zapadła kłopotliwa cisza, Sashy zapało dech z wrażenia. Trafił w samo sedno. Zdała sobie sprawę, że wpadła po uszy. Tak jest, chciała jego dziecka. Adoptowanego też, ale przede wszystkim własnego, poczętego w szale namiętności, w pościeli, wśród miłosnych zakłéc. Miała małe szanse na ciążę, ale poprosiła tego mężczyzny tak rozpaczliwie, że gdyby tylko odwzajemnił jej uczucie, była gotowa próbować aż do skutku. Mówi się, że miłość potrafi zdziałać cuda. Może i ona dostąpiłaby szczęścia.

Z drugiej strony, w czasie całej, dość krótkiej znajomości, Jake nigdy nie okazał jej większego zainteresowania. Chwilami łudziła się, że mu się podoba. Kiedy niósł ją po schodach, a potem do szpitala, oczy mu pociemniały, oddech stał się płytki i przyspieszony. Może odurzył go zapach jej perfum? Podejrzewała jednak,

że zwyczajnie się zmęczył, dźwigając niemały przecież ciężar taki kawał drogi. Ale chciało mu się następnego dnia przyjechać do Muddy Landing, żeby sprawdzić, jak się czuje. To naprawdę miły i uczynny człowiek -podsumowała swoje rozmyślenia. Wolałaby, żeby tylko jej jednej okazywał taką uprzejmość. Krótko mówiąc, marzyła o odwzajemnionej miłości. Przeżywała już w życiu erotyczne uniesienia, ale żadnego mężczyzny nie pragnęła aż tak bardzo. Mógł sobie nosić wytarte dżinsy i niemodne koszule. Tym razem liczyła się tylko zawartość, nie opakowanie. Chciała, żeby jej pragnął, żeby żałował straconych lat, kiedy jej nie znał, żeby z daleka nasłuchiwał jej kroków i rozpoznawał jej chód nawet wtedy, gdy wejdzie do ciemnego pokoju boso i na palcach.

Przejechali już koło dwóch sklepów, lecz Sasha nie mogła sobie przypomnieć, co jeszcze planowała kupić. Tempo ostatnich wydarzeń i zamęt w głowie nie pozwalały jej się skoncentrować na codziennych sprawach. Dziwiła się sobie, że aż tak się zaangażowała. Jej pierwszy i trzeci mąż byli o wiele przystojniejsi. Larry dbał o siebie do przesady, wydawał na kosmetyki i fryzjera więcej, niż zarabiał, chociaż ledwo starczało im na czynsz. Czwarty, Frank, był bogaty i na swój sposób hojny. Jeśli wydał na siebie tysiąc dolarów, Sasha dostawała sto na drobne wydatki. Potrafiła cieszyć się z tego, dopóki nie poznała źródła jego dochodów. Teraz nie wiedziała, dokąd zmierza, ale jednego była pewna: zakochała się na zabój.

Nie wiadomo dlaczego, przypomniła sobie napis na starym podkoszulku mamy: „Płyn z prądem”. Jako dziecko często pytała, co te słowa oznaczają.

- Och, to taka stara maksyma. Dorośli do znudzenia powtarzali ją młodzieży, kiedy byłam nastolatką.

Sasha, jeszcze wtedy Sally June, nigdy nie uznawała konwensów, autorytetów ani gotowych recept na życie. Starła się zachować otwarty umysł i samodzielnie kształtować swój świat. Młodość jej matki przypadła na czasy hipisów. Ci, którzy „płynęli z prądem”, nosili wtedy na bluzkach stokrotki i znaki pacyfistów, spali w namiotach, palili trawkę i uprawiali wolną miłość. Sashy podobał się ten nurt, ponieważ wyrósł z buntu przeciwko skostniałym normom społecznym. Wątpiła jednak, czy gdyby się wtedy urodziła, zechciałaby podążać za tą modą. Nie gustowała w rozczłapanych butach, workowatych sukienkach i spłowiałych džinsach. A już na myśl o owłosionych nogach u kobiet dostawała gęsiej skórki.

Stare, wyświechtane powiedzonko mogło oznaczać jeszcze coś całkiem innego: pogodzenie się z rzeczywistością, poddanie się losowi. Nowa znajomość była dziełem przypadku. Może to znak, że powinna zaprzestać buntu i dać się ponieść fali wydarzeń? Może w końcu dokona się w jej życiu pozytywny przełom?

Jake jechał ostrożnie, przestrzegał przepisów i zwalniał przed każdym skrzyżowaniem. Sasha pomyślała, że jeśli los rzeczywiście przeznaczył ich dla siebie, po-

winien się trochę pospieszyć, w przeciwnym razie księżę z bajki zabierze dziecko do domu i nigdy go więcej nie zobaczy. Zgodnie z jej niewypowiedzianym życzeniem, Jake zatrzymał się przed przydrożnym punktem gastronomicznym i zamówił dwa cheeseburgery i pieczone mięso. Dopiero zapach jedzenia uświadomił jej, że jest głodna.

Zjemy u mnie, to tylko kilka minut drogi stąd - zaproponował pogodnie, ale zaraz zmarszczył brwi. - Ojej, zupełnie zapomniałem!

O czym? Staraj się nie okazywać zdenerwowania, nie wolno niepokoić Peaches.

Nie wyjaśnił, jakie ma kłopoty, tylko ponarzekał jeszcze i skręcił w prawo, w lewo, znów w prawo i wreszcie zatrzymał się przed domem z szyldem „JBS Security”. Dwóch mężczyzn pracowało na dachu, w drzwiach ukazał się malarz z drabiną.

- Mieli dzisiaj skończyć - jęknął Jake. W jego głosie brzmiało zarówno znużenie, jak i irytacja. - Poczekaj na mnie, wrócę za minutę.

Za chwilę pojawił się z powrotem i zapytał, czy chce wejść do łazienki. Przytaknęła, raczej z ciekawości niż z potrzeby.

Wprowadził ją do środka.

- Jeszcze chwilę, tylko odslucham wiadomości i zadzwonię do kilku osób.

W biurze poznała sekretarkę, panią Marthę, i Hacka, geniusza w dziedzinie informatyki. Jake przedstawił załodze ostatnie wydarzenia w bardzo skrótowej formie i poprosił Saszę, żeby dokończyła. Pani Mar-

tha, niemłoda już kobieta, pogratulowała jej pomysłu z prawnikiem i obejrzała niemowlę.

-Ma taki dołeczek w podbródku jak jej dziadzio - zachwycała się natychmiast. - Ale historia! Jak z serialu!

Sasha wołała się nie wypowiadać na ten temat. Rzadko oglądała telewizję. Nie lubiła opowieści o cudzym życiu, wołała tworzyć własną rzeczywistość.

Chyba jej oczka pozostaną niebieskie, jak pani myśli?

Możliwe, Tim ma tak błękitne jak pogodne niebo - uśmiechnęła się sekretarka. Wydawało im się, że dziewczynka była zachwycona zainteresowaniem, jakie wzbudziła, ale Sasha nie pamiętała, kiedy niemowlęta zaczynają rozpoznawać otoczenie.

Kiedy tylko skończy się malowanie w sąsiednim pokoju, będziemy ją codziennie widywać - cieszyła się pani Martha. - Zaczęliśmy od biura, teraz szef tam sypia. Tylko czy łóżeczko się zmieści? Zaproponuję mu, że będę ją zabierać na noc i codziennie przywozić do pracy.

Nie trzeba, wszystko już uzgodniliśmy — skłamała Sasha.

Dziecko zaczęło kwilić. Sekretarka zaproponowała, że je nakarmi. Sasha ruszyła do samochodu po butelkę, a Hack wyłączył klimatyzację, żeby nie hałasowała. Po chwili pojawił się Jake, jeszcze bardziej zdenerwowany niż poprzednio. Nie dziwiła mu się. Dom wyglądał jak po trzęsieniu ziemi.

Posłuchaj, tu nie ma warunków dla dziecka. Niech zamieszka u mnie, póki nie skończy się remont. Zabiorę Peaches do siebie taksówką, a ty jutro przywieziesz mi jej rzeczy. - Wiedziała, że nie powinna się wtrącać, ale nie potrafiła pozostać obojętna.

Zgoda, ale sam was odwożę, jeszcze tylko jeden telefon.

Sasha czekała w samochodzie, Jake wrócił dziesięć minut później i bez słowa ruszył na północ.

-Malowanie części mieszkalnej nie skończy się w tym tygodniu. Jeden z malarzy się żeni – oznajmił z ponurą miną.

-I tak ci przykro z powodu wesela?

-Nie tylko. Jamisonowie doszli do porozumienia, straciłem zlecenie.

Sasha nareszcie dowiedziała się, czego Jake szukał w Driftwinds. Willa, którą urządziła, należała właśnie do tej rodziny. Miała nadzieję, że rodzinne spory nie odbiją się na jej pracy. Zresztą już wykonała zadanie, pozostało tylko odebrać wynagrodzenie.

-Rzecz w tym, że nie wierzę w niewinność tego człowieka, ale nie mam przeciwko niemu materiałów dowodowych. To szczywany lis. Boję się, że może wywieść ją w pole. Formalnie dom jest własnością spółki, ale pani Jamison sfinansowała jego budowę. Teraz rozgłaszają, że się pogodzili, ale podejrzewam, że coś się za tym kryje.

Sasha nie umiała mu pomóc. Rozwodziła się cztery razy, ale nie przeżyła podobnej sytuacji. Przyjrzała się

kierowcy. W mgnieniu oka zdążył się opanować, jechał szybko, lecz pewnie, jakby bez wysiłku. Zazdrościła mu wewnętrznej dyscypliny i zastanawiała się, czy inne rzeczy przychodzą mu równie łatwo.

Przypuszczam, że Jamison umówi się na jeszcze jedną schadzkę. To już ostatnia okazja. Później pojawią się turyści i zajmą jego gniazdko miłości na całe lato. - Mówił prawie szeptem, żeby nie zbudzić wnuczki.

Dlaczego uważacie, że właśnie tam się spotykają? Przecież tam go łatwiej wytropić niż w hotelu.

Zgodziłbym się z tobą, gdyby chodziło o szeregowego obywatela, ale jego twarz widnieje na wszystkich plakatach wyborczych, każdy może go rozpoznać. A to, że dogląda własnego domu, nikogo nie zdziwi.

Sashy przyszło do głowy mnóstwo kontrargumentów, ale żadnego głośno nie wyraziła. W końcu Jake miał spore doświadczenie, a pani Jamison znała własnego męża lepiej niż ona, - Jeżeli chcesz go mimo wszystko poobserwować, zaopiekuję się małą, gdy ty będziesz czatował na kochanków. Jeżeli jest tak głupi, że umawia się tam, gdzie najłatwiej go znaleźć, niech ma, na co zasłużył.

Jake przygryzł dolną wargę. Obydwoje wiedzieli, że potrzebują kogoś do opieki nad wnuczką. Sasha właśnie na tym budowała swoje nadzieje na przynajmniej kilkudniowy kontakt z tą słodką laleczką. Wmawiała sobie, że niczego więcej się nie spodziewa. Nie potrafiła wytłumaczyć, czemu czuje aż tak bliską więź

z niemowlakiem, którego po raz pierwszy zobaczyła zaledwie kilka godzin temu, oraz z jego dziadkiem, którego znała niewiele dłużej. Na przyjaciółkach i rodzinie zawsze robiła wrażenie lekkomyślnej, a nawet powierzchownej. Zagłuszała tykanie biologicznego zegara, całą energię wkładając w pracę. Teraz, trzymając małą istotkę w ramionach, ponownie usłyszała jego bicie.

-Jeżeli wysadysz mnie w Driftwinds, odwożę małą do domu moim autem, a ty możesz ukryć się w sąsiedztwie i obserwować rozwój wypadków - zaproponowała. - Tylko uważaj, żeby nikt cię nie zauważył. – Ostatnie słowa stanowiły aluzję do sposobu, w jaki się poznali.

Uśmiechnął się przelotnie, ona też. Najchętniej nazwałaby tamto spotkanie zrzędzeniem, a nawet darem losu. Wprawdzie tylko pożyczone, ale nareszcie miała dziecko.

- Nie musisz się spieszyć, rozwikłaj zagadkę Jamisonów i weź się za inne, które na ciebie czekają. Ja i tak większość zadań wykonuję w domu: szkicuję plany, składam zamówienia, dzwonię do klientów.

W najbliższym czasie nigdzie się nie wybieram. Dopilnuję maleństwa jak należy. - Nie wspomniała o tym, że odwiedza wszystkie targi, giełdy staroci i wyprzedaje w promieniu kilkuset kilometrów w poszukiwaniu ciekawych materiałów do dekoracji wnętrz. Buszowanie po bazarach mogło poczekać. Jake jej się podobał i reklamowała swoje usługi najlepiej, jak potrafiła, żeby go przekonać. Może trochę zbyt natrętnie, ale

korzystała z okazji, że może się przydać. Tak bardzo chciała być komuś potrzebna. Nie, nie komuś, konkretnie jemu i Peaches.

Dziękuję - odparł sucho i nagle położył rękę na jej udzie.

Sashy zaparło dech. - Jak tam kostka?

Zdażyłam zapomnieć, że mam coś takiego. - W tym momencie nie pamiętała chyba nawet o tym, że ma mózg, czuła tylko to miejsce na nodze, którego dotykała jego dłoń. Stamtąd płynęły fale gorąca wzdłuż całego ciała.

Jake przez cały czas nie odrywał wzroku od szosy. Musiał uważać, ruch przed świętami znacznie się nasilił. Dopiero na światłach zatrzymał się i popatrzył na nią badawczo.

Ja nie zapomniałem, możesz mi wierzyć.

Czy to komplement?

Traktuj to, jak chcesz. - Dotknął ręką jej szyi poniżej linii włosów. - Zastanów się, czemu ciągle szukałem pretekstu, żeby cię odwiedzić, mimo nawału pracy?

Sasha zaczęła nagle szybciej oddychać.

-Przypisywałam twoją gorliwość wyrzutom sumienia - odparła zupełnie bez sensu. Skąd miał wiedzieć, że na tarasie w Driftwinds wypatrywała go, zamiast patrzeć pod nogi?

Jake przesunął ręką wzdłuż jej szyi i delikatnie musnął palcami płatek ucha.

-Czemu miałbym się czuć winny? - droczył się. - Jeszcze nic nie zrobiłem.

Dźwięk klaksonu niespodziewanie zburzył cały nastrój. Światło dawno już zmieniło się na zielone, a za nimi ustawiła się długa kolejka samochodów.

- Później - powiedział Jake.

Obiecujecie czy grozi? - łamała sobie głowę Sasha. Serce biło jej szybko i nierówno.

RS

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Reszta drogi upłynęła w milczeniu. Dopiero przed jej domem Jake zapytał, czy dobrze rozważyła swoją decyzję.

-Gdybym miała jakiegokolwiek wątpliwości, nie zaproponowałabym ci pomocy. Prawda, maleńka? - Rozpięła pas, pochyliła się nad dzieckiem i ucałowała jego nagie stopki.

Spytał jeszcze raz o to samo. Popatrzyła na niego z wyrzutem i wręczyła mu klucze. Wniósł część rzeczy, wrócił po następną partię i po jeszcze jedną. Sasha spróbowała sobie wyobrazić dzień, w którym przyjedzie zabrać Peaches. Wiedziała, że musi przez to przejść, zastanawiała się tylko, czy Jake zgłosi się zaraz po zakończeniu remontu, czy dopiero kiedy upora się ze sprawą Jamisonów. Kogo będzie jej bardziej brakowało: jego czy Peaches? Tylko czas mógł przynieść odpowiedź.

Jake wyjął dziecko wraz z fotelikiem z samochodu, Sasha przytrzymała mu drzwi.

- Tylko się nie potknij - ostrzegła, kiedy przekraczał próg.

Posłał jej spojrzenie, z którego nie potrafiła nic wyczytać. Za każdym razem, gdy na nią patrzył, wstrzymywała oddech. Wodziła za nim oczami, podążała za każdym jego ruchem jak słonecznik za słońcem. Wystarczył niewinny żart, nic nie znacząca uwaga, a przeżywała na jawie sny, które nie miały szans na urzeczywistnienie.

Jake postawił fotelik na stole.

-Sasho? - powiedział półgłosem.

Imię zabrzmiało w jej uszach zwielokrotnionym echem.

Mhm? - Tylko tyle mogła z siebie wydobyć.

Ostrzegam, zamierzam cię pocałować - oświadczył tak spokojnym głosem, jakby czytał ogłoszenie w gazecie.

- Śmiało, nie krępuj się - odrzekła ciszej niż zwykle.

Roześmiał się z niedowierzaniem. Spojrzała na jego twarz i już wiedziała, że wpadła na dobre. Jego usta były miękkie i wilgotne. Całował delikatnie, prawie nieśmiało, a krew w żyłach Sashy wrzała jak lawa we wnętrzu wulkanu.

Uniosła się na palcach i objęła go za szyję. Silne dłonie przesuwaly się po jej plecach od ramion do talii i poniżej. Przycisnął jej biodra do swoich i poczuła jego pożądanie. Jake rozchylił językiem jej wargi, nie agresywnie, lecz powoli, z rozmysłem, delectował się pocałunkiem, jakby mieli nieograniczoną ilość czasu na rozkoszowanie się wzajemną bliskością. Serce Sashy biło coraz mocniej. Wydawało jej się,

że pomiędzy nimi przebiegają elektryczne impulsy, że dwa ciała tworzą jeden zamknięty obwód, przez który nieprzerwanym strumieniem przepływa przepotężna energia namiętności. Obejmował ją tak ciasno, że z trudem łapała oddech. Była szczęśliwa, potrzebowała go bardziej niż powietrza. Otarła policzek o jego pierś.

Nigdy mnie nie opuszczaj - błagała w myślach. -Mogłabym tak stać wtulona w ciebie przez całą wieczność lub jeszcze lepiej leżeć na górze w sypialni.

Cichutkie kwilenie przywróciło ją do rzeczywistości. Zawstydziała się, że zapomniała o najważniejszym gościu.

Peaches, słoneczko moje - zaszczębiotała. - Niewygodnie ci, wiem, już cię stamtąd zabierzemy.

Poczekaj, zaraz przyprowadzę wózeczek. - Jake mówił tak spokojnie, jakby przez cały czas nic innego nie robił, tylko zajmował się dzieckiem.

Popatrz w okno. Czyżby zaczynała się burza? Zdawało mi się, że zagrzmiało. - Naprawdę słyszała zaledwie dalekie pomruki, za to prawdziwy huragan przetoczył się przez jej ciało i duszę. Wzięła dziecko na ręce i weszła po schodach do sypialni. Jake wniósł wózek. Musieli jeszcze uprzątnąć ze stołu całą masę katalogów, próbek i zdjęć - żeby pomieścić wiklinowy kosz pełniący funkcję łóżeczka. Sasha wymościła go egipską poduszką. Co chwila prosiła, żeby Jake coś przelożył, przestawił albo wyniósł. Znalazłaby jeszcze tysiąc powodów, żeby tylko zatrzymać go przy sobie

jak najdłużej. Jake wykonywał polecenia z pewnym rozrządzeniem, czasami dwa razy pytał, zanim pojął o co chodzi. Sasha przypisywała jego brak koncentracji zmęczeniu po ciężkim dniu i zagubieniu w obcym domu. Jednak w głębi duszy żywiła nadzieję, że przyczyną jego stanu jest wrażenie, jakie wywarł na nim pocałunek. Śledziła każdy jego ruch, podziwiała grę napiętych mięśni. Wiedziała, że tej nocy będą ją budzić erotyczne sny. Kiedy wszystkie rzeczy znalazły się na swoim miejscu, zaczęła jeszcze rozważać, czy nie dałoby się wykorzystać bujanego fotela z salonu jako kołyski, i wdała się w dyskusję na temat dawnych i nowych metod wychowania dzieci.

Powiniennem już wracać do Manteo - przypomniał. Nie określił, jak długo Peaches pozostanie u Sashy ani kiedy ją ponownie odwiedzi, nie wspominał też ani słowem o pocałunku. - Jak ci się wydaje, czy ona wie, gdzie jest?

Oczywiście. Nie rozróżnia jeszcze szczegółów, ale kolory na pewno. I czuje atmosferę otoczenia.

- Podeszła całkiem blisko, starała się go jednak nie dotykać.

Aha, atmosferę - powtórzył i włożył ręce do kieszeni. Popatrzył na wyblakły purpurowy dywan, jasnozielone obicie kanapy i kremowe tapety w damasceńskie wzory. Każdy element wyposażenia pochodził z innego kompletu, kraju, a nawet epoki.

Peaches wydaje się o wiele inteligentniejsza niż większość dzieci w jej wieku - stwierdziła Sasha z prze-

konaniem i spuściła wzrok. Wiedziała, że na zawsze zapamięta widok męskich butów na chińskim dywanie obok tapczanu. Byłaby szczęśliwa, widząc je każdego ranka w tym miejscu. Lecz Jake oddał swój skarb w dobre ręce i szykował się do odwrotu. Wiedziała, że nie ma innego wyjścia. Po telefonie od Tima musiał zostawić wiele spraw niedokończonych, żeby zająć się odzyskaniem wnuczki.

- Wiem, że musisz wracać do pracy - mruknęła niechętnie, podświadomie oczekując zaprzeczenia.

Skinął potakująco, ale nie ruszył się z miejsca. Sasha próbowała sobie wbić do głowy, że wcześniej czy później musi się pogodzić z jego odejściem. Bez skutku. Zakochane serce nie chciało słuchać głosu rozsądku. Gorączkowo szukała jakiegoś w miarę neutralnego tematu, żeby przeciągnąć wizytę. W końcu uznała, że najbezpieczniej będzie porozmawiać o sprawach zawodowych.

- Pewnie oprócz pani Jamison masz jeszcze wielu klientów? Wiedziała od sekretarki, że ostatnio posypały się nowe zlecenia, szukali nawet pracownika, ale nikt się nie zgłosił. Pani Martha narzekała, że szef traci czas na prywatne sprawy, a zaległości rosną. Sasha pojęła, że trudno mu będzie wygospodarować wolne chwile dla wnuczki, a co dopiero dla nowo poznanej kobiety. Jeden pocałunek dokonał kompletnego spuszczenia w jej umyśle, ale dla niego nie musiał nic oznaczać. Czekał ją zwykły los samotnej matki, czy też babci,

i godzenie obowiązków rodzicielskich z pracą zawodową. Faylene powiedziałaaby: „Nawarzyłaś piwa, to je teraz pij”. Mimo wszystko była pewna, że sobie poradzi. Niemowlę spróbowało gaworzyć, a potem zapłakało. Wzięła je na ręce. Chodź do mamy, zaraz dostaniesz jeść i wszystko będzie dobrze.

Do kogo? - zdumiał się Jake i spojrział na jej stopy. - Uważaj, nie potknij się, w takich butach łatwo o nieszczęście.

Czy zdajesz sobie sprawę, że znam to dziecko dokładnie tak długo jak ty? - odparła urażona. Nie miała na sobie szpilek, tylko praktyczne sandały na zaledwie kilkucentymetrowych platformach. - Jestem z nią osobiście związana, mój podpis widnieje na wszystkich dokumentach adopcyjnych, a doświadczenie mam większe niż ty.

Czyżbyś miała dziecko?

Mówiłam ci przecież, że niańczyłam siostry bliźniaczki i najmłodszego braciszka, a ostatnio najlepsza przyjaciółka zaprosiła mnie na chrzciny. Wkrótce zostanę matką chrzestną - oświadczyła z dumą.

Jake zmarszczył brwi, jakby rozważał jej słowa. Nie spieszył się do wyjścia. Przed chwilą podkreślał, że wzywają go obowiązki, teraz wołał zostać i sprawdzić, jak sobie poradzi. Chyba się zorientował, że trochę zbyt mocno podkreśla swoje kwalifikacje.

No dobrze, niech patrzy, nie zawiedzie się - pomyślała i zeszła do kuchni podgrzać mleko. W lodówce

znalazła zapiekanekę od Marty. Przynajmniej nie musi się martwić o kolację.

Wróciła z butelką do salonu. Jake siedział w fotelu, a Peaches tuliła główkę do jego piersi i ssała palec. Sasha znieruchomiała w progu i chłonęła oczami sielankowy obrazek. Twardy, nieustraszony detektyw emanował ciepłem i czułością, muskularna dłoń przykrywała prawie całe plecki dziecka. Tak właśnie powinno wyglądać jej dalsze życie.

- Chyba usnęła - wyszeptał Jake, kiedy ją spostrzegł.

- Boję się poruszyć, żeby jej nie zbudzić.

Wzięła od niego niemowlę.

- Wiele się zmieniło od czasów, kiedy opiekowałam się rodzeństwem - zastrzegła Sasha na wszelki wypadek. - Nie stać nas było na jednorazówki.

Musielśmy używać pieluszek z tetry, a nie mieliśmy suszarni.

W czasie niepogody wisiały w całym mieszkaniu.

Że też musiała się tak użalać nad przeszłością! Jakby jej było mało, powtórzyła jeszcze opowieść o bliźniaczkach. Zaczęły chodzić właśnie wtedy, gdy urodził się ich brat. Rozpełzały się, każda w innym kierunku, najchętniej podczas przewijania lub karmienia Bucka i oczywiście z upodobaniem włożyły tam, gdzie najłatwiej było o wypadek,

- Dopóki nie pošlesz jej do przedszkola, nie licz na to, że pogodzisz wychowanie dziecka z obowiązkami zawodowymi - zakończyła, usiadła na sofie i przystawiła smoczek do maleńkich usteczek. Nie zapytała, ile

lat miał Tim, gdy zmarła mu mama. Nie chciała rozdrapywać zabliznionych ran.

Jake wcale nie szykował się do odejścia. Obowiązki czekały, a on nic sobie z tego nie robił, tylko siedział w salonie i doglądał niańki swojej wnuczki. Oczy zwilgotniały jej od łez. Tak bardzo chciała, żeby już został w tym miejscu. Zastanawiała się, czy jeszcze raz ją pocałuje i czy będzie umiała dalej żyć, jeżeli tego nie zrobi. Skrzyżował nogi w kostkach, a ręce na pierśiach, zmęczony, zadowolony i wspaniały. Właściwie był niespecjalnie przystojny. Przypominał Sashy aktorów, takich jak Robert Mitchum czy Steve McQueen. Żaden z nich nie miał urody amanta, ale kobiety za nimi szalały. O takich ludziach mówi się, że mają w sobie coś, chociaż trudno dla tego „czegoś” znaleźć nazwę, tak jak trudno określić, co to jest piękno. To, co najbardziej zachwycało Saszę, miała właśnie przed sobą. Na widok tego mężczyzny robiło jej się gorąco i z przerażeniem myślała, jak długa i zimna będzie noc bez niego. Nie jedna. Czeka ją wiele, wiele nocy jeszcze bardziej samotnych niż do tej pory. Im prędzej się z tym pogodzi, tym lepiej. Ten jeden dzień całkowicie zmienił zarówno jej życie, jak i nastawienie do świata.

Krople deszczu zadzwoniły o szyby. Jake niczego nie zauważył, trwał w bezruchu z zamkniętymi oczami, jakby się zdrzemnął. Żeby to sprawdzić, zapytała:

Na jakie kolory malujesz dom?

Na biało - odrzekł bez zająknięcia zupełnie przytomny.

- To akurat wiem, widziałam przecież elewację i biuro, chodzi mi o część mieszkalną.

Gdyby znali się dłużej, doradziłyby mu dla firmy kolory piasku lub karmelu z granatowymi akcentami. Siedziba agencji detektywistycznej powinna budzić zaufanie klientów i kojarzyć się z solidnością i niezawodnością, a nie ze szpitalem.

- Na białą - powtórzył i szeroko otworzył oczy. Pozostał w tej samej pozycji ze skrzyżowanymi rękami.

Tak bardzo pragnęła znaleźć się pomiędzy nimi, wtulić się w szeroką, męską pierś, oprzeć głowę na jego szyi.

Chyba już zupełnie nie mam ambicji - zgaśniła siebie w myślach. - Nie, ani odrobiny i do niczego mi ona niepotrzebna...

Jake siedział w fotelu i obserwował Saszę spod w półprzymkniętych powiek. Wyglądała jak sama matka natura: miętutka, kobieca, opiekuńcza, z maleństwem na ręku. I równocześnie nieodparcie pociągająca. Zapewne wołałaby zgubić kilka kilo, jak to kobieta, ale on uważał, że ma idealne proporcje - nic dodać, nic ująć. Próbował zwalczyć pokusę.

Tim urodził się siedem miesięcy po ślubie, a teraz sam wpałował się w kłopoty, zanim dojrzał do małżeństwa. Jake Smith, ojciec, dziadek i szef firmy, powinien być mądrzejszy.

Klienci czekają. Ma doskonały powód do odejścia, póki nie będzie za późno. Ale z drugiej strony, Sasha trzyma na rękach jego wnuczkę, ma więc równie doskonały pretekst, żeby jesz-

trochę posiedzieć. Na siłę szukał wymówki, żeby jednak zostać.

Pragnął Sashy od pierwszego wejrzenia. Zachwyciły go jej krągłe, pełne kształty. Leżała wtedy na tarasie Jamisonów. Małeńka bluzeczka ściśle przylegała do piersi, krótka spódniczka odsłaniała zgrabne uda. Odpoczywała z zamkniętymi oczami i rozchyłonymi nogami, w swobodnej pozycji, która każdemu zdrowemu mężczyźnie skojarzyłaby się z zaproszeniem do miłości.

- Komu w drogę, temu czas - oznajmił nagle wbrew sobie i wstał.

Nie odpowiedziała. Popatrzyła na niego znacząco, ale nie potrafił odczytać przesłania. Czy życzyła sobie, żeby wreszcie poszedł i zostawił jej dziecko, czy przeciwnie, żeby został? Skąd mógł wiedzieć, co wyrażają te oczy, których nawet koloru nie potrafił określić?

Marty zadzwoniła, żeby przypomnieć o aukcji dobroczynnej. Kiedy dowiedziała się, w jaki sposób Sasha awansowała na nianię, natychmiast zapowiedziała się z wizytą. Przyjechały razem z Faylene, ledwo zdążyła wykapać i nakarmić dziecko. Nie zwlekając, obie ruszyły do sypialni i natychmiast wpadły w zachwyty. Pozwoliła im nacieszyć się małością, a potem zabrała je do kuchni. Faylene od razu przeszła do rzeczy:

- Wiemy już, jak zapoznamy Lily z tym detektywem. W poniedziałek w domu kultury odbędzie się festyn z licytacją darów. Zagra zespół ze szkoły

w Elizabeth City. Są świetni, zapowiada się doskonała zabawa. Przecież nie zabiorę dziecka w taki tłum.

A kto ci każe? Poszukaj tylko rzeczy, które chciałabyś podarować, i zadzwoń do tego Smitha, żeby je zabrał i przywiózł. Lily już dyżuruje w urzędzie gminy i przygotowuje dokumenty, żeby darczyńcy mogli sobie odpisać ofiarowane kwoty od podatku.

-Mówiłam wam przecież, że Jake mieszka w Manteo.

-No to co? Chyba kiedyś przyjedzie odwiedzić wnuczkę? -
Faylene zamrugała powiekami jeszcze mocniej umalowanymi niż Sashy.

O ile jeszcze tu będzie. Peaches mieszka u mnie tylko do momentu zakończenia remontu.

Coś wymyślisz - ucięła Marty. - Na przykład, że ma katar albo alergię na farbę i musi u ciebie zostać. Zresztą wszystko jedno, niech tylko zawiezie rzeczy do urzędu gminy.

-Nie mogę mu wciskać takiej ciemnoty ani ganiać zapracowanego człowieka z powodu paru gratów. Zresztą nawet nie zdążyłam się rozejrzeć i nie wiem, co mogłabym ofiarować.

- Też mi problem - oburzyła się Faylene. - Zgromadziłaś tu cały antykwariat. Pozbądź się choćby tych słoni z porcelany. Będzie mi łatwiej ściierać kurze.

Miała rację. Sasha nte przepuściła żadnego kiermaszu czy giełdy staroci. Namiętnie gromadziła pamiątki cudzej przeszłości nie tylko ze względu na ich urodę, ale głównie dlatego, że z rodzinnego domu nie wy-

niosła żadnych. Popatrzyła na nocną szafkę, na której leżała otwarta książka. Jeszcze rano czytała spokojnie głośny romans „Co o nim myślisz?“, przebój na liście bestsellerów. Od tego czasu wypadki potoczyły się jak lawina i jej życie nabrało zawrotnego tempa. Gdyby teraz zażądano od niej odpowiedzi na pytanie zawarte w tytule, jedyna uczciwa odpowiedź brzmiałaby: „Nie wiem“.

No dobrze - odrzekła w końcu z ociąganiem. - Jeżeli Peaches tu zostanie, a Jake odwiedzi ją i zechce wam coś podrzucić, przeznaczę na licytację alabastrową lampę albo ten mosiężny kinkiet. Jake ujrzy Lily, oszaleje z miłości, padnie jej do stóp i poprosi o rękę, tak jak zaplanowałyście. Moim zdaniem to tak piękne, że aż niemożliwe. Chyba straciliście kontakt z rzeczywistością.

Niezupełnie. - Marty ukroiła sobie solidny kawał własnej zapiekanki. - Kojarzenie par kosztuje zwykle więcej zachodu.

Nie zapominaj jednak, że chodzi o najpiękniejszą kobietę w mieście, chociaż ostatnio trochę za bardzo schudła.

Racja - przyznała Sasha niechętnie. - Zgoda, popilnuję dziecka, a wy połujcie na męża dla Lily. - Napełniła trzy szklanki i wyprowadziła koleżanki z kuchni, żeby Marty nie zjadła wszystkiego, co przyniosła. Najwyraźniej małżeństwo zwiększyło jej apetyt.

Wypiły herbatę, zaproponowały, że zrobią jej zakupy, Faylene umyła naczynia i poszły. Sasha zamknę-

ła za nimi drzwi i oparła się o nie bez siły. Pomyślała o pięknej Lily i mruknęła: - Po moim trupie.

Jake wracał do domu o zachodzie słońca, horyzont płonął czerwienią jak włosy kobiety, którą właśnie opuścił. Starał się skupić na sprawie Jamisonów, synu, wnuczce, lecz ciągle wracał myślami do Sashy. Zmieniła imię, cztery razy nazwisko, wygląd i Bóg wie, co jeszcze. Nie umiał określić, co w niej jest autentyczne, a co zmyślane, ukształtowane według własnego widzimisię. Cóż go to zresztą mogło obchodzić? A jednak obchodziło i to bardzo, choćby ze względu na wnuczkę. Sprawdził jej dane w aktach osobowych. Sally June Parrish urodziła się 28 września 1967 roku, wyszła za Lawrence'a Combsa, później za Barryego Cassidy'ego, Russella Boone'a i w końcu za Franka Lasitera. Popełnił szaleństwo, powierzając jedyny skarb prawie nieznanemu kobiecie z tak bujną przeszłością.

Ale mimo wszystko ufał jej. Szczerze interesowała się jego życiem, nie ukrywała własnych błędów i porażek. Przy całym zamiłowaniu do sztuczności na pewno miała prawdziwe serce przepelnione życzliwością dla całego świata i rozbrajające poczucie humoru ze sporą dozą autoironii. W jej kartotece wyczytał, że od wielu lat pracowała społecznie w schroniskach dla maltretowanych kobiet i w sierocińcach. Prowadziła nawet nieodpłatnie zajęcia dla dziewcząt. Ciekawe, czego je uczyła? Może jak stworzyć ciekawe wnętrze

z rupieci kupionych na pchlim targu lub jak się śmiać z własnych sztucznych paznokci, zwicniętej kostki i złamanego obcasa?

Podobał mu się jej sposób bycia, ale nie tylko to. Zaparło mu dech w piersiach już wtedy, gdy zobaczył ją na tarasie u Jamisona. Wściekle mu wtedy zazdrościł, bo myślał, że ogląda jego kochankę. Fotografował ją, żeby zatrzymać dla siebie przynajmniej jej wizerunek. Po śmierci Rosemary, rozdarty między pracą a wychowaniem syna, nie miał czasu na romanse. Czasami umawiał się z kimś na tańce, do kina czy na kolację, ale nigdy nie miał ochoty kontynuować znajomości. Wszystkie przelotne sympatie robiły wrażenie wyciętych z jednego szablonu, rozmawiały wyłącznie o serialach i teleturniejach, których on nie miał czasu oglądać, i o prywatkach, w których nie uczestniczył.

Sasha miała własny styl, trochę niedzisiejszy, zdecydowanie niepraktyczny, ale niepowtarzalny. Taka piękność może przebierać w wielbicielach jak w ulęgalkach. Na pewno niejeden czeka wpatrzony w telefon, w nadziei, że oddzwoni - myślał z goryczą. Każdy mężczyzna na widok tych ponętnych kształtów marzy, by zaciągnąć ją do sypialni.

Pograżony w erotycznych snach na jawie dojechał do domu i zaparkował na podwórzu. Rozpadało się solidnie. Nie wróżyło to niczego dobrego. W taką pogodę wczasowicze spieszą się, nie czytają instrukcji i bez potrzeby uruchamiają alarmy. Pewnie czeka go

wiele wyjazdów w teren zakończonych jedynie przyciśnięciem odpowiedniego włącznika.

Wszedł do domu, pociągnął nosem i skrzywił się. Długi weekend to nic innego jak długi, niepotrzebny przestój w pracach remontowych. Podświadomie zdawał sobie sprawę, że nawet kiedy posprząta, wywietrzy i sprowadzi wnuczkę, jego życie nie wróci do normy. Przybędą nowe obowiązki i tęsknota za Sashą. Pożądał jej, pragnął zasypiać i budzić się w jej ramionach. Budziła w nim nie tylko żądzę, lecz i inne, głębsze uczucia. Promieniowała ciepłem i życzliwością. Rosemary była zupełnie inna. Określiłby ją nie tyle jako czułą, co obowiązkową matkę. Najwięcej radości czerpała z macierzyństwa, gdy syn podrośł i zaczął się interesować sportem. Jake nie wiedział, jak jego żona odnalazłaby się w roli babci. Zginęła w wypadku w wieku zaledwie dwudziestu sześciu lat.

Idąc pod prysznic, zastanawiał się, czy nie za późno, żeby wrócić do Muddy Landing. Po namyśle odłożył wizytę do rana. Wiedział już, w jaki sposób przywita następny dzień, lecz dalsza przyszłość pozostawała nieodgadniona.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ostry dźwięk telefonu wyrwał Saszę ze snu. Z trudem powracała ze świata erotycznych fantazji do rzeczywistości. W krainie marzeń leżała na łożu z baldachimem w willi nad brzegiem oceanu, oczywiście nie sama. Teraz cudowne wizje rozproszyły się jak mgła o poranku, a ten, który zniknął, gdy otworzyła oczy, pozostawił po sobie dotkliwą pustkę i niezaspokojone pragnienie.

Rozejrzała się dookoła. Była u siebie w salonie, daleko od morza, luksusowej rezydencji i mężczyzny ze snu. Dzwonek powtórzył się. Oprzytomniała wreszcie i pojęła, że to nie telefon, tylko ktoś dobija się do drzwi i że nie fale oceanu tak szumią, tylko banalny deszcz. Wstała niechętnie. Nocne wizyty na ogół nie wróżą niczego dobrego. Spojrzała na zegarek. Nie do wiary, zdrzemnęła się tylko dwadzieścia minut. Wcześniej położyła dziecko spać, pozamykała drzwi i postanowiła chwilę odsapnąć. Nie wiadomo kiedy zasnęła z głową na otwartej książce.

- Idę, już idę - mruknęła, powłokła się do przedpokoju i odsunęła zasuwę. Szarpnęła za klamkę

i ujrzała bohatera swoich snów. Po granatowym sztormiaku spływały strugi wody. Przemówili jednocześnie;

Po co przyjechałeś?

Zapomnieliśmy o różnych drobiazgach. Zamierzałem poczekać do rana, ale przywiozłem je teraz, bo...

Nie miała serca go odprawić. Pojawił się jakby na zamówienie. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że odczytał jej myśli na odległość. Usiłowała sobie wytłumaczyć, że to pewnie tylko troska o dziecko ściągnęła go tu z powrotem.

Wejdz, proszę. - Zauważyła, że trzyma pod pachą jakiś paku- nek. - A co to takiego?

Nie wiem, jak to nazwać. Plecaczek, nosidełko? No wiesz, w każdym razie umieszczasz tam dziecko i biegiesz na zakupy. Zastanów się, człowieku! Czy sadzałeś Tima, gdy miał pięć tygodni? Przecież to zbrodnia! - Cofnęła się o krok. W drodze do salonu uświadomiła sobie, że po wyjściu spod prysznic nałożyła grubą warstwę kremu pod oczy i nie rozczesała włosów. W dodatku wystroiła się w ulubiony kaftan. Ale przecież nie przyszedł do mnie, tylko do Peaches - pocieszyła się.

Jake wcale się nie obraził za reprimendę. Przyglądał się z uśmiechem jej bosym stopom, piegom na nieumalowanej twarzy i fryzurze, która przypominała rozgrzebany stóg siana.

-Rosemary wozila Tima w wózku. Po kolacji zawsze szliśmy na spacer. Później dostawał samochodzi-

ki na pedały, rowerek trójkołowy, a w końcu dwukołowy. Nieważne, Peaches musi dorosnąć do nosidełka, a i ścieżek rowerowych tu niewiele.

Czy mógłbym ją zobaczyć? - Jego głos brzmiał żałośnie, błagalnie prawie. W żaden sposób nie pasował do tego potężnego, dzielnego mężczyzny, który tak silnie działał na jej zmysły.

Uśmiechnęła się mimo woli. W jej śnie księżę z bajki nie ociekał wodą i nie żebrał o litość, a ona wyglądała jak królowa, a nie jak tłusta, piegowata wiedźma. Odgarnęła włosy z twarzy, wciągnęła policzki i lekko pochyliła głowę. Jeszcze jako Sally June nauczyła się w mgnieniu oka poprawiać własny wizerunek. Trenowała te triki godzinami przed lustrem na wiele lat przedtem, zanim wolno jej było sięgnąć po kosmetyki.

Możesz wejść, tylko jej nie obudź. - Rozumiała go. Kiedy odjechał, wielokrotnie wchodziła na palcach do sypialni, żeby popatrzeć na śpiące dziecko. - Daję ci dwie minuty i ani sekundy dłużej. Jest wyczerpana nadmiarem wrażeń, a niemowlęta potrzebują dużo snu.

Po chwili stali razem przy łóżeczku. Czują ciepło jego ciała, zapach mydła, wody kolońskiej i czegoś jeszcze, nieokreślonego, a bardzo przyjemnego. Pachniał jak... Jake Smith.

Ależ ona maleńka - wyszeptał.

Cicho. - Położyła palec na ustach. - Spodziewałeś się, że urośnie przez kilka godzin?

Nie o to mi chodziło. Tim w jej wieku wydawał się większy. - Jake przysunął się bliżej, jego oddech uniósł kosmyk włosów Sashy tak, że musnęła jej skórę. Spragnione ciało zareagowało na mimowolną pieśczoć na odległość jak na prawdziwy pocałunek. Jeśli zauważy jej szybki oddech, zrzuci to na zmęczenie wchodzeniem po schodach.

Chłopcy rodzą się więksi - odrzekła tak spokojnie, jak potrafiła, chociaż wiedziała, że to nieprawda.

Wymienili jeszcze kilka zdań na temat rozwoju dzieci. Żadne nie uczyniło najmniejszego ruchu, uśmiechali się tylko. Sypialnia pachniała orientalnymi perfumami i niemowlęcą zasypką, lecz ona czuła tylko jego zapach, po deszczu jeszcze intensywniejszy. Lampa z brązową podstawą w kształcie Wenus stojącej na muszli dawała przyćmione, intymne światło. Sasha życzyła sobie, żeby Jake jak najprędzej poszedł, bo inaczej popełni jakieś szaleństwo. Oglądał już skutki jej nieroztropności, ale tym razem bała się, że przekroczy wszelkie granice przyzwoitości. Położyła mu rękę na ramieniu i lekko popchnęła w kierunku drzwi.

Minęły cztery minuty, wyczerpałeś dwudniowy limit.

Nieprawda. Nie zapominaj, czyje to dziecko.

Nie zapominaj, u kogo panuje rozgardiasz i cuchnie farbą, jakiej ja nie użyłabym nawet do ubikacji -odcięła się.

Na ostatnim stopniu Jake położył jej ręce na ramionach i odwrócił ją ku sobie.

Posłuchaj, Sasho, gdy tylko skończy się remont, przewietrzę porządnie i zabiorę Peaches tam, gdzie jej miejsce.

Mhm - mruknęła tylko.

Nic dziwnego, że odebrało jej mowę. Jego usta znajdowały się zaledwie kilka centymetrów od niej, a dłonie na ramionach prawie parzyły.

Łatwo ci się śmiać. Zrobiłem dziś pewnie kilkaset kilometrów: do ciebie, do Cheryl, do kancelarii, do biura i znowu tutaj.

Kiedy już wszystko załatwiłem, nie znalazłem żadnej czynnej restauracji. Przeszedłem przez piekło, a teraz umieram z głodu.

- Zauważył zboląłą minę Sashy i dodał już nieco łagodniej:

Nie oczekuj eleganckiego zachowania po głodnym, zmęczonym człowieku i nie drażnij mnie, proszę. Nie mam nastroju do żartów.

Sasha otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Jego źrenice natomiast przybrały barwę ciemnego obsydianu. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że jego dłonie zanurzają się w zagłębieniu dekoltu. Nagle przemówił zupełnie inaczej:

-Nie wiem, co ty ze mną robisz. - I przylgnął do niej całym ciałem. Ich usta zetknęły się na moment, lecz Jake odsunął się, nim zdążyła złapać oddech. Nie mogła mu na to pozwolić, nie teraz, nie w takiej chwili. Przyciągnęła go do siebie i przesunęła końcem języka po jego wargach. Nie wiadomo kiedy znaleźli się na sofie, Jake ułożył się na niej, wsunął dłonie pod obszerny kaftan i przesunął je w górę i w dół jej ciała.

Sasha wyciągnęła mu koszulę ze spodni i odkrywała najczulsze punkty. Kiedy dotknęła sutków, jęknął z rozkoszy.

Czy ta kanapa się rozkłada?

Nie, ale tu na parterze jest pokój gościnny.

Daleko? Nie chcę tracić czasu.

Ona też nie chciała, ale nagromadziła w salonie tyle dóbr, że gdyby się wyprostował, kopnąłby w jakiś antyk. Z trudem oderwali się od siebie, wstali i znów do siebie przyłgnęli. Sasha jeszcze nigdy tak rozpaczliwie nie pragnęła mężczyzny. Nie była nowicjuszka, lecz wszystkie dotychczasowe doświadczenia wydały jej się nagle bezbarwne i nieciekawe jak trening w basenie przed wypłynięciem w bezmiar oceanu. Kolana ugięły się pod nią, nie mogła mówić, pokazała tylko głową kierunek. Gorące dłonie obejmowały jej piersi. Wsunęła ręce pod pasek jego spodni zadowolona, że wcześniej pozbyła się pierścionków. Miał wspaniałe, jędrne ciało. Czują wypukłość naprężonych mięśni. I nie tylko... W drodze do sypialni całowali się zachłannie. Jake położył na nocnej szafce podłużny pakiecik, ona w pośpiechu zrzuciła na podłogę stertę katalogów. Zawahała się przez moment. Nie wiedziała, czy powinna zdjąć kaptan; czy poczekać, aż jej pomoże, czy lepiej, żeby rozbierali się jednocześnie, czy wzajemnie... Czterokrotna mężatka nagle poczuła się zakłopotana jak dziewica. Może mu się nie spodoba naga? Co się stanie, gdy uzna jej kształty za zbyt obfite albo zauważy rozstępy? Zanim sobie odpowiedziała,

Jake zdjął jej kaftan. Postanowiła, że następnego dnia podrze ulubiony strój na ścierki.

- Możesz się jeszcze wycofać - powiedział lekko schrypniętym głosem.

Nie miała takiej szansy ani ochoty. Błyskawicznie pozbył się ubrania, nie spuszczać z niej wzroku. I ona nie mogła ode-
rwać oczu od jego wspaniałego ciała. Żadne słowa nie mogły
oddać jej zachwytu. Nie pamiętała, czy powlokła pościel, ale
nie miało to w tej chwili żadnego znaczenia. Zsunął jej maleń-
kie majteczki, ułożył się koło niej na boku, wtulił twarz w rude
włosy i wodził końcem języka po jej szyi. Sashy chciało się
krzyczeć z pożądania. Zaczęła poruszać biodrami. Pragnęła
równocześnie pochłonąć go całego i przedłużyć rozkosz ocze-
kiwania. Kiedy chwycił ustami płatek jej ucha, wygięła się w
łuk, całe ciało pulsowało, krew wrzała w żyłach. Pocałował
jedną pierś, później drugą, dokładnie tak, jak sobie wyśniła.
Omdlewała ze szczęścia. Silne dłonie odnajdowały wrażliwe
punkty na jej skórze i spełniały najskrytsze marzenia. Zapo-
mniała o samotnych, bezsennych nocach. Trwaj, chwilo, jesteś
tak piękna, że nawet nie wiem, czy prawdziwa - myślała.
Szepnął coś tak cicho, że nie zrozumiała treści, całował po-
liczki, usta i szyję, wciąż spragniony jej smaku. Przesunął
dłońmi po brzuchu w dół, w kierunku wzgórka łonowego. Sy-
ciła się pieszczotą i pragnęła jeszcze więcej.

- Proszę - szepnęła.

- Nic nie mów, kochanie, daj mi trochę czasu.

Kiedy usiadł i odwrócił się, myślała, że umrze z tęsknoty. Wróć do mnie - błagała bezgłośnie oczami, dłońmi, całym ciałem. Kilka sekund dłużyło się jak godziny, zanim uklęknął na łóżku i przycisnął jej biodra do swoich. A potem zatracili się w sobie, oszaleli i zapomnieli o całym świecie.

Nagle pokój oświetlił jasny błysk. Rozpętała się burza czy to ich namiętność zapłonęła przezczystym, białym światłem? Sasha poruszała się coraz szybciej jak w ekstatycznym tańcu, chwytając jego uda, jakby chciała zamknąć go całego w dłoniach i zatrzymać przy sobie na zawsze.

- Nie spiesz się tak - upomniął ją Jake - bo zaraz spłonę. Zmienił pozycję, usiadł, objął ją mocno ramionami i przycisnął do piersi.

- O, tak - jęknęła.

Czuła go teraz bardziej, przylegali do siebie całą powierzchnią rozpalonej skóry. Piękna, męska twarz nabrała w przyćmionym świetle lampy rysów antycznego posągu. Odchylił głowę, zamknął oczy, starał się przedłużyć rozkosz i opóźnić moment spełnienia.

- Jesteś niebezpieczna, -możesz człowieka rozkochać w sobie na śmierć. – To były jego ostatnie słowa. Nie potrzebowali ich więcej. Ciasno spleceni przywoływali się coraz częściej i głośniejszym w tajemnym języku kochanków. Pod powiekami Sashy rozbłysły wszystkie-

kie kolory tęczy. Słyszała jego okrzyki, jakby wołał ją z daleka.

Wyczerpana, nasycona opadła mu na pierś. Jake nadal tulił ją do siebie z odchylną w tył głową i z zamkniętymi oczami. Kiedy wreszcie zeszła na ziemię i wyrównała oddech, jej myśli znów poszybowały w górę. Tym razem nie aż tak wysoko, tylko na pierwsze piętro, do sypialni dziecka. Na pewno zgłodniało, może zaraz zapłacze. Minęło tyle lat od czasu, kiedy ostatnio piastowała niemowlę. Zdążyła już zapomnieć, że opiekunka pracuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nigdy nie wiadomo, kiedy maluch zgłosi swoje potrzeby. Powinna była o tym pomyśleć, zanim wdała się w romans. Ale czy mogła zagłuszyć głos natury? Stłumić pożądanie na rok, dwa czy trzy? Niemożliwe. Do tego czasu Jake z pewnością zniknie z jej życia i zabierze ze sobą małą istotkę, która nadała nowy sens jego życiu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Seks powinien być zalecany jako lekarstwo na bezsenność - pomyślała Sasha zaraz po przebudzeniu. Na wspomnienie minionej nocy poczuła równocześnie szczęście i ponowny przypływ pożądania. A zaraz potem niepokój. Peaches została sama na górze. Jake odjechał, ale powierzył jej swój największy skarb. Sashy zależało na tym, żeby doglądać dziecka najlepiej jak potrafi i zasłużyć sobie na jego wdzięczność, a może i na inne, cieplejsze uczucie. Czas pokaże, czy jej się uda. Do tej pory wybierała mężów bez głowy, teraz też kierowała się sercem, a nie rozumem. Tym razem jednak nikt nie wspominał o ślubie, więc może znajomość okaże się trwalsza niż te przypiętowane w urzędzie.

Weszła na górę i stanęła przy łóżeczku. Nie mogła się nacieszyć, że dostała pod opiekę tę prześliczną istotkę, doskonale dzieło-natury: Właściwie nic dziwnego. Tu nikt nie łąził po dachu ani po pokojach, nie walały się drabiny, a gdyby chciała wyjść, koleżanki zawsze mogły ją zastąpić. Ciekawe, czy Jake ma jakieś przyjaciółki? - przemknęło jej przez głowę. Machnęła tylko ręką. Powinna była się nad tym wcześniej zastanowić. Zauważyła na stole opróżnioną do połowy butelkę - znak, że Jake nakarmił dziecko przed wyjściem. Postanowiła zaczekać z przewijaniem. Uznała, że zdrowy sen jest znacznie ważniejszy. Sięgnęła wstecz pamięcią. Troje maluchów równocześnie zgłaszających najróżniejsze potrzeby nauczyło ją dyscypliny.

Kilka lat później cała trójka wysypywała się ze szkolnego autobusu i w pośpiechu przekazywała sobie ostatnie tajemnice przed spotkaniem ze starszą siostrą. Buck był dokuczliwym chłopaczyskiem, lecz trzymał sztamę z bliźniaczkami. Traktowali Sashę nie jak przyjaciółkę, lecz jak guwernantkę. Taką osobę należy szanować, ale nie wolno jej się zwierzać, bo jeszcze nakrzyczy albo naskarży rodzicom. Posłuch u młodszego rodzeństwa dawał jej sporo satysfakcji, jednakże mocno zaprawionej goryczą. Teraz Buck nie żył, a kontakt z bliźniaczkami rozluźnił się jeszcze bardziej z powodu dzielącej je odległości. Otrzymywała od nich życzenia na święta, do kartek dołączały fotografie i wieści o rodzinie. Sasha cieszyła się ze szkolnych sukcesów siostrzeńców i próbowała wczuć się w atmosferę rodzinnych uroczystości czy wakacyjnych wypraw, jednak te wszystkie sprawy wydawały jej się tak dalekie, jakby czytała opowiadania o obcych ludziach. Zastanowiła się, czy nie opisać siostronom ostatnich wydarzeń. Po namyśle zrezygnowała, uznając, że niewiele ma do

zakomunikowania: „Mam dziecko, ale pożyczone, mam romans, ale chyba przelotny”. Śmiechu warte.

Dziesięć minut później weszła na palcach do sypialni i ujrzała parę błękitnych oczek zalanych łzami. Zmieniła pieluszkę, nucąc jakąś kołysankę bez słów. Poważne, okrągłe oczęta śledziły każdy jej ruch. Ucałowała brzoskwiniowe policzki.

- No i co, lalczko? - zaszczebotała. - Tęsknisz za dziadziusem? Ja też. Nawet nie wiesz, jak bardzo.

Jake w drodze do domu wstąpił do zaprzyjaźnionego właściciela garażu, wręczył mu kluczyki i poprosił o odstawienie czerwonego lexusa do Muddy Landing. Znajomy, któremu wyświadczył znaczną przysługę, ucieszył się z okazji do rewanżu. Jake postanowił jak najszybciej uporządkować pozostałe sprawy i nadrobić zaległości w pracy. Jednak serce nie chciało posłuchać głosu rozsądku i wyrwało się z powrotem do lawendowego domku. Nie robił sobie wielkich nadziei.

Czterech mężów nie spełniło oczekiwań Sashy. Nie mógł się zbyt wiele spodziewać. Dobrze chociaż, że wysokobiałkowa dieta i ruch na świeżym powietrzu pozwoliły mu zachować dobrą sylwetkę i sprawność fizyczną. Ona pewnie żywiła się głównie kawiozem.

W biurze zastał kartkę od pani Marthy. Znalazła kolejny powód, żeby się urwać z pracy, i zawiadamiła, że nie wróci przed jedenastą. Usiadł przy biurku i spisał plan tygodnia.

Czekało na niego dwóch nowych klientów, instalacja alarmu i sprawa Jamisonów

właściwie nieaktualna, ale wciąż go dręcząca. Elementy układanki nadal do siebie nie pasowały.

Nagle ręka z długopisem zastygła w bezruchu nad kartką papieru. Uświadomił sobie, że powierzył wnuczkę prawie nieznamym kobiecie i pozwolił, żeby się zaangażowała emocjonalnie w rolę opiekunki. Mógł ją wysadzić w Kitty Hawk i odczepić się na zawsze od niej i jej samochodu, ale jak zwykle podjął pochopną decyzję i zabrał ją ze sobą. Od samego początku znajomości popełniał jeden błąd za drugim. Nie żałował jednak, że pokazał jej dom. Kazała otworzyć drzwi między częścią mieszkalną a biurem, żeby zapach farby szybciej się ulotnił. Denerwowało go tylko, że przyczepiła się do wszechobecnej bieli. Nie każdy ma ochotę mieszkać w pstrokatym domu, wypełnionym sprzętami nieznanego przeznaczenia i nazwy. Chyba zgłupiał, wdając się w romans z Sashą Lasiter. Kilka minut później wykapany, ogolony i w czystych dżinsach udał się do biura. Zadzwoniła pani Jamison i zażyczyła sobie, żeby znów śledził jej męża. Twierdziła, że uśpił jej czujność, żeby odnowić romans. Chytry lis tak ją omotał, że do wczoraj wierzyła w każde kłamstwo. Jake podejrzewał, że za jedną intrygą kryje się inna, jeszcze grubsza. Uważał, że klientka potrzebuje zarówno dobrego prawnika, jak i niezbitych dowodów zdrady. W czasie obserwacji w Driftwinds nie wykrył niczego, prócz powabnej kobiety o miedzianych włosach. Postanowił zlecić Hackowi obserwację drugiej willi Jamisonów w Virginia Beach. Oszust

mógł przecież zmienić kryjówkę. Pomyślał, że prędzej zwa-
riuje, niż uporządkuje swoje życie. Dopiero po kilku nieuda-
nych próbach dodzwonił się do syna.

O, jak dobrze, tato - ucieszył się Tim. - Myślałem, że oszaleję
z niepokoju. Byłeś tam? Udało się? Czy Cheryl ci ją oddała?
Tak, poszło jak z płatka. Odniosłem wrażenie, że nawet się
ucieszyła, że małeństwo będzie miało rodzinę. Pozwoliłem jej
odwiedzać córeczkę, kiedy zechce. Próbowałem coś od niej
wyciągnąć o rodzinie, żeby wiedzieć, jakie cechy dziecko mo-
że odziedziczyć, ale była tak spięta, że prawie nic nie mówiła.
Jej mama nie żyje, z ojcem się nie układa. Stary pije, ale Che-
ryl to porządna dziewczyna. O dalszych krewnych nic nie
wiem. Powiedz mi, czy moja córka urodziła się zdrowa?

-To prawdziwa piękność, synku, okaz zdrowia. W każdym
razie płuca ma mocne. - W ten sposób delikatnie dał do zro-
zumienia, że gdy Peaches czegoś chce, robi więcej hałasu niż
syrena okrętowa. O łysej główce nie wspomniał ani słowem. -
Rano przewinąłem ją i zostawiłem nakarmioną. Śpi teraz jak
aniołek.

-Gdzie?

Jake zastanowił się, jak streścić w kilku słowach wydarzenia
ostatnich dni. Musiałby opowiedzieć o Sashy, Jamisonach,
remoncie i kolejnych niesamowitych zbiegach okoliczności.
Wybrał najprostsze rozwiązanie.

-W dobrych rękach, dają głowę. U osoby, która za-

łatwiła nam spotkanie z prawnikiem i wychowała już kilkoro maluchów.

Aha... Chyba się czegoś domyślam. No nic, polegam na twojej ocenie. Tylko czy Cheryl nie będzie się martwić?

Na pewno nie. Od razu się polubiły. - Wolał nie wtajemniczać syna w szczegóły przez telefon. - Cheryl nazwała ją Tuesday. Chyba nie zastanowiła się nad wyborem imienia, ale możesz je zmienić, decyzja należy do ciebie. Dobrze, że dała jej chociaż twoje nazwisko.

Jesteś wspaniały, tato, uwielbiam cię. Muszę już kończyć, kapitan mnie wzywa - zakończył rozmowę bosman Timothy Burrus Smith.

Dbaj o siebie i zastanów się, co dalej zrobisz, a ja dopilnuję małej. - Jake odłożył słuchawkę i westchnął. Jeszcze tak niedawno zmieniał mu pieluszki, podczas gdy Rosemary nawlekała paciorki dla nadmorskiego butik. Żona odeszła na zawsze, dzielny marynarz wyruszał ze swoją jednostką na Bliski Wschód, a Jake miał się znów opiekować niemowlęciem, tym razem wnuczką. Nie potrafił powiedzieć, czy czuje się przez to starszy, czy młodszy.

Po drodze zatrzymał się trzy razy. Sprawdził dwa systemy alarmowe i wstąpił do sklepu po coś do jedzenia. Następnie zadzwonił do Sashy. Właśnie przygotowywała małą do snu. -Wszystko w porządku - zameldowała. - Kiedy ją położę, nadrobię różne zaległości. Co trzy godziny trzeba ją karmić, przygotuj się na to.

Wcale nie miał pewności, czy sprosta obowiązkom. Dokuczał mu głód, ale postanowił zająć stanowisko i posilić się, czekając na Jamisona i jego kochankę. Nie bardzo wierzył, że odważą się pojawić. Wczasowicze już zajęli dom, w którym poprzednio się ukrywał. Stały przed nim dwa samochody z deskami surfingowymi na dachu i jeden z kajakiem. Jake rozglądał się za miejscem dla siebie. Nie powinien rzucać się w oczy. I wtedy dostrzegł auto współpracownicy Jamisona, agentki od wynajmu nieruchomości. Rozpoznał je od razu. Atrakcyjna brunetka przed trzydziestką pojawiła się w tym miejscu w pierwszym dniu obserwacji. Jake zanotował wtedy numery rejestracyjne auta, a Hack ustalił dane właścicielki. Jake zdenierwował się, że jej obecność w tym miejscu przepłoszy Jamisona. Pocieszał się, że być może przyjechała tylko sprawdzić, czy Sasha wykonała zadanie, i zaraz się wyniesie. I tak musiał poczekać, aż Hack sprawdzi drugą rezydencję. Nie liczył na sukces. Ustalił wcześniej, że sąsiednie domy są stale zamieszkane. Domyślał się, że Jamison nie zaryzykuje schadzki w miejscu, gdzie wszyscy go znają.

Jake postanowił zaspokoić głód, zanim jego współpracownik wróci. Podczas posiłku rozmyślał o minionych wydarzeniach i śmiał się z własnej naiwności. Podejrzewał Saszę o romans z właścicielem willi, ponieważ wyglądała bardzo kusząco, leżała na tarasie w swobodnej pozycji i wyzywającym stroju, jak-

by właśnie oczekiwała kochanka. Uśmiechnął się na wspomnienie przygody z pantofelkiem. Leżał nadal w jego pokoju. Całe szczęście, że malarze już się tam nie kręcili, bo jeszcze by go uznali za fetyszystę.

Znalazł wreszcie skrawek wolnego miejsca w mało widocznym rogu parkingu. Miał właśnie zadzwonić do podwładnego, gdy w drzwiach willi spostrzegł mężczyznę w szortach i żółtym podkoszulku. Rozejrzał się dookoła i ruszył w kierunku samochodu agentki. Jego twarz wydawała się znajoma, ale Jake nie mógł sobie przypomnieć, skąd. Nic dziwnego. Odznaczał się dobrą pamięcią, ale obsłużył już tylu klientów i obserwował tylu podejrzanych, że trudno wszystkich zapamiętać. Zastanawiał się, po co nieznajomy odwiedzał pustą willę. Jeżeli szukał domu na wakacje, to gdzie zostawił samochód? Atrakcyjna brunetka nadal stała przy samochodzie. Obcy podszedł do niej i rozmawiali przez kilka minut, zbyt daleko i cicho, by Jake mógł cokolwiek usłyszeć. Włożył dla niepoznaki okulary przeciwsłoneczne i z ukrycia obserwował spotkanie tych dwojga.

Nie bardzo mógł się skoncentrować, bo myślami ciągle wracał do Sashy. Na wspomnienie minionej nocy poczuł nowy przypływ żądz i tęsknotę aż do bólu. Gdyby miał określić swój ideał kobiety, rysopis w niczym nie przypominałby pani Lasieter. Mimo to Jake Smith, ojciec, dziadek i szef firmy, wkładał całą energię w starania o względy kokietki ze sztucznymi rzęsami, zamiast wywiązać się z ciężących na nim zobowiązań.

Sasha nie tylko pociągała go, ale i intrygowała. Ciekawiło go, dlaczego ukształtowała własny wizerunek w taki sposób, jakby chciała ukryć swoją prawdziwą tożsamość. Po co to robiła? Nawet bez makijażu i wyzywających kreacji mogła rzucić każdego mężczyznę na kolana, a piegi tylko dodawały uroku jej ślicznej buzi. Żadna kobieta, nie wyłączając Rosemary, nie wywarła na nim dotąd tak wielkiego wrażenia. Naiwnością byłoby sądzić, że osoba, której wymaganiom nie sprościli czterej mężowie, zainteresuje się średniozamożnym wdowcem po czterdziestce. Nie łączyły ich nawet wspólne zainteresowania. Ona pasjonowała się dekoracją wnętrz, on myślał prosto, po męsku, stawiał raczej na wygodę niż na wygląd mieszkania. A jednak coś w niej widział. Barwiące soczewki kontaktowe nie gasiły ciepłego blasku w oczach. Pod warstwą makijażu kryła się wrażliwa, ludzka twarz, a pod kaskadami farbowanych włosów pracował bystry umysł. Poznał już smak jej skóry i każdy skrawek ponętnego ciała i wiele dałby za to, by poznać jej myśli.

Patrzył tak przed siebie rozmarzonym, niewidzącym wzrokiem przez dłuższy czas. W pewnym momencie jego wpół uśpiony mózg zarejestrował zmianę w otoczeniu. Para przy samochodzie zakończyła rozmowę, trwała teraz w miłosnym uścisku złączona namiętnym pocałunkiem. Jatkę ocknął się i przypomniał sobie, skąd zna mężczyznę. Wyglądał starzej niż na plakatach, ale służby porządkowe jeszcze nie uprzątnęły śladów po kampanii wyborczej i twarz pana Ja-

misona nadal się uśmiechała do wyborców z licznych tablic reklamowych. Tożsamość jego partnerki już znał i wiedział nawet, skąd zaczerpnie pozostałe informacje. Znał przecież zatrudnioną przez nich projektantkę wnętrz.

Nie bądź zachłanna, Faylene, daj mi ją potrzymać - prosiła Marty.

Nic z tego. - Gospośia odwróciła się na pięcie, żeby przyjaciółka nie dosięgła dziecka. - Wyszłaś za męża, to wracaj do domu i postaraj się o własne. Gdybym była młodszą, natychmiast bym sobie urodziła.

Wątpię - wtrąciła Sasha. - Na ogół trzeba odczekać dziewięć miesięcy. - Ułożyła poduszkę na niskim stoliku i oparła o nią zmęczone stopy.

Ledwie zdążyła wziąć prysznic pomiędzy karmieniem, kołysaniem a kąpielą maleństwa. Zrywała się za każdym razem, gdy tylko napotykała spojrzenie poważnych, ciemnoniebieskich ocząt. Pielęgnowała Peaches z przyjemnością, chciała ją chronić przed całym światem, nawet przed swoimi przyjaciółkami. Nie powinny jej zbyt długo męczyć. Do prawidłowego rozwoju niemowlęcia niezbędny jest spokój i odpowiednia ilość snu.

Poznałyśmy następnego kandydata - pochwaliła się Marty. - To współpracownik Cole'a, rozwiedziony, bezdzietny i bez nałogów - zachwalała, chwytając w dłoń maleńką stopkę. Jak wygląda? Czy aby sprosta wymaganiom pięk-

nej, złotowłosej ekonomistki? - spytała Sasha i popatrzyła na swoje króciutkie paznokcie. Bez żalu rozstała się ze sztucznymi, żeby nie podrapać delikatnej skóry dziewczynki.

Dla niej mamy już przecież tego detektywa - przypomniała Faylene.

On ma akurat teraz ważniejsze sprawy na głowie: remont mieszkania, syna na morzu i opiekę nad wnuczką.

Czyżby? - Marty odebrała dziecko gosposi. - Peaches jest teraz w dobrych rękach. Mógłby spokojnie przyłączyć się do naszej akcji dobroczynnej. Chyba że masz wobec niego inne plany...

Lily nadal dostaje te tajemnicze listy z Kalifornii - poinformowała Faylene. - Liczby na kopercie wyglądają jak jakiś szyfr, może numer jednostki wojskowej. Czyta je ze łzami w oczach, ale kiedy spytałam, kto do niej pisze, udala, że nie słyszy.

Podglądaczka - skomentowała Marty z wyższością w głosie. - Nie nasza sprawa. Może jakiś klient przysyła jej urzędowe pisma opatrzone numerem identyfikacyjnym firmy. Pewnie nie przyjrzałaś się zbyt uważnie.

Wszystkie trzy wiedziały, że Faylene jeszcze gorzej czyta niż gotuje.

A Lily płacze nad zeznaniami podatkowymi pisanymi ołówkiem na kartkach z zeszytu? Genialne! - odcięła się Faylene.

Nieważne. Sasho, zostaniesz z dzieckiem, kiedy

porwiemy twego detektywa na festyn, prawda? - Mar ty dyplomatycznie zmieniła temat.

Sasha wiedziała, że przyjaciółka specjalnie się z nią droczy. Gorączkowo szukała odpowiednio mocnych argumentów, żeby się wykręcić, gdy usłyszała warkot silnika. Marty spojrzała przez okno i uśmiechnęła się szeroko. - O wilku mowa - oznajmiła z triumfem.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Jake stanął jak wryty i zrobił niewyraźną minę na widok trzech kobiet.

Dzień dobry - wyjąkał.

Cześć, widziałam małą. Wcale do ciebie niepodobna - przywitała go niezbyt taktownie Faylene.

Wejdziesz do środka - zaprosiła go Sasha. - Gdy na ciebie patrzę, wyobrażam sobie, co czuł Dawid przed jaskinią lwa - dodała z rozbawieniem.

Skinął głową i skierował wzrok na dziecko. Peaches, czyli Tuesday Smith, wymachiwała piąstkami na kolanach Faylene i wydawała groźne pomruki.

Czy ona jest... - Jake zapomniał już języka niemowląt.

Głodna? Nie. Mokra? Na pewno, a przede wszystkim zmęczona i chce się zdrzemnąć. Zawsze kładę ją o tej porze. -

Sasha odebrała dziecko Faylene i podeszła do niego jak najbliżej, żeby podać mu małą. Głęboko wciągnęła powietrze.

Ten zapach świeżości, czystości i wiatru rozpoznałaby w tłumie z zawiązanymi oczami. Działał na nią jak narkotyk. -

Dziękuję za przyprowadzenie samochodu - dodała znacznie ciszej.

Marty też pożerała go wzrokiem. Kiedy zauważyła, że Sasha ją obserwuje, zaczerwieniła się i odwróciła.

Czy Sasha wspominała ci o naszej imprezie dobroczynnej? - zagadnęła.

Och, to taki lokalny festyn. Wątpię, czy cię zainteresuje. - Sasha odebrała mu Peaches i usiadła na sofie.

Ponieważ obydwa krzesła były zajęte, Jake usadowił się obok niej. Marty i Faylene prześcigały się w opowieściach o obozie młodzieżowym z pływaniem na kajakach i deskach oraz z wędkowaniem.

- Mój mąż, Bob Ed, pracuje na przystani i udostępni im sprzęt za darmo - pochwaliła się Faylene. - Ale pozostałe koszty wynoszą ponad dwieście dolarów za dwa tygodnie. Tutejszych rybaków na to nie stać. Ledwie wiążą koniec z końcem, a jeszcze huragan poniszczył im domy i woda zalała pola.

Sasha oparła się o ramię Jake'a w sposób tak naturalny, jakby stanowili rodzinę, i czule przemawiała do Peaches. Marty bacznie im się przyglądała.

Pomożesz nam, prawda?

Czy mógłbym odmówić? - odpowiedział dyplomatycznie pytaniem. Nawet jeśli propozycja go nie zachwyciła, dobre wychowanie nie pozwoliło mu tego okazać. Sięgnął po dziecko i, niby niechcący, musnął dłonią pierś Sashy.

Chodź do dziadziusia, kochanie.

Serce Sashy topniało pod wpływem jego najłżejszego dotyku. Położyła mu ręcznik na kolanach i sta-

rannie go wyprostowała. Miała ochotę zamienić się miejscami z Peaches. Podziękował, raczej za ukradkową pieszczotę niż za ochronę spodni przed poplamieniem.

Przyjaciółki zaczęły się żegnać, ale ociągały się z wyjściem.

Przyniosłam ci kilka książek, żebyś się nie nudziła w domu - oznajmiła Marty, właścicielka księgarni, po czym niemal opowiedziała przyniesione lektury.

Rozmroziłam lodówkę, na razie nie wolno otwierać drzwiczek - ostrzegła Faylene.

Nie obrażcie się, ale na nas już czas - powiedziała wreszcie Marty z kwaśną miną i wymieniła z Faylene porozumiewawcze spojrzenia. Najwidoczniej obydwie czegoś się domyślały. Wcale się nie gniewam - skomentował Jake, gdy drzwi się za nimi zamknęły.

Przytulił do piersi dziecko i uśmiechnął się błogo. Sasha nie mogła się nadziwić, że mężczyzna z niemowlęciem w ramionach wzbudza w niej tak silne, erotyczne emocje. Marzyła o powtórce z poprzedniej nocy i równocześnie wyrzucała sobie, że popełnia kolejną życiową pomyłkę. Zamiast czułych słówek usłyszała:

- Czy mogę zostać jeszcze pięć minut? Muszę z tobą porozmawiać.

Poważny wyraz jego twarzy nie wróżył nic dobrego. No tak, to musiało nastąpić. Zabierze wnuczkę i więcej się nie pojawi.

Wyciągnęła rękę, żeby wziąć od nie-

go Peaches i zanieść ją do sypialni. Kiedy wróciła, spytał bez wstępów:

Czy możesz mi coś powiedzieć o agentce, która pośredniczy w wynajmie willi Jamisonów?

Katie McIver? - Nie rozumiała, czemu Jake się nią interesuje. - Ma doskonałą opinię. Współpracuję z nią od kilku lat. Urządzałam jej biuro, projektowałam zmianę wystroju w niektórych domach, którymi się opiekuje. Ostatnio poprosiła mnie o sporządzenie spisu inwentarza i listy rzeczy wymagających uzupełnienia lub naprawy. Na ogół właściciele robią to sami, ale Jamison zamawia usługę u Katie, a ona zleca ją mnie. To chyba wszystko. - Zamilkła i usiadła na sofie.

Jake pokiwał głową.

Mężatka?

Nie mam pojęcia. Nawet w kawiarni rozmawiamy wyłącznie o meblach, kolorach i cenach tapet.

Nie wiesz, czy... - przygryzł wargę - ..ma kogoś?

Już ci mówiłam, że nie poruszamy prywatnych tematów. Po co ci ta informacja? - spytała najspokojniej jak potrafiła. Przeżywała prawdziwe piekło zazdrości o młodą i atrakcyjną szefową. - Sam zapytaj, nie lubię obgadywać ludzi za plecami. Mogę ci podać jej numer telefonu - dodała z goryczą.

Przepraszam - mruknął Jake. Pionowa zmarszczka na jego czole pogłębiła się. - Wydarzyło się coś nieprzewidzianego, dlatego chciałem się czegoś dowiedzieć, zanim zrobię następny krok.

Sasha wstrzymała oddech.

Pamiętasz, jak się poznaliśmy? Pracowałem wtedy w sąsiedztwie.

O, tak, fotografowałeś mnie po kryjomu - wypomniła z pochmurną miną. Nie potrafiła już dłużej udawać obojętności. - A potem pospieszyłeś mi na ratunek, dzwoniłeś, odwiedzałeś, dlatego myślałam, że... - urwała.

No taaak... Wiele się wydarzyło od tego czasu. -Przerwał, a serce Sashy zatrzymało się na ułamek sekundy. Bała się słuchać dalszego ciągu.

Właściciele willi rozwodzą się, żona podejrzewa, że mąż...

Ukrywa się tam z kochanką - wpadła mu w słowo i odetchnęła z ulgą. Przypomniała sobie zapach dymu z papierosów i korek od szampana w opróżnionym wcześniej śmietniku. - Ma jakieś dowody?

Nie, ja mam ich dostarczyć. Podobno sąsiadka słyszała jakieś hałasy na piętrze.

A ty robiłeś mi zdjęcia, bo myślałeś, że czekam tam na mężczyznę? Nie wiem, czy mam się śmiać, czy obrazić. - Wcale nie było jej do śmiechu.

Nie gniewaj się, nie jestem jasnowidzem, tylko detektywem.

Obserwuję i wyciągam wnioski. Fakty wskazywały na ciebie, ale szybko zrozumiałem swój błąd. Parę dni temu klientka: pogodziła się z mężem, a dzisiaj ponownie poprosiła o zdobycie dowodów przeciwko niemu. Przypadek zrzędził, że mi się udało. Prawdopodobnie pan Jamison ma romans z twoją szefową.

Katie McIver? - Zrobiła wielkie oczy. - Chyba żartujesz. Słyszałeś jakieś plotki?

Nie, widziałem pocałunek. Długi i namiętny. Żona miała rację. Poza sezonem spotykają się w jego willi, bo w hotelu ktoś mógłby go rozpoznać.

Sasha pokręciła głową z niedowierzaniem, wstała, weszła po schodach i przyłożyła ucho do drzwi sypialni. Po chwili wróciła.

-Peaches śpi jak zabita, pewnie nie obudzi się przez najbliższą godzinę. - Zamyśliła się. - Przyszło mi coś do głowy. Podejrzewam, że Jamison zamydlił żonie oczy, żeby wyłudzić kilka podpisów. Jeżeli uwierzyła w jego skrucę i dała się oskubać, to jest naiwna.

- Zmarszczyła brwi i zacisnęła usta. Jej twarz straciła łagodny kontur, wyglądała prawie groźnie.

Jake z przerażeniem obserwował tę nagłą przemianę.

Skąd to wiesz, Sasho? Przeżyłaś coś takiego?

Nie, ja podpisywałam tylko wyniki obdukcji, a na końcu wniosok o ubezwłasnowolnienie. - Przerwała na chwilę. - Jeden z moich mężów bił mnie po pijanemu o byle co.

Jake zacisnął powieki, jakby to jemu zadano cios. Chciał wstać, ale Sasha powstrzymała go ruchem ręki.

-Na szczęście szybko się nauczyłam, jak sobie poradzić z draniem. - Roześmiała się niewesoło. - Chyba jestem rekordzistką świata w pozbywaniu się łotrów. Mogę udzielić lekcji twojej klientce.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Na myśl, że ktoś mógłby skrzywdzić tę piękną, wrażliwą kobietę, zaciskał tylko pięści i zgrzytał zębami. Mogła udawać twardą i samodzielną, ale doświadczyła wiele złego. Zaprzagnął chronić ją i otoczyć opieką. Sasha pierwsza ocknęła się z zamyślenia. Potrząsnęła miedzianymi lokami, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Jeżeli jesteś głodny, odgrzeję zapiekanke.

Dopiero gdy usiedli przy stole, zapytała, kiedy skończy się remont.

- Za kilka dni. Masz jakieś zlecenia, czy możesz jeszcze trochę posiedzieć z dzieckiem?

- Właściwie już zrobiłam swoje. Musiałam dopiąć wszystko na ostatni guzik przed sezonem.

Kłamała. Pracowała właśnie nad wystrojem biurowca i wykonała zaledwie połowę roboty, w dodatku spodziewała się następnego zlecenia, ale za nic w świecie by się do tego nie przyznała. W końcu odzyskała samochód, a dwie przyjaciółki aż się paliły, by ją zastąpić w roli niani.

Obserwowała, jak Jake pije herbatę. Gdy rozchylił usta, wspomniała wczorajszy pocałunek. Przez jej ciało przeszedł rozkoszny dreszcz. Wyglądał zwyczajnie i tak też się ubierał, a ona omdlewała z zachwytu na jego widok. Dwóch elegantów już miałam - pomyślała - i wystarczy. Jake pochwycił jej spojrzenie.

- Wiesz co? - powiedziała trochę zbyt szybko. - Jeżeli Katie i Jamison znają się od wielu lat, to mogłeś widzieć normalny, przyjacielski pocałunek.

Zaraz ci pokażę. - Odsunął krzesło, podszedł do niej, wziął ją za rękę i pomógł wstać. Przysunął się tak blisko, że oddychali tym samym powietrzem. Serce biło jej szybko, a wargi same się rozchyliły.

Stali tak jak my, ona twarzą do mnie, on plecami. Raz się odwrócił, wtedy go rozpoznałem. A potem... -Przyciągnął Saszę do siebie. - Niewiele widziałem, ale jestem pewien, że nie gawędzili o pogodzie.

Wstrzymała oddech i zastygła w oczekiwaniu.

Chyba to wyglądało jakoś tak - powiedział półgłosem, a jego oddech rozwiązał jej włosy. Pocałował ją delikatnie, bez pośpiechu, tak jak za pierwszym razem. Za chwilę przywarli do siebie i całowali się szaleńczo, dziko, wciąż nienasyчени. Sasha wtuliła się w niego i oplótła mu szyję ramionami. Pragnęła go tak bardzo, że ledwie trzymała się na nogach. Czuła jego pożądanie, przeszkadzały im tylko ubrania... Coraz szybciej poruszali biodrami. Jake przerwał pocałunek i zwrócił twarz w kierunku sypialni. Obejmował dłońmi jej piersi i drażnił sutki końcami palców. Skinęła głową.

Jesteś pewna?

Wiedziała, że jeśli posłucha głosu natury, popełni szaleństwo i zatraci się bez reszty. Czy on oczekuje tylko gorącego seksu, czy czegoś więcej? - pytała samą siebie. Nie potrafiła sobie odpowiedzieć i nawet nie próbowała. Oddała mu ciało i duszę, jeszcze zanim jej dotknął. Pragnęła płynąć na tej fali, nawet jeżeli wyrzuci ją na samotny, kamienisty brzeg. Jej oczy wyznawały miłość, ręce same się wyciągały, by pomóc uko-

chanemu pozbyć się ubrania. Potykając się o sprzęty i zrucane w pośpiechu części garderoby, wśród pocałunków i pieszczot dotarli do olbrzymiego łoża.

- Nie chcę być nagi - zaprotestował, gdy spróbowała ściągnąć mu dżinsy - jeżeli ty pozostaniesz w tym strasznym worze.

Nogi się pod nią ugiwały, resztkami sił zrzuciła przez głowę znienawidzony kaftan.

Jesteś nieprawdopodobnie piękna - szepnęła i opadł obok niej na łóżko.

Ty też - westchnęła, z trudem łapiąc oddech. -Ten nos...

Dwukrotnie złamany.

-I oczy.

Używam okularów do czytania.

Ja też - przyznała.

Więcej słów nie potrzebowali. Sasha gładziła umięśnioną klatkę piersiową i napięte mięśnie brzucha. Krótkie, sprężyste włoski prowadziły jej rękę w kierunku podbrzusza, ku centrum jego żądy. Jake całował jej usta, nos, oczy, szyję, przyspieszał jej oddech, rozpałał zmysły. Silne dłonie obejmowały jej pośladki i biodra, posuwały się ku pachwinom. Dotknął wrażliwej skóry po wewnętrznej stronie ud. Ciałem Sashy wstrząsnął potężny dreszcz.

Teraz, błagam - jęknęła.

Poczekaj sekundę - szepnął.

Nie chciała czekać, niczego się nie bała, nie musiała się zabezpieczać. Buntowała się na myśl, że cokol-

wiek może ich rozdzielić, choćby najcieńsza warstwa ochrona, lecz podporządkowała się jego woli. Zrobiłaby dla niego wszystko. Patrzyła rozpalona i spragniona, jak rozrywa maleńki foliowy pakiecik. Jeszcze zanim skończył, wyciągnęła ręce i dotykała go zachłannie, aż złapał ją za nadgarstki i przytrzymał. Przyłgął do niej całym ciałem i oboje zapomnieli o bożym świecie. Pędzili na oślep, w pośpiechu, na szczyty rozkoszy.

Równocześnie wydali okrzyk szczęścia. Sasha opadła na pościel, a Jake na jej pierś. Odwrócił się na plecy, leżała teraz na nim. Dwa serca były wciąż tak mocno, jakby chciały się nawzajem dotknąć. Wspólnie odzyskiwały normalny, spokojniejszy rytm. Po chwili znów przyspieszyły, dwoje ust rozchyliło się ponownie do pocałunku, a dwie pary rąk błędziły po rozgrzanych ciałach.

Tym razem unikali pośpiechu, delektowali się sobą, wyszukiwali najczulszych punktów i pobudzali je delikatnymi pieszczotami. Jake wodził palcem wzdłuż linii pomiędzy pępkiem Sashy a wzgórkiem łonowym, ona przeciągała dłonią od ścięgna Achillesa, wzdłuż łydki, aż po wrażliwe miejsce pod kolanem, gdzie skóra jest najcieńsza. Równocześnie całowała jego tors. Jake zamknął oczy i mrucał z rozkoszy. Wzajemne pożądanie znów sięgnęło zenitu. Sasha usiadła, objęła go udami, odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Jej ciało falowało, oddychała coraz szybciej, wchłaniała go, brała w posiadanie. Usłyszała, jak Jake wykrzykuje

jej imię, opadła mu na pierś i wtopiła się w niego całą powierzchnią wilgotnej od wysiłku skóry.

Cztery małżeństwa nie dały jej tyle szczęścia, co ten jeden dzień. Wkroczyła w nowy etap życia, w zupełnie inny, nieznaną świat - świat, w którym potrafiła istnieć tylko wtedy, gdy Jake Smith był razem z nią. Gdyby odszedł, nie wiedziałaby, jak dalej żyć. Jestem szalona - pomyślała, nie wiadomo który już raz.

Jake zamknął oczy i udawał, że śpi. Bał się, że usłyszy pytanie o przyszłość, a nie czuł się gotowy do zasadniczej rozmowy. Na szczęście Sasha nie pytała o nic. Dawno minęły te czasy, gdy przygoda miłosna oznaczała zobowiązanie, a rozstanie po jednej, wspólnie spędzonej nocy - plamę na honorze. Cóż z tego?

Społeczeństwo mogło sobie tolerować, a nawet pochwalać swobodę obyczajów, ale Jake nie potrafił traktować Sashy jak przygodnej kochanki. Wkroczyła w jego życie przypadkiem, ale nie wiadomo kiedy stała się jego częścią niezbędną jak powietrze i pokarm. Cieszył się, że może leżeć obok niej nagi i nie wstydzić się swojego wieku. Całe życie trenował pływanie, jego organizm zachował sprawność, a sylwetka - właściwe proporcje. Sasha poruszyła się leniwie.

Jake, śpisz?

Niee – odpowiedział niewyraźnie, jakby właśnie się budził.

Pomyślał, że zaraz nastąpi to, czego się obawiał. Powinien był ucałować ją na pożegnanie i odejść, zanim odpocznie i zacznie się zastanawiać, co dalej.

- Wydaje mi się, że dziecko zapłakało. - Mówiła powoli, a jej wzrok nadal pozostawał rozmarzony. Widać było, że z trudem wraca do rzeczywistości.

Odetchnął z ulgą i pogłaskał ją po brzuchu. Ponętne krągłości pobudzały jego zmysły. Doskonałe ciało stworzone do miłości - zachwycał się po cichu.

Zostań tu, kochanie, ja do niej pójde - powiedział łagodnie.

Ależ nie musisz.

Dobrze, w takim razie podgrzeję mleko, a ty zmień pieluszkę.

Ubrali się szybko i Sasha pospieszyła na górę. Na schodach pomyślała, że gościnną sypialnię będzie można niewielkim nakładem przekształcić w pokój dziecienny. Wystarczy wynieść trofea z giełd staroci, pomalować ściany na jakiś pastelowy kolor, na przykład jasny róż z postaciami z bajek pod sufitem, i wstawić mebelki. Zatrzymała się nagle na najwyższym stopniu.

- Ależ ze mnie idiotka, głupia, sentymentalna gęś - mruknęła pod nosem. Jej drugi mąż mawiał: „Zanim zainwestujesz, zastanów się, ile możesz stracić”. Widocznie nauki, których nigdy nie stosował w praktyce, odeszły w niepamięć wraz z nim.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jake wyszedł, kiedy Sasha karmiła dziecko. Uciekł, żeby nie patrzeć, jak trzyma w ramionach jego wnuczkę. W niewytłumaczalny sposób potrafiła być równocześnie macierzyńska i kusząca. Matrona i hurysa w jednej osobie. Gdyby tylko na nią spojrział, poczuł aromat jej perfum, nie oparłby się pokusie, by zostać i wziąć ją znów w ramiona. Wmawiał sobie, że łączy ich tylko seks, i sam w to nie wierzył. Do Sashy Lasiter słowo „tylko” nie pasowało w żaden sposób, tym bardziej teraz, kiedy tak wiele razem przeżyli. Zaangażował się do tego stopnia, że nie mógł i już nie chciał się wycofać.

Przed wkroczeniem w nowy rozdział życia musiał zamknąć stary i doprowadzić do końca zaległe sprawy.

Kiedy Sasha zobaczyła go przy drzwiach z ręką na klamce, miała ochotę rzucić w niego czymś ciężkim.

- Do zobaczenia - mruknął-tylko i już go nie było.

Tchórz! Niepotrzebnie zapewniał, że wróci. I tak nie ma innego wyjścia - myślała ze smutkiem. - Musi przecież zabrać Peaches. Tylko czy później jeszcze kiedykolwiek się pokaże? No i co, Sally June, znowu

wpadłaś z deszczu pod rynnę - przemówiła do swoje go dawnego wcielenia.

Niesłusznie odwoływała się do przeszłości. Jake Smith nie był podobny do żadnego z jej dawnych życiowych partnerów, a jej uczucia w niczym nie przypominały wcześniejszych, powierzchniowych oczarowań. Tym razem fascynowała ją osobowość, umysł i cechy charakteru ukochanego. Tylko sposób, w jaki skoczyła głową naprzód w nieznaną toń, nie troszcząc się o to, czy trafi na głębinę, czy na skałę, pozostał ten sam. Nawet nie bardzo mogła obarczyć winą ślepy los. Przecież to ona sama włożyła do pracy koszarne szpilki, w których, wcześniej czy później, jakiś wypadek musiał się przydarzyć. Tylko niekoniecznie musiał się zakończyć w łóżku z wybawcą...

Rzecz w tym, że prostoduszna Sally June nie potrafiła oddać ciała, nie oddając serca. Nie nauczyła się tej sztuki także Sasha Lasiter, wyrafinowana projektantka, dumna ze swobodnego traktowania konwenansów Zakochała się bez pamięci.

Westchnęła głęboko i przytuliła Peaches. Czowała z nią tak bliską więź, jakby to małeństwo wyrosło w jej łonie. A jeszcze silniejszą z jej dziadkiem. Zanim go poznała, uważała, że niczego jej w życiu nie brakuje. Teraz zagracony salon wydawał się bez niego rozpaczliwie pusty.

Zadzwoił telefon. Rozpoznała głos Marty i ucieszyła się.
- jak dobrze, miałam cię właśnie poprosić o przy

sługę. Czy zgodziłabyś się zwolnić Faylene, żeby trochę posiedziała z dzieckiem?

- Jasne! Nie ma teraz nic do roboty. Cole stawia przybudówkę. Możemy posprzątać, dopiero jak skończy. Na razie klienci bez przerwy wnoszą do sklepu błoto wraz z zaprawą. Cały efekt pracy diabli by wzięli po pięciu minutach. Ja też mam do ciebie interes.

Dzwoniłam wcześniej, żeby ci przypomnieć o poniedziałkowej imprezie, ale nie odbierałaś telefonu. Czy Jake przyjedzie?

Udało ci się go namówić?

Zapadło kłopotliwe milczenie.

-Miałam tyle spraw na głowie, że zupełnie zapomniałam - przyznała w końcu Sasha z ociąganiem.

Nastąpiła kolejna, dość długa przerwa w rozmowie, a potem z drugiej strony rozległ się śmiech.

Rozumiem, kochana, chcesz go zachować dla siebie.

Uważam, że Lily nie potrzebuje nowej znajomości - wykręcała się Sasha. - Co tydzień dostaje listy. Jestem przekonana, że kogoś ma.

Na przykład ciotkę, której się nudzi. W każdym razie nie zaszkodzi przedstawić jej paru kandydatów.

Ależ proszę bardzo, tylko...

Nie tego twojego - dokończyła Marty. Przebłyśki genialności pojawiały się u niej w najmniej odpowiednich momentach. -

No to możemy dać sobie spokój z całą zabawą. Wolnych mężczyzn jest u nas jak na lekarstwo.

A Egbert i Gus?

Chyba żartujesz! Egbert jest od niej dużo niższy, a Gus ma wielki brzuch.

Bob Ed też, a Faylene to wcale nie przeszkadza.

Muszę kończyć, Cole mnie woła. Jak załatwisz to, o co cię proszę, to ci przyślę zastępstwo na jutro.

Jake nie wiedział, w co włożyć ręce. Zgłosiło się dwóch nowych klientów, a sprawa Jamisonów ruszyła wreszcie z miejsca i musiał poświęcić sporo czasu na zdobycie dowodów. W dodatku nie mógł się na niczym skoncentrować, bo Sasha nie odbierała telefonów. Może i dobrze, miał doskonały pretekst, żeby ją odwiedzić. Nie mogła mu zakazać. Tak dawno nie był zakochany, że nie umiał się odnaleźć w nowej sytuacji. Resztkami woli zmusił się do wyjazdu do Driftwinds, zamiast do Muddy Landing. Nie liczył na to, że Jamison zaryzykuje schadzkę. Większość letnich willi zajmowali już wczasowicze. Nie znalazł na parkingu jego wozu, ale mógł przecież zatrzymać się gdzieś dalej albo kochanka mogła go podwieźć. Jej auta też nie było w pobliżu.

Wreszcie dostrzegł białego durango za wielkim krzakiem oleandra. Jego właściciel wszedł do willi, pozostało tylko poczekać, aż wróci. Jake nie musiał nakryć ich w łóżku. Dobremu prawnikowi fotografia namiętnego pocałunku wystarczy za dowód winy. Wypchał dużą kopertę papierami, wszedł z nią do recepcji i spytał, gdzie może spotkać Katie McIver.

- Przykro mi, nie zastał jej pan, ale proszę to zostawić. Przekażę jej przesyłkę, gdy tylko przyjedzie.

- Naprawdę nie wie pani, gdzie mogę ją znaleźć?
Zajmę jej tylko minutę, ale to bardzo pilna sprawa.
Po południu Sasha usłyszała, że przed jej domem trzasnęły drzwi samochodu. Serce zaczęło jej szybciej bić, gdy zobaczyła, że to Jake idzie do furtki. Była na niego wściekła. Tyle czasu się nie pojawiał, nawet nie zadzwonił, chociażby po to, żeby spytać o wnuczkę. Jednym ruchem ręki zgarnęła włosy, skręciła je w kok i spięła kłamrą. Na szczęście, zupełnie przypadkiem, miała na sobie dopasowaną kolorową bluzeczkę, wdzięczną zwiewną spódnicę i po pierścionku na palcu każdej stopy.

Nie spieszyła się, zostawiła sobie chwilę na zebranie myśli i opanowanie emocji. Otworzyła drzwi i przywitała gościa uprzejmie, lecz dość zdawkowo. Nie mógł przecież słyszeć, jak serce tłucze się jej o żebra.

Pomyślałem, że wstąpię, żeby sprawdzić, czy czegoś nie potrzebujesz.

Rozumiem, przejeżdżałeś tędy i wpadłeś po drodze - rzuciła niedbale.

Obydwoje wiedzieli, że nie ma znajomych ani nic do załatwienia w Muddy Landing. -Mogę wejść?

- Chcesz ją zobaczyć? - wykrztusiła z największym trudem.

Oczy jej zwilgotniały, chociaż starała się opanować emocje. - Właśnie zaniósłam ją na górę. Po ostatnim karmieniu nie chciała spać.

Jake wziął głęboki oddech.

- Czy moglibyśmy najpierw porozmawiać?

Po co, wiedziała przecież, co ją czeka. Zabierze swoją wnuczkę i pójdzie do domu.

- Zastanów się jeszcze. Przeżyła ostatnio prawdziwy wstrząs. Tutaj jest jej dobrze, niech dojdzie do siebie.

Jake oddychał ciężko jak po wielkim wysiłku.

- Wiem, Sasho, że to szaleństwo. Brak mi śmiałości, bo znamy się dopiero tydzień i może na zbyt wiele sobie pozwalam...

Sasha wstrzymała oddech, zamknęła oczy i zaczęła się po cichu modlić. W jej sercu zabłysł mały promyk nadziei, że nie chodzi o dziecko, tylko o nią. Wprowadziła go do salonu i siedła na kanapie jak najdalej od niego. Jake był błądy jak ściana, a jej płonęły policzki. Zacerpnął w płuca powietrza, jakby zamierzał wygłosić długie przemówienie. Czekwała w napięciu. Wcale nie musisz tego przyjmować, masz ich i tak całe mnóstwo. Na wszelki wypadek zastrzegłem w sklepie, że jeśli wygląd lub rozmiar nie będzie ci pasował, przyjdę wymienić.

Odkupiłeś mi buty?

Odwrócił się, pokręcił głową, prawie bezwładnie zsunął się z kanapy i oparł się jednym kolaniem o podłogę. Nawet nie próbowała zgadywać, o co mu chodzi. Gdyby się pomyliła, rozczarowanie by ją zabiło. Wyciągnął rękę. Na otwartej dłoni zobaczyła maleńkie pudełeczko.

-Kiepsko mi to wychodzi, najpierw powinienem coś powiedzieć - wyjąkał.

No to mów! - krzyknęła i znów zacisnęła powieki.

Od śmierci Rosemary nie byłem z nikim związany. Na pewno mnie rozumiesz, straciłaś przecież brata. Przez dwanaście lat radziłem sobie całkiem nieźle, pracowałem na własny rachunek, godziłem obowiązki zawodowe z wychowaniem syna. Aż do tej pory. Od czasu, gdy cię poznałem, tak wiele się wydarzyło... -Przerwał.

Sasha nie odrywała wzroku od pudełeczka ze sklepu jubilerskiego. Poruszył temat wychowania dzieci, to znaczy, że chodziło o Peaches. Bała się, że turkusowe soczewki wypłyną jej z oczu wraz ze łzami. Jeżeli kupił jej biżuterię w podziękowaniu za opiekę i inne świadczenia, gotowa była go zamordować. Jake przymknął oczy, ręce mu opadły.

Pewnie mnie wyrzucisz z domu, tak krótko się znamy...

Wyrzucę, jeśli natychmiast nie powiesz, o co ci chodzi.

Nie słuchał, mówił teraz szybko, jakby chciał jak najprędzej mieć to już za sobą.

- ..lecz jeśli czujesz do mnie odrobinę sympatii, spojrzysz na mnie łaskawym okiem.

Czy nie widział, jak na niego patrzy? Jej serce wystukiwało coraz szybciej: tak?tak, tak-tak, tak-tak.

-I będziemy nadal się widywać - dokończyła za niego.

Powoli pokręcił głową.

-Miałem inne plany, ale jeżeli wolisz najpierw le-

piej mnie poznać, możemy poczekać kilka dni albo nawet tygodni.

Rzuciła mu się na szyję i oplótła go ramionami. Otrzymała największą życiową szansę. Nie mogła jej zmarnować.

- Myślałam, że nigdy nie poprosisz - szepnęła.

Kilka godzin później Jake przyniósł jej kawę do łóżka.

- Łyżeczka cukru i dietetyczna śmietanka, tak jak lubisz.

Popatrzyła na niego z zachwytem, potem przeniosła wzrok na pierścionek z żółtego i białego złota z trzema diamentami.

Szczyt rozpusty - powiedziała i odchyliła kódrę. Jake poczuł aromat wschodnich wonności zmieszanych z jego własnym zapachem.

Nie musimy się spieszyć. Mamy na nią wiele, wiele lat...